

Ursula K. Le Guin
Lawinia

(Lavinia)

Przełożył Łukasz Nicpan

*Sola domum et tantas sewabat filia sedes,
iam matura viro, iam plenis nubilis annis.
Multi illam magno e Latio totaque petebant
Ausonia...*

Tak wielki dom i spadek miała córka jedna,
Już dojrzała, w lat pełni, co ślubów nie bronią.
Wielu z Lacjum i z całej Auzonii się o nią
Staralo...
Eneida, ks. VII, w. 52

W maju tego roku, w którym skończyłam dziewiętnaście lat, wybrałam się po sól ofiarną na saliny u ujścia rzeki. Do towarzystwa wzięłam sobie Titę i Marunę, a mój ojciec dodał nam do pomocy starego sługę oraz chłopca z osłem dla przewiezienia ładunku. Choć do morza mamy zaledwie kilka mil, postanowiłyśmy urządzić sobie przy okazji prawdziwą dwudniową wycieczkę. Obładowawszy biedną oślinę prowiantami, wlekliśmy się na miejsce cały dzień, dopiero pod wieczór rozkładając obóz na trawiastych wydmach, które górują nad plażami wzdłuż brzegów rzeki i morza. Zasiadłszy całą piątką wokół ogniska, posilaliśmy się, opowiadając sobie różności i śpiewając pieśni, a tymczasem słońce zachodziło za horyzont, majowy zaś zmierzch z błękitnego stawał się ciemno-błękitny. Potem zasnęliśmy pod okryciem morskiego wiatru.

Obudziłam się o bladym świcie. Moi towarzysze jeszcze smacznie spali. Ptaki stroiły dopiero głosy do porannych chórów. Wstałam i poszłam w stronę ujścia. Zaczepnęłam w dłoń wody i najpierw spełniłam libację, wypowiadając imię rzeki: Tyber, ojciec Tyber, a także jej prastare tajemne imiona – Albula, Rumon. Dopiero potem sama się napiłam, smakując słoność wody. Rozwidniło się już na tyle, że mogłam dojrzeć długie, stojące fale nad przybrzeżną łachą, gdzie nurt rzeki ścierał się z przyływem.

Potem dostrzegłam w dali okręty na ciemnym morzu – całą flotę wielkich, czarnych korabiów, które nadpływały z południa i zakosami zbliżały się do ujścia Tybru. Wzdłuż burt każdego podnosił się i opadał długi szereg wiosła, jakby ptaki były skrzydłami w szarówce poranka.

Jeden po drugim, wznosząc się i opadając, przepływały po sfalowa-

nym morzu nad łachą, a dalej popłynęły już prosto. Ich długie zadarte dzioby były okute trójzębami z brązu. Przyglądałam się im, siedząc w kucki w słonym błocie na brzegu. Pierwszy okręt wpłynął w ujście rzeki i przepłynął obok mnie – ciemna góra poruszana miarowymi, mocnymi cichymi uderzeniami wiosł o wodę. Twarze wiosłarzy okrywał cień, ale na wysokiej rufie widniała na tle nieba sylwetka stojącego mężczyzny. Nieruchomy, spoglądał przed siebie.

Twarz ma surową, lecz otwartą; wpatruje się w ciemność przed dziobem okrętu, modli się. Wiem, kim jest.

Zanim ostatni korab z cichym pluskiem rytmicznie bijących wiosł przepłynął obok mnie i zniknął wśród gęstych, porastających oba brzegi lasów, ptaki śpiewały już wszędzie wniebogłosy i niebo jaśniało ponad wzgórzami na wschodzie. Wróciłam do naszego obozowiska na wydmie. Moi towarzysze jeszcze spali; przespali paradę okrętów. Nie opowiedziałam im o tym, co widziałam. Potem zeszliśmy na dół i nakopaliśmy tyle szarego blocka z morskiej saliny, że soli powinno nam starczyć na co najmniej rok. Załadowaliśmy ten urobek do koszy na grzbiecie osła i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Popędzałam moich towarzyszy, więc trochę narzekali, ociągali się, mimo to dotarliśmy do domu jeszcze przed północą.

Poszłam zaraz do króla i oznajmiłam mu:

– Ojczy, wielka flotylla okrętów wojennych wpłynęła dziś o świcie w ujście rzeki.

Popatrzył na mnie i twarz mu spochmurniała.

– Więc to już – powiedział. Tylko tyle.

Wiem, kim byłam, mogę wam opowiedzieć, kim mogłabym być, lecz teraz istnieję tylko w tych linijkach pisma. Nie jestem pewna jakości własnego istnienia i zdumiewa mnie, że w ogóle piszę. Oczywiście posługuję się łaciną, ale czy kiedykolwiek nauczyłam się pisać? Chyba mało to prawdopodobne. Ktoś o moim imieniu – Lawinia – niewątpliwie istniał, lecz mogła to być osoba tak różna od mojego wyobrażenia o samej sobie czy wyobrażenia, jakie miał o mnie mój poeta, że myślenie o niej przyprawia mnie tylko o zakłopotanie. O ile wiem, właśnie on nadał mi w ogóle jakąś postać. Zanim zabrał się do pisania, byłam tylko cieniem cienia, zaledwie imieniem w rodowej historii. To on powołał mnie do życia, nadał mi tożsamość, uczynił zdolną do wspominania własnej przeszłości, co właśnie robię, doznając przy tym nader sprzecznych uczuć, które mną w trakcie pisania miotają, być może dlatego, że zdarzenia, które sobie przypominam, dopiero moje pióro powołuje do istnienia – moje albo jego, gdy sam je spisywał.

Tyle że on, prawdę mówiąc, w ogóle ich nie spisał. W swoim poemacie całkiem mnie pomiął. Poskąpił mi miejsca, bo o moim istnieniu dowiedział się dopiero niedługo przed śmiercią. Nie można go za to winić. Było już za późno, żeby coś naprawić, dopowiedzieć, dopełnić połowiczne wersy, udoskonalić poemat, który sam uważał za niedoskonały. Wiem, że tego żałował, że mnie opłakiwał. Może tam gdzie teraz przebywa, za ciemnymi rzekami, ktoś mu szepnie, że Lawinia również po nim płacze.

Ja nie umrę. Tego jestem prawie pewna. Moje życie jest zbyt przypadkowe, by miało prowadzić do czegoś tak absolutnego jak śmierć. Za mało jest we mnie prawdziwej śmiertelności. W końcu niewątpliwie

zblaknę i popadnę w zapomnienie, jak już dawno byłabym popadła, gdyby poeta nie obudził mnie do istnienia. Być może stanę się męczącym snem, czepiającym się jak nietoperz liści drzew przed bramą światów, albo sową przemykającą wśród ciemnych dębów Albunei. Jednakże nie będę musiała odchodzić z tego świata i zstępować w krainę ciemności, jak musiał on, biedaczysko, najpierw w wyobraźni, potem w postaci własnego ducha. Każdy z nas sam musi przeżyć swoje życie pozagrobowe, jak mi kiedyś powiedział, w każdym razie również tak można było zrozumieć jego słowa. Ale takie smętne snucie się w podziemnej krainie zmarłych, czekanie, aż się zostanie zapomnianym lub wskrzeszonym – to nie jest prawdziwe istnienie, ani w połowie tak prawdziwe jak moje, gdy je tworzę, pisząc, wy zaś czytając, i bez porównania mniej prawdziwe od tego, jakie powoływał w słowach, tych cudownych, życiodajnych słowach, dzięki którym istnieję od stuleci.

A jednak mój udział w jego poemacie, życie, jakim mnie obdarzył w swoich księgach, są tak niejasne – poza jednym epizodem, kiedy zapalają mi się włosy – tak bezbarwne – wyjąwszy chwilę, gdy policzki mojej służącej stają w pasach niczym kość słoniowa splamiona barwnikiem purpury – tak pospolite, że dłużej nie mogę tego tolerować. Jeśli mam trwać przez następne stulecia, muszę się w końcu ocknąć i przemówić. On nie dał mi się odezwać ani słowem. Muszę mu to słowo sama wydrzeć. Ofiarował mi długie, ale wątłe życie. Ja tymczasem potrzebuję przestrzeni, powietrza. Moja dusza wyrывa się do prastarych lasów Italii, na osłonecznione wzgórza, wysoko, gdzie wieją wiatry, których sięgają łabędzie i prostolinijne wrony. Moja matka była obłąkana, lecz ja nie. Mój ojciec był stary, lecz ja byłam młoda. Niczym

spartańska Helena stałam się przyczyną wojny. Ona wywołała swoją, pozwalając, by posiadli ją mężczyźni, którzy jej pragnęli. Ja spowodowałam swoją, bo nie pozwoliłam się posiąść ani wydać za pierwszego lepszego, ale sama wybrałam swojego mężczyznę i swój los. Mężczyzna był sławny, los nieokreślony – prawie równowaga.

A jednak czasem mam wrażenie, że już od dawna jestem martwa, że opowiadam tę historię w jakimś zaułku podziemnego świata, o którym dotąd nic nie wiedzieliśmy – w jakimś zwodniczym miejscu, gdzie zdaje się nam, że żyjemy, zdaje się nam, że się starzejemy i wspominamy, jak to było, gdy byliśmy młodzi, kiedy nadleciał rój pszczół, gdy moje włosy zajęły się płomieniem, kiedy przybyli Trojanie. Jak to w ogóle możliwe, że możemy się ze sobą porozumieć? Przypominam sobie przybyszów z drugiego końca świata, kiedy po wodach Tybru wpłynęli do kraju, o którym nic nie wiedzieli: ich wysłannik przybył do domu mego ojca, oznajmił, że jest Trojańczykiem, i grzecznie przemówił w płynnej łacinie. Jak to możliwe? Czyżby każdy z nas znał wszystkie języki świata? To może być prawdą jedynie wśród zmarłych, których kraina leży pod wszystkimi innymi krainami. Jak to możliwe, że mnie rozumiecie, choć żyłam dwadzieścia pięć wieków temu? Czy znacie łacinę?

Ale potem pomyślałam sobie: nie, to nie ma nic wspólnego z umarłymi, to nie śmierć pozwala nam rozumieć jedni drugich, lecz poezja.

Gdybyście mnie znali, kiedy byłam małą dziewczynką w rodzinnym domu, uznalibyście zapewne, że powierzchowny portret nakreślony przez mego poetę, jakby draśnięty mosiężną igłą na woskowej tabliczce, był całkiem wystarczający: dziewczyna, królewska córka, dziewica w lat pełni, co ślubów nie bronią, cnotliwa, cicha, posłuszna, gotowa poddać się woli mężczyzny, jak pole jest wiosną gotowe pod pług.

Ja sama nigdy nie orałam, ale całe życie przyglądałam się trudowi naszych oraczy: biały wół napiera na jarzmo, oracz krzepko ściska drewniane rękojeści, a one wrywają się, szarpią na boki, gdy usiłuje wprowadzić lemiesz w glebę, która sprawia wrażenie tak potulnej i otwartej, a jest tak oporna i zamknięta. Człowiek musi wyteńczyć wszystkie siły, by wyłobić w niej bruzdę dostatecznie głęboką, aby mogła przyjąć nasiona jęczmienia. W końcu ledwie dyszy utrudzony, mięśnie mu drżą, marzy już tylko o tym, żeby się ułożyć w kamienistej bruzdzie i zasnąć na piersi swej surowej matki. Ja co prawda nigdy nie orałam, ale matkę też miałam surową. Ziemia przyjmie w końcu oracza w swe objęcia i pozwoli mu zasnąć głębiej niż ziarnom jęczmienia, lecz moja matka nigdy mnie nie przytuliła.

Byłam cicha i pokorna, bo gdybym się odezwała, próbowała postawić na swoim, matka mogłaby mi przypomnieć, że nie jestem żadnym z moich obu braci, a to by mnie zabolalo. Miałam sześć lat, kiedy umarli, mały Latynus i maleńki Laurens. Byli moimi pieścioszkami, laleczkami. Bawiłam się z nimi, uwielbiałam ich. Nasza matka, Amata, przyglądała się nam z uśmiechem, a wrzeciono żwawo biegało w jej palcach. Nie zostawiała nas samych z naszą piastunką Westiną ani z innymi

mi kobietami, na co mogłaby sobie łatwo pozwolić jako królowa, lecz spędzała z nami całe dni, z czystej miłości. Często wtórowała śpiewem naszym zabawom. Bywało, że porzucała przedzenie, zrywała się, chwytając za ręce mnie i Latynusa i zaczynaliśmy tańczyć, zaśmiewając się jak szaleni. „Moi wojownicy” – tak nazywała chłopców, ja zaś sądziłam, że tą nazwą i mnie obejmuje, bo taka była wtedy szczęśliwa, a jej szczęście było również naszym.

Zachorowaliśmy wszyscy troje – najpierw niemowlę, potem Latynus o okrągłej twarzyczce, odstających uszach i czystych oczach, na końcu ja. Pamiętam dziwne sny, jakie śniłam, leżąc w gorączce. Przyłatywał do mnie mój dziadek dzieciół i dziobał mnie w głowę, aż krzyczałam z bólu. Po miesiącu poczułam się lepiej, potem całkiem wyzdrowiałam. Ale u chłopców gorączka to spadała, to znowu rosła, na przemian. Zaczęli chudnąć, nikać w oczach. Jednego dnia wydawało się, że następuje poprawa – Laurens chętnie układał się na piersiach matki, Latynus wyczołgiwał się z łóżeczka, by się ze mną bawić – ale następnego gorączka wracała, jeszcze wyższa. Któregoś popołudnia Latynus dostał drgawek. Gorączka zachowywała się jak pies, który szarpie szcurem, aż wytrzęsie z niego życie. I wytrzęsła życie z następcy tronu, nadziei całego Lacjum, mojego towarzysza zabaw, ukochanego braciszka. Tamtej nocy mój wychudzony młodszy brat zasnął spokojnie, gorączka znów spadła. A nazajutrz rano zmarł na moich rękach, z cichym westchnieniem i leciutkim dreszczem, jak małe kociątko. I wtedy moja matka oszalała z rozpaczy.

Ojciec nigdy nie pojął, że była szalona.

Gorzko rozpaczał po swych synach. Był człowiekiem o tkliwym

sercu, do tego chłopcy byli jego dziedzicami, co dla mężczyzny ma wielkie znaczenie. Płakał po nich, najpierw głośno, a potem długo, przez lata całe, w milczeniu. Ulgę znajdował tylko w swych królewskich obowiązkach, obrzędach, jakie musiał spełniać, powtarzających się rytuałach; czerpał ją też od prastarych bóstw opiekuńczych swego domu. Ja również byłam mu pociechą, bo wraz z nim spełniałam religijne powinności, jak przystoi królewskiej córce; poza tym kochał mnie jako swoją pierworodną, swoje późne dziecko. Był bowiem znacznie starszy od mojej matki.

Kiedy się pobierali, ona miała osiemnaście lat, on czterdzieści. Ona była rutulską księżniczką z Ardei, on królem całego Lacjum. Ona była piękna, namiętna i młoda, on był mężczyzną w kwiecie wieku, przystojnym i silnym, zwycięskim wojownikiem, który nade wszystko kochał jednak pokój. Ich małżeństwo mogło być szczęśliwe.

Ojciec nie winił matki za śmierć synów. Ani mnie za to, że nie umarłam. Pogodził się ze stratą i na mnie przelał tę resztkę nadziei, jaka mu została. Żył dalej, z roku na rok coraz bardziej poszarzały i posepny, ale zawsze uprzejmy, nie okazujący słabości – z jednym wyjątkiem: pozwalał matce robić, co jej się żywnie podoba; odwracał wzrok, gdy zaciągała się w uporze, milczał, kiedy wpadała w złość.

Jej bezgraniczna rozpacz w nikim nie znalazła oparcia. Została sama z mężem, który nie mógł jej słuchać ani z nią rozmawiać, z sześciolatnią zapłakaną córką i z gromadą nieszczęśliwych przerażonych kobiet, które bały się, jak to sługi i niewolnicy, że mogą zostać ukarane za śmierć dzieci.

Dla męża miała tylko wzdargę, dla mnie – wybuchy wściekłości.

Po śmierci moich braci prawie jej nie dotykałam ani ona mnie. Pamiętam każdy taki przypadek, każde dotknięcie jej ręki, zetknięcie z jej ciałem. Nigdy też więcej nie spała w łóżu, na którym nas z ojcem poczęli.

Kiedy po wielu dniach odosobnienia wyszła w końcu ze swego pokoju, nie wydawała się bardzo zmieniona, wciąż wyglądała wspaniale z czarnymi lśniącoymi włosami, mleczno-białą cerą i dumną postawą. W pałacu zawsze nosiła się nieco wyniośle, wśród pospólstwa jak dumna królowa, toteż dziwiło mnie zawsze, jak inna jest dla ludzi, którzy się tłoczyli na królewskim dworze, a jak inna dla nas, dzieci, kiedy przy nas przędła, śpiewała, śmiała się czy tańczyła z nami. Wobec domowników była dotąd władcza, surowa, porywcza, mimo to kochano ją, bo nie było w niej złośliwości. Teraz stała się zimna, tak wobec nich, jak i wobec nas, swojej rodziny, obojętna. Ilekroć jednak się odezwaliśmy, ja albo ojciec, dostrzegałam na jej twarzy, nim się odwróciła, grymas wstrętu, nieprzyjaznej, wzgardliwej niechęci.

Zawiesiła na szyi amulety obu zmarłych synów – woreczki z matkami glinianymi fallusami, jakie chłopcy noszą na szczęście i dla ochrony. Trzymała je w złotych kapsułkach, ukryte pod ubraniem. Nigdy ich nie zdejmowała.

Gniew, który hamowała wśród ludzi, w kobiecej części domu wybuchał, bywało, nieokiełznaną irytacją na mnie. Szczególnie drażniło ją pieszczotliwe zdrobnienie, jakim obdarzali mnie domownicy – „księżniczka” – toteż szybko przestali mnie tak nazywać. Ona sama rzadko się do mnie odzywała, ale kiedy ją czymś rozgniewałam, odwracała się do mnie porywczo i rzucała twardym, suchym głosem, że jestem głupia,

brzydka, bezmyślna trusia.

– Ty się mnie boisz, a ja nienawidzę tchórzy! – syczała.

Czasami moja obecność doprowadzała ją do istnej furii. Biła mnie wtedy albo mną potrząsała, a tak mocno, jakby chciała mi urwać głowę. Pewnego razu rzuciła się na mnie i poorala twarz paznokciami. Westina, moja piastunka, odciągnęła mnie od niej, potem odprowadziła Amatę do jej pokoju, uspokoiła i szybko wróciła, żeby obmyć długie, krwawiące rysy na moich policzkach. Byłam zbyt przerażona, żeby płakać, za to ona płakała nade mną, smarując maścią rany.

– Nie będzie blizn – zapewniała mnie przez łzy – jestem pewna, że nie będzie blizn.

Z sypialni matki doleciał nas jej spokojny głos:

– To i dobrze.

Westina poradziła, abym mówiła wszystkim, że podrapał mnie kot. Kiedy ojciec zobaczył moją twarz i chciał się dowiedzieć, co się stało, powiedziałam:

– Podrapała mnie stara kotka Sylwii. Trzymałam ją za mocno, podbiegł pies, przestraszyła się i mnie podrapała. To nie jej wina.

Sama prawie uwierzyłam w tę bajeczkę, jak to dziecko, i wzbogaciłam ją, obudowałam dodatkami, takimi na przykład, że byłam sama, kiedy to się stało, w dębowym gaju kawałeczek za zagrodą Tyrrusa, i potem całą drogę do domu biegłam. Powtórzyłam, że Sylwia nic tu nie zawiniła, podobnie jak kotka. Nie chciałam, żeby któraś z nich miała przeze mnie kłopoty. Królowie są skorzy do wymierzania kar, to ich uspokaja. Sylwia była moją najbliższą przyjaciółką i towarzyszką zabaw, a stara kotka karmiła właśnie kocięta, które by bez niej umarły.

Więc za moją podrapaną twarz tylko ja jedna ponoszę winę. Westina miała rację: jej maść z żywokostu świetnie się spisała; długie czerwone rysy zarosły strupkami i wygoiły się, nie pozostawiając żadnych śladów poza jedną maleńką srebrną szramką na kości policzkowej pod lewym okiem. Nadejdzie dzień, kiedy Eneasz przesunie opuszką palca po tej bliźnie i zapyta, skąd ją mam. „Kotka mnie podrapała” – powiem. – „Trzymałam ją na rękach, a ona przestraszyła się psa”.

Wiem, że przyjdą kiedyś nieporównanie potężniejsi królowie panujący nad znacznie większymi królestwami niż mój ojciec, Latynus z Lacjum. Nieco dalej w górę rzeki, na Siedmiu Wzgórzach, stały niegdyś dwie małe warowne osady otoczone wałami ziemnymi, Janikulum i Saturnia. Przybyli tam w późniejszych czasach greccy osadnicy pobudowali się na wzgórzu i nazwali swój warowny gród Pallanteum. Mój poeta próbował mi opisać to miejsce takim, jakim je znał za swojego życia – a raczej, powinnam powiedzieć, jakim je pozna, kiedy się pojawi na tym świecie, bo choć był umierający, gdyśmy się spotkali, i choć od dawna już nie żyje, jeszcze się nie był narodził. Jest wśród tych, którzy czekają na drugim brzegu rzeki zapomnienia. Jeszcze mnie nie zapomniał, ale zapomni, kiedy się wreszcie narodzi i przepłynie przez te mleczne wody. Kiedy mnie sobie po raz pierwszy wyobrazi, jeszcze nie będzie wiedział, że już mnie spotkał w lasach Albunei. Tak czy inaczej powiedział mi, że kiedyś na tym miejscu, gdzie teraz przycupnęła ta wioska, na wszystkich Siedmiu Wzgórzach, w dolinach między nimi i na obu brzegach rzeki, rozłoży się na wiele mil szeroko bajecznie piękne miasto. Będą tam stały na wzgórzach świątynie z marmuru ozdobione złotem, będą szerokie bramy, niezliczone posągi wyrzeźbione z marmuru i brązu. Przez forum tego miasta przejdzie w ciągu jednego dnia więcej osób – opowiadał – niż ich przez całe życie spotkam we wszystkich miastach i posiołkach, na wszystkich drogach, na wszystkich uroczystościach i polach bitewnych Lacjum. Król tego miasta zostanie potężnym władcą nad światem, tak potężnym, że pogardzi tytułem królewskim i będzie znany jako ten, którego wyniosła do władzy boska moc, August. Wszyscy mieszkańcy wszystkich krain będą mu

bili pokłony i składali hołd. Uwierzyłam w to, bo wiedziałam, że mój poeta zawsze mówi prawdę, chociaż nie zawsze całą. Ponieważ nawet poeta nie jest zdolny wypowiedzieć całej prawdy.

Ale w czasach mojego dzieciństwa jego wielkie miasto było tylko obskurną miejsciną zbudowaną na stoku kamienistego wzgórza, porożonego jaskiniami i porośniętego gęstymi zaroślami. Pojechałam tam kiedyś z ojcem – dzień żeglugi w górę rzeki przy zachodnim wietrze. Tamtejszy król, Ewander, nasz sojusznik, był wygnańcem z Grecji, a i tutaj zdążył narobić sobie wrogów – zabił swojego gościa. Co prawda miał po temu dostateczny powód, lecz podobny czyn nie może liczyć na poślizliwość wśród naszego ludu. Był wdzięczny za względy, jakie okazywał mu ojciec, i robił wszystko, żeby nas zabawić, żył jednak znacznie biedniej niż nasi wieśniacy, szczególnie ci zamożniejsi. Pallanteum było posępnym obozem otoczonym palisadą, przycupniętym pod drzewami, wciśniętym między szeroką żółtą rzekę i porośnięte lasami wzgórza. Oczywiście podjęto nas ucztą złożoną z wołowiny i dziczyzny, ale bardzo dziwnie podaną: musieliśmy leżeć na ławach przy małych stołach, zamiast siedzieć wspólnie przy jednym długim stole. Czyli wedle greckiego obyczaju. I nie postawiono na stole świętej soli ani mąki. Przez cały czas posiłku nie dawało mi to spokoju.

Pallas, syna Ewandra, miły chłopiec mniej więcej w moim wieku, więc jedenasto-, dwunastoletni, opowiedział mi historię o ogromnym człowieku potworze, który mieszkał tam na górze w jednej z jaskiń, skąd wychodził o zmroku, żeby kraść bydło i rozdzierać na strzępy ludzi. Rzadko go widywano, widywano natomiast wielkie ślady jego stóp. Pewien grecki bohater imieniem Erkles przybył i zabił tego człowieka

potwora.

– Jak on się nazywał? – zapytałam, na co Pallas odpowiedział: Kalkus.

Wiedziałam, że to imię bóstwa ognia, naczelnika pewnej osady plemiennej, który z pomocą córek podtrzymywał płomień Westy dla okolicznych mieszkańców, podobnie jak mój ojciec. Jednakże nie zakwestionowałam greckiej opowieści o człowieku potworze, gdyż była o wiele ciekawsza od mojej.

Pallas zapytał, czy chciałabym obejrzeć grootę wilczycy. Zgodziłam się. Zaprowadził mnie do groty zwanej Luperkal, niezbyt daleko od wsi. Powiedział, że jest poświęcona Panu, a ja domyśliłam się, że Grecy nazywają tak zapewne naszego dziadka Faunusa. Tak czy owak osadnicy zostawili wilczycę i jej szczenięta w spokoju, nader roztropnie, toteż i ona nie wyrządzała im krzywdy. Nigdy nawet nie skaleczyła żadnego z ich psów, chociaż wilki psów nienawidzą. Miała pod dostatkiem jeleni na okolicznych wzgórzach. Czasami na wiosnę porywała jagnię. Osadnicy uznali to za ofiarę i kiedy zdarzało się, że nie porwała żadnego jagnięcia, sami składali jej w ofierze psa. Jej wilczy partner przepadł gdzieś ostatniej zimy.

Przypuszczam, że nie było najmądrzejszą rzeczą, by dwoje dzieci zbliżało się do wylotu wilczej jaskini, kiedy wilczyca ma małe i jest w leżu. Zapach bił stamtąd nieznośny. W środku było ciemno i zupełnie cicho. Ale gdy oczy przywykły do mroku, dostrzegłam w głębi piecary dwa nieruchome ogniki – ślepia wilczycy. Stała tam na straży, między nami a swoim potomstwem.

Pallas i ja wycofaliśmy się powoli, nie spuszczać oczu z owych

dwóch światełek. Nie miałam ochoty stamtąd odchodzić, choć wiedziałam, że powinnam. Odwróciłam się w końcu i ruszyłam za Pallasem, oglądając się jednak co chwila, by sprawdzić, czy wilczyca nie wyszła z jaskini i nie stoi przed nią czarna, na sztywnych łapach, kochająca matka, groźna królowa.

Podczas tamtej wizyty na Siedmiu Wzgórzach przekonałam się, że mój ojciec jest znacznie potężniejszym królem niż Ewander. Później dowiedziałam się, że był najpotężniejszym ze wszystkich królów Zachodu swojej doby, choćby nawet nie wytrzymał porównania z wielkim Augustem, którego panowanie miało nadejść. Na długo przed moimi narodzinami zbudował potężne królestwo, prowadząc liczne wojny i zżarcie broniąc jego granic. Kiedy byłam dzieckiem, nie słyszało się już o wojnach. Nastął długi okres pokoju. Oczywiście zdarzały się zwady i bijatyki między wieśniakami lub nad granicami. My, mieszkańcy zachodnich krain, jesteśmy ludźmi twardymi, zrodzonymi z dębu, jak to mówią. Ludźmi zapalczego ducha, zawsze gotowymi do orężnych rozpraw. Od czasu do czasu mój ojciec był zmuszony interweniować, żeby uśmierzyć jakąś chłopską zwadę, która się zanadto rozpalila lub zbyt szeroko rozlała. Nie utrzymywał jednak stałej armii. Mars mieszka na ornych ziemiach i wokół ich granic. W razie zagrożenia Latynus zwoływał wieśniaków, a oni przybywali ze starymi brązowymi mieczami ojców i skórzanymi tarczami, gotowi walczyć i ginąć za swojego króla. Zażegnawszy zagrożenie, wracali na swoje pola, a on do Regii, swojego pałacu.

Ten wysoki dom był głównym sanktuarium miasta, miejscem świętym, jako że naszymi bóstwami domowymi i przodkami były lary i pe-

naty całego miasta i ludu. Latynowie przybywali tam z całego Lacjum, żeby oddawać im cześć, składać ofiary, ale też ucztować z królem. Królewski pałac był widoczny już z daleka, bo stał wśród wysokich drzew, górując nad dachami, wieżami i murami.

Mury miało Laurentum wysokie i mocne, ponieważ w odróżnieniu od większości miast nie zbudowano go na szczycie wzgórza, ale na żyznych równinach opadających ku lagunom i morzu. Za opasującymi je wałem ziemnym i rowem leżały pola uprawne i pastwiska, a przed bramą miejską rozciągało się rozległe klepisko, na którym ćwiczyli atleci i układano konie. Przeszedłszy przez bramę, zostawiało się za sobą słońce i wiatr i wkraczało w głęboki wonny cień. Bo też nasze miasto było jednym wielkim gajem, prawie lasem. Każdy dom stał w otoczeniu dębów, drzew figowych, wiązów, smukłych topól i rozłożystych wawrzynów. Wąskie uliczki tonęły w cieniu gęstego listowia. Najszersza z nich prowadziła do królewskiego pałacu, budowli okazałej i majestatycznej, wspartej na stu kolumnach z cedrowego drewna.

Na półce obiegającej ściany przedsionka stały rzędem posąжки wyrzeźbione przed laty przez pewnego etruskiego wygnańca w darze dla króla – podwójny rząd posepnych figur ze splekanego i szerniałego cedru. Były to figurki naszych bóstw i przodków – dwulicego Janusa, Saturna, Italosa, Sabinusa, mojego dziadka Pikusa, który został zmieniony w dzięcioła z czerwonym łebkiem, ale jego posązek przedstawiał siedzącego mężczyznę w todze o sztywnych rzeźbionych fałdach, dzierżącego świętą różdżkę i tarczę. Te nieduże posąжки były jedynymi wizerunkami ludzkich postaci znajdującymi się w Laurentum, jeśli nie liczyć małych glinianych penatów. Bardzo się ich bałam. Zwykle prze-

biegałam z zamkniętymi oczami obok tych wydłużonych ciemnych twarzy z nieruchomo patrzącymi oczami i pod przybitymi do ścian wojennymi trofeami – toporami, grzebieniastymi hełmami, oszczepami, belkami z bram zdobytych miast, dziobami okrętów.

Z przedsionka posągów wchodziło się do atrium, niskiego, przestronnego ciemnego pomieszczenia z otworem pośrodku dachu. Na lewo od atrium znajdowały się sale, gdzie odbywały się narady i wydawano uczyty (rzadko tam zaglądałam jako dziecko), a za nimi mieszkanie króla. Na wprost był ołtarz Westy, w głębi zaś sklepione ceglane spiżarnie. Skręciwszy w prawo i przemknąwszy obok kuchni, wbiegałam na wielki dziedziniec centralny. Na jego środku pod drzewem laurowym, które posadził mój ojciec w latach swej młodości, szmerała fontanna, w wielkich donicach rosły drzewka cytrynowe, słodki wawrzynek, krzewy tymianku, oregano i estragonu, a siedzące tam kobiety plotkowały, zajęte różnymi pracami: przędły, tkwały, płukały dzbany i misy w basenie fontanny. Przebiegałam pośród nich, potem pod kolumnadą z cedrowych filarów, i wbiegałam do kobiecej części domu, jego części najbliższej memu sercu, rodzinnej.

Jeśli miałam dość szczęścia i nie nawinęłam się pod rękę matce, nie miałam się czego lękać. Kiedy podrosłam i stałam się kobietą, rozmawiała ze mną nieraz nawet dość przyjaźnie. No i miałam tam wokół ten cały babiniec, który mnie kochał i który mi schlebiał. Była stara Westina, która mnie psuła, były dziewczęta, z którymi miałyśmy nasze panięńskie sekrety, wreszcie były dzieci, z którymi mogłam się bawić. Zresztą to był dom mojego ojca, i w swojej męskiej, i w kobiecej części, a ja byłam jego ukochaną córką.

Jednakże moją najlepszą przyjaciółką nie była żadna z mieszkanek Regii, lecz najmłodsza córka pasterza Tyrrusa, który opiekował się – prócz własnych – królewskimi stadami. Jego rodzinne gospodarstwo, rozległy teren z licznymi budynkami gospodarczymi i wiejskim domem z drewna i kamienia, rozsiadłym między nimi jak stary siwy gąsior pośród stada gęsi, było oddalone od miasta o ćwierć mili. Za warzywnymi ogródkami, pośród niskich, porośniętych dębami pagórków, rozciągały się pastwiska i zagrody dla bydła. W obejściu wrzała nieustannie praca, ludzie krzatali się wszędzie od świtu do nocy, jeśli jednak nie płonął ogień w kuźni i nie dzwoniło kowadło, jeśli nie spędzono do zagrody stada bydła przeznaczonego do kastracji lub na targ, panowała tam niczym nie zmałona cisza. Dolatujące z dalekich dolin muczenie krów, smętne gruchanie gołębi i ich leśnych kuzynów, zamieszkujących dębowe gaje nieopodal domu, tworzyły jakby stałą dźwiękową wyściółkę, w którą wsiąkały bez śladu wszystkie inne dźwięki. Kochałam tę zagrodę.

Czasem Sylwia dotrzymywała mi towarzystwa w Regii, lecz obie wolałyśmy bawić się w jej domu. Latem biegałam tam niemal co dnia. Tita, starsza ode mnie o kilka lat niewolnica, towarzyszyła mi jako przyzwoitka, czego wymagał mój status dziewiczej księżniczki, ale ledwie docierałyśmy na miejsce, dołączała do swych przyjaciółek spośród miejscowej służby, a Sylwia i ja wybiegałyśmy z domu, żeby wlaźć na drzewa, budować tamy na strumieniu, bawić się z kociętami, łowić kijanki i włóczyć się po lasach i wzgórzach, wolne niczym ptaki.

Matka wolałaby zatrzymać mnie w domu.

– Ależ towarzystwo sobie wybrałaś! – kpiła ze mnie. – Pasterze by-

dła!

Natomiast ojciec, choć pochodził z królewskiego rodu, był wolny od takiej próżności.

– Niech się dziewczyna wybiega i nabierze sił. To dobrzy ludzie – łagodził.

Istotnie, Tyrus był człowiekiem godnym zaufania, świetnym dozorcą stad. Władał swoimi pastwiskami równie pewną ręką jak mój ojciec swoim królestwem. Porywczy z natury, dla swoich ludzi był panem sprawiedliwym. Przestrzegał wszystkich świąt, nie skąpił służbie dni wolnych, dopełniał obrzędów i składał ofiary lokalnym bóstwom. Przed laty walczył u boku mojego ojca w różnych dawnych wojnach i nadal zachował wiele z wojownika. Jednakże wobec córki był miękki jak wosk. Matka Sylwii umarła wkrótce po jej urodzeniu; siostr nie miała. Rosła, będąc oczkiem w głowie swego ojca, braci i całej domowej służby. Pod wieloma względami wiodła życie bardziej królewskie niż ja. Nie musiała po kilka godzin dziennie prząść, tkać, nie miała żadnych religijnych obowiązków. Stare kucharki zajmowały się za nią kuchnią, starzy słudzy prowadzili za nią dom, służące czyściły za nią palenisko i rozpały ogień. Mogła od rana do wieczora biegać beztrasko po wzgórzach i bawić się z ulubionymi zwierzętami.

A miała do zwierząt podejście wspaniałe. Wieczorami na jej wezwanie, wykrzykiwane drżącym głosem „wiip-wiip”, zlatywały się sówki i przysiadły na jej wyciągniętym ramieniu. Oswoiła lisie szczenię, a gdy dorosło i stało się piękną lisicą, wypuściła wychowankę na wolność. Ta jednak co roku przyprawiała do niej swoje z kolei szczenięta, aby się nimi pochwalić, i pozwalała, by baraszkowały o

zmierzchu na trawie pod dębami. Sylwia wychowała też jelenka, którego jej bracia przynieśli z polowania, kiedy psy rozszarpały jego matkę. Miała wtedy dziesięć, może jedenaście lat. Pielęgnowała go troskliwie, aż wyrósł na dorodnego jelenia, oswojonego niczym pies. Co rano wybiegał truchtem do lasu, ale zawsze wracał na kolację. Wolno mu było wchodzić do sali jadalnej i jeść z drewnianych mis wraz z domownikami. Sylwia uwielbiała swego Cervulusa. Myła go i czesała, jesienią ozdabiała jego wspaniałe poroże winoroślą, wiosną wieńcami z kwiatów. Samce sarny potrafią być niebezpieczne, lecz ten był potulny i łagodny, może nawet zanadto ufny, jeśli zważyć na jego bezpieczeństwo. Dlatego Sylwia wiązała mu na szyi szeroką wstążkę z białego lnu jako znak rozpoznawczy, a wszyscy myśliwi, którzy polowali w okolicznych lasach, znali jej Cervulusa. Nawet psy go znały i rzadko płoszyły, bo je za to łajano i bito.

Cudowny to był widok, gdy szło się na wzgórze i nagle z lasu wychodził spokojnie wielki jelen, kołysząc wieńcem rogów. Bywało, że klękał i składał pyszczek w dłonie Sylwii, albo zagiąwszy pod siebie swe długie cienkie nogi, siedział między nami, a ona głaskała go po szyi. Pachniał ślicznie, mocnym zapachem dzikiego zwierzęcia. Miał wielkie, ciemne łagodne oczy, podobne do oczu swojej opiekunki. Właśnie tak wyglądało życie w erze Saturna, opowiadał mi mój poeta, w złotej dobie na początku czasów, kiedy na ziemi nie panował jeszcze strach. Sylwia wydawała się córą tamtej epoki. Byłam najszczęśliwsza, kiedy mogłam siedzieć obok niej na osłonecznionych stokach wzgórz albo biegać po leśnych ścieżkach, które tak dobrze znała. W całej krainie naszego dzieciństwa nie było nikogo, kto by nam źle życzył. Nasi

poganie, lud oraczy, pozdrawiali nas z pól lub od progów swych okrągłych chat. Zrzedliwy bartnik odkładał dla nas plastry miodu, mleczarki zawsze miały dla nas łyk śmietanki, pasterze krów popisywali się przed nami, ujeżdżając młode byczki lub przeskakując nad rogami jakiejś leciwej krowy, a stary pasterz Ino nauczył nas, jak zrobić fujarkę ze żdźbła owsa.

Czasami latem, kiedy długi dzień chylił się ku zachodowi i trzeba było wracać do domu, kładłyśmy się obie na brzuchu na stoku wzgórza i wciskałyśmy twarze w szorstką suchą trawę, porastającą twardą, grudkowatą ziemię, aby wdychać ten zapach, tak cudownie bogaty, słodki od siania i gorzki od próchnicy, zapach nagrzanego letnim ciepłem ziemi, naszej matki. Byłyśmy wtedy obie córami Saturna. Potem zrywałyśmy się i zbiegałyśmy ze wzgórza w stronę domu – ścigamy się do brodu dla bydła!

Kiedy miałam piętnaście lat, do mojego ojca przybył z monarszą wizytą król Turnus. Był moim kuzynem, siostrzeńcem matki. Jego ojciec, Daunus, zachorował i oddał mu przed rokiem koronę Rutulów. W Ardei, mieście najbliższym Lacjum od południa, odbyła się z tej okazji, jak doszły nas słuchy, wspaniała ceremonia koronacyjna. Rutulowie byli naszymi zaufanymi sojusznikami, odkąd Latynus poślubił Amate, siostrę Daunusa. Niestety, młody Turnus lubił chadzać własnymi drogami. Kiedy Etruskowie z Caere wygnali tyrana Mezencjusza, szaleńca, dla którego nie było nic świętego, Turnus udzielił mu gościny. Teraz cała Etruria patrzyła na niego gniewnie za udzielenie schronienia tyranowi, który nadużył swej władzy tak bezwzględnie, że opuściły go nawet jego lary i penaty. Ta niechęć do Turnusa bardzo nas niepokoiła,

gdyż Caere leżało dosłownie za rzeką. Miasta etruskie były potężne, więc zależało nam na utrzymywaniu z nimi w miarę możliwości przyjaznych stosunków.

Ojciec omawiał ze mną te wszystkie kwestie w drodze do świętego gaju Albunei. Gaj Albunei rośnie na wzgórzach, dzień drogi piechotą na wschód od Laurentum. Chodziliśmy już we dwoje kilka razy; usługiwałam mu jako pomocnica w obrzędach, gdy przywoływał i czcił naszych przodków oraz bóstwa lasów i źródeł. W czasie tych wypraw rozmawiał ze mną poważnie jak z prawdziwą następczynią tronu. Choć nie mogłam odziedziczyć po nim korony, nie widział powodu, bym miała pozostać ignorantką w kwestiach polityki i władzy. Ostatecznie miałam prawie na pewno zostać królową, jak nie tego, to innego królestwa. Może nawet Rutulii.

Sam ojciec nie wspominał o takiej możliwości, dowiadywałam się o tym od moich niewiast. Westina nie miała co do tego żadnej wątpliwości. Ledwie usłyszała o wizycie króla Turnusa, zawołała:

– Przyjeżdża po naszą Lawinie! Przyjeżdża w konkury!

Matka rzuciła jej karcące spojrzenie znad kosza z surową wełną, którą wszystkie rozczesywałyśmy. Rozczesywanie wełny, rozdzielanie zapętleń i węzłków wypranego runa, aby można ją było gęplować, zawsze należało do moich ulubionych zajęć gospodarskich. Jest czynnością łatwą i całkowicie bezmyślną; czyste runo tak pięknie pachnie, dłonie miękną pod wpływem zawartego w wełnie oleju, a te wszystkie kłaczki i kołtunki zmieniają się w olbrzymią, białą, mszystą chmurę, która wzdyma się ponad koszem.

– Dość o tym – burknęła moja matka. – Tylko wieśniacy rozważają

małżeństwo dziewczyny w jej wieku.

– Mówią, że to najpiękniejszy mężczyzna w całej Italii – powiedziała Tita.

– I potrafi dosiąść ogiera, na którego nikt inny nie wsiądzie – zachwyciła się Pikula.

– I ma złociste włosy – dodała Westina.

– Ma siostrę Juturnę, tak piękną jak on, która podobno przysięgła, że nigdy nie opuści rzeki – dorzuciła Sabella.

– Gęgacie jak gęsi! – skarciła je matka.

– Ty, królowo, musiałaś go znać jako dziecko? – przypomniała sobie Sykana, jej ulubienica.

– Istotnie, znałam. Był ślicznym chłopczykiem – potwierdziła Amata. – Bardzo niesfornym. – Uśmiechnęła się lekko, jak zwykle, gdy mówiła o rodzinnym domu.

Pchana ciekawością wbiegłam na wieżę obserwacyjną w południowo-wschodniej części domu, nad mieszkaniem króla. Z jej szczytu rozciągał się widok na sąsiednie uliczki i okolice za miejskimi murami. Mogłam się więc przyglądać, jak goście przejeżdżają przez bramę, a potem jadą w górę Via Regia, wszyscy na koniach, pobłyskując napierśnikami, z rozkołysanymi kitami na hełmach. Przyjrawszy się wjazdowi, wbiegłam prędko na dół i wbiegłam do atrium, aby wciśnięta między domowników przyglądać się powitaniu Turnusa przez mojego ojca. Mogłam się dobrze przypatrzeć gościowi, jego orszakowi i wysokiemu pióropuszu na hełmie. Turnus był bardzo przystojny, dobrze zbudowany, umięśniony, z rudawo-kasztanowymi kędziorami i niebieskimi oczami, odznaczał się przy tym istic królewską postawą. Jeśli

można się w nim było dopatrzeć jakiejś skazy, to jedynie tej, że był trochę za niski przy tak potężnej posturze, toteż chód miał nieco kaczkowy. Za to głos głęboki i dźwięczny.

Tego wieczoru zostałam wezwana na kolację do wielkiej sali. Obie z matką włożyłyśmy najpiękniejsze powłóczyste szaty, w czym pomagały nam rozgadane służki, wciąż biadające nad naszymi fryzurami. Sykana podała mojej matce wspaniałą złoty naszyjnik z granatów, ślubny prezent od Latynusa, ale Amata odłożyła go na bok i włożyła naszyjnik ze srebra i ametystów, do tego także kolczyki – pożegnalny podarunek od wuja Daunusa. Wprost tryskała radością. Pomyślałam, że będę mogła jak zwykle skryć się bezpiecznie w cieniu jej olśniewającej piękności.

Tymczasem przy kolacji Turnus rozmawiał wprawdzie przyjaźnie z moimi rodzicami, lecz spoglądał głównie na mnie. Nie wpatrywał się jak sroka w gnat, jedynie zerkał od czasu do czasu, nieznacznie się przy tym uśmiechając. Nigdy w życiu nie byłam tak zmieszana. Zaczęłam się lękać tych jego intensywnie niebieskich oczu. Ilekroć podnosiłam wzrok, napotykałam jego spojrzenie.

Do tej pory nigdy nie myślałam o miłości i małżeństwie. O czym tu zresztą myśleć? Kiedy przyjdzie czas, żebym wyszła za mąż, po prostu wyjdę za mąż i wtedy się dowiem, czym jest miłość, macierzyństwo i to wszystko. Na razie ta tematyka w ogóle mnie nie obchodziła. Sylwia i ja co prawda droczyłyśmy się ze sobą, żartowałyśmy z młodego przystojnego wieśniaka, który robił do niej maślane oczy, albo z jej najstarszego brata, Alma, który wyraźnie szukał mojego towarzystwa, ale to były tylko słowa, czcze przekomarzanki. Żaden mężczyzna w naszym

domu, w mieście, w całym kraju nie miał prawa patrzeć na mnie tak, jak patrzył Turnus. Moim królestwem było dziewictwo, czułam się w nim jak w domu, niezagrożona i swobodna. Jeszcze żaden mężczyzna nie sprawił, bym się rumieniła.

A teraz czułam, że płonę, od czubka głowy aż po piersi, po kolana. Kuliłam się ze wstydu. Nie mogłam jeść. Oblężnicza armia stała u murów.

Turnus byłby z pewnością rozpoznał mnie w portrecie, jaki narysował mój poeta, przedstawiając mnie jako zawstydzoną, cichutką panienkę. Matka, siedząca obok mnie, zdawała sobie doskonale sprawę z mojego zmieszania, lecz i znajdowała w tym swoją przyjemność. Pozwalała, bym cierpiała męki, gdy sama prowadziła z Turnusem rozmowę o Ardei. Nie wiem, czy w pewnej chwili dała znak mojemu ojcu czy on sam podjął tę decyzję, ale ledwo uprzątnięto drewniane tace z mięsivem, ledwo chłopiec wrzucił w ogień garść soli ofiarnej, a służby zaczęli roznosić dzbany, serwety, napełniać winem puchary, poprosił matkę, by mnie odesłała.

– Tracimy kwiat tej uczty – zaprotestował uprzejmie nasz królewski gość.

– Dziecko musi odpocząć – wyjaśnił ojciec.

Turnus wznosił kielich – złoty dwuuszny puchar z Cures z wyrzeźbioną sceną myśliwską, trofeum z którejś wojny Latynusa, najcenniejsze naczynie w naszej zastawie stołowej – i rzekł:

– Śnij słodkie sny, o najpiękniejsza z córek ojca Tybru!

Siedziałam jak sparaliżowana.

– No idź – mruknęła do mnie matka z jakimś dziwnym uśmie-

kiem.

Wymknęłam się czym prędzej, bosą, bo nie chciałam tracić czasu na wzuwanie sandałów. W sieni usłyszałam jeszcze donośny głos Turnusa, lecz tego, co mówił, już nie dosłyszałam. W uszach mi dzwoniło. Na dziedzińcu nocne powietrze spadło niczym zimna woda na moją twarz i całe ciało, aż się zatchnęłam i zadrżałam.

W kobiecej części domu obstały mnie zaraz – czego się mogłam spodziewać – wszystkie kobiety i młódki, zachwycając się jedna przez drugą, jaki to wspaniały jest ten młody król, jaki rosły, wysoki, jak to powiesił w sieni swój hełm, olbrzymi miecz i złożony brązowy napierśnik, a wielki jak na olbrzyma. Zasypały mnie pytaniami: Co mówił przy stole? Czy mi się podobał? Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Westina pomogła mi się uwolnić od natrętek, oświadczając, że wyglądam na rozpaloną i powinnam się położyć. Kiedy udało mi się w końcu i ją przekonać, by zostawiła mnie samą, mogłam się wreszcie położyć na łóżku w mej cichej komnacie i przyjrzeć uważniej Turnusowi.

Pytanie, czy mi się podobał, było oczywiście pozbawione sensu. Kiedy młoda dziewczyna spotyka mężczyznę – do tego przystojnego, króla, być może swego pierwszego zalotnika – nie czuje do niego ani sympatii, ani antypatii. Serce jej wali, krew szybciej krąży w żyłach i widzi tylko jego – jego jednego. Tak zapewne królik wpatruje się w jastrzębia, tak ziemia spogląda w niebo. Patrzyłam na Turnusa tak, jak mieszkańcy miasta patrzają na wspaniałego cudzoziemca, wodza armii, który stanął u jego bram. To, że tam stał, że przybył, było zarazem cudowne i przerażające. Już nic nie będzie takie jak przedtem, nigdy. Lecz

na razie nie było potrzeby, żeby zdejmować wrzeczadze.

Turnus zabawił u nas kilka dni, ale ja spotkałam go już tylko raz. Poprosił, żebym wzięła udział w pożegnalnej kolacji, więc posłano mnie na tę ostatnią ucztę, choć nie po to, bym jadła przy stole z całym towarzystwem, a jedynie uczestniczyła w późniejszych występach, posłuchała śpiewaków, obejrzała tancerki. Siedziałam obok matki i Turnusa, jak poprzednio, co chwila na mnie zerkał, nawet nie usiłując się z tym kryć. Uśmiechał się do nas obu. Uśmiech miał śliczny, promienny. Kiedy przypatrywał się tancerkom, przyjrzałam mu się uważniej. Zauważyłam, że ma nieduże uszy, kształtną głowę, mocny kwadratowy podbródek. Na stare lata obwisną mu policzki. Miał zgrabny, gładki kark. Spostrzegłam, że uważnie i z szacunkiem słucha mojego ojca, który siedział obok swego młodego gościa i przez kontrast wyglądał jeszcze starzej.

Moja matka była niewiele ponad dziesięć lat starsza od siostrzeńca, ale tamtego wieczoru wyglądała na jego rówieśnicę. Oczy jej błyszczały i dużo się śmiała. Ona i Turnus doskonale się rozumieli. Prowadzili przez stół lekką rozmowę, do której włączali się i inni goście, a mój ojciec przysłuchiwał się im dobrotliwie.

Nazajutrz po odjeździe Turnusa ojciec posłał po mnie i matkę. Pośpieszyliśmy doń zaraz, przechodząc pod portykiem przed salą jadalną. Ojciec odprawił wszystkich dworzan, którzy na ogół mu towarzyszyli. Był deszczowy wiosenny dzień, toteż miał na sobie togę, bo na stare lata gorzej znosił chłody. Przez jakiś czas przechadzał się z nami w milczeniu, po czym rzekł:

– Lawinio, król Rutulów powiadomił mnie wczoraj wieczorem, że

chciałby prosić o twoją rękę. Nie pozwoliłem mu dokończyć, mówiąc, że jesteś za młoda, bym mógł prowadzić pertraktacje na temat twojego narzeczeństwa czy zamążpójścia. Był oczywiście przeciwnego zdania, ale uciałem tę rozmowę. Moja córka jest zbyt młoda, tak mu oświadczyłem.

Popatrzył na nas obie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Spojrzałam na matkę.

– I w żaden sposób go nie zachęciłeś? – zapytała spokojnie i uprzejmie, bo tak się zawsze zwracała do męża.

– Nie powiedziałem, że zawsze będzie nazbyt młoda – odpowiedział grzecznie i rzeczowo, jak miał w zwyczaju.

– Król Turnus może wiele ofiarować swojej narzeczonej – zauważyła matka.

– To prawda. Włada piękną krainą. Jest też podobno mężny w boju. Jego ojciec z pewnością był.

– Jestem pewna, że jest mężnym wojownikiem.

– I bogatym.

Ojciec przechadzał się pod portykiem. Deszcz bębnił na dziedzińcu, poruszał listkami drzewek cytrynowych. Pod wielkim wawrzynem było nadal sucho. Siedziała pod nim służka, przędąc i śpiewając jedną z tych tasiemcowych pieśni prąśniczek.

– Więc ty byłabyś przychylna temu młodzianowi, gdyby wrócił tu w przyszłym roku? – zapytał ojciec matkę.

– Zapewne – odrzekła chłodno. – Jeśli zechce czekać.

– A ty, Lawinio?

– Nie wiem – wybąkałam.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Nie trap się tym, dziecko – powiedział, te – Masz jeszcze dużo czasu na takie decyzje.

– A jak byś sobie radził ze służbą Weście, ojcze? – zapytałam. Nie potrafiłam się zdobyć na to, by dokończyć: „Gdybym wyszła za mąż”.

– Cóż, musimy o tym pomyśleć. Wybierz jakąś dziewczynę, którą mogłabyś nauczyć swoich obowiązków.

– Maruna – powiedziałam bez zastanowienia.

– Czy nie jest z plemienia Etrusków?

– Jej matka istotnie pochodzi z tego szczepu. Pojmałeś ją w niewole podczas jednej z wypraw za rzekę. Maruna już tutaj wyrosła. Jest pobożna. – Przez co rozumiałam: odpowiedzialna, obowiązkowa, pełna bojaźni bożej. Znaczenia tego słowa i jego wartości on sam mnie nauczył.

– Dobrze. Więc zabieraj ją ze sobą, kiedy będziesz pilnowała ognia, czyściła palenisko, przygotowywała sól ofiarną. Niechaj się uczy.

Moja matka nie miała w tych sprawach nic do powiedzenia: to córka podtrzymuje ogień na palenisku w domu króla. Wiedziała, że oboje rodzice boleją, że kiedy zasiadamy do wieczerzy, nie ich syn, jak być powinno, wrzuca okruchy z posiłku w ogień na ołtarzu i wypowiada błogosławieństwo, ale młody sługa. A teraz jeszcze i piecza nad ogniem i spizarnią miała przejść do zastępczyni, niewolnicy.

Ojciec westchnął. Jego duża ciepła, ciężka dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu. Matka postąpiła krok do przodu, obojętna. Kiedy zawróciliśmy w stronę kolumnady, powiedziała:

– Byłoby lepiej, gdybyśmy nie kazali zbyt długo czekać temu mło-

dzieńcowi.

– Rok, dwa, może trzy – odrzekł Latynus.

– Och! – skrzywiła się z niechęcią, wyraźnie zniecierpliwiona. – Trzy lata! To młody mężczyzna, Latynusie! W jego żyłach płynie gorąca krew.

– Tym bardziej powinniśmy poczekać, aż nasza kruszynka dorosnie.

Amata się nie sprzeciwiała – nigdy się nie sprzeciwiała wzruszyła tylko ramionami.

Wyczułam w tym geście jej niewiarę w to, że kiedykolwiek dorosnę na tyle, by stać się godną takiego mężczyzny jak Turnus. Rzeczywiście, przyznawałam w duchu, to niemożliwe. Żeby stać się godną takiego mężczyzny, musiałabym być równie bujnej budowy, równie majestatyczna jak moja matka, równie szalona jak ona i równie piękna. Tymczasem byłam niska, chuda, spalona słońcem i nieokrzesana. Byłam dziewczynką, jeszcze nie kobietą. Nakryłam dłonią dłoń ojca spoczywającą na moim ramieniu i mocno przycisnęłam. Mogłam spoglądać w niebieskie oczy Turnusa, gdy leżałam nocą w ciemnościach swej sypialni, ale nie chciałam nawet myśleć o odejściu z domu.

Zbroja Eneasza wisi w przedsiönku naszego domu tu, w Lawinium, podobnie jak w Laurentum podczas wizyt Turnusa wisiały jego napierśnik i miecz. Kilka razy widziałam Eneasza odzianego w zbroję – hełm, kirys, nagolenice – z długim mieczem w rękę i okrągłą tarczą, wszystko z brązu. Okryty zbroją lśni jak morze, gdy połyskuje oślepiająco w blasku słońca. Kiedy się patrzy na tę wiszącą zbroję, człowiek uświadamia sobie, jak potężnym, mocarnym mężczyzną jest ten, kto ją nosi. W rzeczywistości Eneasze nie wydaje się ani tak ogromny, ani nawet tak umięśniony, a to dlatego, że jest bardzo proporcjonalnie zbudowany, porusza się lekko, prawie z gracją, wyczulony na bliskość ludzi i przedmiotów, nie popisuje się swoją posturą, jak z lubością czynią rośli i silni mężczyźni. A jednak z największym tylko trudem potrafię dźwignąć to, co on z taką łatwością nosi. Dostał tę zbroję w prezencie od swej matki, która zamówiła ją dla niego, jak sam mi powiedział, u pewnego boga ognia. Zaiste ten, kto tę zbroję wykuł i ozdobił, musiał być królem wśród kowali. W całym zachodnim świecie nie ma dzieła piękniejszego od tarczy Eneasza.

Powierzchnia z siedmiu warstw brązu jest pokryta wspaniałym fryzem z figur – wytłaczanych, kunsztownie rzeźbionych, uwypuklonych inkrustacjami ze złota i srebra. W kilku miejscach można dostrzec niewielkie wgłębienia i rysy, pamiątki z pól bitewnych. Często stoję przed tą tarczą i chłonę ją wzrokiem. Najbardziej lubię wizerunek umieszczony wysoko po lewej stronie, przedstawiający wilczycę, która obraca szczupły kark, by polizać przyssane do jej sutków szczenięta – tyle że to nie wilczki, ale ludzkie dzieci, dwaj mali chłopcy uwieszeni łączywie u cycków. Lubię też gęś, całą w srebrze, która stoi z wyciągniętą

szyją i syczy na trwogę. W tle jacyś mężczyźni wdrapują się na urwisko; mają kędzierzawe złociste włosy, szaty z pasmami srebra i każdy ma na szyi pleciony naszyjnik ze złota.

Opodal wilczycy wyrzeźbiono postaci, jakie znam z naszych obrzędów – kilku Skaczących Kapłanów z tarczami w kształcie ósemki i dwóch chłopców, którzy biegają nago i grożą szorstkimi rzemieniami roześmianym dziewczętom. Wśród obrazów na tarczy jest tylko parę niewiast, większość postaci to mężczyźni, głównie szczeni w walce, rozerwani na strzępy, z wyprutymi wnętrznościami. W ogóle dominują na tarczy sceny bitewne, zwalone mosty, zrujnowane mury, obrazy rzezi.

Eneasz nie występuje w żadnej z tych scen, nie znajduję też na tarczy takiej, która mogłaby mieć związek z oblężeniem i upadkiem jego miasta ani z jego wędrówką przed przybyciem do Lacjum, o czym opowiadał mi poeta.

– Czy to są sceny z Troi? – pytam, na co Eneasz kręci przecząco głową.

– Nie wiem, co przedstawiają – przyznaje. – Może wydarzenia, które mają dopiero nadejść?

– Jeśli tak, to znaczy, że nadejść mają głównie wojny – zauważam, szukając wśród scen na tarczy takich, które nie przedstawiają bitew, szukając twarzy nie przysłoniętych hełmem. Ale widzę tylko sceny zbiorowego gwałtu, wleczone przez żołnierzy krzyczące i opierające się kobiety, widzę wielkie, wspaniałe okręty z rzędami wiosł, lecz wszystkie one toczą walkę, niektóre już płoną. Nad wodą szaleje ogień i kłębi się dym.

– Myślę, że to może być królestwo, jakie odziedziczą synowie naszych synów – mówi Eneasza bardzo cicho.

Zawsze mówi ledwo słyszalnie, rzadko wyczerpująco. Nigdy nie podnosi głosu, nie bywa ponury, jest jednak milczący, a słowami włada równie oszczędnie jak mieczem – tylko wtedy, gdy naprawdę musi.

W takim razie to wielkie miasto ze scen na tarczy to Rzym mojego poety. Przyjrzałam się uważniej bitwie morskiej przedstawionej na jej środku. Na rufie jednego z okrętów stoi mężczyzna o ładnej zimnej twarzy. Z jego głowy tryskają ogniste płomienie, a nad nimi wisi kometta. Domyślałam się, że to jest ten wielki człowiek, pierwszy August.

Przyglądając się dłużej, dostrzegam na tarczy detale, których wcześniej nie zauważyłam. To samo lub jakieś inne wielkie miasto leży w ruinie, doszczętnie zburzone, spalone. Widzę następne zburzone miasto, potem jeszcze jedno. Wybuchają ogromne pożary, jeden po drugim, spowijając cały kraj w płomienie. Po ziemi jadą potworne maszyny wojenne, nurkują w morzu, wzbijają się w powietrze. Sama ziemia płonie pod oleistymi czarnymi chmurami. Teraz, przed końcem świata, wystaje nad morzem olbrzymia kolistą chmura zagłady. Wiem, że to koniec świata.

– Patrz, patrz! – wołam przerażona do Eneasza.

Lecz on nie może zobaczyć tego, co ja widzę na jego tarczy. Nie dożyje chwili, w której mógłby to zobaczyć. Ma umrzeć zaledwie po trzech latach, czyniąc mnie wdową. Tylko ja, która spotkałam poetę w lasach Albunei, mogę się wpatrywać w brązową tarczę mego męża i oglądać na niej te wszystkie wojny, które już nie on będzie toczył.

Za sprawą poety Eneasza żył i przeżył piękne życie, musi więc

umrzeć. Ja, której poeta poskąpił żywota, mogę żyć dalej. Dostatecznie długo, by ujrzeć tę chmurę nad morzem, zobaczyć koniec świata.

Wybucham płaczem i przytulam się do Eneasza, a on obejmuje mnie mocno i prosi, żebym nie płakała, nie płacz, nie płacz, skarbie.

Królewski dom, w którym mieszkam, ma kształt kwadratu podzielonego na ćwiartki. Na przecięciu dwóch osi symetrii, w środku kwadratu, rośnie wielki wawrzyn. Wychodzę z domu o pierwszym brzasku i przez bramę miasta idę na pola na wschodzie.

Gmina, w której mieszkamy – my poganie – to mozaika wieśniaczych pól przedzielonych ścieżkami. Na przecięciu ścieżek, w miejscu gdzie spotykają się cztery takie poletka, stoi świątynia Larów, bóstw rozdroży. Każda z tych świątynek ma cztery pary drzwi, a przed każdymi drzwiami stoi ołtarz właściciela danego pola. Stoję na jednej z takich ścieżek między polami i patrzę w niebo.

Dom nieba nie ma granic, lecz ja w myślach wytyczam w nim granice, dzielę go na czworo. Stoję pośrodku, na skrzyżowaniu, twarzą na południe, zwrócona w stronę Ardei. Wpatruję się w puste niebo, które się z wolna rozwidnia. Z lewej strony, od wzgórz na wschodzie, nadlatują wrony, kracząc, zataczają nade mną koło i wracają ku wschodzącemu słońcu, które ogniem koronuje wzgórze. To dobry znak, choć czerwony wschód słońca zapowiada burzowy dzień.

Miałam dwanaście lat, gdy po raz pierwszy poszłam z ojcem do Albunei, świętego lasu na wzgórzach, gdzie siarkowe źródła, tryskające w położonej wysoko pieczarze, napęlniają cieniste powietrze wiecznym niepokojącym szmerem i mgłą, która cuchnie zgniłymi jajkami. W tym miejscu mogą cię usłyszeć duchy zmarłych, jeśli je zawołasz. W dawnych czasach ludzie przybywali do Albunei ze wszystkich zachodnich krain, żeby poradzić się duchów i bóstw tego miejsca. Obecnie wielu pielgrzymuje do wyroczni w pobliżu Tiburu, noszącej tę samą nazwę. Ta pierwsza Albunea była świętym miejscem mojej rodziny. Ilekroć ojciec miał jakieś zmartwienie, do niej się udawał. Tym razem powiedział do mnie:

– Włóż świętą szatę, moja córko, i chodź ze mną, pomożesz mi przy ofierze.

W domu często służyłam mu za pomocnicę, bo to należy do obowiązków dziecka, ale nigdy wcześniej nie byłam u świętego źródła. Włożyłam togę z purpurowym szlakiem i wydobryłam ze spiżarni za ołtarzem Westy woreczek z solą ofiarną. Szliśmy kilka mil ścieżką pośród znajomych pól i pastwisk, a potem wkroczyliśmy w krainę, gdzie nigdy wcześniej nie bywałam, dzikszą, gdyż lesiste wzgórza jakby się do nas z obu stron zbliżyły. Dotarliśmy do małego strumyka i ruszyliśmy dalej jego północnym brzegiem w skalistym parowie. Strumień nazywał się Prati, objaśnił mnie ojciec, a potem opowiedział mi o innych rzekach Lacjum: Lentulusie przepływającym przez Laurentum, Harenosusie, Prati, Stagnulusie i świętym Numikusie, który bierze początek wysoko na górze Albanus i wyznacza naszą granicę z Rutulią.

Nieśliśmy ze sobą ofiarę: dwutygodniowe jagniątko. Był kwiecień.

Wszystkie zarośla stały w pąkach i kwiatach, a dęby na zboczach wzgórz były okryte podłużnymi delikatnymi, wstydliwymi kwiatami zielonej i brązowej barwy. Lasy przed nami pięły się coraz wyżej, aż na górę Albanus, a po naszej lewej stronie wisiał na urwisku bór podobny do mrocznej chmury. Zanurzyliśmy się w cień pod drzewami. W lesie było ciemno i słychać było śpiew niewielu tylko ptaków, choć pola i zarośla wprost rozbrzmiewały ich gwarem. Wyczułam smrodliwy zapach niedalekiego źródła, mimo że nie dostrzegałam jeszcze oparów, doleciał mnie też cichy szmer wody, jakby syczące mruczenie przykrytego kociołka bliskiego zagotowania.

Święte miejsce znajdowało się na trawiastej polanie w głębi lasu, oznaczone ułożonym w nierówny kwadrat kamiennym murkiem sięgającym mi ledwie do kolan. Wewnątrz tego ogrodzenia wyczuwało się wyraźnie obecność numenu, boskiej siły. Na ziemi w obrębie murku wałały się gnijące strzępy owczego runa. Stał tam ponadto mały ołtarzyk z kamieni. Ojciec wyciął trochę darni poza murem i położył ją na ołtarzu. Narzuciliśmy sobie na głowy fałdy tóg. Ojciec rozpałił ognisko. Ja uplotłam wieniec z młodych liści wawrzynu i uwieńczyłam nim jagnię. Oprószyłam je solą ofiarną z woreczka i przytrzymałam, kiedy on się modlił. Jagnię było potulne i spokojne, szlachetna ofiara. Było też pobożne na swój sposób. Trzymałam je, kiedy ojciec poderżnął mu gardło długim nożem z brązu, ofiarowując to życie nieznanym nam mocom, z bojaźnią i wdzięcznością, dla zaskarwienia sobie ich przychylności. Spaliliśmy wątpia na ołtarzu, by wzmocnić siłę duchów. Potem upiekliśmy i sami zjedliśmy żeberka, z apetytem, gdyż pościliśmy od południa poprzedniego dnia. Resztę mięsa zawinęłam, aby je zabrać

do domu. Ojciec oskrobał skórę i położył ją na ziemi wełną do góry, zebrał też pozostałości innych owczych skór i także je rozesał. Były mokre od deszczu sprzed kilku dni, cuchnęły wilgocią i pleśnią, ale lepszych posłań nie ma w Albunei.

Zrobiło się już całkiem ciemno; czerwień słońca zgasła w przeświatach między drzewami, niebo pośród gałęzi pociemniało. Położyliśmy się na owczych skórkach, podłożywszy pod głowy skórę z naszego jagnięcia.

Nie wiem, czy moc Albunei spłynęła tej nocy na mojego ojca, wiem, że spłynęła na mnie, nie jako głos przemawiający spomiędzy drzew, jak to się innym zdarza, ale jako sen, a w każdym razie coś, co wzięłam za sen. W tym śnie stałam nad rzeką, którą – skądś o tym wiedziałam – był Numikus. Stałam u brodu sama, przyglądając się kryształowej wodzie omywającej kamienie. W pewnej chwili zobaczyłam w wartkim nurcie barwne pasmo, strużkę czerwieni. Ta strużka poszerzała się, rozczapierzała w czerwoną chmurę, która spłynęła z nurtem strumienia i zniknęła. Wielki żal, ciężki jak kamień, przytłoczył mi serce, aż ugięły się pode mną kolana i płacząc, uklękłam między głazami. Po jakimś czasie wstałam i ruszyłam w górę strumienia, aż doszłam do miasta otoczonego szańcem ze świeżej ziemi. Wciąż płakałam, zakrywając głowę i twarz fałdą togi, a jednak wiedziałam, że to miasto jest moim domem. A potem w moim śnie znalazłam się na powrót w lesie Albunei, nadal sama. Tym razem minęłam ołtarz na polance i poszłam w stronę źródła. Nie mogłam podejść zbyt blisko jaskini. Sykliwy bulgot bardzo się nasilił, a ziemia przed wejściem okazała się rozmiękłym trzęsawiskiem połyskującym lusterkami płytkich stawków. Nad ziemią

i wodą unosiła się cuchnąca niebieskawa mgiełka. Spomiędzy drzew doleciało mnie stukanie dzięcioła, stukanie w pień i krzyk podobny do chrapliwego śmiechu – a potem nadleciał on sam. Cofnęłam się z przestachem i narzuciłam skraj togi na głowę, lecz ptak mnie nie dziobnął. Mignął mi tylko przed oczami jego szkarłatny łepek. Dwukrotnie, bardzo lekko, przeciągnął skrzydłami po moich oczach, co przypominało muśnięcie zwiewnego welonu. Zaśmiał się i odfrunął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że pod drzewami już nie zalega ciemność. Cały las przenikało nie rzucające cienia światło, a woda i mgła ze źródła promieniowały blaskiem.

Wtedy się obudziłam i przez chwilę widziałam to samo nieruchome światło na polanie, blednące wraz z brzaskiem dnia.

Nim ruszyliśmy w drogę powrotną, podeszłam do źródła i stwierdziłam, że wygląda zupełnie tak samo jak tamto ze snu, z tą różnicą że było skryte w cieniu.

Mój ojciec milczał, gdy ruszaliśmy w drogę ku domowi. Kiedy wyszliśmy z lasu, spojrzałam na południe, usiłując wyobrazić sobie bieg Numikusa, bród i to miejsce, gdzie ujrzałam miasto w moim śnie.

– Tej nocy, kiedy spałam – odezwał się – ukazał mi się dziadek Pikus, ojciec. – I opowiedziałam mu, co widziałam we śnie.

Wysłuchał mnie, lecz nie od razu się odezwał.

– To potężny przodek – rzekł w końcu.

– Dziobał mnie w głowę, kiedy leżałam w gorączce. Aż krzyczałam z bólu.

– Lecz tym razem tylko musnął twoje oczy skrzydłem.

Potaknęłam. Latynus szedł jakiś czas w milczeniu, po czym rzekł:

- Albunea jest częścią jego daru. Jego i innych leśnych bóstw. Udo-
stępnił ci ją, córko. Otworzył ci oczy, abyś mogła widzieć.
- Czy będę mogła jeszcze kiedyś tam z tobą wrócić?
- Myślę, że możesz tam wracać, kiedy tylko zechcesz.

Gdyby moja córka żyła, nie mogłaby biegać swobodnie i bezpiecznie wśród pól poza obrębem naszej dziedziny ani po wzgórzach pośród pasących się stad, jak niegdyś ja biegałam. Kiedy mój synek był mały, lasy były dla niego bezpieczniejsze niż pola naszej gminy. Ale gdy ja byłam dziewczynką, przebiegałam nagie zbocza wzgórz i dzikie ścieżki do Albunei w towarzystwie jednej tylko Maruny. Czasem towarzyszyła mi przez całą drogę, częściej jednak zatrzymywała się na noc u rodziny pewnego drwała na skraju lasu, a ja szłam dalej sama na świętą polanę. Mogłyśmy tak postępować, ponieważ pokój, jaki mój ojciec zaprowadził w Lacjum, był prawdziwy i trwały. Pod skrzydłami tego pokoju małe dzieci mogły doglądać bydła, pasterze mogli swobodnie wypuszczać stada na letnie pastwiska bez obawy kradzieży, kobiety i dziewczęta mogły chodzić w pojedynkę, bez ochrony i niekoniecznie w grupach, po wszystkich ścieżkach Lacjum bez obawy o swe bezpieczeństwo. Nawet na prawdziwie dzikich bezdrożach lękaliśmy się jedynie wilka albo dzika, lecz nigdy człowieka. Ponieważ taki porządek panował w czasach mojego dzieciństwa, sądziłam, że świat zawsze taki był i taki już pozostanie. Jeszcze nie wiedziałam, że pokój nuży ludzi, że zaczyna ich drażnić, kiedy się przedłuża, że nawet gdy modlą się o pokój, działają przeciwko niemu, dopóki nie zdobędą pewności, że zostanie zburzony, ustępując miejsca bitwom, rzezi, gwałtom i zniszczeniu. Spośród wszystkich boskich mocy najbardziej obawiam się tej, której nie mogę czcić, tej, która narusza granice, która zmusza barana, by wskakiwał na owcę, byka, by wskakiwał na jałowkę, tej, która wkłada miecz w rękę rolnika – Mavorsa, Mamersa, Marsa.

Miałam pieczę nad spiżarniami w pałacu króla: to był mój obowią-

zek jako królewskiej córki, camilli, nowicjuszki. Troszczyłam się również o nasze pokarmy. Mieszałam potrawy z solą ofiarną, która je uświęcała. Codziennie troskliwie dbałam o ogień Westy płonący na palenisku, o to jasne centrum naszego życia. Nie wolno mi było jednak wchodzić do małego pomieszczenia obok drzwi domu, w którym mieszkał Mars – nie ten Mars od pługa, Mars od byka i ogiera, nie Mars od wilka, lecz ten drugi: Mars od miecza, od włóczni, od tarcz, którego saliowie, skoczkanie, wynosili w dzień nowego roku, potrząsali nim, budzili go, podbechtywali, tańczyli z nim i skakali po ulicach i polach. Ten Mars zostanie na powrót zamknięty dopiero wtedy, gdy złożą w ofierze Październikowego Konia i sama zima zaprowadzi pokój z pomocą chłodów, deszczów i mroku.

Mars nie ma w mieście swojego ołtarza. Czczą go mężczyźni. Ja, będąc niewiastą, dziewicą, nie miałam z nim nic do czynienia i wcale tego nie pragnęłam. Dom, którym się opiekowałam, był przed nim zamknięty, podobnie jak jego dom przede mną.

Tyle że ja przestrzegałam tego zakazu. On nie.

Jako dziewczyna znałam go zbyt mało, aby się go lękać. Lubiłam patrzeć, jak skoczkanie biegną w pierwszy dzień marca, żeby otworzyć ów zamknięty pokój, a potem wychodzą stamtąd w czerwonych togach i spiczastych czapkach, roztańczeni, wypędzają stary rok, a wprowadzają nowy, wymachują długimi włóczniami i tarczami o kształcie sowy, dokazują i krzyczą na ulicach Laurentum: „*Mavors! Mavors! Macte esto!*”. My niewiasty uciekamy przed nimi i chowamy się, jak się tego od nas oczekuje, i wśród śmiechów posłusznie udajemy przestach. „Ach, jak ci mężczyźni lubią zadzierać swoje włócznie” – wołamy.

„Ach, jak lubią nimi dźgać i trykać. Ach, jakże by chcieli, żeby ich włócznie miały zawsze dziesięć stóp długości!”

Ponieważ cieszyliśmy się pokojem, mogłam się śmiać ze skoczków; ponieważ cieszyliśmy się pokojem, mogłam sama nocować w Albunei; ponieważ cieszyliśmy się pokojem, mój ojciec nie widział zagrożenia w tym, żeby starający się o moją rękę coraz liczniej zjeżdżali do Regii. Niech rywalizują między sobą, niech Awentynus marszczy się na Turnusa, niech Turnus lekce sobie waży młodego Alma. Nie ośmielali się kłócić pod królewskim dachem ani burzyć królewskiego pokoju poza granicami swoich państw. Jeden z nich okaże się w końcu najgodniejszy i zabierze mnie do swego domu, pozostali będą musieli pogodzić się z przegraną. Mojego ojca te wizyty niezmiernie cieszyły, mnie znacznie mniej. Rywale wnosili do naszego domu atmosferę młodszej męskości. Ojciec lubił ich podejmować i częstować winem, napełniając co chwila kielichy. Cieszyły go prezenty, jakimi go obdarowywali – dziczyzna, kiełbasy, białe koźlątko i czarne prosięta. Lubiał, kiedy podziwiali jego piękną ognistą królową, o tyle młodszą od niego, niewiele starszą od niektórych z nich. Był gościnnym, hojnym gospodarzem, a jego łagodność rozbroiła wkrótce zawadiacką hardość zalotników, stępiła ostrze ich rywalizacji. Skończyło się na tym, że do późnej nocy zaśmiewali się wspólnie przy wielkim stole. Sytuację, która mogła się stać zalążkiem zwady, ojciec wykorzystał do zacieśnienia przyjaźni między poddanymi mu królami i wodzami.

Gdyby był moim jedynym rodzicem, mogłabym i ja lekko traktować zalotników, jak on to czynił, a nawet znajdować w ich zalotach jakąś przyjemność. Niektórzy byli naprawdę poczciwymi ludźmi. Inni

lubili się pośmiać. Ufens z Nersae, góral z czarną kędzierzawą brodą niemal całkiem zarastającą jego rumiane oblicze, przybył do nas w wilczym tulupie i w czapie z wilczej skóry, a wodził wokół siebie takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej nie był w mieście. Smagał wszystkich gniewnym spojrzeniem – wszystkich z wyjątkiem mnie, ponieważ na mnie bał się choćby spojrzeć. Tita i inne niewiasty przekomarzały się ze mną do znudzenia, radząc, żebym właśnie za niego się wydała, za tego Wilczego Dzikusa, tego Zaroślaka, jak go nazywały. Śmiałam się razem z nimi. Wobec wszystkich zalotników zachowywałam się równie uprzejmie, chociaż z rezerwą i chłodem, nawet większym, niż się godziło dziewczycy przeznaczonej im na nagrodę. Zachowywałam się tak, bo matka wcale nie brała tej sprawy tak lekko, czyniąc moją pozycję razem fałszywą i trudną.

Pragnęła bowiem z całego serca, żebym poślubiła jej siostrzeńca, Turnusa z Ardei. To pragnienie stało się wręcz jej obsesją. Otwarcie faworyzowała Turnusa. Dla niego miała wyłącznie ciepłe uśmiechy, dla jego rywali była zaledwie uprzejma. Jej stronniczość bardzo utrudniała zaloty nawet tak bogatym kandydatom jak Awentynus, nie mówiąc już o młodzieńcach jak Almo, syn Tyrrusa, dozorca królewskich stad, starszy brat mojej Sylwii. Almo w ogóle mierzył wysoko, nad stan, występując o moją rękę, a przy takim rywalu jak król Turnus nie miał najmniejszych szans. Nie kierowała nim jednak tylko ambicja, naprawdę się we mnie zakochał. A ja, przywiązana do niego od dziecka prawie jak do brata, współczułam mu i starałam się być dla niego miła, jeszcze podsycając jego obłądną nadzieję. Za to moja matka nie miała dla niego litości. Niezmiernie wyczulona na punkcie naszego królewskiego statu-

su, traktowała Alma jak pastucha krów. Mój ojciec nie powinien był pozwalać na podobną niegrzeczność wobec gościa pod swoim dachem. On jednak nadal przymykał oko na wszystko, co Amata robiła i mówiła, a ona ukrywała przed nim swoje najgorsze wysoki. Prowadzili ze sobą grę, w której ona miała prawo być szalona, ale nie aż tak szalona, by on się o tym dowiedział.

Wcale nie pragnęłam, żeby się o mnie starano. Nie chciałam dostawać w prezencie dziczyzny, kielbas, koźląt, wieprzków ani czczych komplementów. Nie miałam ochoty wysiadywać na ucztach, milcząca skromna trusia, podczas gdy matka odwracała się ze wzgardliwym uśmiezkiem od uczciwych ludzi, a uwodziła własnego siostrzeńca, przystojnego niebieskookiego Turnusa.

On jej nie odtrącał, nie robił afrontów, bynajmniej. Uśmiechał się, coś mruzczał, spuszczał długie rzęsy i znów je z uśmiechem podnosił, zerkając obok, na prawdziwy przedmiot swego pożądanja. Czyż tego nie widziała? Jakże to możliwe, skoro ja to widziałam, głupia niewinna siedemnastolatka? Czy mógł tego nie widzieć mój siedzący u szczytu stołu ojciec?

Drances, stary przyjaciel i doradca Latynusa, był jedyną osobą z grona domowników, która otwarcie okazywała Turnusowi niechęć i nieufność. Drances był bardzo dumny z brzmienia własnego głosu i lubił perorować przy stole, tymczasem teraz musiał słuchać opowieści jakiegoś młokosa o jego przewagach i triumfach w potyczkach, zbrojnych wypadach, na polowaniach, słuchać i znosić niedbałe, niezamierzone, nonszalanckie niegrzeczności ze strony młodego człowieka. Spostrzegłam, że Drances przygląda się bardzo uważnie Turnusowi i nie

mniej uważnie mojej matce. Co pewien czas zerkał na mojego ojca, a nawet na mnie, jakby chciał powiedzieć: „No i widzicie?”. Ojciec pozostawał obojętny na te spojrzenia, ja ich też nie odwzajemniałam. Nie chciałam mieć z Drancesem nic wspólnego. Wyglądało na to, że dostrzega to samo co ja, ale nie miałam żadnej pewności, jak zamierza wykorzystać swoje spostrzeżenia.

Brałam udział w tych ucztach, ponieważ musiałam, opuszczałam je najwcześniej, jak mogłam. Jedyнным sposobem, bym mogła skutecznie unikać zalotników, było zniknięcie z pałacu. W tym czasie mogłam schronić się w domu Sylwii jedynie wtedy, gdy nie było tam biednego rozamorowanego Alma. Zupełną wolność od Regii mogłam uzyskać tylko w jeden sposób: wybierając się do Albunei.

Moją matkę drażniła świadomość, że – podobnie jak ojciec – mam dar rozmawiania z duchami. Nadawało mi to niepokojącego znaczenia, co bardzo ją złościło. W skrytości ducha zgadzałam się z nią: to znaczenie było fałszywe. Ale dar – prawdziwy. Do tego przydatny jako pretekst do opuszczania domu, gdzie musiałam patrzeć, ubrana na biało – potulne, uwieńczone wieńcem bydlątko ofiarne – na popisy raczących się winem zalotników, na Turnusa schlebającego mojej matce i żartującego z ojcem, na mnie zaś spoglądającego w taki sposób, w jaki rzeźnik patrzy na krowę. Amata usiłowała mi zakazywać wypraw do świętego miejsca, podając dziesiątki ważnych powodów, które z elokwencją wymieniała. Ojciec, jak zwykle, zdawał się jej nie słyszeć. Przeważnie właśnie dzięki temu stawiała na swoim, wszelako kiedy szło o mnie, głuchota mego ojca jakby słabła. Odczekawszy nieco, machał ręką i mówił: „Och, to dziecku nie zaszkodzi” albo: „Jestem pewien, że księżę

Awentynus poczeka do powrotu Lawinii”. Czyli zgadzał się na moją wyprawę. Więc wkładałam toę z purpurowym szlakiem, przykazywałam Marunie, żeby była gotowa o świcie, i ruszałam w drogę.

Turnus przyjechał z wizytą pod koniec kwietnia w roku, w którym skończyłam osiemnaście lat. Przywiózł cały wóz wspaniałych prezentów dla moich rodziców. Jednym z nich był okropny stworek, którego jak nam powiedział, żeglarze przywieźli z Afryki. Dłonie i stopy miał podobne do naszych, twarz jak beznose dziecko. Turnus wniósł go na ramieniu, ubranego w malutką toę. Stworek zaczął biegać po całej komnacie, gaworzył coś niezrozumiale, darł na strzępy, co tylko wpadło mu w ręce, rozrzucał sól ofiarną, wreszcie usiadł i zaczął się bawić własnym penisem, przyglądając się nam błyszczącymi czarnymi ślepiami. Wszyscy przy długim stole zaśmiewali się z jego figli. Turnus oświadczył, że stworek jest prezentem dla mnie. Usiłowałam być miła dla dziewczynego zwierzątka, jednakże nie byłam w stanie go polubić, a ono mnie chyba znienawidziło. Zaczęło mnie ciągnąć za włosy, obsikało mi suknię, po czym wskoczyło w ramiona mojej matki. A ona jąła je całować, coś mu nucić. Stworek ciągnął za łańcuszki na jej szyi, wyszarpnął złote kapsułki z amuletami moich braci i włożył sobie jeden z nich do ust. Na ten widok zrobiło mi się niedobrze. Poprosiłam, by mi pozwolono odejść, i ojciec jak zwykle się na to zgodził, choć matka wolałaby, żebym została.

Wybiegłam na dziedziniec i przystanęłam przy fontannie pod wielkim wawrzynem, żeby obmyć twarz i ręce i splukać pallę obsikaną przez strazydełko. Noc była chłodna, gwiazdy przeświecały przez liście wawrzynu. Jakże kochałam ten dom! Więc mam go kiedyś opuścić,

opuścić duchy tego drzewa, tego źródła, moich spiżarni, paleniska, mojego ludu, porzucić te kochane znajome bóstwa i pójść służyć bóstwom jakiegoś nieznanego mężczyzny w jakimś obcym miejscu? To będzie niewola. Nie dopuszczę do tego. Raczej poślubię Alma, ojciec uczyni go potem swoim następcą, zostanie po nim królem i będziemy mieszkali tutaj, tutaj, nigdzie indziej... Wiedziałam, że to niemożliwe. Ale przecież mój ojciec nie miał dziedzica, więc któregoś dnia będzie musiał go wyznaczyć... lub adoptować syna. Było mi chyba wszystko jedno, kto nim zostanie, byle nie Turnus. Jemu samemu nie można było wiele zarzucić, ale wiele można było zarzucić sposobowi, w jaki patrzyła nań moja matka.

Poszłam do kobiecej części domu. Powiedziałam Marunie, że jutro z rana idziemy do Albunei. Obruszyła się na to stara Westina:

– Księżę Rutulów dopiero co przybył, dziecko! To nie będzie grzeczne.

A matka Maruny, etruska niewolnica, która nauczyła mnie wróżyć z lotu ptaków, mądra i łagodna kobieta, dodała:

– Może lepiej odłożyć to o kilka dni.

– Moja matka potrafi znacznie lepiej ode mnie zabawiać króla Turnusa – prychnęłam, spojrzawszy na nie wzrokiem, który miał je zachęcić do szczerości.

– Ależ on tu przyjeżdża dla ciebie, dla ciebie! – zaterkotała Westina. – Wystarczy popatrzeć, jak na ciebie zerka! Każdy widzi, że zawładnęłaś jego sercem!

Matka Maruny nic nie powiedziała. A o świcie wyruszyliśmy z jej córką, jak postanowiłam.

Wzięłam ze sobą mój woreczek z solą i mąką. Na pastwiskach brykały urodzone tej wiosny jagnięta. Kręcąc ogonkami młynka, wpijały się w sutki matek, lecz ja nie potrzebowałam krwi ofiarnej, udając się do Albunei. Sypałam na ołtarz sproszkowane ciasto, spałam na starych skórach, zdartych z poprzednich ofiar, i nie czekałam na żadne widzenia ani wskazówki. Wybierając się tam, pragnęłam tylko jednego: zasnąć w tej ciszy, w otoczeniu tych duchów, w tej boskiej aurze. Noc tam spędzona oczyszczała mi duszę i uspokajała myśli, więc z lżejszym sercem wracałam potem do domu i do moich codziennych obowiązków.

Już sama droga do Albunei była ucieczką, czasem wolności. Maruna nie była tak beztraska i śmiała jak moja Sylwia, nie rozmawiałyśmy też przez cały dzień wędrówki, jak robiłyśmy z moją przyjaciółką. Maruna była raczej milcząca, ale uważna, dostrzegała wszystko, co się pojawiało na niebie i ziemi. Była cierpliwa, miłutka, świetna towarzyszką. Nie miała takiego jak Sylwia podejścia do zwierząt, za to znała się na ptakach. Matka uchyliła przed nią rąbka swej wiedzy tajemnej, rozmawiałyśmy więc o tym, co dałoby się wyczytać ze śpiewu i lotu ptaków nad polami i w dzikich ostępach, przez które wędrowałyśmy. Czasem rozmawiałyśmy też o tym, czego mogłybyśmy się dowiedzieć od umarłych. W Etrurii często się obcuje ze zmarłymi, toteż matka Maruny sporo się o nich dowiedziała, kiedy dorastała w wielkim mieście Caere. Kiedy ona lub jej córka mówiły o tych sprawach, czułam się jak ignorantka i ciemna wieśniaczka. Jednakże moim zdaniem umarłych należy po prostu pogrzebać, nie niepokoić, jak najmniej o nich myśleć. Nikt przecież nie chce, by jego nieszczęsny cień pełzał po podłodze, krył się pod stołem i rzucał na każdy okruch, który z niego spadnie,

ponieważ zgłodniał, umarli bowiem zawsze są głodni. Mój ojciec każdej wiosny, podobnie jak wszyscy gospodarze w Lacjum, obchodził o północy dom, trzymając w ustach dziewięć czarnych ziarenek bobu, a kiedy je wypluwał, wypowiadał słowa: „Odejdźcie precz, cienie!”. Wtedy duchy, które zagnieździły się w domu, zjadały bób i wracały do podziemi.

Natomiast zdaniem matki Maruny sprawa z umarłymi wcale nie była tak prosta.

Niewykluczone, że właśnie ona otworzyła mi oczy i dlatego gdy zasnąłam tej nocy w Albunei – tej kwietniowej nocy, w osiemnastej wiosnie mego życia, na ziemi, która w tamtym miejscu jest jak cienki dach nad podziemiem – poeta mógł przyjść do mnie, a ja mogłam go widzieć i z nim mówić.

Maruna skręciła na ścieżkę prowadzącą do chaty drwala, a ja – już sama – zagłębiłam się w las. Ilekroć się tam udawałam, zawsze przypominałam sobie ów sen, który mi się przyśnił w czasie pierwszej wizyty w Albunei: krew w rzece, miasto na wzgórzu, tę miękką jasność, jaka napełniła ciemność pod drzewami.

W świętym miejscu nie było nikogo, jedynie ślady po ostatnich ofiarach, świeże skóry owcze rozelane na ziemi, stos niespalonego drewna przy ołtarzu. Posypałam solą ofiarną ołtarz i cały opasany murkiem teren. Chętnie rozpałiłabym niewielkie ognisko, ale nie przyniosłam ze sobą zarzewia. Poszłam więc na górę do źródelka. Słońce jeszcze nie zaszło za horyzont. Usiadłam na wrośniętym w ziemię głazie i patrząc, jak światło czerwienieje nad osnutymi mgłą stawkami, słuchałam hałaśliwego pluskotu wody. Po jakimś czasie wspierałam się wyżej i

w ciszy, jaka tam wśród lasu panowała, usłyszałam śpiewające w okolicy ptaki. Niezwykłe wyraźnie zaczęłam odczuwać obecność drzew. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy mogłabym usłyszeć ten głos, który usłyszał mój ojciec, odzywający się w ciemności pośród drzew. Rosło tam tyle olbrzymich dębów, tak potężnych w swym osobnym bytowaniu, w swym głębokim, ukorzenionym milczeniu, że ogarnęła mnie nabożna zgroza, cześć prawdziwie religijna. Modląc się, wróciłam do świętego okręgu, pokornie błagając nadziemskie moce, by okazały pobłażanie dla mojej słabości. Byłam rada, że nie rozpałiłam ogniska. Ułożyłam w stertę owcze skóry, otuliłam się togą z purpurowym szlakiem, gdyż był już późny wieczór i zrobiło się zimno, i położyłam się spać.

W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że w obrębie kamiennego murku, po przeciwnej stronie ołtarza, stoi jakaś postać, jakby wysoki cień. Początkowo sądziłam, że to drzewo. Potem zobaczyłam, że to mężczyzna.

Usiadłam.

– Witaj – powiedziałam.

Nie bałam się, choć wciąż przepełniała mnie nabożna trwoga, wciąż trwałam w religijnym zachwycie.

– Co to za miejsce? – zapytał. Mówił bardzo cicho.

– Ołtarz Albunei.

– Albunea! – Zauważyłam, że się rozgląda, choć było całkiem ciemno i lekka mgiełka przesłaniała gwiazdy. Po chwili znowu się odezwał, z niedowierzaniem i rozbawieniem w głosie: – Coś podobnego!... A kim ty jesteś?

– Lawinia, córka Latynusa – przedstawiłam się.

– Lawinia – powtórzył moje imię. A potem naprawdę parsknął śmiechem, jak człowiek tak zdumiony, że aż go to rozśmiesza. Następnie zamilkł na chwilę, wreszcie zapytał: – Czy mogę tu zostać jakiś czas, Lawinio, córko króla Latynusa?

– Ten ołtarz jest dostępny dla wszystkich – powiedziałam, dodając: – Są tu skóry owcze, na których można usiąść lub się na nich przespacać. Starczy ich dla nas obojga.

– Niczego mi nie trzeba, królewska córo – powiedział. Zrobił kilka kroków w moją stronę, a minawszy ołtarz, usiadł na ziemi. – Jestem widmem – wyjaśnił. – To co widzisz, nie jest moją cielesną powłoką. Moje ciało spoczywa na pokładzie okrętu żeglującego z Grecji do Italii, choć nie przypuszczam, bym przybył do Brundyzjum, nawet jeśli dobię tam okręt. Jestem chory, umierający, w drodze... nad Acheron. Chyba że jestem zwodniczym snem. Ale przecież one, zwodnicze sny, przychodzą stamtąd, z podziemia, prawda? Wiszą jak nietoperze na wielkim drzewie u bram królestwa Cieni... Więc może jestem nietoperzem, który przyleciał tu z Hadesu? Snem, który zaplątał się w inny sen? W mój poemat?... I oto jestem w Albunei, świętym gaju, gdzie król Latynus usłyszał proroctwo swojego dziada Faunusa ostrzegające go, by nie wydawał córki za mieszkańca Lacjum... – Mówił to głosem cichym i melodyjnym, jak ktoś, kto rozmawia z duchami, kto się modli. I co chwila nabrzmiewał w jego głosie, a potem cichł ów śmieszek rozbawienia.

– Doprawdy? – zapytałam ostrym tonem. Nie mogłam się powstrzymać. Przecież ojciec chyba mi powiedział, gdyby otrzymał

podobną przestrogę? Dlaczego miałby to przede mną zataić?

Tymczasem ów mężczyzna czy cień zamilkł. Zastanawiał się nad czymś, po czym rzekł:

– Może jeszcze nie czas...

Zrozumiał, że mnie zaskoczył, przestraszył i chciał mnie uspokoić. Wtedy po raz pierwszy poznałam jego dobroć, uważną, wrażliwą na każde cierpienie.

– Przypuszczam, że to się jeszcze nie zdarzyło – podjął z wahaniem. – Faunus jeszcze nie rozmawiał z Latynusem. Może się zresztą nigdy nie zdarzyło... i nigdy nie zdarzy. Nie powinnaś się tym trapić. Zmyśliłem to. Uroilem sobie. Sen w łonie innego snu... snu, jakim było moje życie.

– Ja nie jestem snem i nie wydaje mi się, żebym teraz śniła – powiedziałam po chwili łagodnie, ponieważ wydał mi się smutny, bardzo smutny. Powiedział, że umiera. Był zagubiony, opuszczony, nieszczęśliwa dusza. Chciałam go pocieszyć, serdeczniej, niż się pociesza straconego we śnie.

Spojrzał na mnie tak, jak gdyby mógł mnie dojrzeć, jakby światło zapłonęło nagle nad polaną, ale nie światło słońca, księżycy, gwiazd ani ognia. Przyglądał mi się bacznie. Nie miałam nic przeciwko temu. Nie było w jego spojrzeniu zuchwałości. Nie mogłabym się go przestraszyć.

– Wierzę ci – powiedział. – Ile masz lat, Lawinio?

– W styczniu skończyłam osiemnaście.

– „Już dojrzała, w lat pełni, co ślubów nie bronia” – powiedział miękko, a ja domyśliłam się, że to wers z jakiejś pieśni, choć nie wiedziałam z jakiej.

– Właśnie – przytaknęłam raczej cierpko. Nie czułam przy nim żadnego onieśmielenia ani fałszu.

Moja odpowiedź musiała go zaskoczyć, bo znowu parsknęła śmiechem.

– Chyba nie obszedłem się z tobą sprawiedliwie, Lawinio – powiedział.

Wyglądało na to, że i on może całkiem otwarcie ze mną mówić, nie bacząc na to, czy go rozumiem. I tak było dobrze.

– Jak mam cię nazywać?

Wymienił swoje imię.

– Jesteś Etruskim? – zapytałam.

– Pochodzę z Mantui. Miałem etruskich dziadków. Jak się domyślałaś?

– Maru, Maro... to imię etruskie.

– Istotnie. Ach, jak to już dawno... jak dawno temu ty żyłaś, Lawinio! Całe wieki temu! Czy już istnieje Mantua? Słyszałaś taką nazwę?

– Nie.

Po chwili milczenia zapytał z jakąś niecierpliwą, palącą ciekawością:

– A Rzym? Tę nazwę chyba znasz?

– Nie. Ale Etruskowie nazywają tak... – urwałam. Nie należy wymawiać głośno sekretnego imienia rzeki. Czy o tym wiedział? Czemu jednak miałabym to chować w tajemnicy przed zjawą, przed człowiekiem umierającym? – Jedno ze świętych imion Tybru brzmi Rumon.

– Przyszła do Albunei sama jedna – powiedział, kierując swe słowa w ciemność – zna święte imiona rzek i nie chce iść za męż. I ja nic o

tym nie wiedziałem! Nawet na nią nie spojrzałem. Musiałem opiewać czyny mężczyzn... – urwał, by dodać po chwili: – Nie. To niemożliwe. – Znowu rozejrzał się wokół siebie, westchnął i powiedział: – Wciąż myślę o tym, że obudzę się na pokładzie tego przekłętego okrętu, nade mną będą krążyły mewy i świeciło słońce, które tak ospale wlecze się po nieboskłonie, a ten przekłety lekarz, Grek...

Uderzyło mnie, że się wzajemnie rozumiemy, mówimy tym samym językiem. Rozumiałam go, choć używał czasem słów, których nie znałam.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Z lewej strony zahukała sowa, z prawej odpowiedziała jej inna.

– Powiedz mi – odezwał się – czy oni już przybyli? Mam na myśli Trojan.

Tego słowa również nie znałam.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Poznasz ich, kiedy przybędą, córko Latynusa. Ja... – zawahał się – zastanawiam się, czy powinienem... ile ci mogę wyjawić... Czy chcesz poznać swą przyszłość, Lawinio?

– Nie – odpowiedziałam bez wahania. A potem i ja zastanowiłam się, czy chcę, czy powinnam ją poznać, w końcu powiedziałam: – Chciałabym wiedzieć, co godzi się czynić, ale nie chcę wiedzieć, co z mych uczynków wyniknie.

– Wystarczy wiedzieć, co wyniknąć powinno – rzekł, z powagą się ze mną zgadzając. Wyczuwałam jego uśmiech, choć dostrzec go nie mogłam.

Znowu zahukała sowa z lewej strony i znowu inna odpowiedziała

jej z prawej.

– Och – westchnął – powietrze jest takie chłodne, noc taka ciemna, pohukują sowy, a ta ziemia... to ziemia Italii. Jestem w domu!... Tu chciałbym umrzeć. Tutaj, nie na tym drewnianym pokładzie na morzu, w słonecznym skwarze. Tu, na tej ziemi. Tylko że to nie jest moje ciało, jedynie mój majak.

– Uważam, że tu jesteś – powiedziałam. – Nie ma tylko twojego ciała. Ale ja cię widzę. Rozmawiam z tobą. Powiedz mi, kim są Trojanie.

– Nie, nie. Nie powinienem. Dopiero przyplłyną. Czyń co słuszne, a to co nastąpi, będzie tym, co nastąpić miało. – Zaśmiał się. – Powiedz, czy jacyś zalotnicy starają się już o twoją rękę, dziewczyno „w lat pełni, co ślubów nie bronią”?

– Tak.

– Jacyż to?

– Sabińczyk Clausus, Almo syn Tyrrusa, Ufens z Naerii, Awentynus i Turnus z Rutulii.

– Żadnego nie wyróżniasz?

– Żadnego.

– Dlaczego?

– A powinnam? Dokąd mógłby mnie zabrać mężczyzna, bym miała się lepiej niż w ojcowskim domu? Na co mi jakiś pomniejszy król? Dlaczego miałabym służyć lantom, które nie są larami mojej rodziny, penatom ze spiżarni innej kobiety, ogniowi z obcego paleniska? Czy na to chowa się dziewczynę w domu, by stała się potem dozgonnym wygnańcem?

– Aach... – Tym razem było to tylko przeciągłe westchnienie, bez cienia uśmiechu. – Nie wiem, Lawinio. Nie wiem. Ale posłuchaj. Gdyby zjawił się mężczyzna i chciał cię poślubić... jeden z tysiąca... wojownik, bohater, wybitnej urody...

– Turnus ma to wszystko.

– Czy jest pobożny?

Pytanie mnie zaskoczyło, lecz nie namyślałam się nad odpowiedzią.

– Nie – odrzekłam.

– No widzisz. Gdyby zjawił się mężczyzna i bohaterski, i odpowiedzialny, sprawiedliwy, wierny, mężczyzna, który wiele postradał, wiele wycierpiał, popełnił wiele błędów, ale za wszystkie zapłacił... który widział, jak podstępem zdobyto i spalono jego miasto, który wyniósł z pożaru własnego ojca, wyprowadził syna, mężczyzna, który za życia zszedł do podziemi i stamtąd powrócił, mężczyzna, który w bólach przyswajał cnotę pobożności... Czy mogłabyś okazać przychyłość takiemu mężczyźnie?

– Z pewnością zwróciłabym na niego uwagę – odparłam.

– I mądrze byś postąpiła.

Zapadło między nami przyjazne milczenie.

– Czy widziałaś kiedyś – odezwałam się w końcu – jak młodzi mężczyźni podczas zawodów łuczniczych chwytają gołębicę, mocują sznurek do jej nóżki, wdrapują się na wysoki słup i przywiązują ją na szczycie, pozostawiając tylko taki kawałek sznurka, by mogła wkoło słupa polatywać? A potem strzelają do niej z łuków jak do tarczy.

– Widywałem to.

– Gdybym ja była łucznikiem, przestrzeliłabym strzałą ten sznurek.

– Widywałem i takie przypadki. Ale wtedy inny łucznik przeszywał strzałą odlatującą gołębicę.

– Więc pewnie to dobrze – powiedziałam po chwili – że kobiety nie uczą się łucznictwa.

– Camilla była wyborną łuczniczką. Słyszałaś o niej?

– Kobieta łucznikiem?

– I mężnym żołnierzem. Kobieta piękna i niezwyciężona. Pochodziła z plemienia Wolsków.

Pokręciłam przecząco głową. O Wolskach wiedziałam tyle, ile usłyszałam od mojego ojca: okrutni w boju, wiarołomni jako sprzymierzeńcy.

– No cóż – powiedziało widmo – przypuszczam, że sam ją wymyśliłem. Mimo to ją lubię.

– Wymyśliłeś?

– Jestem poetą, Lawinio. – Spodobało mi się brzmienie tego słowa, a on zorientował się od razu, że słyszę je po raz pierwszy. – Wieszczem – wyjaśnił. Znaczenie tego słowa znałam oczywiście. Oznaczało wróżbitę, przepowiadacza przyszłości. To by się zgadzało, skoro był częściowo Etruskim i zdawał się posiadać wiedzę o tym, co jeszcze się nie wydarzyło. Nie rozumiałam tylko, jaki to ma związek z kobietą wojownikiem, która mi wyglądała na postać zmyśloną.

– Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie, który ma tu przybyć?

Zastanawiał się chwilę. Rozmawialiśmy ze sobą tak otwarcie i z taką swobodą, z pełnym zaufaniem, jakbyśmy byli oboje cieniami, nieszkodliwymi i niezniszczalnymi, mającymi przed sobą całą wieczność,

zachowywał się jednak jak człowiek, który się namyśla, zanim odpowie.

– Owszem – odezwał się wreszcie. – To mogę. Co chciałabyś wiedzieć?

– Po co tu przyjeżdża?

– Tego chyba nie powinienem ci teraz wyjawiać. Czas pokaże. Sądzę jednak, że nie postąpię nierozważnie, jeśli powiem ci, skąd przybędzie.

– Słucham. – Ułożyłam się wygodniej na owczych skórkach.

– O, Lawinio – zaczął – jesteś warta więcej niż dziesięć Camilli! I ja tego nie dostrzegłem! Cóż, trudno. Czy słyszałaś kiedyś o Troi?

– Tak. To małe miasteczko na południe stąd, w pobliżu Ardei.

– Nie, nie o tę Troję mi chodzi. Ta, o której mówię, była wielkim miastem. Leżała daleko stąd, na wschodzie, za Morzem Śródziemnym, na wschód od wysp greckich, na wybrzeżu Azji. Mieszkał tam piękny książę imieniem Parys, z którym uciekła pewna grecka księżniczka. Jej mąż skrzyknął innych greckich królów i wyruszyli na Troję z wielką armią na tysiącu okrętach o zakrzywionych dziobach, by tę kobietę odzyskać. Miała na imię Helena.

– Dlaczego ją chcieli odzyskać?

– Wymagał tego honor jej męża.

– Sądziłabym, że jego honor wymagał, aby się z nią rozwiódł i znalazł sobie porządniejszą żonę.

– Lawinio, to byli Grecy, nie Rzy... nie Latynowie.

– Król Ewander też jest Grekiem. A wątpię, by ścigał niewierną małżonkę.

– Lawinio, królewska córo, czy pozwolisz mi opowiadać?

– Przepraszam. Już milczę.

– Wobec tego opowiem ci historię upadku Troi tak, jak Eneasz opowiedział ją królowej Kartaginy – rzekł i wyprostował się. Siedział na ciemnej ziemi, cień pośród cieni, i nagle zaczął śpiewać.

Tak nie brzmi śpiew pasterzy ani chór wioślarzy, tak nie brzmią hymny podczas świąt Ambarvalii i Compitalii ani pieśni, jakie od rana do zmierzchu śpiewają kobiety, kiedy przędą, tkają, trą, siekają, sprzątają czy zamiatają. Ten śpiew nie płynął na falach melodii. Same słowa tworzyły muzykę, w samych słowach odzywały się werble bębna, stukot krosna, tupot stóp, uderzenia wiosł, bicie serca, plusk fal załamujących się na plaży pod Troją gdzieś na końcu świata.

Nie mogę tu powtórzyć wszystkiego, o czym śpiewał – o wielkim Koniu, o węzłach, które wypelzły z morza, o upadku miasta. Powiem tylko o tym, co najbardziej przykuwało moją uwagę w czasie opowieści.

Kiedy Grecy wyszli z brzucha Konia i wpuścili do miasta swoje wojska, trojański wojownik Eneasz walczył z nimi na ulicach. Walczył w szale, z furją, niebacznym na niebezpieczeństwo, dopóki nie zobaczył, że płonie pałac królewski. Wtedy ochłonął. Pomyślał o własnym domu, o swych domownikach i natychmiast tam pobiegł. Jego dom stał na uboczu, z dala od centrum miasta, więc w okolicy było jeszcze dość spokojnie.

Biegąc przez ulice, widział gromady wrogów, pod osłoną ciemności wdzierających się do miasta, żeby spalić Troję.

Przybiegłszy na miejsce, usiłował skłonić domowników, aby czym

prędzej uciekali z miasta, ratowali siebie, ale jego ojciec, Anchizes, nie chciał o tym słyszeć. Starzec był kulawy, z trudem chodził. Oświadczył, że umrze we własnym domu. Inni domownicy nie chcieli go opuścić, uciekać bez niego. Eneasza był już bliski rezygnacji, już chciał na powrót rzucić się w wir walki i zginąć gdzieś w ulicznej zawierusze. Powstrzymała go Kreuza, jego żona, przekonując, że nie ma prawa tak postąpić. Oboje mają obowiązek ocalić swoich ludzi. Miała obok siebie ich małego synka, Askaniusza. Nagle ktoś zawołał: „Patrzcie!”, bo oto włosy chłopca stanęły w ogniu: złocisty płomień objął jego głowę. Ugasili płomień, a stary Anchizes, który potrafił odczytywać wróżby, oświadczył, że to pomyślny znak. Zaraz też ujrzeli spadającą gwiazdę – przemknęła po nieboskłonie i spadła do lasu na górze, która wznosiła się za miastem, na górze Ida. Anchizes poradził, by podążyli za tą gwiazdą. Eneasza nakazał więc domownikom, żeby każdy na własną rękę spróbował się przedrzeć za mury, powiedział im też, gdzie się spotkają: u pagórka, na którym stoi stary ołtarz Ceres, za bramą od strony góry Ida. Anchizes włożył bóstwa domowe do dużego glinianego garnka, Eneasza wziął ojca na plecy, chwycił za rączkę małego Askaniusza i ruszyli przez ciemne ulice, kierując się ku tej bramie. Kreuza szła za nimi.

W pewnej chwili Anchizes dostrzegł gromadę żołnierzy w bocznej uliczce i krzyknął do Eneasza, żeby uciekał. Posłuszny żądaniu ojca Eneasza skręcił niezwłocznie i biegł na oślep przez ciemne zaułki, aż całkiem zgubił drogę. Wnet jednak odzyskał orientację i z ojcem na plecach, trzymając za rączkę synka, pośpieszył w stronę umówionej bramy, wydostał się za mury i pobiegł do ołtarza, gdzie już czekali jego

domownicy. Dopiero wtedy spostrzegł, że nie ma z nim żony. Szła za nim, kiedy skręcił i rzucił się biegiem, nie oglądając się, czy za nim nadaża. Nikt jej nie widział.

Więc wrócił do miasta, już sam. Pobiegł prosto do domu, mając nadzieję, że tam się schroniła. Dom stał w płomieniach. Krzycząc: „Kreuzo! Kreuzo!”, biegł przez miasto wśród ruin, pożarów i greckich żołnierzy zajętych rabunkiem i rzezią. Nagle ją zobaczył. Stała naprzeciwko niego w ciemnej uliczce. Jakby wyższa od siebie samej. I tak powiedziała: „Nie pójdę z tobą, nie zostanę też niewolnicą u żadnego Greka. Trzyma mnie tu Matka Ziemia. A ciebie czeka długa, daleka podróż, będziesz wędrował, najdroższy mężu, póki nie przybędziesz do Zachodniej Krainy. Zostaniesz tam królem, mając u boku królową. Nie płacz po mnie i niech twoja miłość otacza i chroni naszego synka!”. Próbował do niej przemówić, wziąć ją w ramiona. Trzy razy podejmował taką próbę, ale było to jak obejmowanie wiatru, chwytywanie w ramiona snu. Kreuza rozplynęła się w cieniu.

Więc wrócił pod ołtarz na wzgórk, gdzie zebrała się już znaczna gromada ludzi, którzy uciekli z miasta, dołączając do jego domowników. Na razie Grecy nie ruszali za nimi w pościg. Eneasz ponownie wziął ojca na plecy i poprowadził całą gromadę na wzgórze, tam gdzie spadła gwiazda. Już prawie świtało.

Pamiętam, że kiedy głos poety umilkł, zaśpiewał pierwszy Ptak, cienko, z daleka, choć niebo jeszcze się nie rozjaśniało, toteż nie odpowiedział mu żaden głos. Tu również wstawał poranek. Spojrzałam w stronę, gdzie mroczniał cień poety, ale jego już tam nie było. Okryłam się owczymi skórami, zasnęłam i spałam, dopóki nie obudziły mnie

promienie słońca prześwitujące spomiędzy ciemnych pni drzew i gęstych zarośli.

Byłam głodna jak wilk. Najkrótszą drogą poszłam do chaty drwala, gdzie czekała na mnie Maruna. To była chata starego typu, jedna wysoka izba z pali podpierających kryty strzechą dach z gałęzi. Drwal już wyszedł do pracy w lesie. Poprosiłam jego żonę o coś do jedzenia. Miała tylko resztkę owsianki z orkisz i kubek zsiadłego koziego mleka, ale bała mi się zaproponować taki poczęstunek, sądząc, że tak uboga strawa obrazi królewską córkę i że się na nią pogniewam. Pochłonęłam wszystko łączywie. Nie mając się jej czym odwdzińczyć, po prostu ją pocałowałam. Podziękowałam za nakarmienie zgłodniałej wilczycy. Zaśmiała się zmieszana.

– Zjadłam wszystko, coście mieli, co wy teraz będziecie jedli? – zartoczyłam się, na co odpowiedziała spokojnie: – Och, mój zawsze coś przyniesie, jak nie królika, to kilka ptasząt.

– W takim razie chyba zaczekam – zażartowałam, czym znowu wprawiłam ją w zakłopotanie. Sądziła pewnie, że w królewskim pałacu jadamy wyłącznie mięso.

Wyruszyliśmy z Maruną w drogę powrotną. Byłam tego ranka w niezwykle radosnym nastroju. Maruna to dostrzegła. Zapytała:

– Miałaś dobrą noc?

– O, tak. Ujrzałam moje królestwo – odparłam. Sama nie wiedziałam, co to miało znaczyć. – Widziałam też upadek wspaniałego miasta ogarniętego pożarem. I mężczyznę, który z niego wyszedł, niosąc na plecach starca. Ten mężczyzna zmierza teraz do nas.

Wysłuchała mnie, uwierzyła, o nic nie pytała.

Mogłam to wyjawic w zaufaniu jedynie Marunie, mojej niewolnicy i siostrze, nikomu więcej.

Przez całą drogę do domu zastanawiałam się, jak to zrobić, żebym mogła prędko, możliwie jak najprędzej wrócić do Albunei i zostać tam na dłużej niż tylko jedną noc. Byłam bowiem zupełnie pewna, że poeta wróci, ale równie pewna, że już wkrótce nie będzie w stanie się zjawić. Miał dla mnie niewiele czasu. Szykował się do drogi do królestwa cie-ni, a nie miała to być długa droga.

Skręciłam ze ścieżki i zesłam nad brzeg Prati, niedużej rzeczki toczącej po kamieniach jasne płytkie wody. Byłam spragniona, uklęknłam więc, żeby się napić u brodu, wśród śladów bydlęcych racic. Kiedy podniosłam głowę znad strumienia, widok brodu przypomniał mi miejsce, w którym znalazłam się w moim śnie sprzed sześciu lat, gdy zobaczyłam krew w nurcie Numikusa. Ogarnęła mnie nabożna trwoga. Wstałam, rozwiązałam woreczek i rzuciłam na kamienie garść soli zmieszanej z mąką.

Spojrzałam na Marunę, która stała cierpliwie na brzegu rzeki, moją rówieśnicę, wysoką dziewczynę o ciemnej pociągłej, delikatnej twarzy Etrusków. Zawijając woreczek, powiedziałam:

– Maruno, muszę jak najprędzej wrócić do Albunei. I chciałabym zostać tam na dłużej niż tylko jedną noc.

Zastanawiała się nad moimi słowami przez resztę drogi od domu, czyli przez pół mili, nim odpowiedziała:

– To niemożliwe, dopóki bawi u nas król Turnus.

– Wiem.

– Dopiero kiedy odjedzie... Czy król cię zapyta, po co chcesz tam pójść?

– Zapewne. A nie godzi się kłamać w rzeczach świętych.

– Możesz zmilczeć – podpowiedziała.

– Jestem królewską córką – obruszyłam się, przypomniawszy sobie, jak mnie nazywał poeta. – Postąpię, jak zechcę, a król się ze mną zgodzi. – Roześmiałam się głośno, po czym zawołałam: – Patrz, patrz, Maruno! Jeleń Sylwii! Co on tu robi tak daleko od domu?

Wspaniały rogacz stąpał po nagim zboczcu wzgórza, tuż nad granicą pól, na których wschodziły zielone kielki zbóż. Biała wstążka na jego szyi była podarta i brudna, ale wieniec prezentował się pysznie.

Maruna wyciągnęła rękę. Pobiegłam wzrokiem w kierunku, który wskazywała. Smukła łania, poskubując po drodze trawę, szła przed Cervulusem, całkowicie go ignorując.

– Oto co go zagnało taki szmat drogi od domu.

– Zupełnie jak Turnusa. – Znów się roześmiałam. Tego ranka nie było w stanie mnie zasmucić.

Ośmielona swoim dobrym samopoczuciem zaraz po przyjeździe do domu poszłam do ojca, przywitałam go i powiedziałam:

– Ojczy, kiedy nasz gość odjedzie, czy będę mogła wrócić do Albu-nei? Maruna pójdzie ze mną oraz każdy, kogo mi przydzielisz, jeśli sądzisz, że potrzebuję ochrony. Chciałabym spędzić tam więcej niż tylko jedną noc, ale sama.

Przyglądał mi się długo, z czułością, lecz z badawczym dystansem. Już chciał mnie o coś zapytać, ale się rozmyślił.

– Żał mi każdej nocy, której nie spędzasz pod moim dachem, córko. Nie wiem, jak długo jeszcze będę się mógł cieszyć twoją obecnością. Lecz ufam ci. Pójdiesz do świętego miejsca, kiedy zechcesz, zostaniesz tam tak długo, jak zechcesz, wrócisz, gdy będziesz mogła.

– Wróć – powiedziałam, podziękowałam mu, a on pocałował mnie w czoło. A potem, jako że ojcowie uważają okazywanie surowości za swój obowiązek, powiedział: – Spodziewam się, że będziesz obecna na dzisiejszej uczcie. I żadnych dąsów, proszę, żadnych dziewczęcych omdleń.

– Tylko proszę, trzymaj ode mnie z daleka tego afrykańskiego potworka.

– Będę – obiecał, a ja wyczytałam z jego twarzy pragnienie, by trzymać z daleka ode mnie również tego, kto tego potworka przywiózł. Jednakże głośno tego nie powiedział.

Potulnie przetrwałam jakoś do końca wizyty Turnusa, a nawet kilka razy zabrałam głos przy stole. Zresztą Turnus właściwie nie zwracał na mnie uwagi. Nie potrzebował. To mojego ojca musiał przekonać. Matka była już, oczywiście, całkowicie oczarowana i podbita. Przed młodym królem stało delikatne zadanie: powinien zachęcać ją, żeby go adorowała, lecz tak, aby to nie uraziło mego ojca, z którym z kolei powinien rozmawiać w taki sposób, by zdobyć jego przychyłność, lecz zarazem tak, żeby ona nie poczuła się odrzucona. Turnus był nieokrzesanym, porywczym mężczyzną przywykłym do rozkazywania, a nie do pilnowania własnego języka. Całkiem nieźle radził sobie z prawieniem oględnych komplementów, ale zauważyłam, że ma już dość tej uczt, podobnie jak ja. To nas do siebie zbliżało. Właściwie lubiłam Turnusa... jako kuzyna.

Potworek z Afryki pogryzł boleśnie moją matkę, a potem gdzieś zniknął. Okazało się, że dopadł go jeden z psów, wygryzł mu wnętrzności, a zewłok porzucił pod ścianą domu, gdzie natknęła się nań pewna

brzemienna tkaczka. Sądząc, że to zwłoki dziecka, zaczęła z krzykiem rodzić i wydała na świat martwe niemowlę. Jeśli widziałam kiedyś stworzenie złowróźbne, to był nim właśnie ten afrykański dziwoląg.

Wróciłam do ołtarza w Albunei wieczorem w dniu kalend majowych. Z domu wyszliśmy późno. Zanim powiesiłam na gałęzi drzewa koszyk z jedzeniem, który ze sobą przyniosłam, żeby go ustrzec przed żarłocznością robactwa, zanim pobłogosławiłam ołtarz i rozłożyłam na ziemi owcze skóry, zaczęło się już ściemniać. Podobnie jak poprzednio żałowałam, że nie mogę rozpalić ognia, poczułabym się raźniej, niestety, gliniany kominek z zarzewiem zostawiłam Marunie. Usiadłam, nasłuchiwałam i przyglądałam się, jak dogasa dzienna jasność. Drzewa zgęstniały i okrzeły w ciemności. Gdzieś daleko zahukała sowa, w prawo ode mnie. Żadna jej nie odpowiedziała.

Głęboka cisza przytłaczała mnie, czułam rosnące przygnębienie. Jaka byłam głupia, że tu przyszłam! Co zapamiętałam z ostatniej spędzonej tu nocy? Przyśnił mi się jakiś mężczyzna umierający w jakimś innym miejscu, w innym czasie. Nieznajomy, z którym nie miałam nic wspólnego. I tylko dlatego tu wróciłam z koszykiem prowiantów, niemądra dziewczyna.

W końcu się położyłam. Byłam zmęczona, toteż prawie od razu usnęłam.

Obudziłam się w czarnej bezgwiezdnej ciemności. Spojrzałam w stronę ołtarza. I tam go zobaczyłam.

– Witaj, poeto – zawołałam.

– Witaj, Lawinio – odpowiedział.

Lekki deszczyk pokropił ziemię, zaszumiał na liściach drzew w lesie. Po chwili ustał, znowu trochę popadał i znowu ustał.

Poeta podszedł do miejsca, na którym poprzednio siedział, niedaleko ode mnie. Usiadł na ziemi i oplótł rękami kolana.

– Nie zimno ci? – zapytał.

– Nie. A tobie?

– Tak.

Chciałam zaoferować mu owcze skóry dla ochrony przed deszczem, choć wiedziałam, że to przecież zbędne.

– Okręt już wchodzi do portu – poinformował mnie głosem cichym, rozjaśnionym uśmiechem, ale i pełnym pasji, choć jednocześnie melodyjnym, mimo że teraz nie wyśpiewywał swego poematu. Bo właśnie tak nazwał swoją pieśń tamtej pierwszej nocy: poematem epickim. – Wpłynęliśmy w ramiona portu, w którym Pompejusz postawił morską blokadę. Czuję, jak uspokaja się kołysanie fal. Nienawidziłem tego ciągłego wznoszenia się i opadania, gdy byliśmy na pełnym morzu, ale teraz mi go brakuje. Wkrótce dobijemy do lądu i skończy się wszelkie kołysanie. Zostanie mi tylko rozgrzane płaskie łóżko, ból, pot i falowanie gorączki... Jakiś pocziwy bóg pozwolił mi się stamtąd wymknąć na króciutko. I oto jestem tutaj, w ciemności, w deszczu, drzę z zimna... Czy ty drzysz, Lawinio?

– Nie. Jest mi dobrze. Pragnęłabym... – nie wiedziałam, jak to wyrazić. – Pragnęłabym, abyś i ty miał się dobrze – dokończyłam.

– Mam się całkiem dobrze. Mam się świetnie. Otrzymałem coś, co niewielu poetom się trafia. Może to dzięki temu, że nie ukończyłem poematu. Dlatego mogę nadal w nim żyć. Nawet umierając, mogę w nim dalej żyć. I ty możesz w nim żyć, pólleżeć tutaj... pólleżeć tutaj i rozmawiać ze mną, nawet gdy już nie mogę pisać. Powiedz mi... powiedz mi, córko króla Latynusa, co tam słyhać w Lacjum?

– Wiosna przyszła wcześniej. Krowy ładnie się ocieliły, owce okoci-

ły. Orkisz i jęczmień pięknie wyrosły jak na tę porę roku. Penaty naszego domu mają się dobrze, tylko soli zaczyna brakować. Będę musiała wybrać się niedługo na słone złoża u ujścia ojca rzeki, przynieść do domu zapiaszczoną sól, wyplukać ją, odsączyć, wysuszyć, namoczyć, znowu osuszyć, utrzeć, jednym słowem zrobić co należy, żeby była dobra.

– Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?

– Od starych kobiet.

– Nie od matki?

– Moja matka pochodzi z Ardei. Oni tam nie mają w pobliżu złóż soli. Żeby zdobyć sól, muszą handlować z takimi domami jak nasz. Nasze kobiety wiedzą, jak ją przygotowywać. Handlujemy solą. Ale sól poświęcaną, ofiarną, przyrządzać muszę sama. Od początku do końca.

– Na co masz teraz ochotę?

– Na rozmowę z tobą.

– O czym chciałabyś rozmawiać?

– O Trojańczykach.

– Co chcesz o nich wiedzieć?

Trudno mi było zacząć, ale szybko się przełamałam:

– Kiedy Troja płonęła... Jego żona, Kreuza... Biegli ulicami, próbowali uciec... On prowadził za rękę synka, ona szła za nimi. Zgubili się. Zabili ją greccy żołnierze. A potem mu się ukazała, wyższa niż za życia, w ciemności, wśród płomieni, i powiedziała mu, że powinien odejść, uciec, ocalić swoich ludzi. A on usiłował ją objąć, po trzykroć, lecz ona była tylko cieniem i powietrzem.

Przytaknął.

– Ale później... powiedziałaś, że zszedł do podziemi i rozmawiał z cieniami zmarłych... później. Czy spotkał tam swoją żonę?

Poeta milczał przez chwilę, po czym zaprzeczył:

– Nie.

– Nie mógł jej znaleźć wśród takiego tłumu – domyśliłam się, próbując sobie wyobrazić te nieprzebrane rzesze zmarłych.

– Wcale jej nie szukał.

– Nie rozumiem.

– Ani ja. I wątpię, czy dowiem się czegoś więcej, gdy już się tam znajdę. Każdy z nas sam musi przeżyć swe życie pozagrobowe... Stracił ją. W pożarze, podczas rzezi, na ulicy. Stracił ją na zawsze. Nie mógł oglądać się za siebie. Musiał się troszczyć o swoich ludzi.

Po chwili milczenia zapytałam:

– Dokąd się udali po ucieczce z Troi?

– Błąkali się długo po Morzu Śródziemnym, nie wiedząc, dokąd się zwrócić. Błądzili. Popłynęli na Sycylię i zatrzymali się tam na czas jakiś. Na Sycylii zmarł jego ojciec. Potem znowu wypłynęli, aby dalej szukać ziemi obiecanej, ale burza rozproszyła okręty i część z nich rzucała na dzikie wybrzeże Afryki.

– Co tam robili?

– Podziękowali bogom za szczęśliwe ocalenie, postarali się o sarninę i wyprawili ucztę. A potem Eneasza wraz ze swoim przyjacielem Achatesem ruszyli w głąb łądu, żeby się dowiedzieć, do jakiego zawitali kraju. I dotarli do miasta w budowie. Nazywało się Kartagina. Zamieszkiwali je Fenicjanie. Ich królowa miała na imię Dydona. Powitała przybyszów gościnnie.

– Opowiedz mi o tym coś więcej.

Zdawał się wahać. Wyczułam od razu, że jego wahanie ma jakiś związek z tą królową.

– On się zakochał w królowej Dydonie – domyśliłam się, a ledwo to powiedziałam, poczułam jakiś dziwny smutek, dziwny żal.

– Ona się w nim zakochała – sprostował z powagą. – Ale nie sądzę, żeby to była historia stosowna dla uszu młodej dziewczycy, Lawinio.

– Przecież nie jestem już młodką! Jestem „dojrzała, w lat pełni, co ślubów nie bronią”, sam powiedziałeś... Wiem, że zamężne kobiety zakochują się czasem w innych mężczyznach... młodszych od siebie. – Wątpię, by dosłuchał się ironii w moim głosie. Myślał o tamtej afrykańskiej królowej.

– Była wdową, więc nie było to zdrożne uczucie. Przestała być jedynie panią samej siebie. Bardzo potrzebowała królewskiego małżonka. Była doskonałą władczynią, poddani ją kochali. Właśnie budowali to wspaniałe miasto, wszystko szło jak najlepiej. Rzadko się jednak zdarza, by kobieta mogła długo samotnie zasiadać na tronie. Mężczyzn zaczyna to krępować. Ubiegali się o nią okoliczni królowie i wodzowie. Zalecali się do niej, zazdrościli jej władzy, starali się o względy, a jednocześnie grozili. Eneasz zjawił się jako wyczekiwany wybawca, tarcza przeciwko ich zakusom: mężny wojownik z własną drużyną, król z urodzenia, choć pozbawiony dóbr. Zanim go pokochała, już był jej potrzebny. Najpierw jednak pokochała jego syna. Od pierwszej chwili zapłonęła miłością do Askaniusza. Obsypywała go pieścotami, tuliła, nie skąpiła wszelkich przyjemności, nic więc dziwnego, że pozbawiony matki malec przylgnął całym sercem do tej serdecznej, pięknej, czulej

bezdziębnej kobiety. Swoją miłością do chłopca ujęła też Eneasza. Poza synem jedynakiem nie miał już przecież żadnej rodziny. Obiecał Dydonie, że jej pomoże przy budowie miasta. No i...

Urwał.

– No i stało się – dokończyłam za niego.

– Nigdy nie potrafiłem zaakceptować tego, że kobiety są urodzonymi cynikami, choć o tym wiedziałem. Mężczyźni muszą się cynizmu dopiero uczyć. A mogliby się go uczyć od małych dziewczynek.

Nie miałam pojęcia, kim jest cynik, ale domyśliłam się, co chciał powiedzieć.

– Nie mówiłam tego z pogardą. Jedna rzecz prowadzi do następnej. Nie ma w tym nic złego. Jakże inaczej mogliby się poznawać i zakochiwać w sobie mężowie i żony? Ona potrzebowała mężczyzny. On był miły, szlachetny, urodziwy, do tego rozbitek. Zakochała się w nim. Każda by się zakochała.

– Uznajmy to za dobry znak – mruknął.

– Ale czy on się w niej zakochał?

– Owszem. Zakochał się. Była piękna, ognista, namiętna. Każdy by się zakochał. Ale...

– Wciąż opłakiwał Kreuzę.

– Nie. Jego żona, miasto, to wszystko należało do przeszłości. Do bezpowrotnie minionej przeszłości. Od tego co utracił, oddzielały go lata, lądy i morza. Nie oglądał się za siebie. Jednakże nie umiał patrzeć w przyszłość. Trwał uchwycony w chwili bieżącej, w teraźniejszości, w czasie teraźniejszym. Śmierć ojca była dla niego ciężkim ciosem. Polegał na Anchizesie, był mu posłuszny nawet wtedy, gdy rady starca na

złe im wychodziły. Kiedy ojciec umarł, zabierając ze sobą przeszłość, Eneasza miał wrażenie, że stracił również przyszłość. Nie wiedział, jak dalej żyć. W jego duszy szalała burza podobna do tej, jaka rozproszyła jego okręty i zbiła je z kursu. Zgubił drogę.

– A dokąd ona wiodła?

– Tutaj. Do Italii. Do Lacjum. Wiedział o tym.

– Dlaczego nie mógł związać swojej przyszłości z Afryką? Dlaczego nie mógł tam osiąść, pomóc królowej w budowie jej miasta i żyć tam z nią szczęśliwie? – Przemawiał przede mną rozsądek, choć w gruncie rzeczy nie życzyłam sobie wcale, żeby tak się stało. Oczekiwałam na sprzeciw poety.

Lecz on go nie zgłosił. Pokręcił głową. Po chwili powiedział, jakby ścigając własne myśli:

– Połączyła ich również burza. Któregoś dnia wybrali się na polowanie. Odłączyli się od reszty myśliwych. Spadł deszcz, sypnął grad, poszukali schronienia w gromadzie. No i...

– Czy się pobrali? – zapytałam po krótkim milczeniu.

– Dydona uznawała ich miłość za małżeństwo, tak traktowała ich związek. On nie. I to on miał rację.

– Dlaczego?

– Bo ani potrzeba, ani miłość nie zwyciężą przeznaczenia, Lawinio. Eneasza ma dar rozpoznawania losu, wie, jak powinien postępować i tak postępuje. Wbrew potrzebie, wbrew miłości.

– Więc co zrobił?

– Porzucił ją.

– Uciekł?

– Tak.

– A ona?

– Zabiła się.

Tego się nie spodziewałam. Sądziłam, że wyśle okręty w pościg za zbiegłym kochankiem, że weźmie krwawy odwet. Nie czułam sympatii do tej afrykańskiej królowej, ale też nie mogłam nią pogardzać. Jednakże samobójstwo wydało mi się tchórzliwą odpowiedzią na zdradę. Przynajmniej tak powiedziałam.

– Nie wiesz, czym jest prawdziwa rozpacz – stwierdził łagodnie poeta. – I obyś nigdy się nie dowiedziała.

Skinieniem przyznałam mu rację. Choć wiedziałam, czym jest rozpacz. To stan, w jakim żyła moja matka po stracie swoich synów. Ale sama tego stanu nie zaznałam.

– Miała okrutną śmierć – dodał. – Miecz nie trafił w serce, długo umierała od zadanej sobie rany. Rozkazała, żeby podpalono stos, na którym leżała, nie czekając, aż wyzionie ducha. Eneasz zobaczył z morza wielki ogień.

– Wiedział, co on oznacza?

– Nie. Choć może tak.

– Dusza musi się w nim dotąd wzdragać na to wspomnienie. Czy jego ludzie nie wstydzili się za niego?

– Nawet gdyby obwołał się królem Kartaginy, ta ziemia nie stałaby się nigdy ich krainą. Poza tym Dydona przerwała budowę miasta, oddała ster rządów. Straciła szacunek dla samej siebie, nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o nim. Sprawy przestały układać się pomyślnie. Więc jego ludzie ucieszyli się, mogąc stamtąd wyrwać swego wo-

dza. – Po krótkim milczeniu dorzucił: – Eneasza miał jeszcze spotkać Dydonę. W krainie zmarłych. Odwróciła się na jego widok. Nie chciała z nim mówić.

Jak najszlachetniej, powiedziałabym. W tej historii kryło się jednak tyle dojmującego smutku, tyle wstydu i cierpienia, zawierała tyle jawnej niesprawiedliwości, że zrobiło mi się okropnie żal całej trójki... Kreuzy, Dydony, Eneasza... i nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Długo siedzieliśmy w milczeniu.

– Opowiedz mi o czymś radośniejszym – poprosił w końcu swoim pięknym, ciepłym głosem. – Jak spędzasz dzień?

– Przecież wiesz, jak spędzają dzień córki w domach naszego kraju.

– Istotnie, wiem. W Mantui miałem starszą siostrę. Ale nie jesteśmy w Mantui, a nasz ojciec nie był królem... – Urwał i czekał. Ja jednak milczałam. Podjął więc po chwili: – W dni świąteczne siadają do królewskiego stołu wszyscy najznamienitsi mężczyźni w mieście, przy nich goście z innych miast Lacjum, a pewnie i sprzymierzeńcy z odleglejszych krain... no i kandydaci do twojej ręki, oczywiście. Opowiedz mi o nich.

Jeszcze przez chwilę milczałam w ciemności. Deszcz ustał i ukazały się gwiazdy, zabłyśły nad naszymi głowami, przeświecały przez gałęzie czerniejącego dokoła lasu.

– Przyszłam tu, żeby od nich uciec. Nie chcę o nich mówić. Nie naley.

– Nawet o Turnusie? Czyż nie jest urodziwy i nadzwyczaj mężny?

– Owszem.

– Nie dość urodziwy i mężny, by zdobyć serce dziewczyny?

– Zapytaj o to moją matkę – burknęłam.

Po tych słowach zamilkł. Kiedy się znowu odezwał, ton głosu miał już inny.

– Czy masz przyjaciół, Lawinio?

– Tak. Sylwię, Marunę, kilka innych dziewcząt. I kilka starych kobiet.

– Tę Sylwię, która oswoiła jelenia?

– Tak. Widziałyśmy go z Maruną, gdyśmy tutaj szły. Włókł się za lanią jak pies za suką. Taki pies z rogami. Uśmiełyśmy się.

– Zakochane samce bywają zabawne – przyznał. – Ale nic na to nie mogą poradzić.

– Skąd wiedziałeś o jelonku Sylwii?

– Przypomniałem sobie.

– Ty wiesz wszystko, prawda?

– Nie, wiem bardzo mało. A to co wiem o tobie... przynajmniej sądziłem, że wiem, choć niewiele o tobie myślałem, prawdę mówiąc... było głupie, banalne, mało pomysłowe. Pomyśl, sądziłem, że jesteś blondynką!... Nie da się jednak wcisnąć dwóch romansów do jednej epopei. Gdzież by wtedy zmieściły się bitwy? Zresztą czy można epos zakończyć małżeństwem?

– To zapowiada raczej początek niż koniec – zauważyłam.

Na chwilę zadumaliśmy się oboje.

– Ta cała epopeja jest do niczego – powiedział. – Nakazę, by ją spalono.

Cokolwiek miał na myśli, nie spodobał mi się jego ton.

– Żeby wypływając na morze, oglądać się za siebie i podziwiać

płonący stos? – zadrwiłam.

Roześmiał się.

– Masz w sobie rys okrucieństwa, Lawinio.

– Nie sędzę. Choć chyba nie miałabym nic przeciwko temu. Może będę musiała zdobyć się i na okrucieństwo.

– Nie rób tego. Okrucieństwo jest dla ludzi słabych.

– Chyba nie tylko. Czy właściciel nie jest silniejszy od niewolnika, którego bije? Czy Eneasza nie wykazał się okrucieństwem, porzucając królową Kartaginy? Wszak to ona była słaba.

Wstał, wysoki cień wśród ciemności. Zrobił kilka kroków w jedną, potem w drugą stronę.

– W podziemnym świecie – zaczął – Eneasza spotkał swego starego druha, trojańskiego księcia Deifobosa. Parys, ten, który uciekł z Heleną, zginął w tej wojnie. Trojanie oddali wtedy Helenę jego bratu, Deifobosowi.

– Dlaczego nie wyrzucili jej za bramę i nie kazali wracać do męża?

– Trojańskie kobiety też zadawały to pytanie, ale trojańscy mężczyźni nie chcieli go słuchać... Grecy zatem opanowali miasto i Menelaus zaczął szukać żony, z której powodu tę wojnę rozpętano. Spotkali się i Helena zaprowadziła swego pierwszego męża do komnaty sypialnej, gdzie mocno spał jej nowy małżonek. Śpiący nie słyszał odgłosów bitwy, a ona go nie zbudziła. Natomiast zabrała mu miecz. Toteż gdy się obudził, było to śmiertelne przebudzenie, ponieważ Grek zaczął go kłuć, ciąć, odrąbał mu ręce, rozplątał twarz, oszalały z żądzy zemsty, na co ona, Helena, spokojnie patrzyła. Tak więc Deifobos odszedł do krainy ciemności. Po latach Eneasza go tam spotkał, dojrzał jego cień,

wciąż okaleczony, posieczony, poraniony. Zaczęli ze sobą rozmawiać, ale wtrącała się przewodniczka: nie pora na rozmowy, Eneasze musi się śpieszyć. Na co rzekł duch Deifobosa: „Bywaj zdrow, mój bohaterze. Ja odchodzę. Dołączę do nieprzebranych rzesz, wrócę do ciemności. Mam nadzieję, że ciebie czeka pomyślniejszy los”. Co powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

Siedziałam w milczeniu. Miałam ochotę zapłakać, lecz zabrakło mi łez.

– Ja też wnet odejdę – szepnął poeta. – Dołączę do nieprzebranych rzesz, wrócę do ciemności.

– Jeszcze nie teraz...

– Zatrzymaj mnie! Zatrzymaj mnie, Lawinio. Poucz mnie, że lepiej jest żyć, lepiej być żywym niewolnikiem niż martwym Achillesem. Zapewnij mnie, że mogę skończyć swoje dzieło!

– Jeśli go nie skończysz, nigdy się nie skończy – powiedziałam, byle coś powiedzieć. Wyraziłam pierwszą myśl, jaka mi przyszła do głowy, żeby go pocieszyć. – Zresztą jak zamierzasz skończyć swoją epopeję, jeśli nie małżeństwem? Morderstwem? Czy musisz zdecydować, jak się skończy, nim dobrniesz do końca?

– Nie – zaprzeczył. – Właściwie nie. Ściśle biorąc, to nie jest kwestia decyzji. Raczej odkrycia. Lub, jak teraz się sprawy mają, rezygnacji, ponieważ nie mam już siły ciągnąć tego. Na tym polega kłopot. Jestem słaby. Koniec będzie więc okrutny. – Jeszcze raz przespacerował się tam i z powrotem, między mną a ołtarzem. Nie słyszałam jego kroków muskających ziemię. W końcu westchnął głośno, przeciągle i na powrót usiadł, oplótnięty rękami kolana. – Opowiedz mi, czym zajmuje-

cie się z Sylwią, o czym rozmawiacie? Opowiedz o jej oswojonym jeleniu. Opowiedz, jak przygotowujesz sól ofiarną. Opowiedz, jak przędziesz, jak tkasz. Czy to matka nauczyła cię tych umiejętności? Opowiedz, jak otwierasz i sprzątasz spiżarnię na początku lata, jak potem zostawiasz ją otwartą na kilka dni, modląc się do penatów, żeby się napelniła płodami ziemi...

– Przecież wiesz.

– Nie. Tylko ty możesz mi to opowiedzieć.

Opowiedziałam mu więc o wszystkim, o co prosił, i pocieszyłam go wiedzą, którą już posiadał.

Następny dzień spędziłam sama w lesie Albunei. Powietrze wisiało gęste pod drzewami, a woń siarki wprost zapierała mi dech, kiedy zbliżyłam się do źródła. Błąkając się tam, natrafiłam na ścieżkę pnącą się na strome zbocze, niemal grań, która wypiętrzała się ponad lasem. Z nagiego szczytu rozciągał się rozległy widok na zachód, gdzie świeciła linia morskiego horyzontu. Usiadłam w słońcu na rzadkiej trawie i oparłam się plecami o zwałony pień. Miałam ze sobą wrzeciono i woreczek z wełną. My kobiety zwykle nosimy ze sobą części naszych penatów. Przędłam bardzo cienką nić na letnią togę i pallę, toteż woreczek z wełną, choć tak lekki, mógł mi starczyć na długo. Siedziałam, przędłam, rozmyślałam i błądziłam spojrzeniem po okrytych majową zieleńią wzgórzach i lasach Lacjum. W południe zjadłam trochę sera i chleba z orkiszu i poszukałam źródła, żeby ugasić pragnienie. Koło źródła rosły tasznik pospolity i rukiew wodna, ich także więc zjadłam, choć miałam zamiar pościć, może nawet głodować. Niestety, głodowanie przychodzi mi z trudem. Potem spenetrowałam nieco dokładniej wierzchołek wzgórza, a kiedy słońce zniżyło się na pół drogi między szczytem nieba a ziemią, zesłam w dół i zagłębiłam się na powrót w las. Okrążyłam cuchnące źródła od strony nawietrznej i znalazłam się znowu na polance, na której stoi ołtarz. Zdrzemnęłam się tam, jako że poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Kiedy obudziłam się o zmierzchu, w obrębie świętego murku trzepotały w powietrzu wielkie białe ćmy. Wznosząc się i opadając, wirowały jedna wokół drugiej w powietrznym labiryncie, co tworzyło przepiękny widok. Przyglądałam się im spod sennych, półprzymkniętych powiek i nagle zobaczyłam przez woal ich tańca mojego poetę. Stał obok ołtarza.

– Te ómy wyglądają jak dusze w podziemnym świecie – wymamrotałam na pół rozbudzona.

– Podziemie to straszne miejsce – powiedział. – Na drugim brzegu ciemnej rzeki rozciągają się błotniste równiny rozbrzmiewające płaczem... słabym, cichym, jęklwym łkaniem, które jakby tryskało spod ziemi, gdziekolwiek stąpniesz. To dusze niemowląt, które zmarły podczas porodu lub w kołysce. Odeszły ze świata, ledwo się na nim zjawily. Leżą tam w błocie, wśród trzciny, w ciemności i płaczą. Lecz nikt nie przychodzi.

Całkiem oprzytomniałam.

– Skąd o tym wiesz? – zapytałam.

– Bo tam byłem.

– Byłeś w podziemiu? Z Eneaszem?

– Z kimże by innym? – Rozejrzył się niepewnie. Mówił głosem matowym, ściszym. Po chwili podjął z wahaniem: – Przewodniczką Eneasza była Sybilla... A komu ja byłem przewodnikiem? Spotkałem go w miejscu podobnym do tego. Pośród ciemnego lasu, w życia wędrówce, na połowie czasu. Wyszedłem na górę, jemu na spotkanie, aby go prowadzić... Tylko kiedy to było? Och, umieranie to ciężki znój, Lawinio. Jestem bardzo zmęczony. Już nie potrafię jasno myśleć.

– Rzeczywiście, można to poznać po tym, co powiedziałaś o tych niemowlętach – burknęłam. – Dlaczego miano by je karać za to, że nie żyły? Skąd wzięły się tam ich dusze, skoro nie miały czasu ich wykształcić? Czy w podziemiu znajdują się dusze martwych kociąt, jagniąt, które składamy w ofierze, poronionych płodów? Jeśli sam wymyśliłeś to bagnisko zasłane płaczącymi duszami zmarłych niemowląt,

naprawdę poroniony miałeś pomysł. To byłaby niegodziwość!

Byłam naprawdę zła. Użyłam drugiego w kolejności z najsilniejszych słów, jakie znałam – niegodziwość, *nefas*, niegodziwość wobec porządku rzeczy, niesłychana, bezbożna. Istnieje wiele słów dla wyrażenia równie surowej oceny, ale ja znałam właśnie to jedno, które jest tylko cieniem, przeciwieństwem, nieistnieniem wielkiego słowa *fas* – to co słuszne, co czynić należy.

Usiadł, zginając w pół swą wysoką niewyraźną sylwetkę. Widziałam, z jakim trudem się porusza. Zwiesił głowę jak człowiek śmiertelnie utrudzony, pokonany, a ja wcale mu nie współczułam.

– Jeśli okrucieństwo, jak sam powiedziałeś, rodzi się ze słabości, w takim razie musisz być bardzo słaby.

Milczał.

Po dłuższej chwili dodałam:

– Mimo to uważam, że jesteś silny. – Wargi i głos mi drżały, kiedy to mówiłam, bo mu współczułam, wbrew sobie, i serce mi łkało.

– Jeśli uważasz, że to niegodziwość, moje dziecko, usunę te słowa z poematu – obiecał. – Jeśli mi pozwolą.

Tak bardzo chciałam mu pomóc, podać owczą skórę, żeby na niej usiadł, lub moją togę, by okrył nią ramiona, gdyż siedział skulony, jak gdyby drżał z zimna. Niestety, nie mogłam nic dla niego zrobić, a dotykać go mogłam chyba tylko głosem.

– A kto ci może tego zabronić?

– Bogowie. Mój los. Przyjaciele. August.

Rozumiałam, co miał na myśli, mówiąc o losie i o przyjaciółach. Przynajmniej wiedziałam, co te słowa znaczą. Reszty nie byłam już

pewna. Nie wiedziałam też, kim są jego przyjaciele i czy zasługują na zaufanie. Co się tyczy losu, tego nikt z nas nie zna.

– Przecież jesteś wolnym człowiekiem – powiedziałam w końcu. – Twoje dzieło należy do ciebie.

– Należało, póki nie zachorowałem – odparł. – Potem zacząłem tracić na nie wpływ, teraz obawiam się, że całkiem go straciłem. Opublikują je, choć nie jest skończone. Nie mogę ich powstrzymać. A nie mam siły, żeby je ukończyć. Skończy się morderstwem, jak przepowiedziałaś. Śmiercią Turnusa. Bo dlaczego nie? Komu zależy na Turnusie? Świat jest pełen pięknych nieustraszonych młodzieńców, gotowych zabijać i ginąć. Zawsze ich będzie pod dostatkiem, przed każdą wojną.

– Kto go zabije?

Nie odpowiedział na moje pytanie. Odezwał się dopiero po dłuższym milczeniu:

– To nie jest prawdziwe zakończenie.

– Opowiedz mi prawdziwe.

Znowu zapadło przeciągłe milczenie.

– Nie mogę – szepnął.

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Liście i gałęzie, które rysowały się czarno na tle głębokiego błękitu, poczęły wsiąkać w noc. Nisko, między pniami drzew na zachodzie, zabłysła Wenus. Pomodliłam się prędko do tej pięknej bogini. Panowała zupełna cisza – ani powiewu wiatru, ani ptasich śpiewów, ani innych zwierzęcych odgłosów.

– Chyba wiem, dlaczego przyszedłem do ciebie, Lawinio. Długo się nad tym zastanawiałem... Dlaczego właśnie ty, jedyna spośród wszystkich postaci mego poematu, przywołałaś mojego ducha? Dlaczego nie

mój wspaniały ukochany Eneasze? Dlaczego nie mogę go zobaczyć na własne oczy, choć tak często oglądałem go oczami mojej sztuki?

Mówił teraz głosem prawie niesłyszalnym, zamierającym. Wyteżyłam słuch. Wtedy z tego co powiedział, niewiele rozumiałam.

– Ponieważ jego widziałem. Ciebie nie. Ty w moim poemacie prawie nie istniejesz, prawie cię w nim nie ma. Jesteś niedotrzymaną obietnicą. Teraz już nie da się tego naprawić, nie da się tchnąć życia w twoje imię, jak tchnąłem je w Dydonę. Ale ono, to nietchnięte życie, jest tutaj, w tobie. Więc teraz, u końca mej drogi, gdy jest już za późno, masz mi co ofiarować. Moje życie. Moją italską ziemię, moją rzymską nadzieję... moją nadzieję.

W jego głosie dźwięczała rozpacz, od której krwawiło mi serce. Umilkł i siedział nieruchomo ze zwieszoną głową. Ledwo go widziałam.

Wystraszyłam się, bo miałam świadomość, że odpływa ode mnie w swój smutek, w swoją śmiertelną chorobę. Przestraszyłam się, że stracę nawet jego cień. Chciałam go przy sobie zatrzymać. Choć nie rozumiałam tego tak dobrze jak on... no bo skądże?... wiedziałam, jaka nas łączy więź, i wiedziałam, jak ją wykorzystać, żeby go zatrzymać.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Eneasz. Kiedy porzucił Afrykę, obejrzał się za siebie i zobaczył nad wodą płonący stos pogrzebowy Dydony... dokąd się potem udał?

Poeta jeszcze przez chwilę trwał w pozycji, w jakiej się wyraża skrajne przygnębienie, po czym lekko pokręcił głową.

– Na Sycylię – mruknął. Potem rozejrzał się wokół siebie i ostrożnie wzruszył ramionami, jakby uwalniając je od skurczu.

– Był tam już wcześniej, prawda?

– Ale wrócił, żeby odprawić parentalia za zmarłego ojca. Podczas jego pobytu w Afryce u Dydony upłynął rok od śmierci Anchizesa.

– Jak uczcił tę rocznicę?

– Jak się godzi. Odprawił obrzędy, złożył ofiary, potem urządził igrzyska i wydał ucztę. – Jego głos nabral siły. Znowu zafalował melodyjnie. – Eneasza ma bardzo wysokie poczucie tego, co godziwe. Poza tym zdawał sobie sprawę, że jego ludzie potrzebują wytchnienia. Wędrowali od siedmiu lat i oto wrócili w miejsce, gdzie już gościli przed rokiem. Więc urządził dla nich igrzyska. Niestety, zapomniał o kobietach.

– Wcale się nie dziwię!

– Masz rację, moja cyniczko. Tyle że Eneasza nie należy do tych, co zapominają. On myśli o wszystkich swoich ludziach. Podczas ucieczki z Troi powierzyło mu swój los liczne grono kobiet. Starał się jak mógł, żeby uczynić im znośną długą morską podróż. Lecz kiedy ogłosił, że oto znowu mają wyruszyć na poszukiwanie ziemi obiecanej, ich cierpliwość się wyczerpała. Wstąpiła w nie Junona i podburzyła niebogi. Podniosły bunt. Zeszły na brzeg i podpaliły okręty.

– Co to znaczy, że wstąpiła w nie Junona?

– Junona nienawidziła Eneasza. Zawsze występowała przeciwko niemu – wyjaśnił, zorientowawszy się szybko, że go nie rozumiem.

Zastanowiłam się nad jego słowami. Każda kobieta ma swoją Junonę, podobnie jak każdy mężczyzna swojego Geniusza: to imiona świętych mocy, boskie iskry, które każdy z nas w sobie nosi. Moja Junona nie może we mnie „wstąpić”, bo już stanowi moją najgłębszą istotę. A

ten poeta mówił o Junonie tak, jak gdyby była osobą, kobietą z krwi i kości mającą swoje sympatie i antypatie: zazdrosną kobietą.

Oczywiście świętość przenika wszystko, świat jest pełen bóstw, boskich mocy, potężnych duchów. Niektórym z nich nadajemy imiona: Mars jest bóstwem roli i wojny, Westa boginią ognia, Ceres boginią urodzajów, Tellus uosabia Matkę Ziemię, penaty opiekują się ogniskiem domowym. Są jeszcze rzeki, źródła. W chmurze burzowej i w błyskawicy kryje się potężna moc, którą nazywamy bogiem ojcem. Lecz to nie są ludzie. Nie kochają, nie nienawidzą, nie opowiadają się za tym, a przeciwko temu. Odbierają cześć, jaką im składamy, co wzmacnia ich moc, dzięki której my z kolei żyjemy.

Byłam zdezorientowana. W końcu zapytałam:

– Dlaczego ta osoba, ta Junona, nienawidzi Eneasza?

– Bo nienawidzi jego matki, Wenus.

– Matką Eneasza jest gwiazda?

– Nie, bogini.

– Wenus jest siłą – zaczęłam ostrożnie – którą czcimy na wiosnę, w ogrodach, kiedy się budzą do życia rośliny. Również gwiazdę wieczorną nazywamy Wenus.

Zastanowił się nad moimi słowami. Być może to, że wychował się na wsi, wśród takich jak ja pogan, pomogło mu zrozumieć moje pomieszenie.

– My także – przyznał. – Ale potem Wenus stała się czymś więcej... za sprawą Greków. Oni nazywają ją Afrodytą... Pewien wielki poeta wyśpiewał jej chwałę po łacinie. Nazwał ją bogów i ludzi kochanką, boską karmicielką. To ona drogę znaczy żeglarzom i żyzną rozjaśnia

niwę. Dzięki niej powstaje młode radosne życie, nadzieja nowych pokoleń. Przed nią, boginią, uchodzą wichry i burze. Przemyślna ziemia pod stopy kwiaty jej rozściela. Do niej wód błękitami śmieje się gładki ocean, dla niej niebo pogodne szatą świetlistą się stroi.

To była ta Wenus, do której się modliłam, to była moja modlitwa, choć nie moje słowa. Te, które usłyszałam, nappełniły mi oczy łzami, a serce wielką radością.

– Dlaczego ktoś miałby jej nienawidzić? – zapytałam, odzyskawszy głos.

– Z zazdrości – odrzekł.

– Święta moc miałaaby zazdrościć innej świętej mocy? – Nie potrafiłam tego zrozumieć. Czy rzeka zazdrości innej rzece, czy ziemia zazdrości niebu?

– Jedna z postaci mojego poematu pyta: „Czy ten zapal pochodzi od boga, czy też bogiem jest własna chęć sroga?”

Popatrzył na mnie, ale ja milczałam.

– Wielki Homer z Grecji mówi, że to bóg roznieca ogień. Młoda Lawinia z Italii twierdzi, że ogień jest bogiem. To italska ziemia, łacińska ziemia. I ty, i Lukrecjusz macie rację. Chwalcie bogów, proście ich o błogosławieństwo i nie patrzcie na cudze mity. Wszak to tylko literatura... Więc nie przejmuj się Junoną. Trojanki wpadły w gniew, bo nikt ich nie pytał o zdanie. Postanowiły zostać na Sycylii. I podpaliły okręty.

To byłam w stanie zrozumieć. Słuchałam dalej.

– Spłonęłaby cała flota, gdyby nie nadciągnęła burza i nie ugasiła płomieni. Cztery okręty jednak stracili. Oczywiście podpalaczkami uciekli, skryły się w górach... Ale Eneaszowi nawet nie przyszło do głowy,

by je karać. Zdawał sobie sprawę, że doprowadził nieszczęsne do ostateczności. Zwołał naradę i pozwolił swobodnie wybierać: kto chce zostać na Sycylii, kto płynąć z nim dalej. Starcy i wiele kobiet, przeważnie matek z małymi dziećmi, postanowili zostać. Inni zdecydowali się dalej szukać ziemi obiecanej. Wiec po dziewięciu dniach świąt i dzięsiątym, przeznaczonym na smutek i łzy rozłąki, odpłynęli stamtąd.

– Dokąd? Do Lacjum?

Poeta kiwnął głową.

– Ale najpierw Eneasz zawinął do Kurne.

Wiedziała, że w Kurne znajduje się wejście do podziemi.

– Żeby zejść tam na dół? Po co?

– Miał widzenie, w którym Anchizes, jego ojciec, nakazał mu, by odszukał jego cień za ciemną rzeką. A ponieważ Eneasz był zawsze ojcu i losom posłuszny, popłynął do Kurne, znalazł przewodniczkę i zejście do podziemi.

– I zobaczył tam bagno, w którym leżą płaczące niemowlęta – zardrwiłam. – I swego przyjaciela, zamordowanego w sposób tak okrutny, że nawet jego duch nie wylizał się z ran. I królową Dydonę, która odwróciła się na jego widok, nie chcąc z nim mówić. I tylko nie szukał swojej żony, Kreuzy.

– Ano nie – przyznał poeta z pokorą.

– Zresztą to nieważne. Przypuszczam, że podziemie nie jest miejscem łączenia rodzin – powiedziałam. – Cień nie zdoła dotknąć cienia. Uważam, że długa noc przeznaczona jest na sen.

– Córo Latynusa, pramatko Lukrecjusza! Obiecujesz mi coś, czego najgoręcej pragnę.

– Sen?

– Sen.

– Lecz twój poemat...

– Cóż, mój poemat, jeśli mu pozwolę, sam o siebie zadba, w to nie wątpię.

Jakiś czas milczeliśmy oboje. Było już całkiem ciemno. Wiatr przycichł i wszystko zastygło w bezruchu.

– Czy Eneasze już opuścił Kurne? – zapytałam.

– Tak sędzę.

Rozmawialiśmy bardzo cicho, niemal szeptem.

– Zatrzyma się w Circejach, żeby pochować swoją starą piastunkę Kajetę, która błagała, by ją ze sobą zabrał. Jest jednak stara, schorowana i umrze na statku. Eneasze przybije do brzegu, żeby ją pogrzebać. To opóźni o kilka dni jego tu przybycie.

Znowu zaległo milczenie. Przebiegł mnie zimny dreszcz lęku. Tak wiele mnie czekało, tak niebawem miało nadejść. Chciałam prosić poetę, aby mi wyjawiał, co mnie spotka, a jednocześnie tego nie chciałam.

– Nie wiem, kiedy tu znowu wrócę – powiedziałam.

– Ani ja, Lawinio.

Popatrzył na mnie przez ciemność. Domyśliłam się, że się uśmiecha.

– Ach, moja droga – rzekł, wciąż bardzo cicho. – Moja niedokończona, niekompletna, niedopełniona. Dziecko, którego nigdy nie miałem. Wróc tu chociaż raz.

– Obiecuję.

Nie jestem takim kobiecym głosem, jakiego moglibyście się spodziewać. To nie uraza popycha mnie do opowiedzenia mojej historii. Jeżeli już, to gniew. Ale nie gniew łatwy. Pragnę sprawiedliwości, choć jej nie znam. Trudno jest znieść czyjąś zdradę. Jeszcze trudniej świadomość, że była nieuchronna z twojego powodu.

Któż zatem był moją prawdziwą miłością: heros czy poeta? Nie pytam o to, który z nich bardziej mnie kochał. Żaden nie kochał mnie długo. Po prostu wystarczająco. Dostatecznie. Pytam o to, którego z nich ja bardziej kochałam. I nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Jeden był moim małżonkiem, pięknym mężczyzną, którego ciało objęłam swoim ciałem, aby począć syna, odkrywcą mojej kobiecości, moją dumą, chlubą. Drugi był cieniem, szeptem w ciemnościach, snem albo wizją dziewicy, a przecież odkrywcą całego mojego istnienia. Jakże mam wybierać? Obu tak prędko straciłam. Znałam ich tylko odrobinę lepiej, niż oni mnie znali. Poza tym wciąż pamiętam, że jestem przypadkowa.

Oczywiście oni również byli przypadkowi. Jest aż nadto prawdopodobne, że mały Publiusz Wergiliusz Maro mógł umrzeć w wieku sześciu, siedmiu lat i zmienić się w garstkę popiołu pod małym nagrobkiem w Mantui, zanim w ogóle stał się poetą, a wraz z nim zgasłaby wówczas i sława herosa, po którym pozostałoby tylko imię, jedno z tysiąca imion wojowników, nawet nie mit na italskim brzegu. Wszyscy jesteśmy przypadkowi. Uraza jest głupia i małoduszna i nawet gniew jest niedostateczny. Jestem lśnieniem światła na powierzchni morza, rozbłyskiem wieczornej gwiazdy. Żyję w nabożnej trwodze. Nawet jeśli nigdy w ogóle nie istniałam, jestem cichym skrzydłem na wietrze, bezcielesnym głosem w lesie Albunei. Mówię, ale mogę powiedzieć tylko

to: idź, idź dalej.

Kiedy nazajutrz wróciłyśmy z Maruną do domu, mieszkanki kobiecej części domu usiłowały poinformować mnie jedna przez drugą, że Turnus przysłał posłańca do mojego ojca, a królowa Amata chce mnie natychmiast widzieć.

Mój zadawiony lęk przed matką sprawił, że się na tę wiadomość wewnątrznie spięłam. A przecież już od dawna nie podnosiła na mnie głosu i nie upokarzała jak niegdyś. Zawstydziłam się własnego tchórzostwa. Obmywszy stopy z kurzu drogi i zmieniawszy szaty, poszłam do jej komnat. Odesłała służki i przywitała mnie z żywym podnieceniem, pocałowała w czoło, chwyciła za ręce i zmusiła, bym usiadła obok. Takie objawy miłości mogły się wydawać fałszywe, wymuszone, ale Amata nie była intrygantką. Zanadto była zdana na łaskę i niełaskę własnych uczuć, żeby odgrywać rolę, w którą nie potrafiłaby się wczuć. Była naprawdę rada, że mnie widzi, i jej radość ujęła mnie za serce. Tak bardzo pragnęłam uznania, życzliwości ze strony mojej pięknej i niešťczęśliwej matki, że nawet najdrobniejsza jej oznaka miała dla mnie nieodparty urok. Z prawdziwą więc ochotą usiadałam obok niej.

Pogładziła mnie po włosach. Wyczułam drżenie jej dłoni. Po tym poznałam, jak bardzo jest podniecona. Jej wielkie ciemne oczy zdawały się płonąć.

- Król Turnus przysłał posłańca, Lawinio.
- Wszystkie kobiety o tym mówią.
- Z oficjalną prośbą o twoją rękę.

Przyglądała mi się tak bacznie i z tak bliska, wszak siedziała tuż obok mnie, że nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko spuścić oczy i skulić się w sobie. Czułam, że się rumienię, jakbym cała stanęła w

ogniu, schwytana w pułapkę, bezbronna obnażona.

Moje uporczywe milczenie ani Amaty nie zaskoczyło, ani nie rozgniewało. Ujęła mnie za rękę, uścisnęła i powiedziała:

– To nie są zwykłe oświadczyńy. Król Turnus to młodzieniec wielkiego serca. Przemawia nie tylko we własnym imieniu, ale i w imieniu pozostałych młodych królów i wojowników, którzy do nas zjeżdżali, by się o ciebie starać: Mesaposa, Awentynusa, Ufensa i Klauzusa Sabińczyka. Celem Turnusowego posłania jest uniknięcie sporów i niesnasek między tymi potężnymi poddanymi i sprzymierzeńcami Lacjum. Uważają oni, że nadszedł czas, by król wybrał dla ciebie małżonka spośród ich grona, co zakończy tę zgubną rywalizację. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że przystaną na jego wybór. On sam wkrótce po ciebie przyśle, by ci zakomunikować swoją decyzję.

Mogłam tylko skłonić głowę.

– Dla twojego ojca to decyzja niełatwa do podjęcia – Amata powiedziała to spokojniejszym tonem, bez nerwowego pośpiechu, ponieważ zasadnicza wiadomość została mi już przekazana. – Jest do ciebie bardzo przywiązany, nie chce cię tracić z domu. Ale martwi go też bardzo rywalizacja, o której wspomina Turnus. Nie sypia po nocach, obawia się, by młodzi rycerze z twojego powodu nie skoczyli sobie do gardeł lub nie spróbowali zmusić go siłą do dokonania wyboru, co zburzyłoby spokój w królestwie. Ci młodzi są zapalni jak hubka. Jedna iskra może poderwać ich do walki. Tymczasem twój ojciec jest bardzo dumny z pokoju, który zaprowadził i pragnie dalej utrzymywać. Jest już starym człowiekiem, nie myśleć mu o wojaczce. Tak naprawdę potrzebuje ducha i siły młodego mężczyzny, ażeby go bronił... potrzebuje zięcia. Któr-

ry z nich wydaje ci się najgodniejszy tego zaszczytu?

Pokręciłam bezradnie głową. W gardle mi zaschło, nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

– Właśnie o to cię zapyta, Lawinio. Musisz być przygotowana. Nie wyda cię przecież za kogoś, do kogo nie czujesz sympatii, wiesz o tym. Przyszła jednak pora, abyś poszła za męża. Najwyższa pora. Nic na to nie poradzimy. Więc musisz wybierać. Wybór naprawdę należy do ciebie. Ojciec na pewno nie postąpi wbrew twojej woli.

– Wiem.

Wstała i przeszła się po pokoju. Wzięła ze stołu jeden z małych słoiczków z pachnidłami, podeszła i skropiła mi nadgarstki rąk olejkiem różanym.

– To bardzo miłe, kiedy młodzi mężczyźni o ciebie rywalizują – powiedziała z uśmiechem. – Wiem, pewnie ci żal, że to się wkrótce skończy. Lecz ta przyjemność nie może trwać wiecznie. Kiedy stajemy przed trudnym wyborem, on zwykle sam się narzuca. Pośród tych wszystkich młodych kandydatów do twojej ręki jest tak naprawdę tylko jeden, który się liczy. Ten jedyny. Pożądany.

Uśmiechnęła się radośnie. Pomyślałam, że wygląda jak dziewczyna, która mówi o swym oblubieńcu.

Nadal milczałam, więc odczekawszy chwilę, podjęła:

– Cóż, moja droga, mnie nie musisz oznajmiać swojego wyboru, ale będziesz musiała przedstawić go ojcu... albo pozwolić, by wybrał za ciebie.

Kiwnęłam głową.

– Czy chcesz, byśmy wybrali za ciebie?

Jej głos wręcz kipiał ochotą. Wciąż nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

– Aż tak się boisz? – zapytała z troską. Usiadła obok i przytuliła mnie, czego nigdy nie robiła, odkąd skończyłam sześć lat. Nie potrafiłam się rozluźnić, siedziałam w jej ramionach zeszywniała jak kłoda. – Och, Lawinio, Turnus będzie dla ciebie miły, będzie dobry. Jest taki delikatny... urodziwy! Nie masz się czego bać. Zresztą będziecie mogli często nas odwiedzać. A i ja będę odwiedzała was w Ardei, serdecznie mnie już zapraszał. Wychowałam się tam. To piękne miasto, sama zobaczysz. Będiesz się tam czuć jak we własnym domu. Turnus będzie dbał o ciebie jak rodzony ojciec. Będiesz z nim szczęśliwa. Nie masz się czego lękać. Ja przecież pojedę z tobą.

Wysunęłam się z jej objęć i szybko wstałam. Musiałam się od niej natychmiast uwolnić.

– Matko, pomówię o tym z ojcem, gdy mnie wezwie – powiedziałam i wybiegłam z pokoju. W uszach mi dzwoniło, a palący rumieniec zmienił się w lodowate tchnienie, które przeniknęło mnie do szpiku kości.

Kiedy przebiegałam pod kolumnadą, zwrócił moją uwagę jakiś rwetes na dziedzińcu. Wokół drzewa laurowego skupiła się gromada domowników. Usiłowałam przemknąć niepostrzeżona, ale wypatrzyły mnie najpierw Westina, a potem Tita.

– Chodź, chodź, coś zobaczysz! – zaczęły krzyczeć i zaciągnęły mnie pod drzewo.

Coś tam utkwilo, wysoko w gałęziach, jakieś puchate ciemne zwierzę... jakby olbrzymi, kłębiący się wór... albo jakby w gałęziach uwięzła

chmura ciemnego, gęstego dymu. W dodatku chmura szumiąca, brzęcząca. Ludzie krzyczeli jeden przez drugiego i wskazywali tę chmurę palcami.

– Pszczoły! – krzyczeli. – Rój pszczół!

Na dziedziniec wyszedł mój ojciec, poważny, siwowłosy, dostojnie wyprostowany. Spojrzał w górę na wielki rój, który tętnił, wyrzusał się i wciąż zmieniał kształty na wierzchołku laurowego drzewa. Spojrzał na prawdziwe chmury zabarwione już łuną zachodu.

– Czy to nasze pszczoły? – zapytał.

Kilka głosów zaprzeczyło. Rój nadleciał znad dachów miasta „Jakby wielki kłąb dymu na niebie” – opisał ktoś z zebranych.

– Zawołaj Kastusa – polecił Latynus niewolnikowi, który mu towarzyszył. – Pszczoły zbierają się na noc. Kastus potrafi je przenieść.

Chłopiec ruszył biegiem, żeby sprowadzić naszego pszczelarza.

– To znak, panie, znak! – zawołała matka Maruny. – Pszczoły usiadły na koronie drzewa, które jest koroną Laurentum! Co to może znaczyć?

– Z której strony przyleciały?

– Z południowego zachodu.

Zaległa krótka, wezbrana oczekiwaniem cisza. Po czym mój ojciec przemówił:

– Jacyś obcy przybysze zbliżają się od tamtej strony... zapewne mo-
rzem. I przybędą do domu króla.

Jako głowa rodziny, miasta i państwa Latynus był biegły w odczytywaniu wróżb. Nie używał do tego żadnych tajemniczych środków, nie czynił żadnych specjalnych przygotowań, jak zwykli robić etruscy

wieszczkowie. Przyglądał się znakowi, odczytywał ukrytą w nim przepowiednię i ogłaszał ją bez żadnych wahań, z prostotą i powagą.

Domownicy wyglądali na usatysfakcjonowanych. Spora gromadka pozostała na dziedzińcu. Ludzie rozmawiali na temat proroczego znaku, odganiaли z włosów zbłąkane ospałe owady, ciekawi, jak Kastus będzie ogarniał rój, żeby przenieść go do naszych uli.

Latynus dostrzegł mnie i rzekł:

– Chodź ze mną, córko.

Pośpieszyłam za nim do jego mieszkania. Zatrzymał się przedsiönku przy małym stoliku, zwrócony do mnie twarzą. W otworze drzwi płonęła wieczorna zorza.

– Czy matka już z tobą rozmawiała, Lawinio?

– Tak.

– Więc już wiesz, że kandydaci do twojej ręki porozumieli się między sobą i zwrócili do mnie z prośbą, bym spośród nich wybrał małżonka dla ciebie?

– Wiem.

– Czy możesz mi zatem powiedzieć – zapytał z wymuszonym uśmiechem – którego z nich wybierasz?

– Nie.

Nie przemówiłam hardo, a jednak moja odmowa zaskoczyła go.

Przyglądał mi się przez chwilę uważnie.

– Ale przecież wyróżniasz któregoś?

– Nie, ojczu.

– A Turnus?

Pokręciłam przecząco głową.

– Twoja matka powiedziała mi, że go kochasz.

– Nieprawda.

Znowu go zaskoczyłam, lecz miał dla mnie dużo cierpliwości.

– Czy jesteś pewna, moja droga? – zapytał miękko. – Twoja matka powiedziała mi, że pokochałaś go od pierwszego wejrzenia, już w czasie pierwszej wizyty, gdy przyjechał starać się o twoją rękę. Uprzedziła mnie też, że będziesz się wstydziła do tego przyznać. Ale to dobrze, taka skromność przystoi dziewczycy. Nie musimy o tym rozmawiać. Wystarczy, jeśli dasz mi do zrozumienia, że będziesz zadowolona, jeśli przyjmę jego oświadczenia.

– Nie będę!

Teraz był naprawdę zdumiony, wręcz zaniepokojony.

– Więc jeśli nie Turnus, to który z nich?

– Żaden.

– Chcesz, żebym wszystkim odmówił?

– A mógłbyś, ojcze?

Z posępną miną przeszedł się wokół pokoju, zgarbiwszy barczyste, muskularne ramiona. Chodząc, pocierał dłonią policzek. Jeszcze się nie ogolił i na jego brodzie jeżyła się siwa szczecina. W końcu zatrzymał się przede mną.

– Owszem, mógłbym – powiedział. – Przecież wciąż jestem królem Lacjum. Dlaczego zadałaś mi to pytanie?

– Bo wiem, że propozycja Turnusa zawiera też groźbę.

– Można tak powiedzieć. Ale tym się nie musisz przejmować. Czego więc chcesz, co zamierzasz, Lawinio? Masz osiemnaście lat. Nie możesz żyć w nieskończoność jako panna przy rodzicach.

– Wolałabym zostać westalką, niż poślubić któregoś z tych mężczyzn.

Westalką nazywamy kobietę, która postanawia nie wychodzić za mąż albo nikt się jej nie oświadczył, która mieszka przy rodzinie ojca i opiekuje się ogniskiem domowym.

Westchnął i spojrzał na swą dużą, poznaczoną bliznami dłoń, którą położył na stole. Przypuszczam, że musiał walczyć z pokusą, by się na to zgodzić, bo dzięki temu zatrzymałby mnie przy sobie. W końcu rzekł:

– Gdybym nie był królem... gdybyś nie była jedynaczką... gdyby żyli twoi bracia... moglibyśmy rozważyć tę możliwość. Ale ponieważ jesteś moim jedynym dzieckiem, jedyną córką, musisz wyjść za mąż, Lawinio. Jesteś dziedziczką mojej władzy, potęgi naszej rodziny, nie możemy o tym zapominać.

– Daj mi jeszcze rok.

– Za rok staniesz przed identycznym wyborem.

Nie znalazłam na to odpowiedzi.

– Turnus jest z nich najlepszy, Lawinio. Mesapos będzie zawsze chodził na jego pasku. Awentynus jest miłym chłopcem, nawet mu ładnie w tej lwiej skórze, ale brakuje mu rozumu. Co do Ufensa, nie zamierzasz chyba spędzić życia w tych Jego górach? Nie pošlę cię też między tych krętaczy, Sabinów. Pozostaje Turnus. Zresztą to prawdopodobnie najlepsza partia w Lacjum. Sprawnie rządzi swoim królestwem, budzi respekt jako wojownik, jest bogaty. Do tego urodziwy. Wiem, że uważają tak wszystkie kobiety. No i jest naszym krewnym. Twoja matka twierdzi, że jest w tobie na zabój zakochany.

Popatrzył na mnie z nadzieją, lecz ja umknęłam w bok z oczami.

– Powtarza mi wszystkie pochwały, jakie ów młodzian na twój temat wyśpiewuje. Uważa, że jest tak zdeterminowany, aby cię dostać za żonę, że jeśli cię wydam za kogoś innego, gotów wznieść bunt mimo porozumienia, które między sobą zawarli. Amata może mieć rację. To człowiek ambitny, pewny siebie. Zresztą nie bez podstaw. Twoja matka czyniła mu znaczne awanse. Prawdę mówiąc, jeśli wybierzesz innego, to ona może się nam zbuntować. – Usiłował obrócić to stwierdzenie w żart, lecz to nie był żart. Dostrzegłam smutek w jego oczach. – Bardzo jej leży na sercu twoje szczęście i dobro naszego królestwa – dodał.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, jakiego użyć argumentu.

– Daj mi jeszcze pięć dni, ojciec – poprosiłam słabym, zachrypniętym głosem.

– I po tym czasie oznajmisz mi swoją decyzję?

– Tak.

Objął mnie krzepkimi ramionami i pocałował w czoło. Poczułam ciepło jego ciała i znajomy zapach, ciepki, kochany, darzący otuchą, jak latem zapach ziemi na wzgórzach.

– Jesteś światłem moich oczu, córeczko – szepnął.

Rozplakałam się. Pocałowałam go w rękę i uciekłam z płaczem do kobiecej części domu. Wszyscy domownicy zebrali się na dziedzińcu i przyglądali się w zmierzchowym świetle, jak Kastus przemawia do roju, zbierając go nad fontanną w brzęczącą czarną kulę, cienistą, rozkołysaną, gęstniejącą w coraz mniejszy, ciasniejszy krąg, w miarę jak wypowiadał swe zaklęcia i sposobił się, by schwycić w nią pszczoły.

Okres tych pięciu dni okropnie mi się dłużył, tym bardziej że unikałam w tym czasie towarzystwa. Tylko raz wymknęłam się z domu i pobiegłam na farmę Tyrrusa. Sylwia była zajęta w mleczarni. Namówiłam ją, żeby wyszła ze mną na spacer. Chciałam z nią porozmawiać o wyborze, przed jakim stanęłam, o czym oczywiście wiedziała. Wszyscy o tym wiedzieli. W królewskim pałacu trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Toteż wszyscy wiedzieli i to, że jej brat Almo nie znalazł się na liście kandydatów, jaką Turnus przedstawił memu ojcu. Ujrzawszy mnie, miała pewnie nadzieję, że poproszę ją, by go uspokoiła, zapewniała, że właśnie jego wybrałam, trzeba jednak, by osobno poprosił Latorynusa o moją rękę. Jej rodzina mierzyła naprawdę wysoko, skoro uznała, że moja przyjaźń z Sylwią upoważnia ich syna do sięgania po tak wysokie koligacje. Prawda, między nami, młodymi, panowała równość, lecz nie przenosiła się ona w świat królów i królowych, panów życia i śmierci w naszym państwie.

Zrozumiawszy, że nie zamierzam wybrać żadnego z zalotników, Sylwia jęła z żarem przemawiać za bratem. Kiedy pokręciłam głową i powiedziałam: „Nie, Sylwio, jego również nie chcę”, zaczęła się dopytywać o przyczynę mojej odmowy. Czyż nie okazywałam mu zawsze sympatii, za co mnie w końcu pokochał? Czy do mnie nie dorasta? I tak dalej, i temu podobne.

– Lubię go bardziej niż tamtych – zapewniłam – ale na męża go nie chcę. A gdybym nawet chciała, gdybym go wybrała, wydałabym nań tym samym wyrok śmierci, gdyż Turnus spadłby na niego jak jastrząb na mysz.

Porównanie było niemądre i Sylwia poczuła się urażona.

– Nawet gdyby twój ojciec nie zechciał bronić mojego brata, sądzę, że i w naszym domu znalazłoby się dość mężnych wojowników – stwierdziła chłodno.

– Och, Sylwio, przecież to ja jestem myszą... pełną myszką w porze sianokosów, gdy zniwiarze ogałacają ziemię... Widać mnie jak na dłoni, nie mam się gdzie schować. Biegam w kółko, kręcę się we własnej głowie i nie mogę znaleźć dla siebie kryjówki. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę Turnusa o niebieskich oczach, z tym jego uśmieszkiem, a moja... – Ugryzłam się w język. – Moja matka mu ufa – zakończyłam.

– A ty nie? – spytała z zaciekawieniem.

– Nie. Brakuje mu pobożności. Myśli tylko o sobie.

– Dziwisz się? Jest bogaty, przystojny, jest królem. – Jej ironia wobec Turnusa była wolna od jadu złośliwości, ale dla mnie Sylwia nie znalazła współczucia. Czuła się zraniona w imieniu brata i nie zamierzała mi tego tak łatwo wybaczyć.

Domyślała się prawdopodobnie, że umieram ze strachu, lecz nie kwapiła się z pytaniem, czego mianowicie się boję, więc nie mogłam z nią o tym porozmawiać, jak tego pragnęłam.

Mimo to rozstałyśmy się w przyjaźni. Zapewne w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że Almo mierzył za wysoko i że istotnie naraziłby siebie i swoją rodzinę na śmiertelne niebezpieczeństwo, sprzątając Turnusowi sprzed nosa upatrzoną zdobycz. Gdyśmy się żegnały, przytuliła mnie serdecznie i pocałowała.

– Jakże mi przykro – westchnęła – że wszystko tak się pokomplikowało. Wołałabym, żeby na świecie nie było w ogóle żadnych mężczyzn! I żebyśmy mogły we dwie wybrać się nad rzekę, jak ubiegłej

wiosny!

– Może jeszcze się wybierzemy – powiedziałam, lecz w sercu czułam smutek. Pocałowałam ją i tak się rozstałyśmy.

Wracałam do domu przez pola, powstrzymując płacz. W ostatnim czasie byłam prawie stale na granicy łez i już mi to obrzydło. Na całym świecie nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, kto potrafiłby mnie zrozumieć... nikogo poza poetą. Mogłaby mnie zrozumieć Maruna, może zresztą naprawdę rozumiała, z nią jednak nie mogłam przecież rozmawiać o mojej matce. Prosić niewolnicę, żeby rozmawiała lub tylko słuchała o hańbie swego pana, znaczyłoby wystawiać ją na niebezpieczeństwo. Wśród domowej służby zawsze się znajdują jacyś plotkarze, lizusi. Nie mogło być inaczej, bo nie ma w królewskim pałacu pomieszczenia, którego ściany nie miałyby uszu. Wiedziałam, że Maruna żywi dla mnie współczucie, i bardzo mnie to pokrzepiało, ale nie mogłam się jej zwierzyć. Byłam bezsilna.

Większość kobiet i dziewcząt najzwyczajniej nie umiała pojąć, dlaczego nie skaczę z radości po propozycji Turnusa. Stara Westina codziennie wychwalała go pod niebiosa, zawsze przy wtórze westchnień i dwuznacznych śmieszków. Nie ustawały też naciski najgorliwszej agitatorki na rzecz Turnusa, mojej matki, aż minęły cztery dni i miałam nazajutrz ogłosić swój wybór. I właśnie wtedy Amata objawiła dawną do mnie złość w nagłym wybuchu furii, takim jak przed laty. Przyszła do mojej sypialni, ledwo zdążyłam położyć się do łóżka. Była w nocnej koszuli i niosła przed sobą małą lampkę oliwną, której płomyk nie był większy od pączka kapara. Stała nade mną znienacka – wysoka, w luźnej białej koszuli, z rozpuszczonymi czarnymi włosami okalającymi

białą twarz.

– Nie wiem, jaką ty grę prowadzisz, Lawinio, ani jak długo zamierzasz wodzić za nos własnego ojca – wysyczała zduszonym, ochrypłym głosem – ale przyszedłam ci oświadczyć, że poślubisz Turnusa i zostaniesz królową Ardei. Nie potrzebujesz stroić fochów ani użalać się nad sobą. Jeśli nie lubisz Turnusa, nie szkodzi, ty chyba również niezbyt przypadłaś mu do gustu. To polityczne małżeństwo, nie gorący romans. Dziewczyna taka jak ty ma tylko jedną powinność: wyjść dobrze za mąż. Nie jesteś w tym względzie wyjątkiem. Więc spełnij swój obowiązek, jak ja go spełniałam. Jeśli zmarnujesz tę okazję, nigdy ci tego nie wybaczę!

Przeraziło mnie nawet nie to, co powiedziała, ale jej ton i postawa. Stała tuż obok łóżka i cały czas czułam, że ma ochotę uderzyć mnie, rozorać mi twarz paznokciami, jak to już kiedyś przed laty zrobiła. Mówiła głosem rozedrganym od emocji, jadowitym, głośno przy tym dysząc.

– Powiedz, że poślubisz Turnusa! Powiedz, że go poślubisz!

Milczałam. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

Wtedy wyrwał się z niej jakiś dziwny dźwięk, coś w rodzaju zgrzytliwego jęku. Nagle odwróciła się na pięcie i wypadła z pokoju.

Po jakimś czasie wstałam i wyszłam na dziedziniec. Nie mogłabym już zasnąć w tym łóżku. Cały dom spał. Usiadłam na drewnianej ławie pod wawrzynem i przyglądałam się gwiazdom wędrującym powoli nad dachami Regii. Miałam wrażenie, że chłód gwiazdzistej nocy wpłynął do mej głowy i sprawił, że moje myśli stały się jasne i zimne. Zrozumiałam, że muszę poślubić Turnusa, że to nieuchronne. Przyjmując

innego kandydata, wywołałabym w ojczyźnie wojnę domową. Umowa, jaką zawarł z pozostałymi zalotnikami, nie miała znaczenia. To on musiał wygrać, triumfować, być górą. Za nic by nie pozwolił, żeby inny mężczyzna zdobył kobietę, do której rościł sobie prawo Turnus. Małżeństwo było moim obowiązkiem, przeznaczeniem. Matka miała rację, nawet jeśli przemawiała w swoim, nie w moim interesie.

Rano powiem ojcu, że godzę się, by przyjął oświadczyny Turnusa.

Wielkie Niedźwiedzie stały wysoko nad rzeką ojcem, nad całą Etrurią. Liście wawrzynu szeleściły w łagodnych powiewach nocnego wiatru. Myślałam o tamtych trzech niezwykłych nocach w Albunei. W ciemnościach wisiał zapach siarkowych wód, a ja siedziałam na ziemi i rozmawiałam z cieniem umierającego człowieka, który jeszcze nie był się narodził, a już znał moją przeszłość, przyszłość, moją duszę. I wiedział, za kogo powinnam wyjść za mąż: za prawdziwego bohatera. Lecz teraz, tej nocy, tutaj, na dziedzińcu rodzinnego domu, to wszystko wydało mi się odległe, nieostre i niejasne, jak zwodniczy sen, który nie ma nic wspólnego z moim prawdziwym życiem. Nie będę o tym więcej myślała, postanowiłam. Już nigdy nie wrócę do Albunei.

Przez chwilę słyszałam w pamięci tamten głos, niepodobny do żadnego innego. Kiedy poeta zjawił się po raz pierwszy w świętym kręgu przy leśnym ołtarzu Albunei, powiedział mi, że Faunus przemówił w tym miejscu do króla Latynusa, ostrzegając go, żeby nie wydawał córki za mieszkańca Lacjum. Spostrzegłszy, jak ta nowina zaskoczyła mnie i zatrwożyła, dodał szybko: „Przypuszczam, że to się jeszcze nie zdarzyło. Faunus jeszcze nie rozmawiał z Latynusem. Może się zresztą nigdy nie zdarzyło... i nigdy nie zdarzy?”. A potem dorzucił, że pewnie sobie to

wszystko uroił, pewnie przyśnił mu się sen wewnątrz innego snu.

Ja też sobie to wszystko uroiłam. To się nie zdarzyło. I nigdy nie zdarzy. Żłudne sny, wizje, głupstwa, majaczenia.

Dachy stały smoliście czarne na tle blednącego na wschodzie nieba, kiedy wróciłam do swojego pokoju i położyłam się, by trochę odpocząć.

To był dzień świętych obrzędów, więc wstałam przed wschodem słońca. Włożyłam togę bramowaną purpurą, którą nosiłam jako dziecko i wciąż wkładałam do religijnych posług. Ubrawszy się, poszłam obudzić ojca. Stałam pod jego drzwiami i zawołałam, jak nakazuje tradycja:

– Czy obudziłeś się już, królu? Obudź się, obudź!

Latynus wyszedł bez zwłoki. Miał na sobie togę podobną do mojej, jej połę zarzucił na głowę, jak należy czynić podczas modłów, po czym poszliśmy oboje do ołtarza w atrium.

Towarzyszyło nam paru domowników, wśród nich moja matka, która na ogół nie brała udziału w domowych obrzędach. Stała tuż za mną, kiedy sypałam na ołtarz sól ofiarną. Miałam wrażenie, że chce być blisko mnie, mieć mnie na oku pod ręką, przez cały ten dzień, dopóki nie dopnie swego. Czułam ciepło i nacisk jej ciała na plecach; miałam ochotę uciec. Przysunęłam się bliżej ojca, który zanurzył właśnie umaczany w smołę patyk w ogniu Westy i wznosił go, wypowiadając święte zaklęcia, aby zapalić pochodnie na ołtarzu. Nie wiem, czy to smoła prysnęła czy powiał wiatr, czy może zadrżała mu ręka, dość, że nagle dostrzegłam wokół siebie jakąś dziwną zmianę, jakby mnie objęła migotliwa, rozwichrzona jasność. I usłyszałam krzyki:

– Lawinia! Włosy jej się palą... Ona płonie!...

Podniosłam ręce i poczułam w powietrzu wokół głowy jakieś niezwykle, miękkie poruszenie. Wokół mnie skakały i tańczyły iskry, poczułam też swąd dymu. Obejrzawszy się, zobaczyłam przez żółtą ciemną chmurę sylwetkę matki, która stała za mną bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w coś ponad moją głowę. Odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki, byle dalej od niej. Przebiegłam między ludźmi i przez atrium wybiegłam na dziedziniec. Frunął za mną płomień i żółty dym, sypały się iskry, ludzie krzyczeli, usłyszałam głos ojca wołający mnie po imieniu. Dobiegłam do basenu fontanny pod drzewem laurowym i upadłszy na kolana, zanurzyłam w wodzie twarz i włosy.

Ojciec dobiegł do mnie, ukląkł, pomógł mi się podnieść.

– Lawinio, moja kochana, moja córuchno – szeptał. – Jesteś ranna, poparzona? Pozwól, niech obejrzę.

Byłam oszołomiona, mimo to dostrzegłam zdumienie wylaniające się na jego twarzy spod grymasu przerażenia. Przesunął dłonią po mojej mokrej głowie, po ociekających, zlepionych wodą włosach.

– Czy to możliwe, byś nie odniosła żadnych obrażeń?

– Co to było, ojcze? Widziałam ogień...

– Ogień pojawił się nad twoją głową. Szalejący płomień. Myślałem, że to włosy... że zajęły się od pochodni... Nie jesteś ranna? Poparzona?

Dotknęłam głowy. Kręciło mi się w niej, ale czaszka i włosy wydawały się nienaruszone, ociekały jedynie wodą. Nic się nie spaliło poza skrajem togi, którą zarzuciłam na głowę przed ołtarzem. Cały róg białej wełny z purpurowym szlakiem był zwęglony.

Tymczasem otoczyli nas pozostali domownicy, zapewnili dziedzi-

niec, przekrzykiwali się, płakali, zadawali pytania i sami na nie odpowiadali. Moja matka stała pod pnem wawrzynu z nieruchomą, pozabawioną wyrazu twarzą. Ojciec spojrział na nią i powiedział:

– Nic jej się nie stało, Amato. Jest cała i zdrowa.

Coś odpowiedziała, nie dosłyszałam co. Przcisnęła się do mnie matka Maruny. Uklękła obok i zaczęła ostrożnie dotykać mojej głowy i policzków. Miała do tego prawo jako uzdrowicielka. Potem popatrzyła na mojego ojca i powiedziała surowo, władczo:

– To był widomy znak, królu. Odczytaj przepowiednię!

Posłuchał niewolnicy. Wstał, spojrział na mnie, potem w górę na wielkie drzewo.

– Będzie wojna – rzekł.

Wszyscy ucichli, kiedy to powiedział.

– Wojna – powtórzył, a potem, jakby walczył z własnymi słowami lub jakby one wbrew jego woli wydzierały mu się z krtani: – Wielka chwała, wielka sława ukoronuje Lawinię. Ale jej naród czeka wojna.

Powoli uciszli się wszyscy i zapanował spokój. Ludzie rozchodzili się, omawiając ostatnie wydarzenia, do swych porannych zajęć. Westina zabrała mnie ze sobą, żeby wysuszyć mi włosy, a przy okazji napłakać się nade mną, naużalać. Tymczasem moja bramowana purpurą toga z nadpalonym, szerniałym rogiem przechodziła z rąk do rąk niewolnic, które cmokały nad nią z niedowierzaniem.

Przerwany obrzęd należało rozpocząć od nowa i doprowadzić do końca. Ta powinność tak mnie dręczyła, że w końcu wyrwałam się kobietom i wybiegłam, chcąc pomóc ojcu. On jednak niezwłocznie odesłał mnie z powrotem do babinca, polecając, bym w zamian przysłała mu Marunę. Powinnam odpocząć, stwierdził, dopiero potem mam się u niego stawić.

Nawet się ucieszyłam, bo cała się trzęsłam i kręciło mi się w głowie.

– Chyba powinnam coś zjeść – oznajmiłam, wróciwszy na stronę kobiecą, na co Westina zakrzyknęła:

– Oczywiście, oczywiście, moje ty biedactwo! – Zaraz też posłała służki po twaróg, miód, kaszę orkiszową. Spałaszowałam to wszystko i od razu poczułam się lepiej.

Przez cały czas była z nami w pokoju moja matka, lecz nie brała udziału w rozmowach, zaprzątnięta krosnem. Byłam dobrą prząśniczką, przędłam nici równie mocne i proste jak inne kobiety, ale przy krośnię szło mi nie najlepiej. Amata była zdecydowanie najlepszą tkaczką pośród nas, pracowała szybko w równym rytmie i w skupieniu. Kiedy tkła, zapominała o bożym świecie, a jej twarz stawała się spokojna, wręcz uduchowiona. Najcieńsza wełna, jaką przędłam przez całą wio-

snę, była przeznaczona na tkaninę, nad którą właśnie pracowała, szeroki białym najdelikatniejszej białej materii, takiej, której kilka łokci można ścisnąć w garści i przewlec przez oko pierścienia. Kiedy kobiety zaczęły w końcu plotkować o czymś innym niż tylko o tajemniczym płomieniu i żółtym dymie, który płynął za mną skłębioną smugą, gdy biegłam w stronę fontanny, o iskrach, które pryskały po całym domu, a jednak nie się od nich nie zapaliło, matka odwróciła się od krosna i przywołała mnie skinieniem. Podeszłam do niej.

– Czy wiesz, co to będzie, Lawinio? – zapytała z jakimś dziwnym, rozmarzonym, niemal kokieteryjnym uśmiechem.

Domyśliłam się odpowiedzi, ledwo mi zadała to pytanie. Lecz udzieliłam innej:

– Letnia palla.

– Twoja suknia ślubna. Włóżysz ją na ceremonię zaślubin. Zobacz, jaka mięciutka.

– Cokolwiek ty utkasz, jest zawsze piękne, matko.

– Będziesz ją nosiła, idąc za męż. Za niego, za niego – powiedziała niemal tak, jakby to był refren jakiejś pieśni, po czym obróciła się do krosna i wzięła do ręki czółenka. A tkając, podśpiewywała sobie pod nosem tę prawie piosenkę: – Będziesz ją nosiła, idąc za męż, za niego, za niego.

Okolo południa poszłam sama do mieszkania ojca. Przechodząc przez dziedziniec, zatrzymałam się pod drzewem laurowym i poprosiłam duchy drzewa i źródła, nasze lary domowe i moje kochane penaty, aby przy mnie stały i wspierały mnie. Wszystko, co tak wyraźnie pomyślałam i zrozumiałam ubiegłej nocy, siedząc na ławce pod gwiazda-

mi, moje stanowcze i rozsądne postanowienie, rozwiało się, splonęło w obłoku chłodnego płomienia, w kłębie żółtego dymu. Wiedziałam, co muszę powiedzieć, ale potrzebowałam pomocy, aby się na to zdobyć.

Ojciec objął mnie i jeszcze raz zapytał z troską, czy nic mi się nie stało, czy nie jestem ranna, poparzona, czy otrząsnęłam się już z szoku.

– Czuję się dobrze, ojcze – zapewniłam. – Byłam tylko okropnie głodna. Zjadłam wszystko, co kobiety przyniosły mi z kuchni. – To go uspokoiło, na co zresztą liczyłam. – Czy mogę teraz porozmawiać z tobą o kandydatach do mojej ręki?

Usiadł na skrzyni pod ścianą i skinął poważnie głową.

– Powiedziałam, że poproszę cię dzisiaj, abyś mnie wydał za jednego z nich. – Potakujące skinienie. – Jednakże z powodu tego, co się dzisiaj stało... tej wróżby... proszę, abyś nie pytał mnie o mój wybór, ale poszedł do Albunei i zapytał o to tamtejsze bóstwa. Cokolwiek ci powiedzą, będę im posłuszna.

Przyglądał mi się poważnie spod gęstych, czarno-siwych brwi. Wysłuchał mnie, a kiedy skończyłam, zamyślił się na chwilę. Wreszcie skinął głową.

– Pójdę tam jeszcze dziś – powiedział.

– Czy mogę iść z tobą?

Znowu się zamyślił.

– Dobrze – rzekł z niezmierną powagą. Spojrzał na mnie z bladym uśmiechem i dodał: – We dwoje, jak kiedyś. Pamiętasz, kiedy poszliśmy tam po raz pierwszy? Byłaś jeszcze dzieckiem... – Uśmiechał się, lecz na jego twarzy malował się smutek. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Ucałowałam jego dłoń i powiedziałam:

– Będę gotowa do wyjścia, kiedy tylko zechcesz, ojczy.

– Ofiary... – zaczął. – To jest... będę potrzebował... jagnięcia... właściwie dwóch. Czy mamy jakieś białe cielę? Dwa jagnięta i białe cielę... co najmniej.

– Poślę po Dora, pasterza Tyrруса. To on pasie krowy i cielęta na tej długiej łące. O zwierzęta ofiarne sama się zatroszczę, ojczy.

– Dobrze. Dopilnuj tego. Jest kilka spraw, którymi muszę się tu zająć, zanim wyruszymy... Lepiej, żeby cielętko było czarne, Lawinio, jeśli uda się takie znaleźć. W takim miejscu lepsze będzie czarne.

„Takie miejsce” to Albunea, która leży tak blisko podziemnego świata, że cienie zmarłych z łatwością mogą tam przenikać z jednej na drugą stronę. W takim więc miejscu lepsze będzie czarne.

Tej wiosny owce okoczyły się wcześniej, toteż jagnięta, które mi pasterz przyprowadził, były już całkiem spore. Za to cielę, które przywiódł stary Doro, było małe, właściwie chucherko, nie całkiem też czarne, bo na nogach i pysku brązowawe. Nie było ofiarą nieskazitelną. Latynus zmarszczył się na jego widok.

– Jest pobożne, ojczy – powiedziałam. – Widzisz, jak za nami chodzi? Zresztą bardzo się starało być czarne.

Doro z powagą przytaknął mym słowom.

– To najczarniejsze cielę, jakie udało mi się znaleźć, królu – powiedział.

Latynus skinął więc tylko głową i wyruszyliśmy.

Włożyłam togę z nadpalonym rogiem, bo to była jedyna świąteczna toga, jaką posiadałam. Matka z roku na rok odkładała sporządzenie

purpurowego barwnika do przygotowania nowej. Ponieważ musieliśmy prowadzić zwierzęta, a pewnie i dlatego, że mój ojciec miał przeczucie zagrożenia, szliśmy sporą gromadą. Inaczej niż wtedy, gdyśmy przed laty wędrowali tam we dwoje i Latynus wiódł młode jagnię, albo gdy odbywałam tę drogę jedynie z Maruną. Maruna towarzyszyła mi i teraz, ale oprócz niej szli też z nami Doro z cielęciem, pastuszek z jagniętami, dwaj niewolnicy niosący dary ofiarne oraz trzech strażnicy ojca, którzy na co dzień strzegli wejścia do Regii i podróżowali z nim zbrojnie, ilekroć odwiedzał inne miasta albo innych królów. Tytułowali się jego jeźdźcami, rycerzami, i każdy z nich istotnie trzymał konia w królewskiej stajni. Ta wyprawa miała jednak cel religijny, szliśmy więc piechotą.

Wędrowaliśmy tak gęsiego przez resztę dnia, aż do zmroku. Dotarłszy do strumienia Prati, ruszyliśmy dalej w górę jego biegu, a ja przypomniałam sobie kamienisty bród na rzece, gdzie zobaczyłam we śnie krew spływającą z wodą.

Rycerze, Maruna i niewolnicy zatrzymali się na skraju lasu. Mężczyźni mieli tam obozować, Maruna zamierzała pójść do chaty drwala. Doro i pastuszek prowadzili zwierzęta, Latynus i ja nieśliśmy inne ofiary i tak zagłębiliśmy się w las Albunei.

Zanim wszystkie ofiary zostały złożone, zapadła ciemna noc. Ogień na ołtarzu i pochodnie były teraz jedynymi źródłami światła w zalegającym pod drzewami mroku. Doro i pastuszek zabrali oskórowane zwierzęce trupy i zawrócili do obozu, gdzie wraz z pozostałymi mieli się uraczyć pierwszą mięsną ucztą. Ojciec odwrócił pochodnie i zgasił w ziemi ich płomienie. Potem stanął przy ołtarzu, na którym wciąż pło-

nał ogień podsycany ofiarnym tłuszczem. Narzucił na głowę połę togi i zaczął mamrotać słowa modlitwy. Ja siedziałam na skórze jednego z jagniąt i słuchałam. Czekałam z niecierpliwością i obawą, kiedy odezwie się głos dziadka i odpowie mojemu ojcu spomiędzy pociemniałych, milczących drzew.

Poprzedniej nocy prawie nie spałam, dzień miałam za sobą długi i pełen niezwykłych wrażeń, toteż oczy kleiły mi się ze zmęczenia. Obserwowałam, jak złocisty płomyczek na ołtarzu chwieje się i rozmywa. Potem położyłam się na plecach i patrzyłam na ujęte w korony drzew niebo tak gęste od gwiazd, jak morska plaża jest gęsta od piasku; zwirowisko białych ogników. Ono również chwiało się i zacierało.

A potem się ocknęłam. Gwiazdy wciąż płonęły, ale już inne. Ogień zgasł. Gdzieś w oddali zahukała sowa, hu-huu, a druga jej odpowiedziała z jeszcze większego oddalenia, hu-hu.

Był tam. Cień. Stał między mną a ołtarzem. Wysoka sylwetka macyzła mgliście w półmroku gwiazd. Dalej, pod murkiem, dojrzałam lśnienie brązu na nieruchomej bryle: to mój śpiący na ziemi ojciec. Powietrze było zimne, jak na godzinę przed świtem.

– Oto pora, kiedy umierają konający – odezwał się bardzo cicho mój poeta.

Usiadłam, by lepiej go widzieć. Byłam wystraszona, przygnębiona. I nie wiedziałam dlaczego, i zarazem wiedziałam.

– Więc umierasz? – spytałam szeptem.

Pokiwał głową.

Skinienie głową to taka drobna rzecz, może tak mało znaczyć, a przecież jest gestem zgody, zachęty, otwarcia. Gestem siły, przyzwolen-

nia. Tym gestem – którego imieniem słowo „tak” – przyzywa się numen, boską moc.

– Nie mam zbyt wiele czasu – powiedział.

– Och, chciałabym... – Niestety, chęci były tu na nic.

– Do twojego ojca ojca przemówił Faunus – ciągnął, a w jego głosie, który był tylko duchem głosu, odezwał się duszek rozbawienia.

– Zatem...

– Nie wyjdiesz za Turnusa. Nie obawiaj się.

Wstałam zwrócona do niego twarzą. Choć przemawiał tak łagodnie, mnie wciąż nie opuszczał lęk.

– I co teraz będzie?

– Wojna. Rój pszczoł przysiadł na wielkim drzewie. Królewska córka biegła przez dziedziniec domu z płonącymi włosami, rozsiewając iskry i dym. A za nią biegły wojna i sława.

– Dlaczego koniecznie wojna?

– Och, Lawinio, cóż za kobiece pytanie! Dlatego, że mężczyźni są mężczyznami.

– Więc Eneasza przybywa, żeby na nas napaść?

– Jasne, że nie. Przybywa w pokoju, chce zaproponować przymierze twojemu ojcu, ciebie poślubić, osiąść tu i założyć rodzinę. Przynosi ze sobą swe domowe bóstwa. Lecz niesie również miecz. Toteż będzie wojna. Bitwy, oblężenia, rzezie, branie jeńców, pożogi i gwałty. Wystąpią mężczyźni, którzy chępią się i grożą, a potem mordują śpiących. I tacy, którzy zabijają młodych chłopców. Uprawy zmarnieją na polach. Wszystko zło, do jakiego zdolny jest człowiek, zostanie wyrządzone. Sprawiedliwość, miłosierdzie... cóż to obchodzi Marsa?

Jego głos nabrał mocy, stał się nie tyle głośniejszy, ile zaskakująco ostry, gniewny, aż spojrzałam na ojca, by sprawdzić, czy się nie obudził. On spał jednak dalej, ani się poruszył.

– Mogę cię opowiedzieć o tej wojnie Lawinio. Czy chcesz? – I nie czekając na moją odpowiedź, jął opowiadać: – Zacznie się od tego, że chłopiec zabije w lesie jelonka. To dobry powód wojny, nie gorszy od innych. Pierwszy zginie młody Almo... znasz go przecież. Strzała prześzyje mu gardło, topiąc we krwi oddech i głos. Potem stary Galaesus, który jest bogaty i nawykły do posłuchu, spróbuje powstrzymać walczących, wejdzie między nich, a oni w nagrodę za jego dobre chęci zmasakrują mu twarz. Potem Turnus dojrzy swoją szansę i walka rozgorzeje na dobre. Nikt tam nie będzie oszczędzał przeciwnika, nawet choćby błagał o darowanie życia. Ilioneus zabije Lucetiusa, Liger zabije Emationa, Asilas zabije Koryneusa, Caeneus zabije Ortygiosa. Turnus zabije Caeneusa, Itysa, Kloniosa, Dioksispossa, Promolosa, Sagarisa i Idasa. Z przebitych płuc wychluśnie pienista krew. Człowiek zamordowany we śnie wymiotuje krwią i winem, konając w konwulsjach. Askaniusz przeszyje strzałą o żelaznym grocie głowę Romulusa, a oszczep Turnusa przebije gardło Antypatesa i utkwi w płucu, aż żelazo się ogrzeje. Tymczasem jego miecz rozpląta czaszkę Pandorosa, tak że gdy ów zwali się na ziemię w zbroi opryskanej kawałkami mózgu, jego głowa będzie zwiślała z szyi w dwóch równych połówkach. Gdy zaś do walki wkroczy Eneasza, jego włócznia przebije tarczę i napierśnik Maeona, przeszyje na wylot jego ciało i odetnie od barku ramię Alkanora. Pallas wbije miecz w spuchniętą pierś Hisa, zetnie głowę Tymberowi i odrąbie dłoń Laridesa, której konające palce będą się zaciskały, dygo-

cząc, na rękojeści miecza. Halesus zabije Ladona, Feresą i Demodokosa, obetnie wzniesioną przeciwko sobie rękę Strymoniosa i uderzy kamieniem w twarz Toasa, aż rozprysną się fragmenty czaszki zmieszane z krwią i mózgiem. Turnus ciśnie swą dębową włócznię, zakończoną żelaznym grotem, przebijając tarczę i pierś Pallasa, więc młodzieniec upadnie na twarz i będzie gryzł ziemię krwawymi ustami. Turnus przy ciśnie zaś stopą nieostygłe zwłoki i zerwie z nich złoty pas, przy którym wisiał miecz, i będzie się chępił swą zdobyczą, czym sobie zgotuje śmierć. Bo usłyszawszy o tym, Eneasze z nową furią rzuci się na wrogów i choć Magus będzie go błagał o litość, poderżnie mu gardło, odchyliwszy w tył głowę, zabije Anksura, zabije Anteusa, zabije Lukasa i Numę, zabije płowego Camersa, zabije Nifeusa, zabije Ligera i Lukagosa, a Turnusa ocali przed nim jedynie interwencja bogini, która się w nim kocha i wyprowadzi go z bitwy. Tymczasem Mezencjusz, tyran Caere, zabije Habrosa, zabije Latagosa, uderzywszy go w usta i twarz wielkim kamieniem, podetnie ścięgną kolanowe Palmosowi, pozostawiając zwijającego się w męce na ziemi, zabije Ewantesa i Mimasę. Akron, umierając od włóczni ciśniętej ręką Mezencjusza, oto już ryje piętami czarną ziemię. Caedicus zabija Alcatosa, Sacrator zabija Hydaspesa, Rapo zabija Parteniosa i Orsesa, Mesapos zabija Cloniusa, zwalniony go z konia, Agisa zabija Valerius, Troniosa zabija Salios, Saliosa zaś Aealces. Razem zabijali i razem polegli. Pobożny Eneasze, posłuszny losowi i bogom, przeszywa włócznią pachwinę Mezencjusza i zabija jego syna Laususa, gdy ten próbuje bronić ojca, aż po rękojeść zagłębiając miecz w ciele młodzieńca: ostrze przebija tarczę i tunikę, którą utkała dlań matka, krew zalewa płuca i jego duch, opuszczający ciało, ulatu-

je ze smutkiem do krainy cieni. Eneasz żałuje chłopca. Ale kiedy Mezenecjusz go wyzywa, z radosnym krzykiem biegnie na spotkanie i choć Mezenecjusz zasypuje go gradem strzał, Eneasz zabija pod nim konia, a potem szydzi z powalonego wroga, zanim poderżnie mu gardło. A najajutrz posyła ciało Pallasa jego ojcu, królowi Ewandrowi, wraz z czterema jeńcami, aby ich żywcem złożono w ofierze na grobie młodzieńca. Jak ci się teraz podoba mój poemat, Lawinio?

Nie od razu byłam w stanie odpowiedzieć.

– To zależy też od tego, jak się kończy.

– Triumfem wspaniałego bohatera nad swym wrogiem, oczywiście. Zabije Turnusa, gdy ów będzie leżał przed nim ranny i bezbronny, podobnie jak zabił Mezenecjusza.

– Kim jest ów bohater?

– Sama wiesz.

– Morduje jak rzeźnik. Dlaczego go nazywasz bohaterem?

– Bo robi to, co musi.

– Dlaczego musi zabijać bezbronnych?

– Bo tak się buduje imperia. Mam przynajmniej nadzieję, że tak to zrozumie August. Choć skądinąd w to wątpię.

Odwrocił się ode mnie i na jakiś czas pograżyliśmy się oboje w milczeniu. Rozpłakałam się, gdy śpiewał swą straszną, krwawą pieśń i twarz miałam wciąż mokrą od łez. Kiedy ponownie przemówił, jego głos zabrzmiał miękko, jak poprzednio.

– Ale dla ciebie, Lawinio, mój poemat nie na tym się kończy.

Zrobiłam krok w jego stronę, bo już nie widziałam jego twarzy.

– Więc mi go dokończ.

– Nie kończy się wraz z końcem panowania tego herosa, po zaledwie trzech latach i zimach. Mogłaś sądzić, że wszystko jest skończone już tam, u krwawego brodu na Numikusie, ale to nie koniec. Nie będzie też końcem Lawinium ani Alba Longa. Nie nastąpi wraz z twoją śmiercią ani ze śmiercią twojego syna. Ani z epoką królów, ani konsulów, ani z upadkiem Kartaginy, ani z podbojem Galii. Ani nawet z zabójstwem Juliusza i z boskim Augustem. Powróci wiek złoty... może... kiedyś miałem taką nadzieję. Bądź jednak dobrej myśli, moja córko, moja młoda babko! Bogowie Troi przybywają do zacnego domu, twojego domu w Lacjum. I poślubisz syna Wiosny, syna wieczornej gwiazdy.

Znienawidziłam go, kiedy snuł opowieść o tej strasznej rzezi, lecz teraz miałam go stracić, już na dobre, choć nie od razu, i znowu go pokochałam, już za nim tęskniłam.

– Poczekaj... powiedz mi tylko... twój poemat, mój poemat... czy go ukończyłeś?

Chyba kiwnął głową, ale już ledwo go widziałam, wysoki cień wśród cieni.

– Nie odchodź jeszcze...

– Muszę, moja chlubo. Odchodzę. Dołączę do nieprzebranej rzeszy, wrócę do ciemności.

Zawołałam jego imię, podbiegłam, wyciągnęłam ręce, żeby go zatrzymać, uchronić od śmierci, z równym wszakże powodzeniem mogłabym chwycić w objęcia powiew nocnego wiatru. Natrafiłam jedynie na pustkę.

Oplótszy rękami kolana, okryta togą z nadpalonym rogiem dla osłony przed chłodem, siedziałam na skórze jagnięcia dopóty, dopóki nie pojaśniało niebo nad ołtarzem. Wtedy podeszłam do śpiącego ojca i zawołałam:

– Czy już wstałeś, królu? Królu, obudź się!

Usiadł. Podałam mu dzban z wodą, którą ze sobą przynieśliśmy, wiedząc, że nie znajdziemy w pobliżu wody nadającej się do picia. Pociągnął łyk, po czym zwilżoną dłonią przemył twarz.

– Więc dziadek do ciebie przemówił – zaczęłam.

Spojrzał na mnie wzrokiem człowieka jeszcze nie w pełni rozbuźzonego.

– Głos spośród drzew – wyszeptał.

Czekałam.

Spojrzał między ciemne pnie i powiedział głosem cichym, spokojnym, modlitewnym, lecz całkiem wyraźnym:

– Nie pozwól, by twoja córka poślubiła mieszkańca Lacjum. Niechaj poślubi obcego, który do was przybędzie, który już jest w drodze. A królestwo jej synów będzie wielokrotnie większe od królestwa Lacjum.

Znowu podniósł na mnie wzrok. Skinęłam głową.

– Rozumiem. Będę posłuszna.

Latynus wstał zeszywniały, ociężały. Odwykł od spania pod gołym niebem, na twardej ziemi. Rozcierał uda i z wysiłkiem rozprostowywał ramiona.

– Jestem już stary, córko – powiedział. – A teraz muszę odmówić tym młodym zapaleńcom. – Pokręcił głową i przygarbił się. – Gdybyż

moi synowie żyli!... Jestem już za stary, Lawinio!

Takie skargi nie były do niego podobne. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Byłam zbyt młoda, by odczuwać coś więcej niż litość połączoną z niedowierzaniem i niezrozumieniem, a nie chciałam się litować nad własnym ojcem, nad królem.

Odszedł do lasu, żeby opróżnić pęcherz, a kiedy stamtąd wracał, szedł już bardziej wyprostowany.

– Nie lękaj się – rzekł. – Nie zniosę żadnego zuchwalstwa z ich strony. Jeszcze potrafię obronić własną córkę, swój dom i miasto.

Pozbieraliśmy tych kilka rzeczy, które ze sobą przynieśliśmy.

– Wolałbym – wyznał w pewnej chwili – żeby twoja matka nie upierała się tak przy zamiarze wydania cię za Turnusa. Ale rozumiem, że ponieważ to jej siostrzeniec, wydaje się jej, że dzięki temu odzyska choć jednego z synów. No cóż, wracajmy do domu, córeczko.

Ruszyliśmy w drogę.

Kiedy dotarliśmy do obozu, nasi ludzie dopiero się budzili. Za wzgórzami na wschodzie jaśniało już niebo i cała okolica rozbrzmiewała ptasimi śpiewami. Płynął tam mały strumyk, nad którym oboje uklękliśmy, by umyć ręce i twarze. Kiedy zbliżyli się do nas strażnicy ojca, usłyszałam, jak powtarza im wszystko, co oznajmiła wyrocznia. Przeżyłam kolejne zaskoczenie. Przypuszczałam, że ogłosi to uroczystie dopiero w pałacu, być może wezwawszy wszystkich zalotników, aby im oznajmić, że duchy naszych przodków odmówiły ich prośbie. Wyjawienie tego już teraz oznaczało, że zanim wrócimy do Laurentum, będzie o tym wiedziało całe miasto, a za kilka dni całe Lacjum. Nie rozumiałam powodu, dla którego mój ojciec tak postąpił, prócz jednego –

bał się sam zakomunikować tę nowinę matce. Wolał, żeby poznała ją ode mnie lub z kobiecych plotek.

Tymczasem właśnie ona wyszła nam na spotkanie, niemal biegnąc przez dziedziniec, zarumieniona z podniecenia, jeszcze więc piękniejsza.

– Wiem, wiem! Widziałam was we śnie – wołała. – Jestem taka szczęśliwa!

Zatrzymaliśmy się zdezorientowani i wpatrywaliśmy się w nią bezmyślnie jak tępe bydła, tak to chyba wyglądało. Ona zaś chwyciła mnie za rękę i ucałowała.

– Jestem taka szczęśliwa!

– Ale dlaczego?...

– Och! Widziałam je! Łoże weselne! W Ardei! Widziałam je we śnie!

Po chwili ciężkiego milczenia mój ojciec odezwał się z zakłopotaniem, lecz głośno i dobitnie:

– Wyrocznia zakazuje Lawinii wychodzić za mąż za mieszkańca Lacjum. Powinna czekać na oblubieńca z obcej ziemi.

– Nie! To nieprawda! Ja widziałam, wszystko słyszałam!

– Uspokój się, Amato – poprosił. – Porozmawiamy o tym na osobności. Lawinio... zawołaj służące... i zabierz matkę – polecił i oddalił się szybko do swoich pokoi.

Chciała za nim pobiec, zatrzymała się jednak zdumiona, po czym zwróciła do mnie z pytaniem:

– Co mu się stało?

– Nic, matko. Chodźmy. – Usiłowałam ją poprowadzić do kobiecej

części domu, ale zaprotestowała i dopiero gdy przybiegły jej niewolnice, Sykana i Lina, ustąpiła przed ich namowami. Z poszarzałą twarzą, na której zgasio szczęście, ruszyła za mną potulna i milcząca.

Nowina, co nie dziwota, rozeszła się tymczasem po całym domu i grodzie. Królewska córka nie wyjdzie za Turnusa ani za Mesaposa, ani za żadnego innego kandydata. Ma czekać na przybycie nieznanego cudzoziemca i tego poślubi. Właśnie to zapowiedziały pszczoły, właśnie dlatego zapaliły się jej włosy, a jednak nie spłonęły. Wojna! Wojna! Lecz między kim a kim? I kim jest ten cudzoziemiec, który ma do nas przybyć? I jak go przywita król Turnus?

Jak ja go przywitam? zastanawiałam się, słuchając tej paplaniny.

Amata sprawiała wrażenie osoby otepiałej. Nie opowiedziała nam swojego proroczego snu, któremu wyrocznia z Albunei tak okrutnie zadała kłam. Nie uczestniczyła w powszechnym trajkotaniu i w ogóle przestała odzywać się do mnie. Unikałyśmy jedna drugiej. Nie było to zresztą trudne, gdyż od ponad dziesięciu lat żyłyśmy praktycznie osobno.

Zanim zapadła noc, miałam już dość tej gadaniny i rozgwaru. Marzyłam o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od rozemocjonowanych kobiet, daleko od domu, sama na otwartej przestrzeni, gdzie mogłabym skupić myśli. Matka siedziała przy krośnie. Podeszłam do niej i poprosiłam o zgodę, bym mogła nazajutrz pójść po sól nad ujście rzeki.

– Zapytaj króla – burknęła, nie odrywając oczu od roboty.

Poszłam więc do ojca. Zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, że to bezpieczne – powiedział.

– Dlaczego miałoby nie być bezpieczne? – zdziwiłam się. Złoża so-

li były jednym z głównych bogactw naszego kraju, stosownie też do wartości strześliśmy ich. Nikt od dziesięcioleci nie próbował najeżdzać tych terenów.

– Dam ci na drogę Gajusa. Weź też ze sobą kilka niewolnic.

– Po co nam Gajus? Wezmę tylko Pika z osłem do przewiezienia soli.

– Weźmiesz i Gajusa. Idźcie zachodnią ścieżką. I wróćcie przed zmrokiem.

– Nie zdążymy, ojcze. Musimy nakopać soli.

Zmarszczył brwi.

– Mimo to zdołacie bez trudu powrócić za dnia.

– Miałam nadzieję, że przenocujemy nad Tybrem, ojcze. Pragnęłam tam przebyć noc.

Bardzo rzadko go o coś prosiłam.

– No cóż, właściwie nie widzę przeszkód – odrzekł po namyśle. – Jestem ostatnio rozdrażniony, niespokojny, sam już nie wiem... Dobrze, idź więc. Oddaj cześć naszemu ojcu, rzece. Ale tylko na jedną noc! – A gdy mu podziękowałam i zbierałam się do odejścia, dorzucił: – I uważaj na Etrusków!

Zawsze się tak mówiło, kiedy ktoś wybierał się nad Tyber, jakby jego północny brzeg wprost roił się od Etrusków gotowych w każdej chwili wskoczyć do wody, przepłynąć na drugi brzeg, porwać delikwenta i wziąć go na męki. Krążyły straszne opowieści o etruskich torturach. Lecz my mieliśmy zawsze dobre stosunki z Caere z wyjątkiem okresu, gdy władał tam Mezencjusz. Poza tym tylko najlepszy pływak mógłby przepłynąć rzekę u jej ujścia. Ludzie przestrzegali: „Uważaj na

Etrusków” każdego, kto się tam wybierał, podobnie jak ostrzegali: „Uważaj na niedźwiedzie”, każdego, kto szedł w góry – z przyzwyczajenia.

Szukając Tity, żeby jej polecić odszukanie Pika i poinformowanie chłopaka, że mają być nazajutrz gotowi do drogi, on i osiołek, zastanawiałam się jednak, czy ów cudzoziemiec, którego mam poślubić, nie jest przypadkiem Etruskim.

Ponieważ z dala od Albunei, gdy byłam wśród ludzi, często wracały do mnie słowa mojego poety, czasami równie rzeczywiste jak wtedy, kiedy ich słuchałam, lecz częściej zetlałe niczym strzępy snu rozwiewające się, gdy usiłujesz je złowić. To był prawdziwy sen, ale życia nie można przeżywać we śnie, nawet gdy jest to sen prawdziwy. Najtrudniej było mi przypomnieć sobie to, co poeta powiedział mi ostatniej nocy... czy tylko ostatniej? On umierał. Nie chciałam o tym pamiętać. Nie chciałam pamiętać tego, o czym śpiewał, tej potwornej litanii mordów. Wiedziałam, że wymienił imię mężczyzny, którego mam poślubić, imiona jego żony i syna, wiedziałam, że ów heros ma przybyć z dalekiego miasta, z Troi, wiedziałam, że ma wybuchnąć wojna, że mężczyźni będą zabijać innych mężczyzn... a jednak tutaj, na dziedzińcu Regii, mijając wielki wawrzyn, pod którym zebrały się kobiety, żeby plotkować i śpiewać przy swoich zajęciach, tamte imiona i wszystkie inne zdarzenia zacierały się w mojej pamięci, dlatego mogłam się zastanawiać, czy cudzoziemiec, za którego mam wyjść, może być Etruskim.

Etruskowie byli nam w ogóle dość obcy. Przyszłość odczytywali na przykład z wątrób owiec. Lubiłam ptasią mądrość Maruny, ale wołałam

się trzymać z daleka od etruskich tortur i owczych wnętrzności.

Ledwo dostałam zgodę na tę wyprawę po sól, od razu poprawił mi się humor, a gdy nazajutrz wyszliśmy z miasta, naprawdę poczułam się wolna jak ptak. Opuściły mnie wszystkie kłopoty z kandydatami do ręki, wszystkie groźby, dziwne znaki, niejasne przepowiednie. Zakazałam Ticie, by choć słowem wspominała o tych sprawach. Przez całą drogę nad rzekę żartowałyśmy i opowiadałyśmy sobie głupstwa, aż nawet poważna Maruna śmiała się jak dziecko. To był radosny dzień, a i noc przespaliśmy spokojnie na wydmie, pod gwiazdami.

A o brzasku następnego dnia przyglądałam się, klęcząc samotnie w słonym błocie nad brzegiem Tybru, jak wielkie okręty wpływają z morza w ujście rzeki. Widziałam mojego małżonka, choć on mnie nie widział. Stał na wysokiej rufie pierwszego okrętu, patrzył w górę ciemnej rzeki, modlił się i marzył. Nie widział tych zwałów trupów, które się przed nim piętrzyły na całej drodze wzdłuż Tybru, na drodze do Rzymu.

Tego dnia Regia i całe Laurentum huczały od plotek. Zapanowało powszechne podniecenie i ogólny zamęt. Już wszyscy wiedzieli, co wyrocznia oznajmiła Latynusowi, walcowano więc tę nowinę do znużenia. A potem dotarła do miasta wiadomość, że widziano płynącą w górę rzeki flotyllę okrętów, że tłum zbrojnych cudzoziemców rozbija obóz na latyńskim brzegu. Niemiłknące na ten temat rozmowy przypominały mi posępne, hałaśliwe brzęczenie pszczelego roju.

Nazajutrz o świcie, nie pytając nikogo o zgodę, w tajemnicy wymknęłam się z Regii i z miasta i przez dębowy gaj pobiegłam do zagrody Tyrrusa. Zastałam Sylwię w chłodnej kamiennej mleczarni, gdzie z kilkoma mleczarkami zbierała śmietankę z mleka.

– Chodźmy nad rzekę, Sylwio – szepnęłam jej do ucha. – Przyjrzymy się tym cudzoziemcom.

Zwykle to ona proponowała wszelkie śmiałe, ryzykowne przedsięwzięcia, toteż moja propozycja niemało ją zaskoczyła.

– Po co chcesz się przyglądać cudzoziemcom? – zapytała nader roztropnie.

– Ponieważ jednego z nich mam poślubić.

Słyszała oczywiście o przepowiedni. Najpierw się zasepiła, najpewniej z powodu brata, ale po chwili zerknęła na mnie z figlarnym uśmieszkiem.

– Chcesz się przekonać, czy nie mają dwóch głów?

– Właśnie.

– A może to wcale nie ci cudzoziemcy, wśród których jest twój przyszły?

– Myślę, że ci.

Stała z chochłą w ręku, bosa, na mokrej podłodze. Włosy miała związane z tyłu głowy, nagie ramiona lśniły w chłodnym półmroku mleczarni. Mleczarnia w zagrodzie Tyrrusa była utrzymana we wzorowym porządku, bezustannie splukiwano ją wodą.

Sylwia nie potrafiła się oprzeć pokusie przygody, jaką jej zaproponowałam.

– No dobrze, chodźmy!

Odłożyła chochłę, wydała jakieś polecenia Walencie, nadzorczym mleczarni, i wyszłyśmy z półmroku na słońce. Sylwia wzięła sandały i ruszyłyśmy na przelaj przez pastwiska. Do rzeki miałyśmy mniej więcej sześć mil. Często chodziłyśmy tą drogą podczas naszych wólczeń i wypraw badawczych, znałyśmy więc skróty przez las.

Zastanawiałyśmy się, gdzie mogli wylądować nieznajomi, bo żadna ścisła w tej kwestii wiadomość jeszcze nie dotarła. Sylwia była zdania, że przycumowali przy drewnianych pomostach w Sirmo, ja uważałam jednak, że nie zapuścili się aż tak daleko w górę rzeki, lecz wyciągnęli okręty na brzeg w miejscu zwanym Venticula, gdzie Tyber skręca szerokim zakolem na północ. Choć o tym nie rozmawiałyśmy, wiedziałyśmy obie doskonale, że gdyby nas spotkał któryś z naszych rodaków, niezależnie od tego czy rozpoznałby nas czy nie, kazałby nam – zresztą jak najśluszniej – natychmiast wracać do domu, mógłby wręcz dopilnować, żebyśmy go posłuchały. Do Sirmo prowadził gościniec, do Venticuli jedynie ścieżka, która biegła przez gęsty las i mokradła nad Fossulą. Trzymałyśmy się z dala od gościńca i prostych drózek gminnych, z dala od gospodarstw i chat pasterzy, nie opuszczając ścieżki, która wiała się pośród porośniętych trawą wydm, a w pobliżu rzeki obiegała

podmokłe zarośla, aż wdrapałyśmy się wreszcie na niskie zalesione wzgórze górujące nad Venticulą.

Przekroczywszy wierzchołek wzgórza, od razu zdałyśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy w lesie same. Usłyszałyśmy głosy mężczyzn, nawoływania i dzwonienie toporów, a potem ujrzałyśmy kilka okrytych hełmami głów za gęstym mirtem, za którym też natychmiast kucnęłyśmy, aby się schować. Sylwia dostała ataku chichotek, którymi mnie oczywiście zaraziła. Siedziałyśmy w kukki i trzęsłyśmy się od hamowanego śmiechu. Tymczasem żołnierze zeszli z hałasem ze wzgórza. Na chwilę zapadła cisza, którą mąciły jedynie uderzenia topora gdzieś w oddali. Podczołgałam się ostrożnie na skraj zarośli, skąd mogłam widzieć, między rosnącymi na stoku drzewami, odsłonięte polany na brzegu.

– Są! – szepnęłam do Sylwii. Podpełzła do mnie. Leżąc obok siebie, przyglądałyśmy się Trojanom.

Niemal natychmiast dostrzegłam tego, który był mi przeznaczony. Wyróżniał się spośród innych, lecz nie ozdobami czy bogatszym strojem – wszyscy byli ubrani jak prości żołnierze, od dawna na służbie, od dawna w morskiej podróży, brudni zatem i obdarci – po prostu się wyróżniał, jak gwiazda poranna wyróżnia się spośród mrowia innych gwiazd. Był mężczyzną po czterdziestce, o wyrazistym obliczu. Siedział wygodnie na ziemi i śmiał się z czegoś, co opowiadał jeden z towarzyszy. Urządzili sobie popas na trawie. Prawie sami mężczyźni. Mieli placki, które przynieśli z okrętów, zacumowanych wzdłuż plaży rufami do brzegu. Zebrali wielki kosz dzikich warzyw, które kładli na placki, bo najwidoczniej nie mieli mięsa ani sera, podobnie jak talerzy

ani stołów. Żadna z kilku kobiet, które się wśród nich krzątały, nie była już młoda. Jedna z matron podała Eneaszowi z uśmiechem pajdę chleba z górą zieleniny, a on zwinął tę kromkę w rulon i jadł z apetytem. Obok niego siedział chłopiec mniej więcej piętnastoletni, bardzo do niego podobny, który na dodatek patrzył nań w taki sposób, że domyśliłam się od razu: to jego syn, Askaniusz. Przy Askaniuszu siedział inny chłopiec, niezwyklej urody, chyba jego równolatek, oraz piękny, o kilka lat starszy młodzieniec w czerwonej wełnianej czapce z opadającym do przodu szpicem. Niewiasta, która podała im posiłek, usiadła obok niego i poprawiła mu tę czapkę czułym matczynym gestem, wpatrując się weń rozmiłowanym spojrzeniem.

– Wyglądają o wiele lepiej, niż się spodziewałam po takich przybłędach – szepnęła Sylwia. – Ten w czerwonej czapce jest przesłiczny. – Uciszyłam ją kuksańcem w bok. Bałam się, że mogą nas usłyszeć, skoro my słyszałyśmy ich całkiem wyraźnie; inna sprawa, że wiatr wiał od nich ku nam.

Chłopak w czerwonej czapce zauważył, że strawa, którą spożywają, nadawałaby się raczej dla królików niż dla ludzi, na co młody Askaniusz odrzekł:

– Ha, nie przy każdym posiłku razem z daniem zjada się też stół.

Usłyszawszy te słowa, Eneasz spojrział na syna z jakimś dziwnym zastanowieniem. Przez chwilę patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem, po czym wstał. Wszyscy podnieśli na niego oczy.

– Oto otrzymaliśmy znak – oznajmił głosem dźwięcznym, dobitnym i poważnym. – „Kiedy głód zmusi was do zjedzenia stołów, będziecie u kresu podróży”. Pamiętajcie, co nam przepowiedziała Harpia?

Pomruk potwierdzenia przebiegł grono tych utrudzonych długą podróżą wędrowców – mężczyzn, chłopców i kilku kobiet siedzących na trawie na brzegu rzeki. Nie odrywali oczu od swojego wodza.

– Euryalosie, przynieś mi gałązkę mirtu – polecił Eneasza, na co młodzieniec w czerwonej czapce zerwał się skwapliwie, podbiegł do krzaka mirtu i ułamał gałązkę. Eneasza splótł ją na kształt wieńca, włożył sobie na głowę i wyciągnął przed siebie ręce wnętrzami dłoni zwrócone ku niebu. – Ukochani, wierni bogowie domu Troi! – zawołał. – Oto znaleźliśmy się nareszcie na obiecanej przez was ziemi! Jesteśmy w domu, ja i mój lud, przybyliśmy do domu! – Powiódł spojrzeniem po współtowarzyszach. Po czym modlił się dalej, a twarz lśniła mu od łez: – Usłysz nas, duchu tego miejsca, a także wy, bóstwa i rzeki, jeszcze nam nieznane! Ty, nocy, i wy, wschodzące gwiazdy! Mój ojciec w podziemiu i matka na niebie, wysłuchajcie naszej modlitwy! – Potem odwrócił się i zaczerpnąwszy głęboko tchu, zakrzyknął drżącym głosem: – Achatesie! Nakaż, by przyniesiono nam wina z okrętu!

W tym samym momencie Sylwia trąciła mnie łokciem w bok. Siedmiu, a może ośmiu mężczyzn z łukami i strzałami biegło gęsiego przez polanę w lewo od nas. Pora, żebyśmy się stąd zabierały.

Pod osłoną dębów korkowych przeczołgałyśmy się do gęstego lasu po naszej prawej stronie, a potem przez szczyt wzgórza wróciłyśmy na ścieżkę, która nas tutaj przywiodła. Przed wieczorem byłyśmy w domu. Gdy znalazłyśmy się w objęciu jej ojca, Sylwia obróciła się do mnie i mocno mnie objęła. Byłyśmy obie spocone po długim biegu, tak że prawie się ze sobą skleiliśmy. Roześmiałyśmy się, a ona powiedziała:

– Miałaś dobry pomysł z tą wycieczką!

I tak widziałyśmy się po raz ostatni.

Wróciwszy do Regii, dowiedziałam się, że mój ojciec wydał rozkaz, by nikt nie zbliżał się do obozu cudzoziemców, dopóki nie ustalimy, kim są i po co na długich okrętach przywieźli do serca Lacjum zbrojnych wojowników. Oczywiście nie przyznałam się do naszego lekkomyślnego wyczynu. Niepostrzeżenie wślizgnęłam się do domu, umyłam, włożyłam czystą tunikę i siadłam do kądzieli, jakbym na krok się stamtąd nie ruszała.

Wkrótce rozeszła się wieść, że król zamierza nazajutrz wysłać Drancesa z drużyną, by porozumiał się z nieznanymi. Ale jeszcze zanim Drances wyruszył następnego dnia, przybiegli ludzie, krzycząc: „Jadą tu! Jadą!”, a wnet do bram miasta zbliżyła się konno grupa cudzoziemców.

Ich konie wyglądały nędznie – bo czyż mogły inaczej wyglądać te biedne stworzenia po tak długiej morskiej podróży? – nosiły jednak ozdobne, nabijane srebrem rzędy i uzdy, a jeźdźcy prezentowali się wspaniale w haftowanych tunikach, napierśnikach z brązu i wysokich hełmach z kitami z piór i końskiego włosia. Wychyliwszy się za próg, zdołałam tylko rzucić na nich okiem, gdy jechali w górę Via Regia, zanim wszystkie kobiety odesłano w głąb domu. Zauważyłam jednak, że wśród przybyłych nie ma Eneasza.

Kiedy Drances i inni dostojnicy wprowadzili gości do pałacu i wiodli do świetlicy, przebiegłam przez mieszkalne pokoje królewskie i weszłam tam drzwiami, którymi wchodził król ukrytymi za jego tronem. Nie wezwał mnie, bywałam tam jednak często, sama lub w towarzystwie matki, na różnych posłuchaniach, by świadczyć grzeczności gościom, witać ich żony i córki; zresztą gdyby sobie nie życzył mojej

obecności, mógł mnie po prostu odprawić.

Przypuszczam, że początkowo nie zdawał sobie w ogóle sprawy, że stoję za jego plecami. Właśnie przemawiał do trojańskich posłów. Powitał ich godnie, lecz uprzejmie, spytawszy na wstępie grzecznie, skąd przybywają i co ich sprowadza do Lacjum. Czy zblądzili, czy wzburzone morze zbiło ich z wyznaczonego kursu?

Odpowiedział mu jeden z Trojan, mąż wysoki i szczupły. Przedstawił się jako Ilioneus i w wytwornej, pełnej uszanowania przemowie wyjaśnił, że przybyli do królestwa wielkiego Latynusa posłuszni głosowi wyroczni. Powiedział, że byli mieszkańcami szlachetnego miasta Troja, które przez dziesięć lat opierało się greckiemu oblężeniu, lecz w końcu padło zdobyte podstępem i tylko im udało się ująć z płonącego grodu.

Gdy to mówił poseł, mnie dźwięczał w uszach głos poety, nakładając się na słowa Ilioneusa, jak morska fala nakłada się na swą poprzedniczkę, gdy ją dogania u brzegu. Zrozumiałam wtedy, że ten wspaniały królewski pałac i my wszyscy, którzy się w nim znajdujemy, istniejemy wyłącznie w tych słowach. Ta świadomość niczego jednak nie zmieniała. Posłaniec musiał nadal przemawiać, król nadal słuchać, a królewska córka musiała nadal podążać za swym przeznaczeniem.

Wyrocznia nakazała im, ciągnął poseł, by zanieśli swe trojańskie bóstwa za morza, do brzegów dalekiej Italii, ponieważ tam znajdą swój dom. Ich wódz, Eneas, syn Anchizesa, wiódł ich przez siedem lat po lądach i morzach i choć różni królowie prosili, by u nich pozostał, on pragnął zaofiarować przymierze jedynie Latynusowi, który panuje nad krainą obiecaną im przez wyrocznię. W dowód zaś przyjaźni Eneas

ofiarowuje królowi kilka skromnych przedmiotów ocalonych ze zrujnowanego miasta, które należały niegdyś do jego teścia Priama, króla Troi.

Po tych słowach wystąpił jeden z poselskiego orszaku i złożył u stóp Latynusa piękną czarę do libacji, chyba szczerozłotą, rzeźbioną i wysadzaną drogimi kamieniami, ponadto srebrne berło czy może różdżkę, starą koronę ze złotej blachy oraz delikatną tkaninę, barwioną królewską purpurą i naszywaną złotą nicią.

Mój ojciec przyglądał się darom w milczeniu, ani ich nie przyjmując, ani nie odrzucając, a potem poprosił posła, by opowiedział nieco obszerniej o mieście Troja, o waśni z Grekami i o siedmioletniej podróży po Morzu Śródziemnym, co też Ilioneus ochoczo wypełnił. Latynus zapytał następnie, czy przybijali po drodze do brzegów Sycylii, na co posłaniec odparł, że nawet założyli tam kolonię. Ojciec zapytał wtedy, czy kontaktowali się z grecką osadą, leżącą na południe od Laurentum, której królem jest Diomedes. Ilioneus zaprzeczył, wyjaśniając, że Diomedes brał udział w oblężeniu Troi, więc raczej nie żywią do siebie wzajemnie sympatii. Wszystkich odpowiedzi udzielił jasno i uprzejmie.

Mój ojciec znowu zamilkł i opuścił wzrok. Jego oczy poruszały się tak, jakby goniły myśli.

W końcu podniósł głowę.

– Mówisz, że wyrocznia nakazała wam przybyć do mojego kraju – rzekł. – Dowiedzcie się zatem, że i nam wasze przybycie zostało zapowiedziane. Uważam więc, przyjaciele, że winniśmy się podporządkować wyrokom przeznaczenia. Jeśli wasz wódz, Eneasze, pragnie ze mną przymierza, jeśli pragnie się wśród nas osiedlić, niechaj przybędzie do

mojego miasta i ofiaruje mi swoją prawicę, podobnie jak ofiarował te wspaniałe dary. Ja zaś ją przyjmę, jak i dary przyjmuję, na znak przyjaźni i pokoju. I to mu jeszcze przekażcie: wyrocznia zapowiedziała, że moja jedyna córka poślubi cudzoziemca, męża, który właśnie ku nam zmierza. Przypuszczam, że tym mężem jest wasz wódz, Eneasze. Więc jeśli moje przypuszczenie mnie nie myli, to małżeństwo będzie nam miłe. Niechaj więc przybywa.

Wstał i wtedy dopiero mnie dostrzegł. Nie okazał jednak zdziwienia, popatrzył tylko na mnie spokojnym, kochającym wzrokiem, uśmiechając się lekko, z bezgranicznym zaufaniem.

Nie przedstawił mi posłów, ale sam wszedł między nich, podziwił godne dary, a potem nakazał sługom, żeby przynieśli podarki przeznaczone dla naszych gości. Wycofałam się cicho przez te same drzwi, przez które tam weszłam.

Kiedy człowiek słyszy, że ma służyć jako dodatek do traktatu, darowywany niczym kubek lub sztuka odzieży, może się czuć głęboko poniżony. Niewolnicy i niezamężne dziewczęta muszą się jednak spodziewać podobnej obrazy, nawet te spośród nas, którym pozostawiono dość swobody, by mogły udawać, że są wolne. Moja swoboda była istotnie wielka, dlatego drżałam z lęku, że mogę ją stracić. Dopóki miał ją ograniczyć Turnus lub któryś z pozostałych kandydatów, czułam się istotnie poniżona, spętana; czułam, że zbliża się koniec wolności. Byłam jak przywiązana do tyczki gołębica, która głupio macha skrzydłami, jakby była w stanie odfrunąć, podczas gdy chłopcy pokrzykują w dole i mierzą do niej z łuków, dopóki któraś ze strzał nie dosięgnie celu.

Tymczasem teraz w ogóle nie miałam poczucia, że wpadam w pu-

łapkę, nie doświadczałam tego bezradnego wstydu. Czułam to samo zaufanie, jakie dostrzegłam w spojrzeniu ojca. Wszystko szło tak, jak iść powinno, a ja, podążając za biegiem rzeczy, byłam wolna. Sznurek, którym przywiązano mnie do tyczki, został przecięty. Po raz pierwszy czułam, co to znaczy fruwać, polegać w powietrzu na własnych skrzydłach i lecieć w nadchodzące lata, wciąż dalej i dalej.

– Poślubię go – mówiłam sobie w duchu, idąc przez komnaty Regii.
– Uczynię go swoim mężem i sprowadzę jego bóstwa domowe, aby połączyły się z moimi. Wprowadzę go do swojego domu.

Skręciłam, przecięłam dziedziniec, minęłam rozrośnięte drzewo laurowe i weszłam do pomieszczeń na tyłach atrium, do spiżarni, mojego królestwa, gdzie władałyśmy ja i penaty. Już niedługo zacznie się czwarty miesiąc, czerwiec, czas otworzyć na oścież drzwi spiżarni i wysprzątać je, przygotować na przyjęcie nowych zbiorów. Posłałam po kilka kobiet, które mi w tym pomagały, i zaczęłyśmy szykować się do ceremonii, przypominając sobie i podśpiewując jedna drugiej pieśni Westy i Ceres, Ognia i Chleba. Tak śpiewając, wynosiłyśmy puste kosze i omiatałyśmy z kurzu podłogi.

W całym domu i mieście powstało wielkie zamieszanie, gdy mężczyźni zaczęli wyprowadzać konie, jakie Latynus przeznaczył na dary dla naszych gości; jednocześnie wybierano tych, którzy mieli te dary dostarczyć. Sam król zaszedł do stajni, żeby wybrać kilka najlepszych rumaków, pchnął też posłańca do Tyrrusa z poleceniem, by zebrał stado z najlepszych byczków i jagniąt i poprowadził je do Venticuli, aby Trojanie mogli złożyć ofiary i uraczyć się mięsiwem. Wiedział, co to królewska gościnność, i był rad, że może okazać taką hojność. Kiedy raż-

nym krokiem zmierzał przez dziedziniec, wyglądał tak młodzieńczo! Patrzyłam na niego z dumą.

Tymczasem z kobiecej części domu wybiegła mu na spotkanie Amata. Z rozpuszczonymi włosami, pobladła, zapytała podniesionym głosem:

– Czy to prawda, co mówią, mężu? Że oddajesz naszą córkę cudzoziemcowi... obcemu przybłędzie... człowiekowi, któregoś nigdy nie widział na oczy, o którym nic nie wiesz? Czy to roztropne? Czy uczciwe wobec naszej córki?... Wobec mnie?... I żeby mi nic nie powiedzieć!...

Ojciec zatrzymał się i stał przed nią sztywno wyprostowany. Na jego twarzy zgasł wyraz ożywienia, ustępując miejsca znużeniu starości.

– Nie tutaj, Amato.

– Nie będę milczała...

– Więc chodź ze mną. Ty również, Lawinio. – Ruszył w stronę pomieszczeń królewskich, a my za nim. Zrównawszy się z królową, powiedziałam:

– Matko, ojciec postępuje tak, jak nakazała mu wyrocznia, sama go o to prosiłam. Wierz mi! Nie może być inaczej. Tak będzie najlepiej!

Przypuszczam, że nawet mnie nie usłyszała. Ledwo znaleźliśmy się w komnacie króla, rozpuściła język, wylewając potok argumentów: Jak mógł tak bezceremonialnie zerwać porozumienie z Turnusem i pozostałymi kandydatami? Czy mogą to potraktować inaczej niż jako złamanie słowa? Co z tego, że wyrocznia przepowiedziała dla mnie małżeństwo z cudzoziemcem?... Czyż Rutulia nie jest odrębną krainą? Odrębną od Lacjum? Czyż Turnus nie jest dla nas cudzoziemcem?

– Jest Latynem, jednym z nas, członkiem twego rodu – tłumaczył ojciec, zmarszczywszy brwi.

Uznałam za błąd, że w ogóle odpowiada na jej argumenty, i rzeczywiście tylko ją to rozsierdziło. Oskarżyła go, że słucha rad Drancesa, Drancesa, który nienawidzi Turnusa, bo jest o niego zazdrosny... wiernego Turnusa, który pragnął jedynie wesprzeć i wspomóc tron Latynusa na jego stare lata. Oskarżyła ojca o złamanie przysięgi, o słabość i niezdecydowanie, a już w następnej chwili zaczęła go błagać, apelować do jego siły i mądrości. Ojciec stał przed nią i znosił w milczeniu ten potok oskarżeń, tylko od czasu do czasu lekko kręcąc głową. Wreszcie, gdy jej głos stał się ochrypły i świszczący, przerwał jej równie szorstko:

– Sprawa jest przesądzona. Pogódź się z tym, Amato. Pamiętaj, że jesteś królową. – A zwróciwszy się do mnie, powiedział: – Odprowadź matkę do jej pokoi i pociesz, Lawinio.

– Nigdzie nie pójde! – krzyknęła, zaczęła wymachiwać rękami i biegać w kółko po dziedzińcu niczym bączek, który dzieci biczykami wprawiają w wirowanie, krzycząc, że król oddał córkę obcemu, wrogowi, że oszalał. A potem skoczyła w stronę drzwi wyjściowych.

Wartownicy Regii nie śmieli jej tknąć, ale moje kobiety błyskawicznie rzuciły się do działania, ja również, jakbyśmy się umówiły. Otoczyłyśmy Amatę, zanim wybiegła na ulicę, i zaczęłyśmy do niej przemawiać, uspokajając ją, głaskać, prosić, aż udało nam się wprowadzić ją z powrotem do pałacu i do jej pokojów w kobiecej części domu. Tam jej histeria zmieniła się w atak histerycznego szloch, co ją wyczerpało i w końcu ucichła.

Sądziłam, że to poddanie się zmęczeniu zamyka całą sprawę. Sądzi-

łam, że matka dała za wygraną. Jakże byłam naiwna! Jakże głupia! Nie rozumiałam, że to co mówiła, nie było tylko objawem szaleństwa ani wybuchem wściekłości z powodu zawiedzionych nadziei. Ona wykrzykiwała to, co bardzo wielu z naszego ludu w skrytości ducha myślało, czego się zlekło, usłyszawszy, co powiedział Latynus do trojańskiego posła. Przestraszyli się, że z otwartymi ramionami powitał najeźdźców i wzgardziwszy obietnicą daną swym wiernym poddanym i sprzymierzeńcom, obiecał córkę, dziedzictwo i kraj – cudzoziemcowi.

Tego wieczoru położyłam się do łóżka ledwo żywa ze wzburzenia i zmęczenia, lecz ze spokojnym sercem, toteż spałam dobrze. Obudziło mnie coś, co przypominało sen szaleńca, z czego pamiętam tylko jaśkrawe fragmenty i oderwane strzępki bez ładu, składu i sensu. Obudziłam się, jednym słowem, w świetle mojej matki.

Była ciemna noc. Mój pokój był pełen niewiast z lampkami oliwnymi w dłoniach. Jedna z nich trącała mnie w ramię, wołając:

– Zbudź się, królewska córko! Zbudź się!

Wokół panował jakiś gorączkowy ruch, słyszałam szepty, śmiechy. Gdy się całkiem rozbudziłam, rozpoznałam w tych kobietach służące mojej matki, nie moje; nawet niewolnice były ubrane w piękne obrzędowe szaty należące do Amaty. Potem usłyszałam jej głos, a po chwili weszła ona sama, odziana w szorstką, niebieloną tunikę niewolnicy.

– Wstawaj, wstawaj, dziewczyno! – zawołała ze śmiechem. – Obchodzimy dziś Święto Kozła, Święto Fig. Odprawimy obrzędy tak, jak je odprawia mój lud wysoko w górach. Skoro twój ojciec może cię wydać, za kogo chce, ja mogę cię zabrać, dokąd zechcę! Ruszaj się, przed wschodem słońca musimy być na miejscu!

Wstałam. Ubrały mnie w starą szarą tunikę, narzuciły na ramiona wystrzępiony szal i poprowadziły, zanosząc się śmiechem, przez drzwi na tyłach pałacu, a potem przez uśpione ulice i przez boczną bramę powiodły polami w stronę niskich lesistych wzgórz, które wznoszą się na wschód od Laurentum. Płomyki lampek oliwnych tańczyły ponad dróżką przed nami i za nami. Na wschodzie ukazywała się dopiero w pierwszym brzasku dnia linia horyzontu: spiętrzone nad ciemnym światem mroczne pasmo Gór Albańskich.

Minąwszy ostatnie uprawne poletko, weszliśmy w las. Spowiała nas ciemność tak gęsta, że prawie nie widziałyśmy drogi. Lampki rzucały chybotliwe cienie między drzewa i na nierówną ścieżkę. Kobiety przystawały co chwila, żeby wyskubywać ciernie z szat i odrywać czepiające się ich gałęzie. Amata zaczęła je pośpieszać:

– Zostawcie to! Rozdarcia się później zaceruje. Przed wschodem słońca musimy być wysoko, przy źródle pod drzewem figowym! Ruszajcie się, a chyżo! – Zachęcając w ten sposób do marszu, pobiegła do tyłu wzdłuż karawany kobiet: służek domowych, zamiataczek, praczek, pomocnic kuchennych i dziewczyn do wszystkiego, uginających się pod ciężkimi bagażami, koszami z jadem, dzbanami z napojami. Do każdej zwracała się po imieniu, każdą zagrzewała, a potem wróciła na czoło kolumny, roześmiana i podniecona. – Och, nareszcie coś się dzieje! – zawołała do mnie radośnie, gdy mnie wyprzedzała.

Rzeczywiście było coś dzikiego, szalonego w tym tajemniczym pośpiechu, w tych dziwacznych strojach, w tej procesji niewiast z kaganami śpieszących przez ciemny las. To wszystko było jakieś nierealne, fantastyczne, toteż i mnie udzieliło się wkrótce podniecenie tą dziwną

wyprawą.

Niebo zaczynało się przejaśniać, kiedy dotarliśmy do źródła w figowym gaju. Wysoko wśród wzgórz bije tam spod skalnej półki źródło na skraju głębokiego, wciętego w zbocze jaru, a wokół i nieco poniżej, na połogiej łące, rosną wielkie dzikie figowce, tworząc coś w rodzaju naturalnego sadu. Wybrałyśmy się tam z Sylwią któregoś letniego dnia, chcąc się najeść czarnych owoców, wypłoszyło nas jednak chrząkanie i buchtowanie dzikich świń żerujących na spadłych figach, wycofałyśmy się zatem stamtąd w pośpiechu, ponieważ odyńce były jedynymi zwierzętami, których moja przyjaciółka się lękała.

Wdrapawszy się teraz na tę płaską łąkę pod drzewami, złożyłyśmy na ziemi bagaże i przez chwilę odpoczywałyśmy, mocno zadyszane. Potem Amata wstała i przemówiła do nas. Poinformowała, że oto obchodzimy święto Caprotinae, jak je obchodzili u siebie w górach Rutulowie. Święto kobiet i dla nich wyłącznie dostępne.

– Rozstawimy warty – zapowiedziała – i jeśli pojawi się w pobliżu mężczyzna, zostanie przepędzony. Jeśli zaś nie zechce się oddalić lub spróbuje nas szpiegować, spotka go kara gorsza od śmierci! Jeśli bowiem spróbuje podpatrywać nasze tajemnice, pożegna się z męskością: zejdzie z tych gór jako trzebieniec! Balina przyniosła ze sobą cztery ostre miecze, a cztery najsilniejsze spośród nas będą dzień i noc strzeżły wiodących tu ścieżek. Bóstwa wzgórz i pustkowi będą czuwały, gotowe rzucić klątwę na każdego mężczyznę, który ośmieli się do nas zbliżyć. Mars winien bowiem pozostać tam, w dole, winien się zatrzymać na granicy pól, na skraju lasu, pozostać w swych granicach. Wyżyny i dzikie ostępy leśne należą do nas, wyłącznie do nas, do naszych

obrzędów i naszych płaśów. Ale oto patrzcie, patrzcie, słońce wschodzi! Powitajcie ten dzień, siostry! Sykano, odkorkuj dzban z winem, niech krąży z rąk do rąk!

Tak więc dzień zaczął się opilstwem i w południe niektóre kobiety były już zbyt pijane, żeby tańczyć. Śmiały się, piszczały, wymiotowały, przewracały się i zasypiały tam, gdzie upadły. Amata nauczyła nas tańców i pieśni, jakie towarzyszą temu świętu, oraz rutulskich zabaw, w trakcie których starsze kobiety goniły młodsze i siekły je gałęziami figowców, wyśpiewując przy tym na cały głos sprośne żartobliwe pieśni o męskich prąciach i kobiecych sromach. Odprawialiśmy też inne obrzędy przed ołtarzami wzniesionymi dla Fauny z pustkowi, dla Junony, opiekunki kobiet, i dla Ceres, dzięki której pęczniejną nasiona w łonie Ziemi, aby się odrodzić w postaci chleba życia. Wkrótce trzeba było posłać niewolnice z powrotem do miasta po więcej wina. W ciągu dnia zaczęły do nas dołączać kolejne grupki przybyłych z Laurentum kobiet, ciekawych tego nowego kobiecego kultu, chętnych do okazania solidarności ze swoją królową. Znalazłam się wobec nich w niezręcznej sytuacji, bo wszystkie były na mnie oburzone i złe na mego ojca. Otoczyły mnie, by mi współczuć, poklepywać po ramieniu, zachęcać do miłości i wierności dla Turnusa z Ardei. Ich oburzenie i życzliwość były autentyczne, ponieważ też wzruszające, a przecież tak dalekie od rzeczywistości jak cała reszta tej zwariowanej wycieczki.

Przez cały czas owej maskarady na szczytach wzgórz grałam rolę potulnej, bezwolnej dziewicy. Nie umiałam się zdobyć na to, by wyznać pocziwym niewiastom, że w ogóle nie kocham Turnusa i pragnę jedynie być posłuszną ojcu i wyroczni. Gdybym to powiedziała, okaza-

łabym się zdracząnią wobec matki i ściągnęłabym na siebie jej wściekłość. Zachowałam się tchórzliwie. Czuałam się jak obłudnica, fałszywa, zastrachana, nieufna, przepelniona wzgardą i samotna.

Amata nie wzięła na tę wyprawę w góry żadnej z moich służebnic, wyłącznie własne, ale i tak ani na chwilę nie spuszczała ze mnie oka, czujna mimo objawów nieokiełznanej radości i pozornie zupełnego zatracenia. Bardzo się więc ucieszyłam, dojrzawszy Marunę w ostatniej grupie nowo przybyłych kobiet. Miała na sobie moją najlepszą pallę – taka bowiem obowiązywała w tym świętowaniu zasada, że niewolnice ubierają się w stroje swoich pań, a panie w stroje niewolnic. Mrugnęłam do niej na znak, że ją spostrzegłam i że poznałam moją najlepszą pallę, nie zbliżyłyśmy się jednak do siebie, nie zamieniłyśmy też ze sobą ani słowa. Drobną cichą Maruna miała dar niewpadania w oko, bardzo cenny dla niewolnicy. Trzymała się grupy, z którą przyszła, zachowywała tak samo jak współtowarzyszki, przypuszczam więc, że matka w ogóle jej nie spostrzegła.

Wieczorem Amata zaczęła pić – wcześniej tylko kosztowała wina i udawała, że pije – i przed zapadnięciem nocy miała już dobrze w czubie, choć nie była całkiem pijana. Swobodniejsza, bardziej rozluźniona, naprawdę rozkoszowała się całą przygodą, bo przedtem tylko zachwyty udawała. Śmiała się śmiechem, który wydobywał się jakby z głębi brzucha. Nigdy dotąd nie słyzałam, żeby tak się śmiała. Sprawiała wrażenie całkiem odmienionej, prawie innej kobiety, zapewne takiej, jaką pragnęłaby być. Zrobiło mi się jej naprawdę żal.

– Lawinio! – Skinęła na mnie, a kiedy podeszłam, lawirując między rozwalonymi w trawie pośród migotliwych oliwnych lampek kobietami,

przedzierając się przez najniższe gałęzie rozrośniętych figowców, powiedziała: – Lawinio, posłałam po niego wczoraj w nocy, jeszcze przed wyjściem z domu. Pchnęłam do niego konnego posłańca. Jutro tu przybędzie. To twoja weselna noc, kochanie!

Domyśliłam się, kim jest „on” i jaki sobie ułożyła plan. To wszystko było częścią tego samego szaleństwa, tej samej nierealności, ale występowałam w jej grze i musiałam grać, jak mi zagrała.

– Skąd będzie wiedział, gdzie nas szukać?

– Nasze niewolnice mu powiedzą. Wypatrują go, zatrzymają po drodze do miasta. Jutro o tej porze powinien tu być.

– Ale przecież mężczyznom nie wolno się tu zbliżyć – przypominałam.

– Och, jemu wolno – powiedziała tym głębokim, gardłowym, śmiejącym się głosem.

Pociągnęła mnie za rękę, zmuszając, bym usiadła. Nachyliła się do mnie i szepnęła mi do ucha:

– Cóż to będzie za weselna noc tu, w górach! A potem do Ardei! Do pałacu w Ardei! Wszystko już zaplanowane. Przygotowane!

Całą noc trzymała mnie przy sobie. Musiałam spać obok niej, wśród kobiet, z którymi piła i szalała, w świetle ich lampek umocowanych wśród niskich gałęzi. Spałam tej nocy źle, budząc się co chwila z przestraczem, z gonitwą myśli w głowie. Powtarzałam sobie, żeby się nie martwić, że pozostaje mi tylko robić to, czego zażyczy sobie matka, dopóki jej gra sama się nie skończy – a nie może być inaczej – awanturą, rozczarowaniem, odwrotem. Ale przecież posłała po Turnusa... Co będzie, gdy on naprawdę się zjawi? Co będzie, jeśli mnie za niego wyda

w jakiejś parodii ślubu, a w istocie gwałtu? Co będzie, jeśli Turnus zabierze mnie do Ardei? Tam już nie będę mogła zrobić nic, naprawdę nic. Na tę myśl cała sztywniałam, dłonie zaciskały mi się w pięści i kryłam twarz w ramionach. Muszę uciekać. Muszę znaleźć jakiś sposób ucieczki. Lecz nawet gdybym zdołała odczołgać się niepostrzeżenie, zgubiłabym się w ciemnym lesie. Ścieżki, którą tu przybyłyśmy, pilnowały wartowniczeki, miałabym zresztą przed sobą długą drogę przez dzikie, przepaściste wzgórza. Jedyne na co mogłam liczyć, to na odejście stamtąd jak najdalej i ukrycie się gdzieś na resztę nocy, aby potem zejść na niziny za biegiem strumienia. Ale wszędzie wokół mnie leżały służące Amaty, czuwające przy blasku migotliwych lampek, za których kręgiem czuwały straże.

Przez całą noc myślałam w kółko o tym samym. To próbowałam samą siebie uspokoić, to drżałam z przerażenia, że Turnus może naprawdę przybyć, to znów układałam w głowie plany ucieczki. Co pewien czas zapadałam w drzemkę i w sennych majakach widziałam znowu mojego poetę, lecz nie tam, przed ołtarzem w Albunei, ale tu, wśród górskich ostępów. Wydawało mi się, że siedzi tuż obok, w kręgu światła jednej z lampek, tyle że jakiś zdeformowany, skurczony do rozmiarów spowitego cieniem pniaka. Coś mamrotał, choć tego nie rozumiałam. Budząc się, wpadałam zaś od razu w wir tych samych natrętnych myśli.

Wstałam o pierwszym brzasku. Stwierdziwszy, że Amata nareszcie zasnęła i smacznie chrapie wśród uśpionych służek, wymknęłam się do lesistej dolinki, która służyła nam za ustęp. Na moment uległam złudzeniu, że mogłabym po prostu odejść przez nikogo nie zatrzymywana,

dopóki na przeciwległym zbocz dolinki nie dostrzegłam Gai, która stała tam na straży, wsparta na nagim mieczu jak na lasce. Przywitała mnie hałaśliwie, głupkowato się uśmiechając. W pałacu służyła jako zamiataczka, nie była zbyt rozgarnięta, ale ślepo oddana mojej matce, zresztą jak większość jej kobiet. Jeśli Amata nakazała jej, by nie pozwoliła mi przejść, Gaja na pewno mi przejść nie pozwoli. Amata nie była przesadnie dobrą panią, raczej nie okazywała służbie serca, lecz nie była też skąpa ani okrutna i nikogo nie wyróżniała, a to w zupełności wystarczało, żeby zaskarbić sobie ich lojalność. Zresztą jej rozpacz po zmarłych synach uczyniła ją niemal świętą wśród kobiecej części domowej służby. „Biedna królowa”, słyszałam na każdym kroku. I nigdy się nie dziwiłam, że wciąż się nad nią litują. Rozumiałam je. Była naprawdę nieszczęśliwa.

Wiele z wczorajszych pijaczek spało do późna, a gdy już wstały, zataczały się. Zasoby jada i napojów bardzo się skurczyły, toteż co trzeźwiejsze zeszły w kilku grupkach do Laurentum po zapasy z domowych spiżarni i z magazynów Regii. Wszczął się ruch, krzątania, mimo to nie mogłam się wymknąć chyłkiem ani przyłączyć do któregoś z ekspedycyjnych zespołów, na co wcześniej liczyłam, bo jeśli nie pilnowała mnie sama Amata, nie odstępowały mnie na krok i nie spuszczały z oka postawna Sykana i posepna Lina.

W naszej gromadzie było jedynie kilka młodych dziewcząt – ze mną licząc – i to tylko wśród niewolnic. Matrony z miasta wołały zostawić swoje dziewicze córki bezpiecznie w domowych pieleszach. Oczywiście matki z niemowlętami przy piersi przytaszczyły ze sobą swe pociechy, więc znaczną część dnia musiałam poświęcić na kołysa-

nie płaczących dzieci, ktoś bowiem musiał wyręczyć utrudzone karmicielki. Miało to wyłącznie tę zaletę, że uwalniało mnie od konieczności prowadzenia rozmów z podpitymi babami. Poza tym dzieci pozwalały mi zapomnieć o fałszywym położeniu, w jakim się znalazłam, o całym tym szaleństwie, w którym tkwiłam. Były czymś dotykającym, rzeczywistym i wymagały opieki. Były zbyt młode, żeby się zadręczać urojeniami wyobraźni. Opieka nad nimi przynosiła mi pociechę, choć otoczeniu dostarczała zarazem powodu do przesadnych pochwał i pochlebstw. „Spójrzcie, jaka dobra jest królewska córka dla dzieci niewolnic!”. „Spójrzcie, jakie dobre jest to dziecię niewolnicy dla królewskiej córki”, odburkiwałam w myślach, kiedy słodka dziewczuszka zasyiała z uśmiechem na moim ramieniu.

Po południu Amata ponownie zarządziła tańce i gonytwy z różgami, ale zabrakło im dzikiej spontaniczności z poprzedniego wieczora. Wszystkie kobiety już wiedziały, że królowa oczekuje na przybycie Turnusa i że zamierza wydać mnie za niego za męża. Niejedną taką perspektywa wyraźnie niepokoiła. Czuły się chyba jak te jałówki, które przeskoczyły nieopatrznie przez ogrodzenie i znalazły się nagle na jednym pastwisku z bykiem. Sama myśl o małżeństwie tak daleko od domu, od domowych larów i penatów, od bram miasta niepokoiła i trwożyła wszystkie. Jak można wyprawiać ślub na takim odludziu, gdzie nie przyjdzie człowiekowi z pomocą żadne z bóstw domowych, miejscowe zaś moce i duchy nie dbają o ludzkie sprawy i mogą równie dobrze okazać się złośliwe? Choć Amata mówiła w kółko o ślubie, pozostałe wołały przez ostrożność mówić tylko o zaręczynach. Zaręczyny w takich okolicznościach – to jeszcze od biedy mieściło im się w głowie.

Czekały więc przez całe popołudnie, przez cały wieczór. A gdy nadeszła noc i Turnus nie nadchodził, Amata znowu zaczęła pić i nas zachęcać do picia. Tańce i śpiewy zmieniły się szybko w bezładną, hałaśliwą pijatykę. Jednakże matka przez cały czas trzymała mnie przy sobie, mając w tym za pomocnice Linę i Sykane. Wartowniczkę zbrojne w miecze w ogóle nie piły, przez całą noc zmieniały się na warcie, stróżując w ciemnościach nieco niżej na ścieżce.

Nazajutrz niemało kobiet wymknęło się ukradkiem, niektóre zaś spośród wysłanych do miasta po prowiant już nie wróciły. Przypuszczałam, że znużyły je po prostu męczące wędrówki tam i z powrotem, ale Amata ogłosiła, że z pewnością zamknęli je mężczyźni, grożąc biciem, jeśli ośmielą się znowu pójść w góry. Wciąż opowiadała o tym, co by czekało mężczyznę, który odważyłby się tu zjawić. Jednakże wszystkie nasze służące, które posłała do Regii, wróciły obciążone winem i chlebem. Nikt im nie zabraniał opróżniać spiżarni, doniosły nam ponadto, iż król rozkazał, aby nikt nie robił przeszkód kobietom, które odprawiają w górach obrzędy religijne. Dowiedziałyśmy się też od nich, że ludzie gadają o jakiejś zwadzie z cudzoziemskimi myśliwymi, gdzieś w lasach między Laurentum a Tybrem.

Pod koniec dnia wielu z nas kręciło się już w głowie od niedostatku pożywienia, nadmiaru wina i dziwnego uczucia niefrasobliwości. Zaczęły się szlochy, szalone śmiechy, krzyki i kłótnie.

Huśtałam na ręku rocznego synka Tulii, któremu wyrzynały się ząbki, usiłując go uspić kołysanką, kiedy stanęła obok mnie Maruna.

– Dzisiejszej nocy? – spytała szeptem, na co tylko skinęłam głową, nie podnosząc oczu, a ona dodała jeszcze: – Sowa – i zniknęła.

– Śpij malutki już, siwe oczka zmruż – śpiewałam niemowlęciu, zastanawiając się jednocześnie, co Maruna mogła mieć na myśli. Ale żeby się tego dowiedzieć, musiałam cierpliwie czekać.

– Lubisz małe dzieci, co? – zapytała moja matka, stanawszy nade mną w zabrudzonej, podartej tunice niewolnicy. Nogi miała białe i zgrabne, porośnięte na łydkach i goleniach delikatnymi, miękkimi czarnymi włoskami. Spojrzała na niemowlę, które trzymałam na rękach, i skrzywiła się, jakby zabolął ją ząb. – On ci da dzieci – powiedziała. – Możesz być pewna. Nie jest starym eunuchem. Da ci synów, którzy będą żyli.

Mówiła dość wyraźnie, lecz głosem matowym. Była tak pijana, jak czasem bywają mężczyźni na ucztach po kilku dniach i nocach pijaństwa. Widywałam takich opilców. Nie odpowiedziałam jej, dalej nuciłam kołysankę, bo malec zaczął nareszcie usypiać. Wołałam nie podnosić wzroku na matkę. Wiedziałam, że znowu wzbiera w niej gniew, gotów lada chwila wybuchnąć. Wiedziałam, że ona już wie, że Turnus nie przybędzie. Bardzo się jej bałam.

– Śpij malutki już – zaśpiewała drwiąco. – Ale z ciebie potulna trusia, córuchna eunucha! Lawinia, potulne ciele. Posłuszne swojemu kochanemu ojczulkowi, który słucha takich wyroczeni, jakich mu wygodniej. Nie myśl, że i tym razem postawisz na swoim. Nie odstąpię cię ani na krok. A ty pójdziesz ze mną, moja mała. Jutro powędrujemy do Ardei.

Zwiesiłam niżej głowę i nic nie odrzekłam. Dziecko wyczuło napięcie w moich rękach i znowu zaczęło kwilić.

– Ucisz tego bachora – warknęła Amata, odwracając się. – Sykana!

Gdzie ten dzban?

Wieczór ciągnął się bez końca. Kiedy Tulia odebrała swoje dziecko, zdrzemnąłam się, oparta plecami o pień wielkiego starego figowca. Bolała mnie głowa, mięśnie miałam napięte jak postronki, głowę pustą, otepiałą. Słońce zaszło za chmury skłębione nad bezkresnymi lasami i zapadła czarna, bezgwiezdna noc. Większość kobiet posnęła wcześniej, tylko grupa kompanek Amaty dalej hulała, dalej piła, dopóki nawet ich nie pokonało zmęczenie.

Matka podeszła i wyciągnęła się obok mnie.

– Śpisz już, jagniątko? – zapytała. Postawiła lampkę oliwną obok swojej głowy. – Śpij dobrze. Jutro pójdziemy do Ardei. Śpij dobrze. Śpij. – Podłożyła sobie pod głowę zwinięty róg swojej palli, przerzuciła przeze mnie rękę, lecz nie po to, by mnie przytulić, i ucichła. Czulałam ciężar i ciepło jej ramienia, jej przyklejone do mego boku ciało. Leżałam wpatrzona w ciemność, obserwowałam cienie, jakie płomyk lampki wzruszał wśród liści i gałęzi drzew. Po jakimś czasie wysunęłam się ostrożnie spod ciężaru ciepłej bezwładnej ręki. Matka westchnęła, zachrapała głośno, tylko jeden raz, nie poruszyła się jednak. Leżałam i przyglądałam się dogasającym cieniom. Byłam śpiąca, ale i czujna, toteż w pewnej chwili usłyszałam drżący, wysoki krzyk sowy, dolatującej skądś z lewej strony, z niedaleka: wiip-wiip.

Niewiele myśląc, wstałam cicho i ruszyłam w tamtym kierunku, klucząc między ciałami śpiących kobiet. Pogasty już wszystkie lampki, ale chmury przerzedziły się i światło letnich gwiazd srebrzyło trawę. Sówka zahukała jeszcze raz, cicho, tym razem z większego oddalenia. Ruszyłam za tym głosem. Dostrzegłam Gaję. Spała skulona pod drze-

wem, podobna do ciemnego tobołka. Obok niej lśnił miecz wbity ostrzem w ziemię.

Wyszłam spod koron figowców, przekroczyłam mały strumyk, poślizgnęłam się na mokrym kamieniu, potknęłam, a potem wdrapałam wyżej, gdzie drzewa rosły gęściej, tworząc ciemną masę. Maruna już tam czekała. Poznałam ją, choć prawie jej nie widziałam. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Po pewnym czasie szepnęła:

– Boję się, że zgubiłyśmy ścieżkę.

Rzeczywiście na to wyglądało. Szłyśmy jednak dalej i po mniej więcej pół mili schodzenia w dół zбочa dotarłyśmy do jaru, którego dnem płynął strumień. Nachylające się nad nim drzewa i gęstwina porastających brzegi zarośli sprawiały, że było tam całkiem ciemno. Nie byłyśmy w stanie posuwać się dalej. Musiałyśmy poczekać kilka godzin, aż się rozwidni. Przycupnęłyśmy i przytuliłyśmy się do siebie, żeby się ogrzać, udało nam się nawet na krótko zdrzemnąć. W końcu, jak to się często zdarza na godzinę przed świtem, zerwał się wiatr, rozwał chmury, ukazał się księżyc i mogłyśmy ruszać w dalszą drogę. Wkrótce natrafiłyśmy na zbiegającą w dół ścieżkę, która doprowadziła nas do traktu używanego przez drwali, tak szerokiego, że można nim było zbiegać. Toteż oczywiście puściłyśmy się biegiem.

Nim całkiem się rozwidniło, byłyśmy już na nizinie, pośród pastwisk. Dobrze znałam tę okolicę dzięki naszym wędrówkom z Sylwią, bez trudu zatem trafiłyśmy do Laurentum. Do południowej bramy dotarłyśmy o brzasku. Była zamknięta i strzegły jej straże.

Pobiegłyśmy prosto do komnat mego ojca. Stanąwszy pod drzwiami, zawołałam głośno:

– Czy już wstałeś, królu? Królu, obudź się!

Wyszedł po chwili z opuchniętymi oczami, zaspany, otulając się pościelą. Objął mnie bez słowa i przytulił.

– A gdzie matka? – zapytał, wypuściwszy mnie z objęć.

– Została przy źródle pod figowcem.

– Nie wróciła z tobą?

– Uciekłam od niej.

Wyglądał na zaskoczonego, zdezorientowanego. Jego siwe włosy były skołtunione i zmatowiały od snu.

– Uciekłaś?

– Nie chciałam tam zostać! – zawołałam z lękiem, a potem, usiłując się uspokoić, choć bez powodzenia, wyjaśniałam: – Ojczy, ona powiedziała, że pośle po Turnusa. Żeby mnie z nim zaręczyć, wydać za niego... sama nie wiem. Bałam się, że on się tam zjawi. Trzymała mnie pod strażą. Nie mogłam się wymknąć. Nie udałoby mi się to bez Maruny.

– Posłała po Turnusa?

Było w tym pytaniu coś więcej niż tylko niedowierzanie człowieka wyrwanego ze snu. Mój ojciec nie rozumiał, nie dopuszczał do siebie myśli, że jego żona mogłaby go zdradzić. Uświadomiłam sobie, że już ją wydałam, i zamilkłam.

– Muszę szybko sprowadzić z lasu twoją matkę i resztę kobiet – rzekł w końcu. – Mamy tu pewien kłopot. Wybuchły walki, dlatego mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie. Czy ona... zamierza dziś wró-

cić? Co tam w ogóle robi?

– Sprawuje kobiece obrzędy. Tańce... wedle obyczaju swego ludu.
– Usiłowałam skupić się na tym, co naprawdę ważne. – Jeśli pošlesz jej wiadomość, że wybuchły walki, że mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie, sądzę, że wróci. Tylko jako wysłannika pošlij kobietę, ojciec. Mężczyznom nie wolno się tam zbliżać. Niektóre z jej służebnic są uzbrojone.

– Ależ to czyste szaleństwo! – mruknął.

Byłam zmęczona, zdenerwowana po opętańczych przygodach ostatnich dni. Spojrzałam na niego i wypaliłam:

– Bo też ona jest szalona... i to już od trzynastu lat!

Śpiewając mi pieśń o upadku Troi, mój poeta opowiedział między innymi o córce króla, Kasandrze, która przepowiedziała przyszłość i usiłowała powstrzymać Trojan przed wprowadzeniem do miasta wielkiego konia. Nikt jej nie posłuchał, bo taka ciążyła na niej klątwa. Mogła wglądać w przyszłość i przepowiadać ją, lecz u nikogo nie znajdowała posłuchu. Podobne przekleństwo spada częściej na kobiety niż na mężczyzn. Mężczyźni lubią mieć zawsze rację, chcą sami odkrywać prawdę, aby stawała się ich własnością. Mój ojciec mnie nie słuchał.

– Zaczekaj – powiedział i wszedł do swojego pokoju. Czekałam więc.

Tymczasem Maruna poszła do studni na dziedzińcu, by zaczerpnąć dla mnie wody do dzbanu. Wypiłam z wdzięcznością do ostatniej kropli – z wyjątkiem odrobiny, którą uroniłam na libację dla penatów, oraz resztki, w której umoczyłam skraj szaty, żeby obmyć twarz. Byłam bowiem cała brudna i wręcz lepiałam się od potu. Stara szorstka tunika

zabrudziła się i podarła podczas naszej nocnej ucieczki z gór, a moja najlepsza palla, którą miała na sobie Maruna, była dosłownie w strzępach. Rozpaczaliśmy właśnie obie nad jej rozdarciami i dziurami, kiedy powrócił mój ojciec, całkowicie już ubrany. Popatrzył na nas ze zdziwieniem.

– Musisz się doprowadzić do porządku, Lawinio – rzekł.

– Bardzo chętnie, ojcze. Lecz powiedz mi najpierw, co to za kłopoty? Kto z kim wojuje?

– Trojanie urządzili sobie polowanie. Pozwoliłem im polować w lasach między Venticulą a Laurentum. Nie mają już co jeść... – wyjaśnił i urwał.

– Któryś z naszych myśliwych próbował ich powstrzymać? – domyśliłam się po chwili milczenia.

– Zastrzelili jelenia. Tego byka – dodał ze smutną miną.

Nie zrozumiałam, co ma na myśli. Dlaczegoż by myśliwi nie mieli zastrzelić jelenia?

– Jelenia Sylwii.

– Cervulusa – szepnęła Maruna.

– Biedne zwierzę przybiegło do domu... do zagrody Tyrrusa... krwawiąc, ze strzałą w boku... Podobno płakało jak niemowlę. Sylwia wpadła w rozpacz, jakby naprawdę zabito jej dziecko. Nie można jej było uspokoić. Jej ojciec i bracia poprzysięgli winowajcy zemstę. Tymczasem okazało się, że tego jelenia postrzelił syn króla.

– Askaniusz – wyszeptałam.

Zacznie się od chłopca, który zastrzeli jelenia.

Fale nakładały się jedna na drugą jak na plaży w porze przypływu.

– A więc tak ma na imię? – Nigdy nie widziałam mojego ojca równie zdumionego. Przez chwilę szukał właściwych słów, wreszcie podjął: – Tyrrus wpadł we wściekłość, jak to on. Razem ze swoimi synami... zebrali drużynę spośród służby i wyruszyli na poszukiwanie trojańskich myśliwych. Uzbrojeni w miecze, topory i łuki. Starli się... gdzieś za grzbietem Villia... Wytropiwszy Trojan, mieli zamiar wybić ich do nogi. Tamci jednak, jak się okazało, są nie tylko myśliwymi, ale i żołnierzami. Bronią swego księcia, zabili... – Spojrzał mi w oczy, lecz szybko odwrócił wzrok. – Poległ najstarszy syn Tyrrusa.

Pierwszy zginie młody Almo... znasz go przecież. Strzała przeszyje mu gardło, topiąc we krwi oddech i głos.

Wyszeptałam jego imię, podobnie jak przed chwilą Maruna imię jej.

– I stary Galaesus.

Stary Galaesus, który jest bogaty i nawykły do posłuchu, spróbuje powstrzymać walczących, wejdzie między nich, a oni w nagrodę za jego dobre chęci zmasakrują mu twarz.

– To niepojęte – ciągnął mój ojciec. – Galaesus próbował ich rozdzielić, umiarkować. Sądził, że rozgorączkowani młodzieńcy posłuchają go.

Byłam jak ogłuszona. Czułam się jak wtedy, kiedy stałam raz w płytkiej wodzie na brzegu morza w porze przypływu. Fale napływały jedna za drugą, popychały mnie, a powrotny prąd usuwał mi piasek spod stóp. Tak i teraz cały świat zaczął nagle migotać i usuwać się spod nóg.

Uchwyciłam się ręki Maruny, a ona mnie podtrzymała.

– Proszę, pozwól nam odejść, królu – szepnęła do Latynusa, a on, jakby dopiero teraz spostrzegł, jakie jesteśmy brudne, w łachmanach, podrapane, wyprowadził nas na dziedziniec i przywołał niewolnice, żeby się nami zajęły.

Wyjaśnij mi coś, czego nigdy nie mogłam zrozumieć. – Siedzimy na małym dziedzińcu, najbardziej wewnętrznym pomieszczeniu naszego pałacu w Regii. Jest ciepły czerwcowy poranek i mój mąż, który ma nieoceniony dar cieszenia się drobnymi przyjemnościami, wygrzewa się w porannym słońcu podczas śniadania, na które mamy białe figi i świeże mleko osłodzone miodem.

– Postaram się – obiecuje.

– Wątpię.

– Więc się przekonaj.

– Dlaczego nie zjawiłeś się od razu, żeby porozmawiać z moim ojcem, kiedy prosił, byś przybył i zawarł z nim przymierze?

To pytanie go zaciekawia. Prostuje się nieznacznie na siedzisku, żeby wrócić pamięcią wprost do wydarzeń sprzed roku. Ma za punkt honoru jak najściślejsze trzymanie się prawdy, a że łatwo można w niej pobłądzić, gdy mowa o zdarzeniach z przeszłości, zastanawia się przez chwilę, nim odpowie.

– Gromadziłem dary, które mógłbym wam ofiarować – mówi. – Szukałem czegoś, co byłoby odpowiednie... jako podarunek zaręczynowy dla ciebie. Już wcześniej posłałem puchar, koronę i berło Priama. Ostatnie, najdroższe pamiątki z Troi. Nic więcej nam nie zostało oprócz naszych bóstw. Nie chciałem jednak przybywać z pustymi rękami jak żebrak. Matka Euryalosa miała piękny szal tkany srebrną nicią. Przechowywała go jako dar dla przyszłej narzeczonej syna, ale postanowiła mnie go ofiarować. Biedna!... Zastanawiałem się nad wyborem darów, gdy nagle nadeszła wiadomość, że grupa wieśniaków napadła na naszych myśliwych tylko dlatego, że Askaniusz zastrzelił oswojonego

jelenia. Strzała drasnęła w ramię naszego Gjasa, za co nasi ludzie zabili dwóch wieśniaków. To były złe nowiny. I zły początek. Wyglądało na to, że mieszkańcy wsi nie zamierzają gościnnie nas powitać, niezależnie od tego co zapowiadał ich król. A potem w naszym obozie przy okrętach zjawił się Drances. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Nie powiedział, że przysłał go Latynus, ani nawet że wie o jego misji. Z własnej inicjatywy ostrzegł nas, że Turnus chce wykorzystać naszą zwadę z wieśniakami do zbuntowania przeciwko nam całego kraju, że już posłał po posiłki do Wolsków i Sabinów, a nawet do Diomedesa na południu.

– Drances był zawsze zazdrosny o Turnusa.

– Zastanawiałem się, jaki był prawdziwy cel jego wizyty. Jak myślisz, czy gdybym wtedy wrócił wraz z nim do Laurentum, zapobiegłbym wojnie?

– Nie – stwierdzam kategorycznie.

Nie podważa mojego stanowczego sądu. Przyjmuje do wiadomości, że wiem rzeczy, których w żaden normalny sposób nie mogłabym poznać. Nie wie, skąd o nich wiem. Powiedziałam mu kiedyś, że wyprawiłam się z ojcem do wyroczni w Albunai, ale nigdy nie wspomniałam o poecie. Wątpię, bym kiedykolwiek to zrobiła.

W moją nierzeczywistość nietrudno mi było uwierzyć, bo jest ostatecznie dość mizerna. Lecz dla niego byłyby to naprawdę trudne. Nawet jeśli w obecnej chwili jest bezczynnym, szczęśliwym żonkosiem, który wygrzewa się na słońcu i gawędzi z żoną, tamten stworzony przez poetę nieustraszony heros, gorący, władczy, niespokojny duch, miałby kłopot

z zaakceptowaniem faktu, że jego świadomość i wola były przypadkowe, nieistotne. Pobożność, wierność, posłuszeństwo wymogom powinności i uczciwości, owo *fas*, są najgłębszą potrzebą jego serca. Gdyby się dowiedział, że był posłuszny raczej poecie niż własnej jaźni, mogłoby go to mocno zboleć – nawet gdyby zrozumiał, jak ja zrozumiałam, że sam poeta był posłuszny swojej jaźni i postępował zgodnie z owym *fas*. Po co miałabym zawracać mu głowę tymi komplikacjami, gdy ma tyle poważniejszych trosk i tak mało czasu przed sobą?

Zgadza się z moją oceną, potakując.

– Czas był wojenny. Mars zmarszczył srogo brew... Sam Drances uznał, że postąpiłbym prowokacyjnie, gdybym wtedy spróbował dostać się do miasta. Mam więc nadzieję, że przyznasz, iż nie było z mojej strony zlekceważeniem powinności wobec ciebie i twojego ojca, że się wtedy nie zjawilem. Zadowolona cię to wyjaśnienie?

Nawet jeśli nie zadbał o to wcześniej, troska, jaką teraz okazuje tamtemu zdarzeniu, naprawdę mnie rozczuła. Chcę potraktować go łagodnie, mimo to mówię, żeby go podrażnić:

– Cóż, mogłeś choć przysłać wiadomość. Wątpiłam już, czy naprawdę chciałeś dostać księżniczkę jako przydatek do przymierza.

Wygląda na stropionego, jak zawsze, kiedy chwyta go obawa, że uchybił swym obowiązkom.

– Oczywiście – zapewnia. – Oczywiście, że chciałem.

– Ale przyznaję, że nie było to z mojej strony zbyt uczciwe. Ostatecznie miałam nad tobą przewagę: ja ciebie widziałam. – Wie, że obie z Sylwią obserwowałyśmy ich popas nad rzeką. Już dawno mu o tym powiedziałam. Obraz dwóch dziewcząt, które ukryte w krzakach szpie-

gują obcą armię, zaskoczył go i rozbawił jednocześnie. – Również mój ojciec mógł ci posłać wiadomość, a tego nie zrobił. Nie ma więc o czym mówić.

Widzę, że ma ochotę rozmawiać, wspominać. Znowu się zamyśla.

– Tamtej nocy – mówi – byłem niezdecydowany. W rozterce. – Bardzo lubię te jego niedopowiedzenia, kiedy opowiada o decyzjach, jakie musiał podjąć, od których zależało życie jego ludzi. – Po prostu nie mieliśmy dość siły, żeby się przeciwstawić całemu krajowi, gdybyście postanowili nas przepędzić. Jakimś rozwiązaniem mógł być powrót na okręty i odjazd... tylko dokąd? Dobiliśmy wszak do celu naszej podróży. Tyle było dla mnie jasne. Odszedłem więc kawałek w dół rzeki, żeby sobie to wszystko rozważyć. Moje myśli rozbiegły się zaraz na wszystkie strony w poszukiwaniu właściwego postępowania. Jakby mój umysł był miseczką z wodą, w której odbija się światło. Kołyszasz miseczką i refleksy blasku tańczą na suficie, ale się ze sobą nie zlewają... Przyglądałem się, jak światło księżyca drży i rozłamuje się na rzece... Zacząłem się modlić do Tybru. A gdy się modliłem, tam, w trzcinach pod topolami, spłynął na mnie spokój. I rzeka przyniosła mi odpowiedź. Pomyślałem: Drances mówił, że w górze rzeki jest miasto, którego królem jest Grek z pochodzenia, sprzymierzeniec Latynusa, lecz w nie najlepszych stosunkach z innymi Latynami. Cudzoziemiec, podobnie jak my. Może on zechce nam pomóc. Pomyślawszy to, zyskałem cel działania. Wszystkie rozstrzelone refleksy zbiegły się w jeden. Zdrzemnąłem się, a nazajutrz wraz z kilkoma towarzyszami popłynęliśmy na dwóch galerach w górę rzeki. Zostawiłem na miejscu syna, by nadzorował budowę obozu, w którym moglibyśmy się bronić. Nadszedł czas,

bym go obarczył prawdziwie odpowiedzialnym zadaniem.

– Raczej nielekkim jak na barki młodego chłopca.

– Prawda, ale miał przecież do pomocy Mnesteusa i Serestusa. To wypróbowani towarzysze. Doświadczeni. Przełałem na nich pełnię swojej władzy. Nie przewidziałem tylko, jak szybko Latynowie zdołają zebrać siły i skrzyknąć sojuszników, żeby na nas napaść. Spalili nasze okręty, odcinając moim ludziom drogę ucieczki. Bogowie! – Pamięć o tamtym zdarzeniu sprawia, że zaciska pięść, a jego twarz spina grymas bólu. – Sądziłem, że mam osiem, może dziesięć dni na poszukanie nowych sprzymierzeńców. Tymczasem Turnus działał błyskawicznie. To był człowiek wielkiego talentu.

Czy nie podziwiasz samego siebie, podziwiając tego, którego zabiłeś? Czy nie osądzasz samego siebie, jego osądzając?

– Był odważny – mówię – lecz brakowało mu charakteru. Był zachlanny.

– Trudno wymagać bezinteresowności od młodego mężczyzny – uśmiecha się smutno Eneasz.

– Za to dość łatwo oczekuje się jej od młodej kobiety.

Zastanawia się nad moimi słowami.

– Być może kobiety mają bardziej skomplikowane życie wewnętrzne. Potrafią robić więcej niż jedną rzecz naraz. Mężczyźni późno się tego uczą... jeśli w ogóle kiedykolwiek. Nie mam pewności, czy sam już to potrafię.

Marszczy w zadumie czoło. Prawdopodobnie myśli o tym, co uważa za swoją największą wadę: o krwiożerczej furii, jaka ogarnia go w bitwie, czyniąc zeń ślepego, bezwzględnego mordercę, „jakby psa pa-

sterskiego, który się wściekł pośród stada owiec” – jak sam to nazywa. Oczywiście niemałą część swej bitewnej sławy zawdzięcza właśnie tej furii. Mężczyźni, którzy stanęli z nim oko w oko, byli przerażeni takim przeciwnikiem. Nie rozumiem też, czym się ta furia różni od męstwa, jakie przecież szanuje u tych bohaterów, o których mi z takim podziwem opowiadał: Trojańczyka Hektora, Greka Achillesa. Jednakże dla niego to niewątpliwa wada, nadużycie biegłości, *nefas*. Wiem, że lęka się każdej wojennej groźby ze strony naszych sąsiadów, ale nie dlatego, że nienawidzi walki i boi się jej – przeciwnie. On boi się siebie. Uważa, że zamordował Turnusa. Spierałam się z nim o to. To była uczciwa walka; przecież nie mógł pozostawić przy życiu nieprzejednanego, a potężnego wroga – perswadowałam. Słabe pocieszenie. Nie potrafił odeprzeć moich argumentów. Zamykałam mu usta. Lecz w skrytości ducha nigdy sobie nie wybaczył.

W drzwiach pod kolumnadą pojawia się stara Westina. Trzyma na ręku niemowlę, które wierci się w jej objęciach, wydając dźwięki, jakie wydaje mały, raz za razem naciskany mieszek.

– Chłopiec jest głodny, królowo – informuje mnie z przyganą. Na widok synka mleko samo napływa mi do piersi.

– Daj mi go – proszę i przystawiam malca do cycka. Jest tak zachłanny, że zrazu nie może znaleźć sutka i macha ze złością piąstkami, parszając z irytacją. – Ktoś tu wspominał o zachłanności – uśmiecham się.

Ciemne oczy mojego męża obejmują mnie i Sylwiusza kochającym, spokojnym spojrzeniem. Nalewa sobie z dzbana kolejną miseczkę słodzonego mleka, kilka kropel strąca na ziemię na ofiarę, po czym przepi-

ja tym napojem do swojego syna.

– Twoje zdrowie – mówi.

Zmyłam z siebie brud tych trzech nocy spędzonych u źródła w figowym gaju i zdrzemnęłam się na kilka godzin w środku dnia. Dłużej się nie dało z powodu rozgwaru na dziedzińcu i w różnych częściach domu. „Turnus, Turnus” – bez przerwy słyszałam to imię. W końcu wstałam i wyszłam, żeby odkryć przyczynę tumultu. Turnus przybył, lecz nie do mojej matki, czekającej na niego w górach. Stał pod bramami miasta, jak się dowiedziałam, z armią złożoną z pasterzy, wieśniaków i mieszkańców samego Laurentum. Wdrapałam się na dach wieży, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Pod murami już mrowił się tłum, a od pół wciąż nadciągali nowi ochotnicy. Wszyscy mężczyźni nosili broń. Jedni narzędzia rolnicze, inni łuki do polowań, jeszcze inni miecze i włócznie okute grotami z brązu. Zbici w gromadę, szumieli jednym ciemnym, niemilknącym gwarem. Spojrzałam z góry na wierzchołek rosnącego na dziedzińcu wawrzynu, na którym ongiś usiadł pszczeli rój. Tłum pod murami miasta nie składał się jednak z cudzoziemców, których przybycie zwiastowały pszczoły. Składał się z Latynów, Laurentyńczyków, Italów. To był mój lud. Moi wrogowie.

Przez cały wieczór na przedpolach Laurentum stała rzesza zbrojnych. Obozowali na placu ćwiczebnym i pod skarpami zewnętrznych obwałowań. Nazajutrz o świcie wspięłam się na dach głównej bramy. Tłum na zewnątrz murów i ten wypełniający ulice wokół pałacu zgęstniały w dwójnasób. Co chwila wybuchały z różnych stron okrzyki.

– Wojna – krzyczano – wojna! Precz z obcymi! Wypędzić morderców tam, skąd przyszli!

Przez tłum przeciskała się grupa mężczyzn. Niektórych z nich zna-

łam: to byli okoliczni pasterze. Dźwigali jakiś kształt podłużny i najwyraźniej ciężki, owinięty w białe płótno poplamione krwią.

– Almo, Almo – zawadzili. – Pomścimy naszego brata! Pomścimy naszych zmarłych!

Wypatrzyłam wśród nich Tyrrusa, ojca Sylwii i Alma. Białowłosego starzec z obłąkanym wzrokiem potykał się, podpierany, wręcz niesiony przez pozostałych mężczyzn. Procesja zmierzała ulicami ku drzwiom Regii. Stanąwszy przed nimi, złożyła swój ciężar na ziemi. Gniewny krzyk wbił się pod niebo, aż zadrżało od niego powietrze. Dostrzegłam Turnusa. Stał przed bramą pałacu zwrócony twarzą do tłumu.

– Czy mają nami rządzić obcy? – zawołał, a otaczający go tłum odpowiedział krzykiem, który przetoczył się gromem po ulicach:

– Nie!

– Czy ta, którą mnie obiecano, ma iść za obcego?

– Nie!

– Latynusie! Królu Latynusie! Oto stoję u twoich wrót! Żądamy sprawiedliwości! Chcemy wojny!

A tłum odpowiedział mu jak echo:

– Wojny!

Po chwili długiej jak wieczność otworzyły się drzwi Regii i wyszedł mój ojciec w otoczeniu straży, z Drancesem i gronem starszych doradców. Krzyki ucichły. Ludzie bliżej i dalej stojący zaczęli wołać:

– Król, król przemówi!

Patrzyłam niemal pionowo z góry, klęcząc za ozdobnymi dachówkami, które wieńczyły krawędź dachu, widziałam więc tylko czubek głowy mego ojca, jego przeredzone siwe włosy.

– Ludu Lacjum, dzieci moje! – zawołał mocnym głosem, po czym zamilkł, a na tak długo, iż wydawało się, że więcej nic nie powie. Ludzie zaczęli się niecierpliwić. W końcu się jednak odezwał, ale już zmęczonym głosem starca: – Wyrocznia przemówiła. Obietnica została złożona. Źle czynicie, nie słuchając głosu przepowiedni, zrywając traktaty, które zawarłem ja, wasz król. Za te błędy przyjdzie wam zapłacić krwią. Dobrze o tym wiecie. To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Turnusie, synu Daunusa, mojego starego druha, siostrzeńce mojej żony, jeśli zamierzasz popchnąć lud ku tej zbrodni, ja cię powstrzymać nie mogę. Mogę tylko powiedzieć, że pozbawiasz mnie bezpiecznego portu, w którym miałem nadzieję dokonać żywota, ograbiasz z godnej śmierci, do jakiej tęskniłem.

Cisza ciągle trwała. Nie czekając na odpowiedź, Latynus odwrócił się i wszedł do pałacu. Straże zamknęły za nim wysokie drzwi, pozostawiając na zewnątrz Turnusa i tłum jeszcze przez chwilę milczący. Ale potem znowu zaszumiał mroczny pomruk i wzmagął się, rósł, aż objął całą Regię i napełnił ulice.

Tymczasem wszczął się jakiś tumult w zaułkach na tyłach pałacu. Nie byłam tam, w górze, jedyną obserwatorką. Maruna, Tita i kilka innych dziewcząt weszło na platformę wieży w południowo-wschodnim narożniku pałacu. Jedna z nich wskazywała właśnie ręką południową bramę. Pobiegłam do nich. Z punktu obserwacyjnego na wieży ujrzałyśmy po chwili nową procesję. Ulicami szły kobiety – niewolnice i panie domu, bezwstydnice i zacne matrony, zawstydzone i harde, wszystkie ze zmierzwionymi włosami, w podartych, brudnych tunikach i togach. Oto z gaju figowego na wzgórzach wracała Amata z gromadą utrudzo-

nych świętowaniem towarzyszek.

Krocząc jak zwykle z królewską godnością, wstąpiła na plac przed Regią. Turnus podbiegł do niej. Powitali się, objęli, coś do siebie przez chwilę mówili. Niebawem w tłumie, który ich otaczał, zaczęto skandować nowe hasło:

– Otworzyć Bramę Wojny! Otworzyć Bramę Wojny!

Brama Wojny w Laurentum stoi na placyku nieopodal rzeczywistych bram miasta i składa się z pary wysokich, nabijanych brązem dębowych drzwi ujętych w ramę z cedru. Na wschód od niej wznosi się ołtarz Janusa, wokół jest pusta przestrzeń. Te drzwi, stare, posępne, prowadzące donikąd, są zawsze zamknięte i zaryglowane. Za mego życia nie odbywały się tam żadne ceremonie z wyjątkiem kalend styczniowych, kiedy czynimy libację na cześć Janusa. Lecz teraz wszyscy krzyczeli:

– Królowa, królowa otworzy Bramę Wojny! – I cały tłum ruszył w tamtą stronę.

Jeszcze przez chwilę widziałam w morzu głów moją matkę i wysoką kitę na hełmie Turnusa, potem zasłoniły mi ich drzewa i słyszałam już tylko wiwaty. Nagle buchnął pod niebo radosny krzyk:

– *Mars! Mavors! Macte esto!* – Po czym nadbiegli roztańczeni ludzie, wołając, że Brama Wojny została otwarta.

Tak krótkie wystąpienie mojego ojca przed drzwiami Regii nie tylko na mnie, ale na większości z nas zrobiło wrażenie abdykacji. Wygłosił uroczysty apel do swojego ludu, lecz nawet nie poczekał na odpowiedź. „Nie mogę cię powstrzymać”, powiedział do Turnusa. Byłam oburzona, że wyrzekł te słowa. Jak mógł tak powiedzieć? Jak mógł oddać władzę Turnusowi i po prostu schować się w domu?

Gdy teraz o tym myślę, widzę jasno, że ojciec nie zwracał się wtedy do Turnusa, tylko do swego ludu, do wszystkich Latynów. W gruncie rzeczy to oni sprawowali władzę. Turnus mógł się nimi posługiwać, dopóki mu na to pozwalali, ale nie mógł nad nimi panować, podobnie jak nie mógł panować mój ojciec w tamtej chwili. Toteż apel swój do nich kierował w nadziei, że może kiedyś przypomną sobie jego słowa. Na razie byli zbyt wzburzeni, zaślepieni gniewem. Widzieli tylko, że nadarza się okazja do walki, do zemsty, do wyładowania słusznego gniewu. Tylko tego chcieli. Wieśniacy nienawidzą cudzoziemców, a oto pojawiła się banda jakichś zamorskich przybłędów, którym się wydaje, że wystarczy się zjawić i można zawładnąć Lacjum, strzelać do jeleni, brać za żony księżniczki, pomiatać uczciwymi ludźmi – oho, przekonają się, jak bardzo się mylili! Stary król już nie ma siły, by wystąpić przeciwko nim, ale wyręczy go młody. Cóż stąd, że jest Rutulem? Wszyscy jesteśmy Latynami. Stoimy murem, ramię przy ramieniu, ludy Zachodu, gotowi bronić naszych pól, naszych ołtarzy i kobiet. Jak tylko zepchniemy tych obcych do morza, uładzimy wewnętrzne spory.

Latynus wcześniej wyczuł ten ślepy pęd do wojny i nawet nie próbował mu się przeciwstawiać, nie myślał strzepić języka po próżnicy na przekonywanie szaleńców.

Ale ja byłam dzieckiem pokoju, toteż widziałam jedynie starego, pokonanego człowieka, który kryje się w swoim pałacu, kiedy głupcy wyją na ulicach. Tymczasem jego królewska małżonka w brudnych szatach niewolnicy miota się, bezwstydna, triumfująca, bo udało jej się sprofanować świętość codziennego życia, przekonana, że odtąd wszystko będzie się układało po jej myśli.

Nie zawładnie mną, dopóki jestem w stanie od niej uciec. Nawet jeśli mój ojciec wyrzekł się władzy, wciąż pozostawał moją nadzieją na opór.

Zebrałam pośpiesznie swoje rzeczy i poleciłam Marunie oraz kilku innym dziewczętom, żeby przeniosły się ze mną z kobiecej części domu do pomieszczeń króla, do małżeńskiej sypialni, do której moja matka już od lat nie zaglądała. Lina, Sykana i reszta jej popieczniczek, frakcja królowej, powoli wracały do Regii. Gaja wywijiała w sieni swoim mieczem. Nie miałam zamiaru oddawać się znowu pod ich kuratelę.

Biedna Westina była wstrząśnięta, płakała, jęczała, próbowała mnie nakłonić, bym pozostała tam, gdzie moje miejsce; odważyła się protestować, kiedy odmówiłam. Nie mogłam jej uspokoić ani ze sobą zabrać. Była rozdarta między lojalnością wobec mnie i wobec Amaty. Na czele małego orszaku przemknęłam przez sienie w głębi pałacu do pomieszczeń króla i poprosiłam strażę, by oznajmiły memu ojcu, że jego córka prosi o pozwolenie zamieszkania w pokojach królowej.

Wkrótce po mnie przysłał. Siedział w sali narad z Drancesem i innymi doradcami. Zamiast im nakazać, żeby wyszli, wstał, by rozmawiać ze mną za plecami tronu. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Na policzkach i wokół oczu jeszcze wyraźniej uwydatniały się

zmarszczki.

– Dlaczego nie zapytałaś mnie o zdanie w sprawie tej przeprowadzki, córko?

– Bałam się, że królowa nie pozwoli mi odejść, gdy się o tym dowie.

– Czy nie jesteś winna posłuszeństwo matce?

– Nie wtedy, kiedy posłuszeństwo wobec niej oznacza nieposłuszeństwo wobec ciebie, ojczy.

Zmarszczył się i zachnął, starając się opanować gniew.

– Mów wyraźniej, co masz na myśli.

– Gdyby tylko mogła... gdyby miała nade mną władzę... wydałaby mnie za Turnusa.

Prychnął niecierpliwie.

– Właśnie dlatego zabrała mnie w góry. Żebym się z nim spotkała. Przeciwstawiła się wyroczni i doprowadziła do zerwania przymierza, które zaproponowałaś Trojanom.

– Nie ośmie... – urwał, bo przecież nie mógł powiedzieć: „Nie ośmieliłaby się”, skoro już wiedział, że się ośmieliła, otwierając Bramę Wojny. Stał przede mną z gniewną, zafrasowaną miną.

– Pozwól mi zostać, ojczy. Postaw wartownika przed moimi drzwiami. Staram się być posłuszną tobie i wyroczni. Nie wyjdę za Turnusa.

Chwilę milczał, po czym zapytał:

– Aż tak go nie lubisz?

Głos miał słaby i jego pytanie też wypadło słabo. Ogarnęło mnie zniecierpliwienie, nad którym spróbowałam zapanować.

– Obiecałeś mnie wodzowi Trojan. On będzie moim mężem. Innego nie pragnę.

– Wygląda na to, córko, że ludzie są gotowi wywołać wojnę, by temu zapobiec – powiedział, starając się zbagatelizować tę groźbę tonem głosu.

– Ojczy, wiem, co mi należy czynić. I uczynię to. Nie powstrzyma mnie ani matka, ani wszyscy mężczyźni w tym królestwie nawołujący do wojny. – „Tylko ty jeden mógłbyś”, pomyślałam, lecz tego nie powiedziałam. Jednakże ta myśl osłabiła moją determinację i głos mi się załamał, kiedy zakończyłam: – Proszę, pozwól mi postąpić tak, jak powinnam, i chroń mnie, bym mogła to zrobić.

Nie wiem, co pomyślał i co mi zamierzał odpowiedzieć, bo tymczasem podszedł do nas Drances. Słyszał oczywiście, o czym mówiliśmy, a że był zawsze pewny przenikliwości własnego umysłu i giętkości języka, zachęcony tym, że wiele mu wolno, nawet nie poprosił o pozwolenie, by wtrącić się do naszej rozmowy.

– Królu – powiedział – twoja córka ma słuszość, jest mądra i mężna. Gdyby Turnus miał w tej dobie zamętu wykorzystać względy, jakimi się cieszy u królowej, i sprzeciwić się wyroczni, tobie się sprzeciwić, stałaby się szkoda niepowetowana. Czekaliby nas zguba! Miej cierpliwość. Nasz lud się opamięta. Ale musi sobie najpierw przypomnieć, jak sam powiedziałaś, jakiego koloru jest krew. Zatrzymaj córkę przy sobie, z dala od niebezpieczeństwa, z dala od Rutulów. Niech jej strzegą strażę. Ona jest gwarantką naszej czci. Dzięki niej święte moce będą z nami.

Drances zawsze mówił za dużo, posuwał się za daleko, lecz może

tym razem naprawdę musiał wygłosić tę tyradę, żeby mój ojciec w ogóle go usłyszał.

– Niechże tak będzie – wolno i z powagą powiedział Latynus. – Możesz zostać w pokojach swej matki, Lawinio. Postawię wartę u drzwi. Ale nie chcę więcej słyszeć zuchwałych, buntowniczych opinii na temat królowej. Zrozumiałaś?

Skłoniłam głowę, wymamrotałam słowa podziękui i wymknęłam się z sali.

O wiele łatwiej rozmawiało mi się z królewskimi strażnikami niż z samym królem. Znałam ich od dziecka: Werusa, Aulusa, Albinusa, Gajusa i innych. Niektórzy z nich wciąż mnie nazywali moim dziecięcym imieniem: camilla, służebnica ołtarza. Najlepsi z wojowników Latynusa z czasu jego najwaleczniejszych lat byli już wszyscy w sile wieku, posiwiali, nieco brzuchaci pod pancerzami z brązu, lubiący zjeść i wypić, ale nadal bystrzy. Zdawali sobie sprawę, że w Regii zapanował rozkład. Ku swojej uldze odkryłam, że podzielają moją antypatię do Turnusa, nie chcieli jednak źle myśleć o swej monarchini.

– Ten Rutul okręcił sobie królową wokół palca – rzekł Werus. – Ostatecznie jest synem jej siostry, a nasza pani traktuje go jak własnego. W jej oczach będzie zawsze niewinny i bezgrzeszny. Matki inaczej nie potrafią.

Było mi obojętne, jak sobie tłumaczą zachowanie Amaty, byle rozumieli, że grozi mi z jej strony niebezpieczeństwo. I oni to rozumieli, bo choć ich nawet nie prosiłam o taką opiekę, jeden z nich zawsze mi towarzyszył, dokądkolwiek się udawałam w obrębie pałacu dla dopełnienia obrzędów lub spoczywających na mnie domowych obowiązków.

Nastał dziwny czas, nagle bowiem połowa domu stała się dla mnie niedostępna. Przestałam w ogóle zaglądać do kobiecej części, dotychczas mojej rodzinnej. Stałam się całkiem obca dla własnej matki i ogarniało mnie zakłopotanie w obecności kobiet, które znałam od urodzenia. Większość z nich nie mogła uwierzyć, że trwam w zamiarze poślubienia obcego wodza, wroga; w ogóle nie potrafiły zrozumieć, dlaczego tak postępuję.

Amata pozwalała im na komentarze, jakobym była głupio, wręcz ślepo posłuszna swemu ojcu, który na dobitkę całkiem już spierniczał. Rzeczywiście zachowanie Latynusa ukrywającego się w swojej części domu, jadającego w samotności, prawie z nikim się nie widującego, dawało pewne podstawy do oskarżeń o zniedołężnienie. Widywałam go tylko wtedy, gdy przychodziło mi towarzyszyć mu podczas obrzędów odprawianych w pałacu lub w mieście. Nigdy nie wychodził poza miejskie bramy.

Zresztą ja również nie, spędzałam natomiast dużo czasu na dachach i wieży, obserwując, co się dzieje za murami miasta. Tam, w górze, nie dosięgała mnie ciekawość jednych i złe życzenia innych. Werus lub któryś ze strażników pilnował schodów prowadzących na wieżę w południowo-wschodnim narożniku pałacu, najwyższy punkt w całym mieście, z którego było widać plac ćwiczeń, równiny, pastwiska i gaje aż po zagrodę Tyrrusa, aż po błękitne wzgórza na wschodzie i strumień Lentulus na zachodzie, który wił się wśród bagien ku nadmorskim wydmom. Brałam ze sobą kąpiel i z Maruną lub którąś z dziewcząt wchodziłam na górę. Rozpinałyśmy płócienny daszek, bo letnie słońce mocno już przypiekało. Czasem inne kobiety pytały, czy mogą do mnie

dołączyć, przychodziły i siedziały ze mną przez jakiś czas, z robótką lub niemowlęciem na rękach, jakby nic się nie zmieniło i wszystko było jak dawniej. Wymagało to pewnej odwagi z ich strony, gdyż oznaczało nieposłuszeństwo wobec Amaty, w której władzy pozostawały. Czasem opowiadały mi o jej zachowaniu, które najwyraźniej budziło ich niepokój. Codziennie rozkazywała na przykład, by przygotowywano salę biesiadną i zarzynano zwierzęta na wypadek, gdyby Turnus z wodzami miał przybyć na ucztę. Ale wodzowie byli zbyt zajęci, ponieważ rozjeżdżali się po okolicy i kompletowali oddziały, a Turnus, choć tak zachwalał, wahał się przed przybywaniem na posiłek do królewskiego stołu bez królewskiego zaproszenia. Przysyłał przeprosiny. Amata wciąż powtarzała: „Przyjedzie jutro. Musimy być gotowi na jego przybycie”. W rezultacie zamiataczki i chłopcy stajenni raczyli się najlepszymi kawałkami wołowiny i baraniny, opowiadały moje rozmówczynie, kręcąc krytycznie głowami nad takim marnotrawstwem.

Na wieży czułam się bezpieczna. Przyglądałam się, jak żołnierze odbywają musztrę na placu ćwiczeń, doskonaliła się we władaniu mieczem, formują w oddziały i ruszają do ataku, posłuszni rozkazom wykrzykiwanym przez oficerów. To wszystko wyglądało z góry jak zabawy chłopców. Czasem Werus lub Aulus stawali obok mnie i wyjaśniali, jaki jest cel poszczególnych manewrów.

– Nie mają trębaczy – zauważył pewnego razu Werus.

Ojciec opowiadał mi kiedyś, jak odkrył przed laty, wojując w Etrurii, że Wejentowie na polu bitwy informują się nawzajem o potrzebie posiłków, o tym, kiedy atakować, a kiedy się cofać, za pomocą przenikliwych sygnałów, słodkich jak ptasie śpiewy. Pojmawszy dwóch etru-

skich trębaczy, kazał im nauczyć tej sztuki własnych żołnierzy. Powiedział mi, że w niejednej późniejszej bitwie osiągał przewagę właśnie dzięki tym ptasim gwizdom. Ale Turnus nie należał do wodzów, którzy cenią wynalazki i obce wzory, jego oficerowie zatem nadal wykrzykiwali rozkazy. Niemilknące wrzaski, przypominające ujadanie psów, działały nam bardzo na nerwy.

Liczba mężczyzn obozujących na północ i na wschód od Laurentum rosła z każdym dniem. Przybył Ufens ze swymi nieokrzesanymi Ekwami. Z Praeneste przyciągnęła jeszcze dziksza zgraja: wojownicy w czapkach z wilczej skóry, którzy szli do walki z jedną stopą bosą, drugą zaś owiniętą w skórę. Z mojej platformy na wieży widziałam naradzających się wodzów, wśród nich moich byłych zalotników, Ufensa i przystojnego Awentynusa paradującego w płaszczu ze skóry lwa. Etrusk Mezencejusz, tyran Caere, przybył z Ardei ze swoim synem, Laususem. Przyglądałam mu się z ciekawością, bo jeszcze nigdy nie widziałam zdradzieckiego, krwawego tyrana. Spodziewałam się postaci bardziej złowroziej, tymczasem miałam przed oczami twardego starego żołnierza, najwidoczniej bardzo przywiązanego do swego szczupłego ciemnokookiego syna, którego cały czas trzymał blisko siebie.

Turnus czekał na Mesaposa, który miał nadciągnąć spod Sorakte z oddziałem konnicy. Nareszcie przybyli, w hełmach z kitami z czarnego końskiego włosia, tego samego dnia co gromada Wolsków, także konno. Wypatrywałam wojowniczkę, której pojawienie się z Wolskami zapowiadał poeta, lecz jej nie dostrzegłam. Prawda: wyznał mi przecież, że ją wymyślił. Tylko czy nie wymyślił aby nas wszystkich? Usiłowałam szukać w tej myśli pociechy, udawać przed samą sobą, że to

wszystko jest złudą, te krzykliwe rozkazy, szczęk oręża, ostre miecze, nerwowe konie i paradujący mężczyźni. Przygotowywali się do wypełnienia potwornego rejestru masakry, jaki tamtej ostatniej nocy przedstawił mi poeta. Tylko po co, na co? Za zabitego jelenia? Za dziewczynę? Co dobrego z tego wyniknie?

Bez wojny nie byłoby bohaterów.

No i co z tego?

Och, Lawinio, cóż za kobiece pytanie!

Następnego ranka zgromadzili się wszyscy: nasi Latynowie najbliższej miejskich murów, dalej Oskowie, Sabinowie, bandy Wolsków, na przedzie Rutulowie, a na ich czele Turnus na pysznym rumaku. Kobiety, dzieci i starcy wiwatowali na koronie murów i rzucali z góry kwiaty na tę armię, która ruszała na północ, w stronę rzeki.

Mój poeta mógł opowiadać, jak rozszczepiano głowy, jak mózgi przyskały na zbroje, jak wojownicy, których płuca przebito mieczem, czołgali się, wypływając z siebie życiodajną krew, w jaki sposób ten i ów zabił tego i owego i tak dalej. Mógł opowiadać o tym, czego nie widział na własne oczy, miał bowiem wspaniały dar opowiadania. Ja go nie mam. Mogę opowiedzieć tylko o tym, co mi zrelacjonowano lub na co sama patrzyłam.

Wszystko co teraz opiszę, opowiedzieli mi wojownicy powracający z pola bitwy.

Eneasz popłynął w górę rzeki do greckiej osady z nadzieją na posiłki. Minęło już osiem dni, a on nie wracał. Trojanie nie mieli od swego wodza żadnych wiadomości. Wykopali głęboki rów i usypali wał ziemny wokół obozu, który założyli w zakolu rzeki, tak że z dwóch stron

osłaniał go Tyber. Okręty wciągnęli na plażę w obrębie tych szańców, rufami naprzód.

Wojska Lacjum napadły na obóz. Starsi spośród Trojan, weterani dziesięcioletniego oblężenia Troi, bronili się skutecznie i zażarcie. Młody Askaniusz rwał się do wycieczki, aby odeprzeć Latynów, ale Eneasza zostawił wyraźny rozkaz, aby zaatakowani, sami nie atakowali. Wodzowie, którym przekazał komendę, byli temu posłuszni, lecz trudno im było powstrzymać młodych, kiedy Latynowie zaczęli z nich szydzić, nazywając ich tchórzami, którzy chowają się za szańce.

– Czy tylko tyle italskiej ziemi chcecie osiąść? – krzyczeli. – Ten kawalątek nad rzeką? Wyjdźcie no! Nażrecie się pyłu!

Wiele razy próbowali sforsować bramę lub szturmem wedrzeć się na szaniec, ale Trojanie za każdym razem odpierali te ataki w walce wręcz, zasypując atakujących gradem strzał i włóczni. Żelaznym deszczem, jak to określił Rufus Anso.

My, kobiety z Regii, opatrywałyśmy tylu rannych, ilu tylko mogłyśmy, i opiekowałyśmy się nimi najlepiej, jak umiałyśmy. Rufusa Ansa, wieśniaka osiadłego na królewskiej ziemi na zachód od miasta, przyniesiono do pałacu z ciężką raną. Był mniej więcej w moim wieku. Włócznia przeszła mu brzuch poniżej pępka; wyciągnięto ją przez plecy. Nasze uzdrowiaczki ostrzegły mnie, że chłopak nie przeżyje. Na razie nie czuł wielkiego bólu, był tylko wystraszony. Miał ochotę rozmawiać, bał się zostać sam, przesiedziałam więc przy nim całą noc. Posłałam po jego matkę, ale mogła przybyć dopiero nazajutrz.

– Powietrze w jednej chwili pociemniało – opowiadał mi – jakby lunął deszcz. Żelazny deszcz.

Strzała zraniła go w ramię poniżej łokcia i na ból w tej lżejszej ranie skarżył się bardziej niż w tej drugiej, ciężkiej, od włóczni. Nie mógł uwierzyć, że w ogóle został ranny. Uważał, że to niesprawiedliwe, że miał pecha. Zastanawiałam się, jak można iść do walki i nie przewidywać, że się odniesie rany. Jak ktoś taki wyobraża sobie bitwę? Rufus Anso był pod wrażeniem trojańskiej obrony. Mówił, że Trojanie to świetni żołnierze. Spodziewał się jednak, że będzie zabijał, a nie że sam zostanie zabity. Nie mógł się nadziwić tej niesprawiedliwości. Jego matka przyszła następnego dnia i odniesiono go do domu, gdzie po kilku dniach skonał w męczarniach.

Wtedy oglądałam wojnę tylko od strony ran na ciałach walczących. Nie musiałam jeszcze oglądać w walce ich samych.

Wkrótce po zmroku dotarła do nas zadziwiająca wiadomość. Podczas gdy ludzie Turnusa przeprowadzali pozorowany atak na bramę obozu Trojan, on sam, w pojedynkę, wdarł się za szançe od strony rzeki i biegnąc z zapaloną pochodnią od okrętu do okrętu, wszystkie je podpalił. Wyszuszone drewno było nasączone żywicą, okręty leżały na brzegu burta w burtę, ogień więc rozprzestrzenił się błyskawicznie, przerzucany z okrętu na okręt przez wiejący z dołu rzeki wiatr. Wkrótce cała flota stała w płomieniach. Śmiałek zdołał uciec, zanim Trojanie dostrzegli pożar za plecami. Mogli już tylko poprzecinać liny, zepchnąć płonące kadłuby na wodę i przyglądać się, jak spływają z prądem, kołysząc się i płonąc ponad linią wody, dopóki nie potonęły.

Wysłuchawszy człowieka, który nam o tym doniósł, Rufus Anso zawołał:

– Ha, wygląda więc na to, że Trojanie już nie wrócą, skąd przybyli!

Uznał to za dobry żart. Wszyscy ranni i ich opiekunki z Regii zaczęli też zaraz wiwatować i radować się.

Tymczasem ja poczułam zakłopotanie i niepokój. Czyż nie powinien mnie cieszyć ten popis śmiałości, to zwycięstwo mojego narodu? Jakże mogłam opowiadać się po stronie najeźdźców, będąc tu wśród swoich, opiekując się krajanami, którzy odnieśli rany z rąk obcych najeźdźców?

Wszakże jeśli naszym celem było wypędzenie ich z Italii, jaki miało sens palenie okrętów, na których przyплыnęli? Turnus najwyraźniej zamierzał ich wyrzucić do nogi, a nie wypędzić – jeśli w ogóle działał z jakimś zamysłem, a nie tylko w chęci wyrządzenia natychmiastowej szkody i popisania się czynem bohaterskim.

Wciąż rozmyślałam o traktacie, który Latynus zawarł z przybyszami i który właśnie pogwałciliśmy. Tyrrus i jego pasterze zaatakowali w gniewie, Trojanie działali w samoobronie. Sprawa mogła i powinna się na tym zakończyć. Jeśli istnieje coś świętego, to traktaty. Jakże mogą bóstwa naszej ziemi, naszego kraju, stać po naszej stronie, jeśli nie tylko nie słuchamy przepowiedni objawionej nam przez wyrocznię, ale i popełniamy jeden z najgorszych występków – świadomie zrywamy traktat?

Byłam całkowicie zaprzątnięta tymi myślami, serce miałam rozdarte, tonęłam w smutku, zamiast cieszyć się z moim ludem, który wokół mnie wiwatował. Chciałam podzielać jego uczucia, niestety, nie mogłam. Czułam się jak zdrajczyni, jakbym popełniła najgorszy z występków, a popełniła go przez sam fakt, że byłam tym, kim byłam. Takiego użalania się nad sobą, połączonego z wyrzutami sumienia, nauczyła

mnie matka; znałam to uczucie prawie od maleńkości. Chociaż z nim walczyłam, wiedząc, że jest dziecinne i błędne, nie mogłam mu nie ulec pod naporem obecnych przeżyć, stając się znowu dzieckiem, które błądzi.

Kilku żołnierzy, którzy późnym wieczorem wrócili do Laurentum, doniosło nam, że nasza armia rozstawiła straż wokół obozu wroga i wszyscy zasiedli do uczyty, zadowoleni z odniesionych tego dnia zwycięstw, gotowi wdrzeć się nazajutrz do obozu i skończyć z Trojanami. Jeśli zatem Turnus miał w ogóle jakiś plan, była nim zagłada.

Co się zdarzyło tej nocy, dowiedziałam się następnego dnia z opowiadań mężczyzn wracających do miasta, a znacznie później z opowieści Trojańczyka Serestusa, kiedy się z nim zaprzyjaźniłam. Tamtego wieczoru wziął udział w niewesołej naradzie w obozie Trojan. Wodzowie omawiali szanse skutecznego oporu w oczekiwaniu na powrót Eneasza z posiłkami. Nie wiedzieli, że popłynął z Pallanteum do Etrurii, i bardzo się niepokoił jego długą nieobecnością.

Tymczasem na naradę przyszło dwóch młodych zuchów, młody Eurylas i jego nieco starszy przyjaciel Nisus, którzy zgłosili chęć przedarcia się przez pierścień oblężenia z posłaniem do Eneasza. Przygnębiony stratą okrętów, nie mogąc się doczekać ojca z posiłkami, Askaniusz zgodził się na ich misję, hojnie obdarzając obu ochotników pochwałami i obietnicami. Obiecał im, że kiedy Eneasza powróci i wygra tę wojnę, Eurylas dostanie w nagrodę wszystkie ziemie należące do króla Latynusa oraz dwanaście latyńskich niewiast, aby sobie z nimi poczynał wedle własnej woli. Pamiętam, jaką poczułam wściekłość, kiedy Serestus mi o tym opowiadał.

Obaj śmiałkowie wyszli za szańce pod osłoną nocy i przekradli się między wygasłymi ogniskami i ciałami śpiących wrogów, objedzonych i opitych winem. Zamiast jednak czym prędzej opuścić obozowisko Latynów i ruszyć w górę rzeki, zapragnęli urządzić rzeź śpiących, wykraść im zbroje i puchary. Poderżnęli gardła kilkunastu śpiących, bezbronnych pijanych mężczyzn, zanim nasycili żądzę krwi i łupu i pośpieszyli w dalszą drogę objuczeni zdobyczą. Jednakże któryś z patroli dostrzegł odblask światła na skradzionej zbroi, usłyszał szczeł blach. Zuchwałych młodzieńców opadnięto i usieczono. Odcięte głowy nabitó na włócznie i o świcie następnego dnia paradowano z nimi pod trojańskim szańcem.

Kiedy obie z Sylwią szpiegowaliśmy Trojan z ukrycia, widziałyśmy siedzącego na trawie Euryalusa. Żartował sobie wtedy z Askaniuszem. „Jaki piękny!”, zachwyciła się Sylwia. Widziałyśmy, jak matka poprawia mu na głowie czerwoną czapkę. To ona ofiarowała Eneaszowi tkaninę, którą przywiozła z Troi, aby była ślubnym podarunkiem dla wybranki syna. Teraz zobaczyła jego głowę nabitą na włócznię obok głowy jego przyjaciela.

Tego samego ranka oddziały italskie przypuściły szturm. Mimo ich wielkiej przewagi liczebnej Trojanie bronili się dzielnie: ich łucznicy razili i kładli trupem Rutulów i Ekwów, kiedy usiłowali przedrzeć się przez fosę, szermierze odpierali wdzierających się na szańce, miecz dzwonił o miecz. Trojanie walczyli tak mężnie, że do południa połowa naszej armii wycofała się, straciwszy ochotę na dalsze forsowanie rowu i wałów. Rozzuchwaleni powodzeniem młodszy spośród Trojan, znużeni obroną, obwołali się zwycięzcami i otworzyli bramę obozu, chcąc

uczynić wypad i odeprzeć oblegających. Tymczasem nieustraszony Turnus wdarł się przez tę lukę i zaczął rąbać na prawo i lewo, nie oglądając się nawet za siebie, by sprawdzić, czy jego ludzie postępują za nim. Sam jeden wyrąbał sobie drogę przez obóz nieprzyjaciela, owdładnięty tak morderczą furią, że Trojanie zaczęli przed nim uciekać. Dotarł do rzeki, wskoczył do wody, w pełnej zbroi popłynął z nurtem i wyszedł na brzeg już między swoimi.

Ten popis brawurowej odwagi był tego dnia ostatnim. Obie armie były tak utrudzone, że już żaden nowy atak nie nastąpił. Tego wieczora w obu obozach panowała cisza.

Wiadomości docierały do nas przez cały dzień i wieczór, w miarę jak rannych przynoszono lub o własnych siłach dowlekali się do Laurentum. Przychodzili jeszcze po zmroku, kuśtykając. Nie wszyscy byli ranni, niektórzy tylko wycieńczeni lub przerażeni. Poniechali oblężenia, uciekli z pola bitwy, mieli na razie dość walki. To byli sami Latynowie, ci, którzy mieszkali w mieście lub w pobliżu i których mogli pod swój dach przygarnąć krewni. Nie było wśród nich Rutulów, Ekwów ani Wolsków.

Jeden z naszych królewskich dozorców stad, Urso, przykuśtykał z raną od miecza na udzie. Zapytałam go o Tyrrusa i jego synów, dwóch pozostałych braci Sylwii. Powiedział, że wszyscy bili się dzielnie, a „stary walczył jak odyniec oszalały z gniewu. Aż i on się zmachał”, zakończył. Nie znałam zbyt dobrze tego Ursa, a on mnie nawet nie poznał, dopóki jedna z kobiet nie zwróciła się do mnie po imieniu. Wtedy spojrział na mnie ze złością i poczerwieniał na twarzy, aż zalśniły na niej kropelki potu. Uniósł się na łokciu.

– To wszystko przez ciebie, niewiasto – wyszczał. – Czemuś nie wyszła za naszego Alma? Albo za króla Turnusa? Cała ta jatka przez kaprys jednej dziewczki!

Kobiety rzuciły się na niego, zaczęły go uciszać, psykać z oburzenia, lecz powstrzymałam je.

– Dajcie mu spokój. On musiał bić się za mnie – powiedziałam drżącym głosem. Rumieniłam się ze wstydu i gniewu, usiłując się przed nim tłumaczyć: – Robię to, co muszę, Urso. Jak my wszyscy.

Leżał, wpatrywał się we mnie i milczał.

Zmieniliśmy dziedziniec w szpital. Był teraz pełen rannych i opiekujących się nimi kobiet, rozbrzmiewał szeptami, jękami, migotał płomykami lampek oliwnych w ciepłą noc pod drżącymi liśćmi wielkiego wawrzynu. Kobieca część domu pozostała zamknięta, Amata jej nie opuszczała. Zapytana, wydawała rozkazy co do jadłospisu, ale przez całe dni nie wychodziła ze swoich pokoi.

Zobaczyłam ją następnego dnia o bladym świcie, na długo przed wschodem słońca. Przemykała pod kolumnadą, samotnie, w stronę pomieszczeń królewskich. Werus, który tam stał na straży, skłonił przed nią głowę, a ona weszła do środka. Czuwałam właśnie przy umierającym, lecz na ten widok ocknęłam się z półsnu, w jakim trwałam, i pobiegłam za nią. Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Może uważałam, że powinnam bronić przed nią ojca.

Zbliżając się korytarzem, usłyszałam z jego pokoju głos matki, zrazu przemawiający tonem łagodnej perswazji, ale stopniowo coraz twardszy i gniewniejszy.

– Jeszcze nie jest za późno, Latynusie. Cudzoziemcy zostaną dziś

pobici. Dłużej się nie utrzymają. Ich naczelny wódz uciekł w górę rzeki. Już nie wróci! Poślij do Turnusa. Powiedz mu, że jest twoim synem, mężem twojej córki. Oddaj mu ster władzy. Bo jakże? Przecież się jej wyrzekłeś. Dlaczego z tym zwlekasz? Dlaczego ukrywasz się w Regii? Wyjdź, przynajmniej rzuć okiem na bitwę! Weź choć cząstkę zasługi za ocalenie kraju! Czy siedzisz tu w nadziei, że cudzoziemcy przybędą i wybawią was oboje, ciebie i Lawinie? Naprawdę sądzisz, że pokonają Turnusa? – Imię swego siostrzeńca wymówiła z gorącą dumą.

Stałam w mrocznym korytarzu, pod samymi drzwiami. W sypialni musiało być jeszcze ciemniej.

– Czego ty ode mnie chcesz, Amato? – głos Latynusa był jakby nabrzmiały snem, zgrubiały i powolny. – Czego ty właściwie chcesz?

– Chcę, żebyś ocalił choć resztkę honoru. To hańba, żeby Turnus musiał się wstydzić swojego teścia! Wstań i rusz się stąd. Zachowaj się jak król.

– Co mam zrobić?

Naprawdę się zawstydyłam, usłyszawszy te słowa.

– Zachowaj się choć raz jak mężczyzna, jeśli nie potrafisz zachowywać się jak król. Jeśli chcesz się nauczyć, jak postępują królowie, popatrz na Turnusa.

Zapadła cisza, potem z ciemności dobiegł mnie odgłos jakiegoś poruszenia, jakby szarpaniny, przepychanki, na koniec głośne psyknięcie mojej matki.

– Dość! – Ojciec powiedział to jeszcze ciszej niż przedtem, lecz już innym tonem. – Dość o tym chłopcu. Nie jest ani moim, ani twoim synem. Ani mężem Lawinii. Twoim również nie. Wracaj teraz do siebie i

milcz. I nie posyłaj więcej posłańców do Turnusa. Moi ludzie ich poj-
mali. Nawet jeśli Trojanie zostaną zwyciężeni, Turnus nie zostanie kró-
lem Lacjum. Nigdy na to nie pozwolę. Również tobie! A teraz odejdz
stąd.

Musiał ją trzymać, a potem wypchnąć z pokoju, nagle bowiem wy-
padła za drzwi, potknęła się, omal nie runęła. Obróciła się szybko, ale
chyba jej czymś zagroził, bo znieruchomiła przed progiem. Zacisnąw-
szy pięści, zaczęła nimi wygrażać. Wykrzykiwała jakieś chaotyczne,
niezrozumiałe słowa. Potem okręciła się ze skowytym kopniętego psa i
pobiegła z powrotem korytarzem. Nie zauważyła mnie, bo stałam tuż za
framugą. Byłam tak rozdygotana, że prawie nie mogłam się ruszyć, w
końcu udało mi się jednak przemknąć przed ciemnym otworem drzwi i
śladem matki wrócić na dziedziniec zasłany rannymi i umierającymi
żołnierzami. Niebo rozjaśniało się już w otworze dachu, przyćmiewając
światło kaganków.

Najgorszy moment? – Eneasza zastanawia się przez chwilę. – Najgorszy moment był wtedy, gdy płynęliśmy w górę rzeki na etruskich statkach... kilku moich ludzi, do tego Grecy, których dał mi Ewander, Etruskowie z Caere. Liczyłem na to, że dopłyniemy do obozu o wschodzie słońca. Nie wiedziałem oczywiście, co się tam wydarzyło, ale byłem pełen złych przeczuc. Młody Pallas... syn króla Ewandra... przez całą noc nie odstępował mnie na krok, zagadywał, wypytywał.

– Zналиśmy się jako dzieci – powiedziała. – Zaprowadził mnie kiedyś do legowiska wilczyca w pobliżu Pallanteum.

– Miły chłopiec. Był bardzo podniecony tamtej nocy przed swoją pierwszą bitwą. Biedny dzieciak, biedny Ewander... No więc Pallasowi nie zamykały się usta, a we mnie wzbierało przeczucie, że stało się coś złego. Kiedy opłynęliśmy łachę i wypłynęliśmy na rzekę, zaczynało już świtać. Nagle zobaczyłem unoszone z prądem jakieś szczątki. Pomyślałem, że to dryfujące drewno, może dzieło burzy, jaka przeszła gdzieś w górze rzeki. Ale potem spostrzegłem, że wszystkie są czarne. Jeden z większych kawałków uderzył w dziób naszego statku. Poznałem fragment okrętowej rufy, zwęglony, wypalony. Rzeka była wprost usiana spływającymi z nurtem resztkami spalonych okrętów.

Podeszli do mnie Tarchon i Astur z Caere. Ten drugi zapytał po chwili milczenia:

– Twoje?

– Tak – przyznałem, bo właśnie spostrzegłem przepływający w pobliżu galion „Idy”.

Stojący obok Achates mruknął po jakimś czasie:

– Dryfuje tu chyba cała nasza flota.

I ja tak pomyślałem.

– Nie widać żadnych ciał – zauważyłem. Bo istotnie, rzeką spływały tylko fragmenty okrętów. Jednakże nie było się z czego cieszyć. Wyglądało na to, że zdobyli nasz obóz, okręty spalili, załogę wyrznęli.

Powiedziałem do Tarchona:

– Obawiam się, że prowadzę was na pobojobowisko.

On jednak pokręcił głową.

– Zobaczymy – rzekł.

Etruskowie to dziwni ludzie. Można by sądzić, że połową siebie żyją w innym świecie. Włożyliśmy więc zbroje, na wypadek gdyby miano nas ostrzelać z brzegu, gdy wylądujemy, i zaczęliśmy wiosłować co sił pod prąd rzeki usianej fragmentami spalonego drewna. W powietrzu czuło się swąd spalenizny.

Dokładnie o wschodzie słońca wypłynęliśmy z za długiego zakola i zobaczyłam naszą twierdzę, nasz obóz. Okręty zniknęły, ale sztańce stały, a na nich ludzie, warty – w trojańskich hełmach. Serce podskoczyło mi z radości. Najwyżej, jak mogłem, podniosłem nad głowę tarczę i krzyknąłem do swoich w obozie. Pierwszy promień słońca rozbłysnął na brązie zbroi. I odpowiedział mi z brzegu krzyk radości, najpierw straży, a po chwili potężny wiwat całej załogi. Żyli, czuwali. Trwali w pogotowiu. Od tej chwili nie martwiłem się już o rezultat starcia.

Pamiętam te słowa Eneasza równie wyraźnie jak słowa poety. Pamiętam każde z nich, bo one są materią mojego istnienia, osnową, na której zostałam utkana. Całe moje życie po śmierci Eneasza może się wydawać kłębem zerwanej z krosna nieukończzonej tkaniny, bezładną płataniną sprutych nici, nie tworzących żadnego wzoru. Tak jednak nie

jest, ponieważ mój umysł pracuje jak czółenko, które zawsze wraca do punktu początkowego, odnajduje wzór i za nim podąża. Byłam prządką, nie tkaczką, lecz w końcu nauczyłam się tkać.

Moim zdaniem Turnus nie potrafił przewidywać, wybiegać myślą poza teraźniejszość. Jego reakcja na zagrożenie była momentalna, aktywna i bezwzględna. Zawodził i miewał chwile zawahania tam, gdzie była potrzebna konsekwencja, dążenie do wytyczonego celu. W tym zaś oczywiście celował Eneasze. W chwili zagrożenia mógł się w momencie wyboru wahać, deliberować, patrzeć końca, rozdarty między sprzecznymi oczekiwaniami i możliwościami: w rozterkach niezdecydowania szukał właściwego celu, swojego przeznaczenia, póki go nie znalazł. Wtedy dokonywał wyboru i konsekwentnie się go trzymał. A gdy już działał, jego determinacja nie знаła wahania. Potem mógł znowu przeżywać męki zwątpienia, w nieskończoność badać własne sumienie, nie-rad z siebie, zawsze niepewny, czy postąpił słusznie.

Tymczasem Turnus nigdy nie oglądał się za siebie, podobnie jak nigdy nie spoglądał w przyszłość.

Myślę, że naprawdę był nieustraszony: ale człowiek, który nie zna strachu, nie jest człowiekiem pełnym. Ludzie szli za nim dla jego fantastycznej odwagi, lecz on im nie przewodził. Stawiał czoło temu, co właśnie się działo, i w rezultacie zdarzenia robiły z nim, co chciały, dosłownie miały nim. Tracił z oczu cel, powinność, zdawało się, że działa pod wpływem kaprysu. Dlatego dwukrotnie złamał traktat, bez chwili zastanowienia. Dlatego nie jeden raz opuścił pole bitwy, pozostawiając swoich ludzi bez dowódcy. Wreszcie gdy przyszło mu zmierzyć się z nieuchronnym, sprawiał wrażenie człowieka ogarniętego paniką. Ale to nic był strach, nawet wtedy. To lekkomyślność spotykała się z rozwagą.

Eneasze, który do tej pory nie potrafił sobie wybaczyć, nie pozwoli

mi nawet na tak łagodną ocenę. O Turnusie będzie miał do powiedzenia tylko tyle: „Był młody”.

Ten młody król potrafił jednak stawić czoło zdarzeniom nieoczekiwanym. Ledwo zza zakrętu rzeki wyłoniły się w promieniach wschodzącego słońca okręty Etrusków, zebrał swoich Rutulów i ich sprzymierzeńców i przygotował ich do walki, zanim Eneasza z posiłkami wylądował.

Niektóre z okrętów przybiły do brzegu w obrębie trojańskich szanów, lecz inne prąd zaniósł dalej, poza wały, i nad tymi, którzy tam lądowali, atakujący żołnierze Turnusa mieli ogromną przewagę. Łucznicy i włócznicy na okrętach starali się ich osłaniać gradem żelaza, a Trojanie z obozu zrobili wypad, ażeby ich bronić. Wielu Italów, Trojan, Greków i Etrusków nie miało tego dnia ujrzeć słońca w zenicie południa. Obustronna rzeź trwała długo. Walczono na brzegu rzeki, na zielonych łąkach, wśród nadbrzeżnych zarośli. Powrót wodza dodał Trojanom tak wielkiego ducha, że Eneasza musiał ich wprost powstrzymywać przed brawurowymi atakami, które rozproszyłyby tylko ich siły, a przecież nawet ze świeżymi posiłkami nie dorównywali przeciwnikowi liczbą. Opowiadał mi Serestus, że Eneasza utrzymywał swoich żołnierzy w solidnym szyku obronnym wokół obozu i etruskich okrętów, aby mieli dokąd się wycofać, gdyby przyszła taka potrzeba. I tak trwała ta mordercza walka w czerwcowym skwarze, przez całe godziny, pierś o pierś, miecz o miecz.

Turnus kipiał z wściekłości na Ewandra za to, że ten sprzymierzył się przeciwko niemu z Trojanami. Dostrzegłszy Pallasa, Ewandrowego syna, walczącego z młodym Laususem zapłonął żądzą zemsty. Krzyk-

nał, że ten przeciwnik do niego należy, i kazał Laususowi odstąpić. Pallas rzucił się mężnie do walki, ale Turnus zabił go jednym straszliwym pchnięciem dębowej włóczni o grocie z brązu, przeszywając tarczę i ciało młodzieńca. Potem stanął nad nim w pozie triumfatora.

– Odeślijcie trupa do jego ojca, zdrajcy, niech dostanie swoją zapłatę! – zawołał, a oparłszy stopę na konającym, szarpnął z całej siły i zerwał z niego złotem wysadzany pas. Po czym odjechał z tym łupem, śmiejąc się i wymachując nim nad głową.

Kiedy usłyszał o tym Eneasze, porwała go ślepa furia. Zdał Serestusowi komendę nad Trojanami, a sam począł szukać Turnusa. Zabijał wszystkich spotkanych po drodze, okrutny, niezwyciężony. Był jak wściekły pies pośród stada owiec. Latynowie cofali się przed nim w popłochu jak przedtem Trojanie w obozie przed Turnusem.

Jednakże sam Turnus gdzieś zniknął. Po zabiciu Pallasa przepadł jak kamień w wodę. Nikt, z kim rozmawiałam, nie potrafił mi powiedzieć, co się z nim działo w tej długiej godzinie, kiedy Eneasze szukał go na polu bitwy i wyzywał do walki. Zapewne odpoczywał, zbierał siły gdzieś na wzgórzu, w cieniu, choć muszę powiedzieć, że dość dziwną sobie na to wybrał porę.

Do pojedynku z Eneaszem stanął natomiast Mezencjusz, sędziwy tyran etruski. Świadkowie twierdzą, że walczyli jak równy z równym. Kiedy Eneasze zranił starca włócznią w udo, ludzie Mezencjusza chwycili go i wsadzili na konia, a jego syn Lausus osłaniał odwrót. Choć młody, śmiało natarł na Eneasza. Heros ostrzegł go, żeby się nań nie porywał, młodzieniec nie posłuchał i padł od jednego ciosu miecza. Potem Eneasze ruszył za Mezencjuszem na brzeg rzeki. Kiedy starzec

dowiedział się, że jego syn zginął, odwrócił się i krzyknął do Trojańczyka:

– A więc chodź! Teraz niestraszna mi śmierć! – i runął do ataku. Eneasza musiał zabić pod nim konia ciosem włóczni między oczy. Ranny, przywalony trupem zwierzęcia, stary wojownik walczył jak lew, póki Eneasza nie poderznął mu gardła.

Wielu spośród Italów przyglądających się tej walce pytało, dlaczego to Mezenjusz, a nie Turnus staje naprzeciwko wodza Trojan.

Tymczasem Eneasza opuściła furia. Wrócił tam, gdzie leżał Pallas, i płacząc nakazał, by ciało młodzieńca zawinięto w całun i z należnymi honorami odniesiono ojcu, Ewandrowi, wszakże bez składania ofiar z jeńców, jak mi powiedział poeta. Nie mam pojęcia, jak mógł w ogóle pomyśleć, że jego italski lud byłby zdolny do podobnego barbarzyństwa. Może Grecy byli do tego zdolni, nie wiem. Chociaż wszystko, co mój poeta wyśpiewał, okazało się i pozostało prawdą, zdarzają się jednak w jego pieśni, na ogół prawdziwej, drobne pomyłki, toteż opowiadając o moim udziale w opisanych zdarzeniach, spróbowałam cerować te małe rozdarcia w ogromnej tkaninie. Eneasza wycofał potem swoich ludzi z pola walki. Italowie też się już wycofywali, choć nie na pozycje oblężnicze wokół obozu Trojan, ale wiele mil dalej w stronę miasta.

Samo Laurentum było przepelnione rannymi i uciekinierami, których coraz więcej przybywało. Dominowało ogólne zmęczenie, niepewność, zagubienie. Turnus zdawał się być całkiem nieświadom tego nastroju, kiedy podjechał do miejskiej bramy na swym wspaniałym rumaku, rzucił lejce chłopcu stajennemu na ulicy przed Regią i wszedł do pałacu, piękny, roześmiany, barczysty i wyniosły, w hełmie z wyso-

ką kitą, z przerzuconym przez ramię ozdobnym, połyskującym złociście pasem młodego Pallasa. Przyglądałam się jego wjazdowi, stojąc na mojej wieży obserwacyjnej w towarzystwie Mesaposa i Tolumniusa, rutulskiego wieszczka. Wkrótce potem zobaczyłam matkę. Biegła przez dziedziniec do sali jadalnej, klucząc między posłaniami, na których leżeli ranni. Wtedy i ja zeszałam na dół. Ojca nie było w jego pokojach, co znaczyło, że opuścił swą kryjówkę i wyszedł na spotkanie Turnusowi i pozostałym wodzom. Ucieszyło mnie to ogromnie. Ponieważ było bardzo wiele do zrobienia dla mieszkańców Regii, zajmowałam się tym cały wieczór, dopóki Drances nie odnalazł mnie w spiżarni.

Nigdy go specjalnie nie lubiłam. Nie był podobny do tych wieśniaków żołnierzy, z których składał się w głównie krąg przyjaciół i doradców ojca. Był miękki, giętki, skłonny do entuzjastycznych zapałów. Swoich opinii nie kładł na stole niczym dużych, ciężkich kamieni, jak oni robili, wzywając każdego, by ich od tej opinii odwiódł, jeżeli potrafi. Jego opinie zdawały się nic nie ważyć, były lekkie jak piórko, zwiewne kłaczki ze słów. Mimo to stawiał przeważnie na swoim. Był człowiekiem miasta, urodzonym politykiem. Dla niego ja i Amata byłyśmy postaciami bez znaczenia, którym wagi dodają jedynie strategicznie ważne pozycje, jakie zajmują. Należało nami kierować. Na kobiety patrzył jak na psy lub bydło, osobniki innego gatunku, z którymi należy się liczyć tylko wtedy, kiedy mogą się okazać użyteczne albo niebezpieczne. Moją matkę uważał za niebezpieczną, mnie za osobę całkiem nieistotną, choć taką, którą można się posłużyć.

Obdarzony był ponadto niezwykłym wyczuciem stosunków między ludźmi, takim, jakie na ogół miewają kobiety, rzadko mężczyźni. Wie-

dział, że boję się Amaty, że od niej uciekłam i schroniłam się w pokojach królewskich, że ona kocha się w Turnusie, że ja go niekocham, że pokłóciła się z ojcem. To wszystko było wodą na jego młyn. Zawsze był przeciwny moim zaręczynom z Turnusem, dlatego jak przypuszczam, że widział w nim zagrożenie dla władzy Latynusa tym większe, że młody król cieszył się względami Amaty, poza tym był zazdrosny o wspanią, dumną męskość Turnusa, pragnął ją zatem pomniejszyć. Kiedy wyszłam ze spizarni, zatrzymał mnie i powiedział, ale tak, żeby go nikt postronny nie usłyszał:

– Córko Latynusa, nie lękaj się. Twój ojciec nie wyda cię za tego Rutula. Nasz król nie może zapobiec zerwaniu traktatu, co nie znaczy, że dopuści do tak niegodnego małżeństwa, bądź tego pewna. Możesz mi zaufać.

Podziękowałam mu, stojąc przed nim ze skromnie spuszczonej wrokiem. Wiedziałam, co o mnie myśli: że jestem dziewczyną, która niczego nie rozumie, osóbką bez wartości, o którą toczy się wojny.

Mimo to byłam mu wdzięczna za to, co powiedział. Choć wojna nie przebiegała po myśli naszego narodu, choć wielu niepokoiło zerwanie traktatu i zlekceważenie przepowiedni wyroczni, większość popierała królową i miejscowego bohatera przeciwko cudzoziemcom. Ci ludzie zakładali, że cokolwiek wybrali moi rodzice, było i moim wyborem. Słabość ojca pozostawiła mnie samą, oddzieloną od innych. Nie było nikogo, komu mogłabym wyznać prawdę, komu mogłabym się zwierzyć. Maruna była mi bezgranicznie oddana, ale nie mogłam składać swoich trosk na barki osoby bezsilnej. Znała tajemnice mojego serca, lecz przecież nie mogliśmy rozmawiać całkiem swobodnie.

Nazajutrz z rana Latynus wysłał posłańców do obozu Trojan z prośbą o rozejm, aby można było dopełnić stosownych obrzędów i pochować zmarłych. Zwłoki leżały wszędzie wzdłuż brzegu rzeki i aż na milę w głąb lądu.

Drances był jednym z posłańców i kiedy wrócił do Laurentum, uznał za stosowne, by się ze mną spotkać i zdać mi relację z przebiegu rokowań.

– Zapytaliśmy wodza Trojan, czy skoro jak tego jesteśmy pewni, nie walczy z umarłymi, nie pozwoliliby na pochówek tych, którzy mogliby się stać jego gospodarzami, teściami dla wielu spośród jego ludzi. Odpowiedział nam od razu, prosto z serca: „Proście o pokój dla zmarłych. Chętnie ogłosiłbym go też dla żywych, gdybym tylko mógł! Dlaczego prowadzimy wojnę? Jeśli Turnus nie zamierza przestrzegać traktatu zawartego przez jego króla, jeśli chce wypędzić mnie z Lacjum, niech stanie ze mną do walki z mieczem w rękę. My dwaj moglibyśmy zapobiec tym wszystkim nieszczęściom!”. Ach, trzeba ci go było widzieć, gdy to mówił... Cóż to za mężczyzna!... I to jemu zostałaś przyrzeczona!

– Ja go widziałam.

Zaniemówił z wrażenia.

– Podglądałam obóz Trojan ze wzgórza drugiego dnia po ich przybyciu – wyjaśniłam. – Eneas jest wysokim mężczyzną o szerokiej piersi i dużych dłoniach. Mówi raczej cicho. Jego oczy są pełne ognia, ognia i dymu, bo patrzyły na pożar rodzinnego miasta.

Drances wciąż wybałuszał na mnie oczy. Oto pies przemówił.

– To prawda, królewska córo – wykrztusić wreszcie.

Opuściłam wzrok na moje wrzeciono, a potem go znowu podniosłam.

– Opowiedz mi o rokowaniach.

Zebrał się w sobie i odzyskał głos. Powiedział, że podziękował Eneaszowi i obiecał mu odnowić traktat z Latynusem.

– Oznajmiłem mu: „Niech Turnus szuka sobie własnych sojuszników. My wolelibyśmy pomóc tobie w odbudowie waszej Troi tutaj, razem z nami!”. I zawarliśmy rozejm na dwanaście dni. Trojanie dowiedzieli się, że Turnus wciąż jeszcze nie jest władcą Lacjum. Wykonaliśmy dobrą robotę. Wątpię, by nasi ludzie chcieli teraz wrócić na wojnę, niezależnie od tego co postanowią Turnus z Mesaposem.

– O tym zdecyduje król.

– Oczywiście, oczywiście. Ale bądź dobrej myśli, Lawinio! Twój ojciec nigdy, przenigdy nie przeciwstawi się wyroczni!

Pomyślałam, że za dużo na to liczy. Skinęłam mu głową i odeszłam. Mógł pogłaskać psa, pies jednak ani myślał machać zaraz z radości ogonem.

Mieszkańcy wiejskich zagród i mieszkańcy miasta chodzili tego popołudnia po polach i zbierali trupy swoich synów, ojców i braci. Niektórzy ponieśli zwłoki do domu, żeby je umyć, opłakać i pogrzebać. Inni sypali stosy tam, gdzie ich bliscy upadli, tak że tego wieczoru wszędzie na polach na północ od Laurentum zapłonęły ogniska, których dymy zasnuły gwiazdy. Wszyscy drwale z Lacjum znosili z lasów drewno i nazajutrz spiętrzono pod murami miasta olbrzymi stos dla tych, którzy mieszkali zbyt daleko, by ich na pochówek przynieść do domu. Ten stos płonął przez cały dzień. Nad miastem wisiała żałoba równie czarna i ciężka jak dym z tego stosu.

Doniesiono nam, że Trojanie palą swoich zmarłych na brzegu rzeki. Ci, którzy byli świadkami tej ceremonii, opowiadali, że najpierw młodzi mężczyźni obiegali stos trzy razy na piechotę, potem trzykrotnie obiegali go jeźdźcy na koniach, a wszyscy zgromadzeni zawodzili wniebogłosy i dęli w konchy. Wojownicy wrzucali w ogień, w którym płonęły ciała ich towarzyszy, oręż zdobyty na wrogu. Ten obrzęd, choć nie identyczny, był dość podobny do naszego, toteż nie raził nas obcością.

Następne dni upływały w stanie dziwnego zawieszenia i beczynności. Doglądaliśmy rannych w Regii i we wszystkich chatkach w całym Laurentum. Niektórzy się wylizali, inni zmarli. Od Trojan nie mieliśmy żadnych wiadomości. Najwyraźniej czekali na odpowiedź w sprawie propozycji Eneasza odbycia pojedynku między nim a Turnusem i odnowienia traktatu. Jednakże mój ojciec nie wyprawiał posłów. Podobnie jak jego lud, nie był pewien, co należy czynić.

Drances zadbał o to, by słowa Eneasza dotarły do wszystkich uszu i

wielu z tych, którzy oplakiwali swoich zmarłych, zaczęło wołać gniewnie, że to przekłeta wojna. Winą obarczali Turnusa. To on zerwał rozjem zawarty przez króla. Jeśli rości sobie prawo do ręki Lawinii, niech ją zdobędzie w pojedynku z Trojaninem, niech jedno życie okupi wszystkie inne. Ale równie liczni, zdjęci strachem przed obcymi, twierdzili, że to wojna o ocalenie kraju, bo Trojanie wraz ze swoimi sprzymierzeńcami przybyli tu po to, żeby posiąść naszą ziemię, Latynus więc może ocalić Lacjum tylko w jeden sposób: posyłając Turnusa na czele wojsk, żeby zniszczył albo wypędził najeźdźców.

Gdy mój ojciec zwołał w końcu doradców na radę, ci okazali się w opiniach równie podzieleni. Zaraz też na początku posiedzenia dotarła do nich niepomysłna nowina od Diomedesa, owego Greka, który założył miasto na południu i do którego posłaliśmy gońców z prośbą o pomoc wojskową. Otóż Diomedes odmówił. Uprzejmie poinformował naszych wysłanników, że okazaliśmy się głupcami, przyjmując Trojan. „Walczyliśmy z nimi przez dziesięć lat”, oświadczył, „i choć ich pokonaliśmy, ilu z nas zdołało cało powrócić do domów? Nasze zwycięstwo sprowadziło na nas śmierć, wygnanie, morskie katastrofy. Eneasz nie jest zwyczajnym człowiekiem. Przywiózł ze sobą swoich bogów. Lepiej zawrzyjcie pokój, dotrzymaniajcie zawartego z nim traktatu, miecze schowajcie do pochew!”.

Amata i ja byłyśmy na tej radzie. Siedziałyśmy w głębokim cieniu za tronem Latynusa, na dodatek zawoalowane. Była też z nami księżniczka Juturna, siostra Turnusa, która przyjechała z Ardei dla towarzystwa bratu. Była bardzo piękna, miała takie same niebieskie oczy, choć jej były bardziej niezwykle, ponieważ zdawały się spoglądać na świat

jak gdyby spod wody. Ludzie mówili, że ślubowała czystość. Wedle innych rzeka Juturna, po której wzięła imię, ma ją obdarzać szczególną mocą dopóty, dopóki pozostanie dziewicą. Jeszcze inni gadali, że została zgwałcona jako mała dziewczynka i od tamtej pory nie odezwała się do żadnego mężczyzny z wyjątkiem brata. Nie wiem, czy cokolwiek z tego było prawdą. Z nami wymieniała jedynie konwencjonalne grzeczności, i to cichutkim głosem. Moją matkę nazywała ciocią, mnie kuzynką. Przezrzysty szary welon okrywał jej głowę i spływał na ramiona, gdy siedziała i przysłuchiwała się radzie.

Kiedy odprawiono greckiego posła, radcy zaczęli szemrać, potem spierać się i chyba wkrótce zaczęliby krzyczeć, gdyby król nie powstał i nie podniósł powoli obu rąk z obróconymi ku górze wnętrzami dłoni w geście inwokacji. Wtedy ucichli. Latynus skłonił głowę i cisza jeszcze się pogłębiła. Potem na powrót zasiadł na swym wysokim tronie i przemówił:

– Wolałbym, żebyśmy tę ważką kwestię rozstrzygnęli wcześniej! Lepiej nie zwoływać rady dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciół stoi u bram. Ludu mój, prowadzimy niesprawiedliwą wojnę przeciwko wrogowi, którego nie sposób pokonać, ponieważ wypełnia wolę ziemi i nieba, gdy my jej nie wypełniamy. Złamaliśmy nasze zobowiązania, oni się swoich trzymają. Nie możemy ich pokonać. Wiem, że dotychczas nie miałem w tej sprawie pewności. Teraz ją zdobyłem. Słuchajcie, co powiem. Oddajmy im ziemię, którą posiadam za krainą Sykanów, to kamieniste pole na przedgórzu i sosnowe bory. Zaproponujmy im, żeby tam zbudowali swoje miasto i podzielili się z nami królestwem. Lub też, gdyby woleli odjechać, odbudujemy okręty, któreśmy spalili. Po-

ślijmy do nich posłów z darami dla przypieczętowania przymierza, i to niezwłocznie. Zważcie dobrze, co powiedziałem, i wykorzystajcie tę szansę, by oszczędzić nieszczęść naszemu pogrążonemu w żalobie ludowi.

Zapadła cisza, lecz nie cisza wroga. Wiedzieli, że ich król jest męznym człowiekiem, wojownikiem, który tak łatwo się nie poddaje, człowiekiem pobożnym, który otrzymał wyraźną wskazówkę od wyroczeni i uznał, że musi jej być posłuszny. Rozważali sobie jego słowa.

Niestety, nagle wstał Drances i zaczął perorę. Mówił z zapalem i płynnie, jak zawsze, ale z jadowitą złośliwością skierowaną bez obłonek przeciwko Turnusowi. Oświadczył, że wojna jest jego winą, podobnie jak porażka, więc to on powinien zakończyć rozlew krwi, chyba że tak go odurzyła sława i pożądanie wiana królewskiej córki, że znowu zechce wyprowadzić w pole nasze wojska: „... porzucając w polu bezwartościowe zwłoki swoich żołnierzy, nieopogrzebane, nieopłakane, bezimienne. Lecz jeśli masz choć trochę prawdziwej odwagi, staniesz mężowi, który ci rzucił wyzwanie!”.

Oczywiście Turnus wybuchnął na to gniewem i nazwał Drancesa tchórzem, który nigdy nie deptał pola bitwy, którego język puchnie od odwagi, podczas gdy stopy sromotnie pierzchają. Sojusz Latynów nie został zwyciężony, jeszcze do tego daleko! Czyż Tyber nie spłynął krwią Trojan? To, że boi się Eneasza Grek Diomedes, nie znaczy, że boją się go Mesapos i Tolumnius, Wolskowie zaś w ogóle nie wiedzą, co to strach.

– Czy ten bohater wyzywa mnie do walki samowtór? Mam taką nadzieję. Lepiej, bym to ja ułagodził gniewne moce własną śmiercią lub

zyskał nieśmiertelną sławę dzięki swej odwadze, niżby ta zasługa miała przypaść Drancesowi!

Starzy doradcy skwitowali jego słowa pomrukiem aprobaty, ale Latynus przerwał tę wymianę przechwałek i obelg. Już miał powtórnie przemówić, gdy do sali pod eskortą Werusa wpadł posłaniec, wołając:

– Armia trojańska maszeruje na miasto! – Za nim wpadł drugi posłaniec, a za tym przez otwarte drzwi wzburzony gwar przerażonego tłumu, jakby stado gęsi lub łabędzi poderwało się z bagien z krzykiem i gęganiem.

Turnus bez wahania wykorzystał nadarzącą się okazję.

– Do broni! – krzyknął. – Czy mamy tu siedzieć i rozprawiać o pokoju, gdy nieprzyjaciół u bram? – I wybiegł, zwołując swoich dowódców, wydając rozkazy, kto ma bronić miasta, kto z nim jechać w pole.

Latynus nie zdołałby go powstrzymać, nawet gdyby próbował. Lecz on nie próbował. Siedział nieruchomo na swym tronie, a tymczasem rada się rozeszła, a raczej rozbiegła, gnana ciekawością. Drances chciał z nim rozmawiać, ale ojciec go odprawił gestem ręki. W końcu wstał i poszedł do siebie. Mijając nas, kobiety, ani na nas nie spojrzął, ani się do nas nie odezwał.

Amata ujęła mnie za rękę.

Odruchowo, jakby jej dotyk ziębił albo parzył, wyrwałam jej dłoń i stanęłam w obronnej postawie, gotowa walczyć lub uciekać, gdyby znowu spróbowała mnie dotknąć.

Wpatrywała się we mnie ze zdziwieniem.

– Nie zrobię ci krzywdy – odezwała się w końcu tonem małego dziecka.

– Już dość mnie nakrzywdziłaś – parsknęłam. – Czego chcesz?

Odpowiedziała z wahaniem, wciąż wpatrując się we mnie tak, jakby mnie ledwo знаła.

– Pomyślałam... myślę, że powinniśmy się pokazać ludowi... u ołtarza jego larów.

Miała słuszność. Kiedy król się schował, a wróg atakuje, należy jak najprędzej upewnić lud, że rodzina królewska czuwa i czuwają strzegące miasta bóstwa. Skinęłam głową i skierowałam się do wyjścia, ale po chwili odwróciłam się i powiedziałam do Juturny:

– I ty chodź z nami. – Nie miałam prawa wydawać rozkazów siostrze króla, lecz ona ruszyła za mną bez sprzeciwu, otulając się szarym welonem.

Wyszliśmy z pałacu i poszliśmy ulicami na plac, gdzie stoi świątynia poświęcona duchom opiekuńczym miasta. Po drodze dołączały do nas inne kobiety; wybiegały z każdego mijanego domu, nadbiegały ulicami. Kiedy dotarliśmy na plac, miałyśmy już wokół siebie spory tłum. Amata szła przodem i ona zapaliła kadzidło, ale to ja setki razy stawiałam u boku króla przed tym ołtarzem, to ja znałam słowa, jakie wypowiedział, i to ja wypowiedziałam je teraz, składając cześć i oddając hołd bóstwu granic i dróg i naszego opasanego murami miasta, domu naszego ludu.

Otoczające nas kobiety skłoniły głowy, niektóre poklekały, a ludzie, którzy wypełniali ulice, stali na murach i dachach, słuchając w milczeniu.

Poczułam płynące od nich pełne miłości zaufanie, potok uczuć, które natchnęły mnie pokorą, a jednocześnie dały mi poczucie solidnego,

niewzruszonego oparcia. Byłam ich córką, ich przymierzem z przyszłością, słabą dziewczyną, która jednak potrafi przemawiać w ich imieniu do najwyższych potęg, zaledwie towarem w politycznym handlu wymiennym, ale zarazem znakiem o bezcennej dla wszystkich wartości. Po skończonym obrzędzie stałam długo w milczeniu pośród mego ludu. Byliśmy podobni ptakom, które wieczorem stoją setkami wzdłuż morskiej plaży, w ciszy, jakby wspólnie oddawały cześć niewidzialnemu.

Było tak cicho, że można było usłyszeć narastający gwar za murami – łoskot, chrzęst i turkot, rżenie koni, pokrzykiwania ludzi, tętent kopyt, odgłosy kroków, hałas, jaki czyni armia idąca na wojnę.

Słodką pamięć tego obrzędu przed świątynią lara publicznego była mi pociechą i tarczą w mrocznych czasach, jakie miały nadejść. Coś się zmieniło w moim położeniu. Nie musiałam się dłużej ukrywać, odizolowana od nurtu powszechnych nastrojów. One mnie wyniosły i unosiły ze sobą. Wróciła mi odwaga.

Tymczasem wedle wszelkich oznak na niebie i ziemi nie było żadnego powodu, bym czuła się tak pewnie. Wyglądało raczej na to, że nie ma już nadziei na okazanie posłuszeństwa orzeczeniu wyroczni czy na podążanie za swoim przeznaczeniem, jak to określił poeta. Proponując udobruchanie Trojan dzięki nadaniu im ziemi lub odbudowie spalonych okrętów, ojciec w ogóle nie wspomniał o moim udziale w pierwotnej transakcji. Jakbym nie była nawet warta wzmianki. Moja matka dostała to, czego chciała – miała wojnę z obcymi, z Turnusem jako wodzem, panem królestwa i królewskiej córą. Wróciła teraz do Regii z takim samym zagubionym wyrazem twarzy i zamknęła się w swoich pokojach, podczas gdy ja wyszłam ze swego zamknięcia. Dostrzegałam uczucie w oczach ludzi na ulicach i kobiet w pałacu. Z miłością wymawiały moje imię. Czułam się wszędzie serdecznie witana, osłaniana. Mój dom stał się na powrót moim domem pomimo oblężenia.

Poszłam do pokoi króla i krótko, naprawdę krótko rozmawiałam z ojcem. Wyneźdniały i postarzały, o zaczerwienionych opuchniętych powiekach, prosił, żebym przynosiła mu tylko najważniejsze nowiny, a poza tym pozostawiła go w spokoju, gdyż nie czuje się dobrze. Poradziłam, żeby się położył i solidnie wyspał. Posłańców będziemy przyjmowali ja i Werus, oznajmiłam, jego zaś będziemy niepokoili jedynie w najpilniejszej potrzebie. Znaczną część tego dnia spędziłam w atrium i

w drzwiach pałacu wraz z Gajusem i innymi wartownikami króla, odbierając meldunki od posłańców z pola bitwy.

Trwał nieustanny przepływ ludzi i nowin między miastem a okolicznymi polami, na których Wolskowie i Latynowie pod wodzą Mesaposa i dowódców Wolsków zajmowali pozycje do walki. Zwiadowcy donieśli, że Eneasza wysłał naprzód konnicę i Etrusków, a resztę oddziałów poprowadził na wzgórze na północny wschód od miasta – zdaniem Werusa celem oskrzydlenia naszych wojsk. Wobec tego Turnus powiodł tam Rutulów z zamiarem urządzenia zasadzki na Trojan u wylotów przełęczy. Znałam to miejsce: wąski mroczny wąwóz. Pasterze nazywali je Przełęczą Golo. Armia mogła tam łatwo wejść – i znaleźć się w potrzasku.

Podobne wieści docierały do nas w regularnych odstępach prawie przez cały dzień. Ale wczesnym popołudniem przestały napływać. Pozostawiwszy więc Werusa na straży przed wejściem do pałacu, wbiegłam na wieżę, aby się rozejrzeć. W każdym razie taki miałam zamiar.

Stałam przy balustradzie i ponad dachami i szczytami murów objęłam spojrzeniem plac ćwiczeń i pola na północ od miasta.

Za ziemnym szańcem stały w kilku wyciągniętych szeregach oddziały Wolsków z czarnymi kitami na hełmach, dalej nasi Latynowie, pstra zbieranina hełmów i używanych zbroi. Konie tańczyły niespokojnie pod jeźdźcami, a oni im na to pozwalali. Półkolem przed linią Wolsków ustawili się łucznicy i piechurzy z długimi lekkimi włóczniami. Jedni okazywali niepokój, wierząc się podobnie jak konie, inni sprawiali wrażenie znudzonych i gwarzyli między sobą, wsparci na włóczniach.

Z wieży roztaczał się najrozleglejszy w mieście widok na okolicę,

dlatego my, na niej stojący, dostrzegliśmy pierwsi migotliwe odbłaski na grotach włóczni daleko wśród pól od północnej strony.

Jakieś pacholę galopowało na spienionym kucyku przez pastwiska i krzyczało coś wniebogłosy. Słów nie było słyhać, ale brzmiały one z pewnością: „Nadchodzą!”.

Bo też nadchodzili.

Widok był zaiste piękny. Groty włóczni lśniły jak przybliżające się szybko ściernisko zżętego blasku. Powietrze drżało od miarowego tętentu galopujących koni. Wzdłuż szeregów rozwiniętych na przedpolu miasta wzniosły się ku słońcu włócznie i oszczepy, konie zaczęły nerwowo rzeć, miotać się, szarpać cugle. W pewnej chwili zagrały rogi i trąbki Etrusków, surmy bojowe, niektóre tonem głębokim, chrapliwym, inne srebrzyście i słodko. Atakujący byli coraz bliżej – obrońcy stali nieruchomo w miejscu. Wydawało się przez chwilę, że wszystko stanęło, zastygło w bezruchu. I oto nagle ryknęły rogi, podniósł się potężny krzyk obu wojsk i z obu stron wyleciały w górę strzały, oszczepy i włócznie. Śmigłe cienie minęły się i skrzyżowały w powietrzu między dwiema armiami. A potem pod tym żelaznym deszczem starli się ze sobą piesi i konnica, pierś w pierś, ludzie i konie.

Opowiadam wam o tym, co sama widziałam i tak, jak to widziałam, nie starając się zrozumieć. Widziałam więc mężczyzn biegnących w stronę miasta, ku bramie. Sądziłam, że to atakujący. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nagle zawracają i biegną na spotkanie innych biegnących mężczyzn, a spotkawszy się z nimi, zaczynają walczyć, wnosząc miecze nad głowy i tną. Potem znów jacyś mężczyźni biegli od strony miasta, trzymając w biegu tarcze ze plecami, a wraz z nimi biegli jeźdź-

cy na koniach i konie bez jeźdźców, a inni biegli w ślad za tamtymi, aż nagle ci ścigani odwracali się, wznosili miecze cięli, po czym wzbijał się ten potworny harmider wrzeszczących chórem mężczyzn. Podobne gonitwy wciąż się powtarzały. Przypominało to fale podpływające pod mury miasta i od nich odpływające. Tyle że zamiast bryzgów piany wzbijał się w górę kurz, gęsty, ciemny, spieczony letnim skwarem kurz. A potem skończyły się te pościgi i nawroty, na polu zostały tylko poszczególne grupki bądź pary wojowników, dźgających jeden drugiego mieczem w tumanach pyłu, rzucających w siebie nawzajem ciężkimi włóczniami, a wszędzie tam, gdzie ugodziło ostrze miecza lub grot włóczni, obficie tryskała krew. *Mars, Mavors, macte esto*. Nie wiem, jak długo to trwało. Stałam, zaciskając palce na balustradzie wieży, obok Maruny i innych niewiast, a wokół i poniżej nas, na dachach i murach, stały kobiety i dzieci, przyglądając się, jak jedni mężczyźni zabijają drugich.

Potem znowu zagrały chrapliwie trąby. Daleko na polach ruszyła grupa konnych i posuwała się zbitą masą niczym cień przelatujący nad dojrzewającymi zbożami, w poprzek gminnych drózek, w ukośnych promieniach palącego blasku, w których wirował kurz. Szeregi i poszczególne grupki walczących rozpierchły się przed tą nawałą. Wkrótce pęd konnicy porwał wszystkich: zawracali i biegli ku miastu, Wolskowie z czarnymi kitami z końskiego włosia, wszyscy biegli z powrotem ku murom. Żołnierze obu armii biegli w stronę murów w chmurze pyłu, która częściowo ich skrywała. Miałki pył z ornych pól wzbijał się brunatno-żółtymi kłębami, a słońce wypalało w nim dziwaczne nisze i wnęki, w których majaczyły cieniste kształty koni i ludzi.

Miejskie bramy stały otworem. Były otwarte przez cały czas bitwy. Pomyślałam, że powinnam zejść na dół i rozkazać, żeby je zamknięto. Maruna podtrzymała mnie pod ramię. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie słyszę, co do mnie mówi. Krzyczała mi wprost do ucha:

– Straże będą broniły bram! Zostań tutaj! Zostań tu na górze!

Kiedy się cofnęła, coś przeleciało cicho obok nas i spadło na podest wieży. Ptak, pomyślałam, zastrzelili ptaka, ale potem zobaczyłam, że to strzała. Leżała tam z długim lśniącym grotem z brązu i sztywnymi przyciętymi lotkami, już niegroźna. Nic nie słyszałam, tak głośny był tumult w dole pod bramą i tak wielki krzyk wzbijał się ze wszystkich dachów i murów miasta: krzyk, wrzask, który napęniał cały świat, zagłuszał myśli. Z wysokości wieży nie mogliśmy widzieć tego, co działo się pod bramą. Mogliśmy natomiast obserwować tych, którzy to widzieli, bo stali na murach nad samą bramą lub w jej pobliżu. Niektórzy patrzyli, jak giną ich synowie i mężowie rozplątani mieczami z brązu przed zamkniętymi wrotami rodzinnego miasta.

Zobaczyliśmy, jak wycofują się Etruskowie, a za nimi Wolskowie z czarnymi kitami, choć mniej licznie i nie tak spieszenie. Ci drudzy zatrzymali się tuż przed rowem. Etruskowie przeszli jeszcze ponad sto kroków, zanim stanęli, zatoczyli końmi i znieruchomieli w szarzejącym, osiadającym kurzu. Nastąpiła długa chwila ciszy, krzyki z wolna zacięły w oddali, coraz ostrzejsze w miarę, jak słabły, aż w końcu słychać było tylko płacz i jęki rannych i osieroconych.

– Patrzcie, patrzcie! – zawołała któraś z kobiet, a gdy spojrzaliśmy w stronę, którą wskazywała, zobaczyliśmy kolumnę żołnierzy zbliżającą się szybkim krokiem, choć z oddali można by sądzić, że idą powoli,

od strony wzgórz na zachodzie.

– To Turnus, Turnus nadciąga! – niesło się z dachu na dach.

– Gdzie był przez cały dzień? – krzyknął jakiś starczy głos, ale utonął w wiwatach dla młodego króla i jego Rutulów. Wiwaty wnet jednak osłabły i wkrótce całkiem ucichły. Gdzieś w dole w pobliżu bramy zawodziła jakaś kobieta: skowyczący lament, nie do zniesienia przenikliwy, nabrzmiały cierpieniem.

Zbiegłam na dół, a potem wróciłam pod drzwi Regii, już zatem nie widziałam, jak Eneasz prowadzi Trojan ze wzgórz tą samą drogą, którą ciągnął Turnus, zresztą w niewielkiej odległości za nim.

Etruskowie cofnęli się głębiej, żeby się połączyć z Trojanami. Niedobitki naszych oddziałów, Wolsków i Rutulów Turnusa, stanęły obozem między szańcem a murami miasta. Cały wieczór pogłębiano rów, umacniano bramę.

Ja tego już nie widziałam. Najpierw dołączyłam do kobiet, które zajmowały się na dziedzińcu nową partią rannych, a potem spostrzegłam moją matkę śpieszącą pod kolumnadą do pokojów obrad. Natychmiast ruszyłam w ślad za nią, zatrzymawszy się tylko na chwilę przy fontannie pod wawrzynem, by obmyć krew z dłoni i ramion i ostudzić twarz w błogosławionym chłodzie wody.

Dołączyłam do matki i Juturny w głębi sali narad. Ojciec siedział na tronie wspartym na rzeźbionych skrzyżowanych nogach. Już nie wyglądał jak trzęsący się starzec, którego niedawno widziałam. Siedział wyprostowany, majestatyczny w bramowanej purpurą todze i słuchał Turnusa. Był tam również Drances, Werus oraz grupka wartowników i rycerzy, lecz tylko kilku królewskich doradców. Większość zajmowała

się swoimi rannymi, oplakiwała zmarłych lub pomagała umacniać mury na wypadek oblężenia.

Turnus miał na sobie zbroję, choć tego dnia właściwie nie walczył. Był zakurzony, a na jego pobladłym obliczu widniało napięcie. Już nie unosił się pychą. Wyglądał jednak młodo, a wyraz zatroskania jeszcze dodawał mu urody. Amata i Juturna nie mogły oderwać od niego wzroku. Zdawał Latynusowi raport ze stanu sprzymierzonych armii. Nie krył, że jego zasadzka nie powiodła się, nie przeczył też, że Wolskowie złamali się i uciekli, niemal wprowadzając za sobą Etrusków do miasta. Chwalił jednak Mesaposa, Tolumniusa, wojska łatyńskie, a także samych mieszkańców, którzy zebrali się przed bramą i dzielnie tam trwali.

– Jutro – odezwał się ojciec – staniesz na ich czele, ty i twoi ludzie. A Eneasze ze swoimi poprowadzi Etrusków.

– Tak będzie – potwierdził Turnus. Zaległa cisza. Młodzieniec zmienił postawę, nieco szerzej rozstawiając nogi i dumnie zadzierając głowę. – Ja się nie wzdragam. Nie ma we mnie zwłoki – przemówił dość dziwacznie, ale głosem, w którym tężała siła. – Jeśli ludzie mówią, że traktat został zerwany, jeśli uważają tak Trojanie, zadam im kłam. Powtórz obrzędy, królu Latynusie, odnow warunki przymierza jutro z samego rana, przed całym ludem! Przysięgam ci, jak tu stoję, że własnoręcznie oczyszczę nasz lud z piętna tchórzostwa. Niechaj Trojańczyk, który uciekł z ogarniętego pożogą miasta, stanie ze mną, jeden na jednego, w uczciwej walce. I niech całe Lacjum przygląda się z murów naszemu pojedynekowi. Albo mój miecz zdejmie z nas cały wstyd i wydrze mu Lawinię, albo niechaj władca podbitym krajem i pojmie ją sobie

za żonę.

Skończywszy mówić, spojrzął na nas, trzy kobiety stojące za tronem, mnie jednak ominął wzrokiem.

Mój ojciec odpowiedział mu powoli, z namysłem, lecz stanowczo. W przededniu klęski wróciła mu pewność siebie, podobnie jak wcześniej jego córce.

– Turnusie, nikt nie podaje w wątpliwość twego męstwa. Jest ono tak wielkie, że zmusza mnie do kroków ostrożnych, do szczególnej rozwagi. Zważ: twój ojciec pozostawił ci piękne królestwo, jesteś bogaty, cieszysz się przyjaźnią sąsiadów. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem i krewnym przez małżeństwo. Lecz nie brak niezamężnych dziewcząt z najlepszych rodów. Zważ sobie to wszystko! Cokolwiek się bowiem wydarzy, nie mogę ci oddać mojej córki. Tego mi zrobić nie wolno. I ja tego nie uczynię. Moje pragnienie, by zacieśnić więzi między nami, prośby mej małżonki, wreszcie moja słabość popchnęły mnie do grzechu. Złamałem przyrzeczenie. Pozwoliłem, iżby myślano, że można odebrać obiecaną kobietę mężczyźnie, któremu została przyrzeczona. Pozwoliłem nieopatrznie, by zaczęła się ta wojna. Niech skończy się teraz, przed ostateczną klęską. Dlaczego byłem tak niezdecydowany, unikałem spojrzenia w oczy temu co nieuchronne? Skoro chciałem i nadal chcę sprzymierzyć się z Trojanami za twego życia, dlaczego miałbym z tym czekać na twą śmierć? Zgadając się na ten pojedynek, popchnąłbym cię bowiem zdradziecko w jej objęcia. Chcę temu zapobiec. Niechaj mój stary przyjaciel, a twój ojciec Daunus powita żywego syna w progu swego domu!

– I mój miecz potrafi utoczyć krwi – powiedział Turnus. Przedtem

blady, teraz zaczerwienił się na twarzy i oczy mu błyszczały. – Nie musisz mnie ochraniać, ojczy Latynusie. Chodzą wieści, że tego Eneasza podczas walki osłania nadludzka jakaś moc. Ale tutaj, na naszej ziemi, bóstwa będą ze mną. Pokonam go!

Po tych słowach Amata poderwała się, podbiegła do Turnusa i chwyciła go za ręce, ni to czepiając się go, ni to padając przed nim na kolana niczym suplikantka. Jej czarne rozpuszczone włosy opadały luźno. Płacząc, zawołała drżącym, przesywającym głosem:

– Turnusie, jeśli mnie kiedyś kochałeś... tyś naszą jedyną nadzieją... jedynym zbawcą, obrońcą honoru tego zhańbionego domu. Cała nasza siła jest teraz w twoich rękach. Nie odrzucaj jej! Nie gub swego życia! Cokolwiek stanie się z tobą, stanie się też ze mną! Nie będę niewolnicą u obcych! Nie mam nikogo prócz ciebie! Jeśli ty umrzesz, umrę i ja!

Kiedy jej słuchałam, ogarnął mnie taki wstyd, że aż oczy zaszyły mi łzami. Czulałam, jak palący rumieniec wypływa mi na twarz, szyję, piersi, oblewa całe ciało. Stałam jak niema, odrętwiała ze wstydu.

Tymczasem Turnus spoglądał ponad głowę Amaty prosto na mnie tym błyszczącym niewidzącym spojrzeniem, które mnie przeraziło za pierwszym razem, gdy go zobaczyłam. Przemówił do niej, lecz wciąż patrzył na mnie:

– Żadnych teraz łez, proszę, żadnych złych przeczuć, matko. Nie jestem już panem własnej śmierci. Pchnąłem posłańca do Trojan. Jutro rano nie rozpocznie się bitwa. Traktat zostanie na nowo zaprzysiężony. Tylko my dwaj staniemy naprzeciwko siebie. Nasza krew rozstrzygnie losy wojny. I na polu tej walki Lawinia dostanie małżonka.

Uśmiechnął się do mnie, szeroko i dziko. Odsunął od siebie Amatę,

odtrącając jej dłonie. Szlochała, skulona nad ziemią.

– Wysłaeś posła? – chłodno zapytał Latynus.

– Zapewne już do nich dotarł – odrzekł dumnie Turnus.

Latynus tylko raz skinął głową, na znak aprobaty.

– W takim razie idź i szykuj się do walki, mój synu – powiedział miękko i wstał, odprawiając też pozostałych. Kiedy wyszli, odwrócił się. Myślałam, że poprosi, bym się zajęła matką, tymczasem on zapytał: – Nie jesteś ranna, córko?

Zorientowałam się, dlaczego o to pyta, po jego spojrzeniu: u dołu mojej palli rudziła wielka plama na wpół zaschłej krwi, której nie dostrzegłam w mroku dziedzińca.

– Nie, ojczu. Opiekowałam się tylko rannymi.

– Odpocznij trochę dzisiejszej nocy, dziecko. Jutro niektórych z nas czeka ciężki dzień. Idź i śpij dobrze. Juturno, biegnij za bratem. Jeśli zdołasz go odwieść od tego pojedynku, uczynić to. To niepotrzebne poświęcenie. Odnowimy traktat, przywrócimy pokój.

Juturna wybiegła. Kiedy już wszyscy wyszli z sali, Latynus podszedł do Amaty, która klęczała skulona na podłodze, rwąc włosy. Ukląkł przy niej i coś do niej cicho powiedział. Nie dosłyszałam słów. Nie mogłam dłużej na nich patrzeć. Wysłam stamtąd i przez dziedzińiec wróciłam do swojej sypialni.

Kiedy ich spotykam na dziedzińcu naszego domu, Askaniusz mówi do ojca żartobliwym tonem:

– Sam powiedziałeś: przychodzę do ciebie po trud, nie po szczęście! – Powiedziawszy to, idzie wypełnić jakieś zlecenia Eneasza.

Pytam więc swego męża:

– Co on miał na myśli?

– Och, powiedziałem mu tak, kiedy nie mogliśmy wyjąć tego grotu strzały z mojej nogi. Powiedziałem: „Męstwa i trudu, chłopcze, ucz się od rodzica, szczęścia od innych!”. Byłem wtedy w kiepskim nastroju.

– Jakiego znów grotu strzały?

– Z ostatniego ranka wojny.

Zastanawiają mnie jego słowa.

– Ależ Turnus nie miał łuku! Walczył mieczem.

– Turnus?

– Ta rana w twojej nodze...

– Turnus mnie w ogóle nie zranił – mówi chmurnie. Potem wyraz jego twarzy się zmienia. – Ach, rozumiem. Okłamałem cię. W pewnym stopniu. Właściwie wszystkich okłamałem.

– Wyjaśnij mi to, proszę.

Siadamy obok siebie na ławce pod młodym drzewkiem laurowym.

– No cóż, to było zaraz po tym, jak ów augur, Tolumnius, rzucił włócznią, chcąc zerwać rozejm. Byłem tego świadkiem. Zabił na miejscu młodego Greka. Oczywiście wszyscy natychmiast zapłonęli gniewem. Próbowałem zebrać naszych ludzi, wyrwać ich stamtąd, powstrzymać od walki... Walczyć w takim miejscu! Przy ołtarzu! Przed którym ty stałaś! – Na to wspomnienie znowu ciemnieje mu twarz. –

No i w tym zameście ktoś postrzelił mnie z łuku w nogę.

– Nie wiesz kto?

– Nikt nigdy nie upomniał się o ten zaszczyt – stwierdza z lekką kpiną. – Serestus i Askaniusz pomogli mi się wymknąć z tej kotłowni, wrócić do obozu. Widok powalonego wodza ma fatalny wpływ na żołnierzy. Musiałem skakać na jednej nodze, podpierając się włócznią, krwawiąc jak zwierzę ofiarne. Japyks zrobił co w jego mocy, wyrwał drzewce, ale nie zdołał wyjąć grotu. Miał zadziory, pojmujesz. Tymczasem tam doszło do bitki. Więc mówię: podwiąż to, człowieku, nie mogę tu siedzieć cały dzień, muszę odszukać Turnusa i sprawę zakończyć. Zmusiłem Japyksa, żeby mnie opatrzył. Gdy napchał w ranę lebiodki kreteńskiej i mocno obwiązał, przestało boleć. W takiej sytuacji nie zwraca się uwagi na podobne głupstwa. Wróciłem więc, by szukać Turnusa. Ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Do dziś nie potrafię tego zrozumieć. Gdzie on się podziewał? Dostrzegalem go co jakiś czas, nawet niedaleko, zaraz mi jednak zniknął jak jaskółka w atrium... prześwisnęła i już jej nie ma. Biegłem na miejsce, gdzie przed chwilą stał, ale jego już tam nie było. Zacząłem tracić cierpliwość. I właśnie wtedy Mesapos strącił mi włócznią grzebień z hełmu. No i wpadłem w furję. Rozkazałem atakować miasto. – Marszczy czoło, opuszcza wzrok na swoje dłonie wciśnięte między kolana. – Przykro mi z tego powodu. To nie było dobre.

– Więc Turnus cię nie zranił? Byłeś już ranny, gdyście przystępowali do walki?

Kiwa głową zasmucony, że mnie oszukał, a może dlatego, że został na oszustwie przyłapany.

– Jak tylko wróciłem potem do obozu, Japyks wyjął ostrze... właściwie samo wyskoczyło. – Spogląda na swe muskularne brązowe udo i klepie bliznę, o szerokość dłoni nad prawym kolaniem, głęboką, czerwoną, wyróżniającą się pośród innych, starszych szram i ran. – Zagoiło się jak na psie – mówi, jakby to cokolwiek usprawiedliwiało.

– Dlaczego pozwoliłeś, bym myślała, że zranił cię Turnus?

– Sam nie wiem. Przypuszczam, że kłamstwo poniekąd samo się rozrasta. Musiałem udawać, że wszystko jest w porządku, dopóki trwała walka. Jak już mówiłem, widok rannego wodza źle wpływa na żołnierzy. Przeciwnik miał wielką przewagę liczebną, wszystko się jeszcze mogło zdarzyć. Musiałem więc znaleźć Turnusa i walczyć z nim, by całą rzecz zakończyć... to był jedyny sposób. A potem, kiedy już mogłem przyznać, że zostałem ranny... pamiętasz chyba, że przez jakiś czas mocno kuląłem... wydawało się mało ważne to, w jaki sposób odniosłem ranę. Nie wiedziałem, żeś myślała, iż zranił mnie Turnus. To chyba naprawdę nie ma znaczenia, co?

Nie pyta o to jak chłopiec, który pragnie się usprawiedliwić, ale z całą powagą, żeby wy badać, jak wiele to dla mnie znaczy. Muszę się nad tym chwilę zastanowić.

– Nie – mówię. Nachyłam się i całuję zabliznione wgłębienie w jego udzie. Obejmuje mnie i podsadza na siebie. Jego dłonie pod moją luźną szatą są duże, ciepłe, mocne i szorstkie. Cały pachnie kadzidłem i solą.

Spałam jednak tej ostatniej nocy wojny, spałam mocno, głęboko, toteż rano budziłam się powoli. Początkowo zdawało mi się, że muszę zrobić coś dla mojej matki, nie wiedziałam tylko co. Potem, gdy wynurzyłam się nieco bardziej z odmetów snu, przyszło mi do głowy, że trzeba spełnić obrzęd, przy którym powinnam pomóc ojcu. A potem całkiem oprzytomniałam i przez okienko sypialni zobaczyłam rozjaśnione brzaskiem świtu niebo. Przemknęły mi przez pamięć setki obrazów krwawiących ran i umierających mężczyzn, widoki z wczorajszego dnia, a towarzyszył temu melodyjny głos mojego poety recytującego swój poemat. Na koniec uświadomiłam sobie, że tego dnia albo odnowimy traktat pokojowy, albo walki wybuchną w samym mieście i mój lud zostanie pokonany, zwyciężony.

Wstałam, narzuciłam na siebie starą, bramowaną purpurą togę z nadpalonym rogiem i pobiegłam do mieszkania ojca, żeby go obudzić. Zastałam go już na nogach, prawie gotowego. Nie zgłosił zastrzeżeń do mojego zamiaru towarzyszenia mu w obrzędzie. Razem z Drancesem i kilkoma ze starszyny zanieśliśmy przybory rytualne i miseczkę z solą ofiarną na dziedziniec stajni, gdzie mieliśmy wybrać zwierzęta ze stad, które przygnano tam z wiejskich zagród ogarniętych wojną. Dokonawszy wyboru, poprowadziliśmy zaraz wybrane sztuki na miejsce ofiary.

Żołnierze, którzy sprawowali wartę, otworzyli przed nami miejską bramę, pozdrawiając króla uderzeniami oręża o tarcze. Zamierzali zamknąć za nami bramę, ale Latynus im zabronił:

– Bramy miasta niech pozostaną otwarte!

Szedł przodem, trzymając swą dębową łaskę niczym włócznię. Szerokie, bramowane purpurą poły jego togi jaśniały w świetle poranka.

Cała nasza armia stała na posterunku, plecami do murów i obwałowań ziemnych usypanych po zewnętrznej stronie rowu. Trojanie, Grecy i Etruskowie dopiero ustawiali szyki za wąskim pasem ziemi uprawnej, udeptanej teraz na klepisko. Przestrzeń dzieląca obie armie została zlustrowana, czyli oczyszczona, oznaczona jako święta, a na jej środku wzniesiono ołtarz ziemny. Starcy z miasta pracowicie układali drewno na palenisku, które zbudowali obok ołtarza.

Latynus podszedł wprost do niego. Podniósł ręce skierowane wnętrzem dłoni do góry. Młody Caesus, nasz solnik, już czekał ze świeżo wyciętą bryłą darni, którą położył teraz równo na dłoniach króla, a ten złożył darń na ołtarzu. W tym samym momencie pierwszy promień słońca wyblysnął znad wzgórz na wschodzie. Eneasza wyszedł na plac dzielący obie armie i stanął po drugiej stronie ołtarza, naprzeciwko króla Latynusa. Wszystko odbywało się tak, jakby zostało zaplanowane i setki razy przećwiczone, jak powinno i musiało się odbywać.

Z Eneaszem nadszedł jego syn, Askaniusz, Turnus zaś podszedł i stanął za Latynusem przy ołtarzu. Eneasza miał na sobie wspaniałą zbroję i trzymał tarczę, którą później miałam lepiej poznać. Na jego hełmie chwiały się czerwony pióropusze podobny do chmury ognia nad wulkanem. Turnus prezentował się równie wspaniale w zbroi z brązu wysadzanej złotem, z białym pióropuszem, który powiewał dumnie na porannym wietrze. Obok niego stała Juturna okryta szarym welonem. Mój ojciec zarzucił na głowę połę togi, podobnie ja uczyniłam.

Kiedy obejrzałam się za siebie, na moje miasto, ujrzałam na koronach murów i dachach Laurentum zbitą ludzką ciżbę – kobiety, mężczyźni i dzieci. Wszyscy oni milczeli, podobnie jak żołnierze obu armii.

Postąpiłam naprzód z miseczką soli z mąką. Ojciec zaczerpnął jej w dłonie i oprószył ofiary, młodego białego prosiaczka i dwuletnią owieczkę o delikatnym białym runie. Podszedł Eneasza i również nabral w złożone dłonie soli ofiarnej z miseczki, którą mu podsunęłam. Po raz pierwszy znalazłam się tak blisko niego. Był potężnym mężczyzną, kościstym i muskularnym, spalonym słońcem, z twarzą pobrużdżoną i wychłostaną wiatrami, zmęczoną i piękną. Był tym mężczyzną, którego znałam, odkąd poeta wymówił jego imię na polanie w Albunui. Spojrzałam mu w twarz, a on popatrzył na mnie. Zorientowałam się, że mnie rozpoznaje.

Odwrócił się, żeby posypać solą zwierzęta ofiarne. Podałam ojcu mały nóż rytualny, który ze sobą przyniosłam, a on ostrożnie wyciął kępkę włosów z czoła świni i owcy. Oddał mi nóż, a ja podałam go z kolei Eneasza. Wziął go i podobnie wyciął kłaczek szczeciny i kędziorek wełny, po czym oddał mi nożyk. Następnie obaj podeszli do paleniska i wrzucili resztę soli ofiarnej w ogień. Caesus przyniósł na tacy dzban wina i stare srebrne kubki. Napełnił je po brzegi i podał obu królom. Najpierw Latynus, a potem Eneasza ulali po kilka kropli na zieloną trawę na ołtarzu. Ojciec wypowiedział cichym, śpiewnym głosem rytualne zaklęcia, wzywając bóstwa ziemi, i tego czasu i miejsca. Eneasza przysłuchiwał się z powagą.

Podczas całego obrzędu od strony zgromadzonych wokół rzesz nie nadleciał prawie żaden dźwięk. Gdzieś na dachu w mieście zakwiliło niemowlę, zadzwoniła brązowa zbroja, gdy poruszył się któryś z żołnierzy, daleko wśród ulic śpiewały ptaki, a ponad tym wszystkim stała ogromna, cudowna cisza jaśniejących niebios.

Ojciec skończył modlitwę i cofnął się o krok. Eneasza wyciągnął miecz. Rozległ się głośny świst brązowej klingi przeciąganej po twardej skórze. Wzniósł miecz nad ołtarzem i zawołał:

– Niech słońce będzie świadkiem tego, co teraz powiem, i ta ziemia, do której przybyłem po wielu mozołach. Biorę za świadków Marsa, pana wojny, a także źródła i rzeki tej krainy, niebo, które ją nakrywa, i morze, które ją obmywa. Jeśli zwycięży Turnus, moi ludzie wycofają się do miasta Ewandra, uznają się za pokonanych, a mój syn opuści tę ziemię i nigdy nie powróci do niej zbrojnie. Lecz jeśli ja odniosę zwycięstwo, na co bardzo liczę, nie uczynię Italów swymi poddanymi ani nie ogłoszę się ich władcą. Niechaj oba nasze ludy, niezwyciężone, ślubują sobie wieczyste przymierze. Przywiozłem ze sobą swoich bogów. Latynus, jako mój teść, zachowa swój miecz i władzę. Moi ludzie zbudują nowe miasto, które nazwiemy imieniem Lawinii.

Mówiąc to, spojrział wprost na mnie, bez uśmiechu, ale z jasną twarzą i pogodnym wzrokiem. Odwzajemniłam jego spojrzenie i lekko skinęłam mu głową, lecz tylko raz.

Wtedy opuścił miecz i wsunął go do pochwy. Teraz mój ojciec postąpił naprzód, stanął przed wodzem Trojan i wzniósł nad ołtarzem swój tęgi dębowy kij.

– Składam przysięgę na te same moce, Eneasz, na ziemię, morze, gwiazdy, na pana piorunów i Janusa o dwóch obliczach, na cienie w krainie zmarłych. Oto dotykam ołtarza. Przysięgam na ten ogień i bóstwa, które stoją między nami: pokój teraz zawarty i przysięga złożona nigdy nie zostaną pogwałcone, cokolwiek się zdarzy. Moja wola nigdy nie ulegnie zmianie, póki ten kij, starożytne berło władców Lacjum,

okrywają gałązki i liście!

Skinął na ludzi, którzy trzymali zwierzęta. Podprowadzili je i wręczyli obu wodzom długie noże ofiarnicze, po czym Latynus poderżnął gardło owcy, a Eneasza prosięciu, każdy zaś uczynił to jednym szybkim, zręcznym pociągnięciem. A wtedy wszyscy, stojący nieopodal żołnierze i ludzie na murach, zburzyli ciszę długim, przeciągłym, rozwibrowanym westchnieniem ulgi, uspokojenia i spełnienia.

Potem wystąpił etruski haruspik, żeby zbadać wnętrze ofiar, do czego Etruskowie przykładają wielką wagę. Rozcięto więc zwierzęta, a mięso rzucono i upieczono w ogniu. To wszystko zajęło sporo czasu. Eneasza i Askaniusza stali w milczeniu z dala od ołtarza, podobnie jak mój ojciec, natomiast Turnus zaczął rozmawiać z siostrą i ze stojącym obok niej rutulskim wodzem Camersem. Mimo pozłacanej zbroi i wspaniałego pióropusza Turnus i tym razem wyglądał blado, jakby był zmęczony po nieprzespanej nocy. Wciąż rozglądał się po swoich ludziach z jakimś błagalnym, smutnym wyrazem twarzy. I Rutulowie zaczęli się wokół niego gromadzić. Camers mówił coś do nich niegłośno, ale z żarem, a oni go słuchali z posepnymi minami. Krążył wśród nich wieszczek Tolumnius i również im coś perswadował. Haruspik grzebał i grzebał w wątrobach, sercach i nerkach ofiarnych zwierząt. Jego pomocnicy rzucili w ogień za dużo mięsa naraz, niemal całkiem gasząc płomień, toteż trzeba je było na powrót podsycać, by zapłonęły wysoko. Również w szeregach Italów wszczął się gwar i poruszenie. Święta chwila minęła, przewiała. Słońce wspinało się coraz wyżej. Zapowiadał się upalny dzień.

Nagle na niebie rozległ się jakiś szum. Jak na komendę wszyscy

zadarliśmy głowy. Od rzeki nadlatywał duży klucz łabędzi, kierując się na południe. Dostojne ptaki leciały powoli nad nami i miastem, od naszej lewej ku prawej stronie. Grecy i Trojanie śledzili ich lot równie uważnie jak Italowie i Etruskowie. Toteż wszyscy widzieli, jak na niebie pojawił się znieca orzeł, prędko jak strzała nadleciał ze wschodu, porwał w szpony prowadzącego łabędzia, posypały się pióra po czym z wysiłkiem dźwigając ciężką zdobycz, zatoczył nad nami szerokie koło. A potem, rzecz niebywała, klucz łabędzi zawrócił i jął ścigać orła, lecąc nisko i szybko, aż poczuliśmy na sobie cień ich skrzydeł, zaczął go atakować, osaczać, póki drapieżnik nie wypuścił ze szponów martwego łabędzia, nie wzbił się w górę i nie umknął nad wzgórze na zachodzie. Niektórzy widzowie zaczęli wiwatować, choć z wahaniem, lecz większość milczała, zastanawiając się nad znaczeniem tego znaku.

Wtem w zaległej ciszy rozbrzmiał krzyk Tolumniusa:

– To znak! Znak! Rutulowie, Latynowie, bądźcie posłuszni znakowi! Zaatakujcie atakującego! Zewrzyjcie szeregi, brońcie swojego prawowitego króla!

A gdy otaczający go ludzie zaczęli krzyczeć i wygrażać pięściami w marsowym geście, wieszczek wznosił nad głowę ciężki oszczep i cisnął go prosto w szeregi stojące po drugiej stronie świętego pasa ziemi.

Jakiś wojownik zgiął się też zaraz nad drzewcem, wydając dziwny dźwięk, ni to kaszel, ni to śmiech, wyraźnie słyszalny w ostatnim tchnieniu ciszy.

A potem wzbił się pod niebo potężny, ogłuszający ryk, krzyk obu wojsk, szcęk dobywanego oręża, łomotanie w tarcze. Ludzie biegli na

oślepi, we wszystkie strony, potracali mnie. W jednej chwili zniknął cały znany mi świat, cały z wyjątkiem ołtarza. Przywarłam do niego mocno. Był przy mnie ojciec i młody Caesus, który usiłował trzęsącymi się rękami zebrać święte naczynia.

– Pomóż mi, Lawinio – poprosił, więc mu pomagałam w miarę swoich sił.

Trzymając się razem, zaczęliśmy się wycofywać w stronę miejskiej bramy, przepychając się przez tłum biegnących ludzi, rozszalałych koni. Nagle stwierdziłam, że nie ma przy mnie Caesusa, zatrzymałam się więc i obejrzałam, szukając go wzrokiem. W tej samej chwili jakiś Etrusk w pysznej zbroi potknął się i upadł na plecy wprost na ołtarz, rozkrzyżowując na nim ramiona. Inny wojownik przyskoczył i ciął po odsłoniętym gardle ostrzem halabardy. Krew zabitego trysnęła na tych, którzy rzucili się, by zedrzeć z niego zbroję i wyrwać mu oręż. Niektórzy z Rutulów wyciągali płonące żagwie z ofiarnego ognia i posługiwali się nimi jak bronią, dźgając płomieniem w twarze przeciwników, więc wkrótce rozszedł się w powietrzu swąd palonych włosów. Dostrzegłam za ich plecami Eneasza, który wzrostem przewyższał pozostałych. Z podniesioną ręką krzyczał coś donośnym, zagniewanym głosem. Potem ktoś mnie popchnął, aż omal nie upadłam. Młody Caesus z przerażeniem na mokrej od łez twarzy szarpał mnie za skraj togi. Pośpieszyłam za ojcem. Miejska brama była otwarta. Straż Latynusa otoczyła nas i wepchnęła do środka.

Zamęt na ulicach był niemal równie wielki jak za murami miasta. Ludzie krzyczeli, że Trojanie zerwali rozejm i zdradziecko napadli na króla przy ołtarzu. Wielu starszych mężczyzn i młodych chłopców, na-

wet spośród niewolników, bieгло, by wziąć udział w walce. Królewska straż trzymała wielką bramę otwartą, by ci mogli wybiegać, a ranni szukać schronienia w mieście. Kobiety stały na murach i wykrzykiwały obelgi pod adresem walczących w rowie i na szańcu przeciwników, obrzucając ich dodatkowo glinianymi cegłami i wszystkim, co wpadło im w ręce. Spora grupa zebrała się na ulicach między bramą a pałacem, gotowa bronić swojego króla, jeśliby nieprzyjacielowi udało się wejść za mury. Inni w pośpiechu zakopywali w ogrodach co cenniejsze przedmioty lub próbowali zabarykadować drzwi i okna domów, aby się w nich zamknąć.

Pośpieszyłam za królem prosto do sali narad, gdzie zebrali się już Drances i inni, którym udało się ująć z pola bitwy. Drances bełkotał ze strachu wciąż tylko o jednym: gdzie moglibyśmy się ukryć? Mój ojciec był bardzo poruszony, aż poszarzał na twarzy. Ciężko oddychał, ale usiadł na tronie i począł się naradzać z Werusem i pozostałymi. Wydawał rozkazy względem obrony miasta i Regii. Widząc, że nie jestem tam potrzebna, pobiegłam do kobiecej części domu, gdzie zastałam tylko płacz, rwetes i trwogę. Matka była u siebie, lecz wyszła do mnie, by syknąć z jadowitą pogardą:

– Więc tak twój wspaniały Trojanin dotrzymuje umów!

– Zaprzysiągł pokój – powiedziałam.

– I napadł na twojego ojca przy ołtarzu!

– Nieprawda! Obaj ślubowali pokój. Chciał zmierzyć się z Turnusem w pojedynku. Przysiągł, że jeśli przegra, jego ludzie odjadą, a jeśli wygra, ojciec nadal pozostanie królem Lacjum. Ojciec również złożył przysięgę. Nie spodobało się to jednak Juturnie i Rutulom, a Tolumnius

odczytał znak wróżebny i rzucił włócznią, co przerwało rozejm. Widziałam to na własne oczy. Tak właśnie było.

– Nieprawda – wycedziła, choć dobrze wiedziała, że mówię prawdę.

Po tym, czego byłam świadkiem, już się jej nie bałam. Mówiłam teraz głosem mocniejszym niż ona, sama to stwierdziłam. Miałam też wrażenie, że jestem wyższa, kiedy przed nią stoję.

– Gdyby Turnus stanął do pojedynku z Eneaszem, wojna byłaby zażegnana, a miasto bezpieczne – oświadczyłam z gniewem. – On nas zdradził.

– Turnus by nigdy... – zaczęła, lecz głos jej się załamał. – To dla ciebie, dla ciebie...

– Turnus wcale o mnie nie dba. O ciebie zresztą również – powiedziałam. Uświadomiłam sobie, że przemawiam z taką samą jadowitą drwiną, jaką tyle razy słyszałam w jej głosie. Potem przypomniałam sobie czyste niebo nad ołtarzem pomiędzy dwiema armiami, gdy obaj królowie zaprzysięgali przymierze. Poczułam wstyd, gniew i żal. Ukłękłam przed Amata i chwyciłam w dłoń skraj jej palli. – Wybacz mi matko – zawołałam. – Niech zapanuje, między nami pokój!

– Nigdy, on by nigdy... – urwała. Rozejrzała się dokoła jak ktoś, kto się zgubił. – Czy to moja wina? – Odwróciła się, wyrывая suknię z moich palców, wbiegła do swojego mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przez jakiś czas siedziałam w kucki i płakałam. Wylewałam łzy, które nagromadziły się we mnie przez te wszystkie okropne dni. A gdy się już wylały, odgarnęłam włosy z czoła, otarłam twarz skrajem palli i

wstałam. Powiodłam wzrokiem po mych niewolnicach, które przyglądały mi się ze zgrozą, zaciekawieniem i zakłopotaniem.

– To ludzie Turnusa zerwali rozejm, ale to Trojańczycy i Etruskowie będą szturmowali miasto – powiedziałam do nich, szukając prawdy, której potrzebowałam, i pociechy, której wszystkie potrzebowałyśmy. Głos mi drżał. – Nie mamy więc innych przyjaciół prócz naszych latyńskich mężczyzn, którzy tam walczą, i prócz nas samych. Co możemy zrobić, żeby zabezpieczyć dom i przetrwać oblężenie?

Wpatrywały się we mnie w milczeniu, niektóre chlipały, wreszcie odezwała się Maruna:

– Spiżarnie są pełne.

– Niech będą pochwalone nasze penaty. Spiżarnie są pełne, jest woda w fontannie. Czy mamy dość drewna do pieców?

Z tym był kłopot, ale taki, któremu mogłyśmy zaradzić. Powstała dyskusja i Tita zaproponowała:

– Mogłybyśmy ściąć drzewo laurowe.

Obruszyła się na to Sykana, ta wysoka posepna dziewczyna, która zawsze wiernie służyła mojej matce:

– Zwariowałaś, Tito? Idź, przepłucz sobie usta i błagaj bóstwa, żeby obdarzyły cię rozumem! Ściąć królewskie drzewo? Głupia! Jeśli już trzeba coś ścinać, możemy zacząć od tych starych topól za stajnią.

Od razu poleciłam Sykanie, żeby zebrała mężczyzn z siekierami i kazała ściąć te topole. Potem miałam jeszcze sto spraw do załatwienia, ale i kobiety gotowe do pomocy.

Nie mogę opisać bitwy, która przez ten czas, przez całe przedpołudnie, toczyła się za murami. W ogóle jej nie widziałam. Gwar bitewny

dolatywał mnie jedynie wtedy, gdy ustawała na chwilę krzątanina w domu. Mogę opowiedzieć tylko to, co mnie opowiedziano.

Początkowo Rutulowie dzięki zaskoczeniu, jakie jest udziałem strony atakującej, zepchnęli Trojan i ich sprzymierzeńców, lecz potem bitwa przenosiła się stopniowo coraz bliżej szańców i rowu wokół miejskich murów. Mesapos dowodził Rutulami. Turnus był wszędzie, „ale nigdzie nie zagrzewał miejsca” – jak mi powiedział człowiek, który przyniósł nam najdokładniejszy raport. Nazywał się Mellus i był wśród rannych, którymi opiekowałyśmy się w pałacu. Kiedy został opatrzony, wrócił do walki. Jego rana, szkaradne cięcie mieczem, otworzyła się ponownie podczas bitwy. Udało mu się wrócić do miasta przed zamknięciem bram. Poinformował króla, że Trojanie nie usiłują podchodzić pod mury, że utrzymują pozycje na szańcu, że Eneasza poluje na Turnusa, szukając sposobności do położenia kresu wojnie na drodze pojedynku, że Turnus szaleje konno po polu bitwy, wszędzie siejąc śmierć, ale unikając Eneasza. Zdawszy tę relację, precyzyjnie i wyczerpująco, Mellus zemdlął z upływu krwi. Choć zrobiliśmy dla niego wszystko, co mogliśmy w naszym szpitalu na dziedzińcu, zmarł wieczorem tego samego dnia. Był latyńskim wieśniakiem, miał nieduże pólko i sad na stokach wzgórz, na południe od miasta.

Nakazałam właśnie sprzątaczkom, żeby ścierkami na kijach i mokrymi szmatami zmyły z płyt na dziedzińcu krew rannych, których wciąż przybywało, gdy nagle za bramą rozległ się jakiś straszny ryk. Wszyscy domownicy poderwali głowy znad swych zajęć, niektórzy wbiegli na mury i na wieżę, żeby sprawdzić, co się stało. Donieśli nam też zaraz, że Trojanie przekroczyli pas ziemi między rowem a szanćem

i atakują bramę, a prowadzi ich wysoki wódz z czerwoną kitą na hełmie, co prawda krótko uciętą. Jedna z dziewcząt, która wspięła się na mury ponad samą bramą, powtórzyła nam, co krzyczał ów wódz, mianowicie że Italowie już dwa razy złamali przysięgę, że ich król jest wiarodolny.

– I zabił Werusa – dodała. Była blada jak kreda i mówiła wysokim, monotonnym głosem, powtarzając to samo po wiele razy. – Po prostu ściał mu głowę, ściał mu głowę, po prostu ściał mu głowę.

– Werusa... – potwierdziłam machinalnie, ale groza tej wiadomości jeszcze do mnie nie dotarła. Miałam tyle do zrobienia.

Nawet zamknięta wewnątrz Regii zdawałam sobie sprawę z hałaśliwego zamętu na ulicach. Jedni usiłowali się dopchać do bram, aby je otworzyć i poddać miasto, inni dążyli w tę samą stronę z włóczniami, drągami, toporami i kuchennymi nożami, aby bić i odeprzeć wroga. Harmider w obrębie murów brzmiał jak ogłuszający, niekontrolowany ryk. Ktoś krzyknął: „Pali się!”, więc wbiegłam na wieżę, żeby sprawdzić, czy Regii nie grozi pożar. W kilku miejscach przelatowały nad murami pociski ogniste, ale ludzie na ulicach szybko je gasili. Mimo to wybuchały co chwila nowe krzyki ostrzegające przed pożarem. Nad całym miastem unosił się ciemny, jazgotliwy, zawodzący zgiełk ludzkiej rzeszy, tak głośny, że zagłuszał myśli.

Nagle ponad ten zgiełk wybił się kobiecy krzyk z głębi Regii, tak przeraźliwy i przejmujący, że natychmiast zbiegłam ze schodów i pospieszyłam do kobiecej części domu.

Ogólny krzyk i rozpaczliwy lament, zwielokrotnione dodatkowo echem, całkiem zagłuszyły słowa Sykany, która wybiegła mi naprzeciw

z szeroko otwartymi ustami i obłędem w oczach. Pociągnęła mnie za sobą do pokoju matki. Amata wisiała na stryczku skręconym z prześcieradeł i przerzuconym przez belkę. Była bosa. Długie czarne włosy spływały luźno wzdłuż twarzy i ciała.

Wspólnym wysiłkiem przesunęliśmy stół pod wiszące ciało. Sykana je podtrzymywała, ja przecięłam płócienną pętlę swym małym nożem. Złożyliśmy ciało mojej matki na długim stole w przedsionku jej mieszkania. Wciąż miała na szyi małe złote amulety, które kiedyś nosili moi bracia.

– Umyjcie ją – nakazałam Sykanie i innym służkom, ponieważ zanoczyła się w agonii, a nie chciałam, żeby własne zwłoki przyniosły jej wstyd.

Teraz musiałam zawiadomić ojca.

Usłyszał lament dobiegający z kobiecej części domu i już śpieszył przez dziedziniec z Drancesem i jeszcze kilkoma ze starszyny. Zastąpiłam mu drogę pod drzewem laurowym. Nie pamiętam, co wtedy powiedziałam. Przez chwilę stał nieruchomo. Na jego twarzy odbijało się bezgraniczne zmęczenie i smutek. Objął mnie, a ja się do niego przytuliłam.

– Chodźmy do niej – szepnęłam. Wtedy mnie puścił, osunął się na kolana, zebrał garść ziemi spod korzeni wawrzynu i wtarł ją w siwe włosy.

Uklękałam przy nim, usiłując go pocieszyć.

Nagle uświadomiłam sobie, że choć wciąż trwa lament w kobiecych pomieszczeniach, hałas w mieście i odgłosy walki niemal zupełnie ucichły.

Spojrzałam w górę, na ludzi stojących na dachach i wieży.

Wszyscy zamarli w bezruchu. W ogóle wszystko zamarło.

A potem rozległ się potężny szmer, jakby głębokie westchnienie, jakby odetchnęły pola wokół murów miasta. Pomyślałam, że to trzęsienie ziemi, bo taki zwykle poprzedza je dźwięk. Lecz to nie było to, tylko odgłos końca. Wojna się skończyła. Turnus poległ. Koniec poematu.

Otóż nie.

Czyż nie powiedziałaś mi tego, mój poeto? Tu, na tym świętym miejscu, gdzie tryskają spod ziemi cuchnące siarką źródła i napęniają sadzawki, gdzie gwiazdy mrugają wśród liści? Powiedziałaś kiedyś, że nie został ukończony i powinien zostać spalony.

Ale potem, pod koniec, powiedziałaś, że jednak został ukończony. Wiem też, że go nie spalono. Bo gdyby spalono, spłonęłabym wraz z nim.

Tylko co ja mam teraz robić? Straciłam przewodnika, mojego Wergiliusza. Muszę iść sama przez to, co po nim zostało, przez resztę tego ogromnego, błędnego, nieczytelnego świata.

Co zostaje po śmierci? Cała reszta. Słońce, którego wschód oglądałeś, zajdzie, kiedy ciebie już nie będzie. Kobieta siądzie do niedokończonych tkaniny, która po innej kobiecie została na krosnach.

Jak dotąd znajdowałam właściwą drogę, choć nie poeta mi ją wskazał. Odnajdywałam ją bezbłędnie, czerpiąc wskazówki ze słów, jakie mi zostawił. Idąc za nim, dotarłam do środka labiryntu. Teraz muszę odnaleźć drogę powrotną, już sama. Będzie dłuższa i bardziej monotonna dla żyjących, ale myślę, że znacznie krótsza do opowiedzenia.

Wielu widziało, jak zginął Turnus, gdyż dopiero przed bramami Laurentum przestał się w końcu wymykać Eneaszowi i podjął z nim walkę. Najpierw obaj rzucili włócznie i obaj chybili. Zaczęli walkę na miecze, lecz oręż Turnusa pękł, a on zaczął znowu uciekać.

Eneasz próbował go gonić, utykał jednak, nie mógł zatem biec szybko. Zatrzymał się i próbował wyrwać włóczęnię z pnia dzięki oliwki, w który wbił się grot. To było drzewo święte, wiele razy oddawałam pod nim cześć Faunusowi. Trojanie ścięli je w furii zniszczenia, kiedy okupowali szaniec, i teraz tylko pniak po nim pozostał. Włóczęnia była wielka i ciężka, utkwiła głęboko i nie dawała się wyrwać. Kiedy Eneasz się z nią szarpał, Juturna podbiegła do brata i podała mu inny miecz. Eneaszowi udało się w końcu wyrwać włóczęnię, podbiegł do Turnusa i zawołał:

– To ma być walka, przyjacielu, nie wyścigi!

Serestus stał nieopodal obu przeciwników. Opowiadał mi, że ujrzał wtedy dziwne zjawisko: oto sowa, mała sówka, zaczęła krążyć wokół Turnusa, choć to był środek dnia. Serestus mówił, że Turnus usiłował odpędzić ją sprzed twarzy. Wyglądał na oszołomionego, zdezorientowanego, jak człowiek śmiertelnie ranny. Znowu odbiegł kawałek, aż tam, gdzie leżał wielki kamień graniczny. Zatrzymał się, odwrócił, dźwignął ów ciężar i cisnął nim w Eneasza. Głaz zarył w ziemię w połowie drogi. A Turnus stał w miejscu i patrzył z tym samym wyrazem zdumienia na twarzy. Podniósł miecz, lecz się nie poruszył. Eneasz powalił go, cisnąwszy ciężką włóczęnię, która przebiła mu udo.

Potem przykuśtykał, ciężko dysząc, i stanął nad powalonym przeciwnikiem. Turnus nie zdołał się podnieść. Podźwignął się tylko na

kolana. Nabrawszy tchu, powiedział wyraźnie i spokojnie, jakby jego oszołomienie nagle minęło:

– Zwyciężyłeś. Nie proszę cię o litość. Czyń, co uważasz za słuszne. Lecz jeśli mnie zabijesz, proszę, żebyś moje zwłoki odesłał ojcu. Lawinia należy do ciebie. Pozbądź się już nienawiści.

Eneasz wysłuchał go i cofnął się o krok, jakby zamierzał oszczędzić rywala. Nagle zobaczył na jego piersi złocisty pas, który Turnus zerwał z konającego Pallasa. Wtedy krzyknął:

– A czy ty oszczędziłeś tego chłopca? To on, Pallas, składa tę ofiarę! – I wbił miecz w serce Turnusa.

Juturna przez cały czas trzymała się z dala od pola bitwy.

Mówią, że wiele razy zasłoniła brata przed Eneaszem, który go ścigał, kulejący i straszliwy. Teraz precyzyjnie się przez zburzone szeregi Rutulów, uklękła przy zwłokach brata, nakryła je swym szarym welonem i zaczęła lamentować.

Eneasz stał w miejscu wsparty na mieczu. Dopiero kiedy podeszli doń Achates i Serestus, wsunął miecz do pochwy, objął towarzyszy za ramiona i wspierany przez nich pokuśtykał wolno do obozu Trojan. Kiedy przechodzili przez szaniec, odwrócił się i krzyknął:

– Królu Latynusie! Nasze przymierze pozostaje w mocy!

Mój ojciec nie mógł mu odpowiedzieć, ponieważ go tam nie było. Z głową posypaną prochem czuwał w jednej z komnat w głębi domu nad zwłokami żony. Odpowiedziały jednak oddziały Latynusa, zakrzyknąwszy gromko:

– Przymierze pozostaje w mocy! – co powtórzyli też ludzie na murach.

Kilku pozostałych przy życiu rutulskich wodzów – nielicznych, bo Eneasz w bitewnej furii zabijał każdego, kto stanął mu na drodze – sformowało ze swoich oddziałów drużynę dla przeniesienia zwłok Turnusa, Camersa i Tolumniusa, po czym wyruszyli w milczeniu w długą drogę powrotną do Ardei. Wojsko pozbawione wodza rozproszyło się: jedni szukali wytchnienia, inni – ciał poległych towarzyszy. Nazajutrz i jedni, i drudzy wrócili do swych ojczyzn: do Rutulii, do kraju Wolsków, w góry.

Juturna odeszła na północ, sama jedna. Ludzie widzieli, jak odchodzi, ale potem już jej nie widziano, uznano więc, że utopiła się tej nocy

w ojcu rzece.

Łatyńska armia rozproszyła się podobnie jak armie sprzymierzeńców. Niektórzy wrócili do miasta dla odpoczynku lub kuracji, wielu jednak ruszyło na pola, by szukać na pobojowisku zmarłych braci, sąsiadów, a potem odnieść ich ciała do domów, do zagród w dolinie lub za pasmem wzgórz. Z różnych stron Lacjum jechały wozy zaprzężone w osły lub woły. Powozili nimi niewolnicy posłani przez żony wieśniaków lub ich starych ojców, by pomogli zwozić rannych i zabitych.

Tej nocy słuchaliśmy w Laurentum dzwonięcia toporów i dalekiego łoskotu padających drzew w lasach na północ i na wschód od miasta. Nazajutrz drwale ściągali drewno na stosy, które miano wznieść pod murami.

Jeden z takich stosów, wyższy od innych, ułożono dla mojej matki. Wyniesiono ją na białych noszach, ubraną w delikatną białą pallę, którą sama utkała i nazywała moją suknią ślubną. Wszyscy mieszkańcy miasta, którzy mogli chodzić, szli za nią w procesji.

Ogień stosu pogrzebowego powinien zapalić najbliższy krewny, odwracając przy tym twarz. Stos Amaty ja zapaliłam. Kiedy płomienie dokonały już dzieła, wygrzebałam z gorących, dymiących popiołów jedną kość, kostkę paliczka, żeby pogrzebać ją w ziemi, dzięki czemu dusza zmarłej nie będzie się błąkać po śmierci. Potem wstał mój ojciec i po trzykroć, jak każe obyczaj, wykrzyknął jej imię, a ja i cały lud powtórziliśmy za nim:

– Amata! Amata! Amata!

Odpowiedziała nam cisza.

Zginął stary wartownik Werus, poległ też Aulus. Zginęli moi wszyscy młodzi zalotnicy. Nie żyła moja matka. Prawie każdy dom w Laccjum kogoś oplakiwał – ojca, brata, syna, poległego bądź tylko okaleczonego. Myślę, że trudno nie odczuwać palącego wstydu, pozostając żywym pośród tylu zmarłych. Mówią, że Mars rozgrzesza wojowników z wojennych zbrodni, ale kto rozgrzesza tych, którzy nie wojowali, tych, dla których podobno tę wojnę toczono, choć nigdy tego nie chcieli?

Wieczorem w dniu pogrzebu matki poprosiłam Marunę, Sykane i inne co znaczniejsze mieszkanki Regii, żeby mi towarzyszyły. Stara Westina była tak zrozpaczona, że mogła tylko siedzieć w kucki na podłodze w pokoju Amaty, kołysać się w przód i w tył i płakać bez łez, wydając ciche jęki, jakie wydaje chore dziecko.

Poszłyśmy ulicami do ołtarza Janusa, przed którym złożyłam ofiarę z jadła i kadzidła bóstwom początku i końca. Wokół ołtarza zgromadziła się liczna rzesza mieszkańców Laurentum. Przypuszczam, że wszyscy byliśmy złaknieni aktów religijnych, odczuwaliśmy potrzebę modlitwy, aby uznać naszą podległość potężnym siłom, których nie rozumiemy. Podeszłam do drzwi stojących otworem w wysokiej cedrowej ramie, do Bramy Wojny, która prowadzi donikąd, czy to otwarta, czy zamknięta. Pchnęłam jedno jej skrzydło, potem drugie, lecz nie byłam w stanie ich poruszyć. Długo otwarte, obwisły na zawiasach i oparły się o kamienisty grunt. Kobiety usiłowały mi pomóc, potem dołączyli jeszcze mężczyźni z otaczającego nas tłumu. W końcu wspólnymi siłami udało się nam zamknąć Bramę Wojny. Sykana i jeden z mężczyzn podnieśli graniastą belkę dębową i założyli na grube żelazne skoble, w ten

sposób ryglując te wrota. Wtedy zawołałam:

– Pozostań zamknięta. Przymierze zawarte! – Miałam wrażenie, że mówię do wroga, tymczasem pokonanego, ale zawsze wroga.

Zgromadzeni powtórzyli za mną:

– Przymierze zawarte!

Eneasza nie pojawił się w Laurentum przez dziewięć następných dni, czyli przepisany okres żałoby. Nakazywała to zwykła przyzwoitość. Gdyby przybył wcześniej, zostałby uznany za bezwzględny zdobywcę, który wymusza swój triumf. Nie miało znaczenia, że ślubował pozostawić koronę i miecz Latynusowi i przynieść do Lacjum tylko swoje bóstwa, wszak już dwa razy widzieliśmy, jak złamano to przyrzeczenie.

A jednak ludzie mówili:

– Nowemu królowi jakoś do nas nieśpieszno, prawda?

Nawet moje niewiasty tak go nazywały, choć napominałam je, mówiąc, że okazują w ten sposób brak szacunku naszemu prawdziwemu królowi. Poszła plotka, że Trojańczyk jest ranny i musi się wylizać, na co ludzie stwierdzali nie bez satysfakcji:

– Więc nasz Turnus jednak go drasnął.

Dopiero znacznie później dowiedziałam się, że Eneasza przez dwie godziny uganiał się za przeciwnikiem po polu bitwy z grotem strzały tkwiącym w mięśniu uda. Nic dziwnego, że gdy w końcu przyjechał, utykał i wyglądał marnie, wymizerowany, wynędzniały.

Chcąc nas uprzedzić, pchnął przodem posłańca, a sam przybył jedynie z niewielką drużyną kilkunastu konnych wojowników, ubranych w najświetniejsze szaty, jakie posiadali. Zbroje prawie wszystkie pięknie wyczyszczone, wypolerowane nakryte czymś w rodzaju płaszcza lub tuniki. Jakże wspaniale musiały wyglądać te okrycia przed długą podróżą spod Troi. Towarzyszyło im kilku najznakomitszych etruskich książąt, lecz ani jeden Grek. Zrozpaczony i zbolący po stracie syna Ewander odwołał wszystkich swoich żołnierzy do Pallanteum. Eneasza dosiadał rumaka, którego dostał w prezencie od mojego ojca zaraz

pierwszego dnia, kiedy zostało zawarte przymierze, a ja zostałam mu przyobiecana na małżonkę. Piękny płowy ogier, dobrze ułożony, ale ognisty, zwietrzył swoje dawne przyjaciółki, klacze w królewskich stajniach, toteż mijając je, zaczął rzeć radośnie, na co one również odpowiedziały rzeniem i radosnymi kwikami. Z tego powodu ta część wjazdu gości okazała się dość hałaśliwa. U miejskiej bramy rozstały się przed nimi strażę, a oni jechali w milczeniu w górę Via Regia. Ludzie wybiegli tłumnie, żeby ich oglądać, tłoczyli się na dachach, ale i oni zachowywali milczenie.

Jeźdźcy zsiadli z koni przed wejściem do pałacu. Zbiegłam z mojego stanowiska obserwacyjnego na wieży, żeby okrężną drogą wejść od tyłu do sali narad. Tymczasem w drzwiach zatrzymał mnie Gajus, który objął po Werusie stanowisko dowódcy straży królewskiej.

– Król prosi, żebyś poczekała, dopóki po ciebie nie przyśle, królowo – powiedział.

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie tym mianem. Nie jestem pewna, czy uczynił to celowo. Był milczącym, nieśmiałym, poważnym starym człowiekiem, bardzo zakłopotanym, że musi mnie zatrzymać.

Czekałam więc pod drzwiami i nie słyszałam większości tego, o czym mówiono w sali. Mój ojciec zasiadał na tronie o skrzyżowanych nogach. Widziałam jego plecy, kilku spośród Trojan, ale nie samego Eneasza. Wygłaszano mowy. Etrusk Tarchon prosił Latynusa o wybaczenie, że poprowadził swoich ludzi do walki z Latynami. Wyjaśniał, że lud Caere postanowił uprowadzić tyrana Mezencjusza, który schronił się u Turnusa w Ardei, aby go ukarać, jak na to zasłużył, lecz wyroczenia obwieściła im, że na wodza takiej wyprawy muszą sobie obrać ob-

cego przybysza, Eneasze zatem spadł im po prostu jak z nieba. Latynus przyjął te przeprosiny równie uprzejmie, jak zostały złożone. Nie pragnął kłótni z Etrurią. Długo przemawiał Drances. Od śmierci Turnusa stał mi się obmierzły, właściwie bez powodu. Nie byłam w stanie zapanować nad swoją niechęcią, gdy więc tak perorował, z nienawiści zaciśkałam pięści. Potem wygłosił kilka słów jeden z Trojan; odpowiedział mu któryś z Etrusków i nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem; nastrój się rozluźnił. A potem usłyszałam spokojny, dźwięczny głos:

– Przynoszę prezent dla twojej córki, królu Latynusie.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, szlachetny Eneasze – odrzekł mój ojciec. – Ona także wniesie ci posag godzien naszego bogactwa i sławy.

– Nie wątpię w to, królu. Jednakże to co przynoszę, chciałbym wręczyć twojej córce osobiście.

Ojciec skinął głową, po czym zwrócił się do Ceasusa, który usługiwał mu jako przyboczny:

– Poślij po Lawinie.

Caesus dopiero się odwracał, żeby wypełnić jego polecenie, gdy ja już podeszłam w towarzystwie Gajusa. Zjawiłam się więc błyskawicznie. Nic dziwnego, że mój ojciec wyglądał na zaskoczonego.

Nareszcie mogłam się przyjrzeć Eneaszowi. Dotychczas był zakryty przed moim wzrokiem, ponieważ siedział – ojciec kazał dla niego przynieść składane krzesło, bo nadal utykał. Teraz wstał, ledwo mnie zobaczył, i przyglądaliśmy się sobie, mając oczy na jednej wysokości. Był znacznie wyższy ode mnie, ale ja stałam na podwyższeniu.

Jego widok nappełnił mnie szczęściem. Uradował. Wydaje mi się, że

dojrzałam odbicie, jakby odblask mojej radości również na jego twarzy.

Skloniliśmy przed sobą głowy w oficjalnym pozdrowieniu, po czym smagły wojownik o bystrej, ujmującej twarzy, imieniem Achates, wniósł duży ceramiczny garnek i postawił go na podeście. Garnek był wykonany z ciężkiej czerwonej gliny, pozbawiony ozdób, szeroki u spodu, pękaty, zamknięty zapieczętowaną pokrywką. Eneasz położył na nim dłonie, duże, pokryte bliznami, w uroczystym geście, który jemu przychodził w sposób naturalny, a jednocześnie z jakąś serdeczną czułością.

– Lawinio – powiedział – opuszczając Troję, niewiele mogłem zabrać ze sobą: ojca i syna, garstkę moich ludzi oraz bóstwa naszego domu i naszych przodków. Mój ojciec przebywa już w królestwie zmarłych. Mój syn, Askaniusz, jest tu ze mną, a wraz z nim moi towarzysze, gotowi cię wielbić jako jego matkę, a ich królową. Moje zaś penaty i święte przedmioty moich przodków ofiarowuję teraz tobie, abys je przechowywała i czciła na ołtarzach naszego domu, w mieście, które będzie nosiło twoje imię. Przebyły długą drogę do twojego ogniska i twojego serca.

Uklęłam i także położyłam dłonie na glinianym garnku.

– Będę ich strzegła i czciła – obiecałam wzruszonym głosem.

– Gdzie zbudujemy Lawinium? – zapytał z ożywieniem, uśmiechając się z jawną już radością, a spoglądając to na mnie, to na Latynusa.

– Trzeba będzie objechać kraj, żeby wybrać najdogodniejsze miejsce – powiedział mój ojciec. – Myślałem o tym rejonie na podgórzu, w pobliżu ojca rzeki. Gleby są tam żyzne, a na stokach rośnie dużo dobrego drewna.

– Nad brzegiem morza – powiedziałam głosem słabym, zachrypniętym. – Na wzgórzu, w zakolu rzeki, która spływa z Albunei.

Spojrzeli na mnie obaj.

– Widziałam je właśnie tam. Nasze miasto – wyjaśniłam. – We śnie.

Eneasz nie przestawał mi się przyglądać, a na jego twarzy pojawił się wyraz powagi i skupienia.

– Zbuduję twoje miasto w miejscu, w którym je ujrzałaś Lawinio – powiedział. Potem cofnął się trochę, ale nadal oboje trzymaliśmy dłonie na ceramicznym naczyniu. Ponownie się uśmiechnął i zapytał: – A czy przyśniła ci się także data naszego ślubu?

– Nie – odszepnęłam.

– Wyznacz ją więc ty, królu Latynusie – poprosił Eneasz. – Wyznacz jak najprędzej! Zbyt wiele czasu już stracono, zbyt wielu mężczyzn zginęło, po zbyt wielu rozpaczaliśmy. Od tej pory nie bądźmy już marnotrawcami.

Mój ojciec nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Kalendy Quintilisa. Jeśli wróżby będą pomyślne.

– Na pewno będą – ucieszył się Eneasz.

I oczywiście były.

Trojanie mieli tylko tyle czasu, ile go zostało do końca czerwca, żeby zacząć wznosić miasto i zbudować nam dom, ale okazali się zdziwiająco sprawnymi robotnikami, bardziej od nas, Latynów, zdyscyplinowanymi i nie przyzwyczajonymi do aż tylu świąt. Pierwszego dnia piątego miesiąca miasto Lawinium już stało. Zakole rzeczki Prati opływało strome skaliste wzgórze, na którym stanęła warownia. Wokół wschodniego i południowego, nieco łagodniejszego stoku tego wzgórza biegł rów i obwałowanie ziemne, wyżej drewniana palisada wytyczała linię, wzdłuż której miał zostać wzniesiony miejski mur z wulkanicznego tufu. W jego obrębie wytyczono ulice. Główna wznosiła się do warowni, skręcając ostro na stromej rampie tuż przed bramą, doskonała pozycja obronna, jak z satysfakcją stwierdzali wszyscy starzy żołnierze. Na szczycie wzgórza stanął mały dom z kamienia zwrócony frontem do bramy: Regia. Ten dom, jedyny całkowicie wykończony, spoglądał z góry na namioty, chaty i rusztowania składające się na główną część pozostałych budowli mieszkalnych, ponad palisadą zaś na łągi na obu brzegach Prati i morskie wydmy kilka mil dalej na wschód. Na zachód od miasta dębowe i sosnowe lasy pięły się wysoko na zbocza starego wulkanu, podłużnej góry Alba.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia Quintilisa, mojego ostatniego dnia w ojcowskim domu, ubrano mnie w strój panny młodej. Ja, która tak często przystrajałam przeznaczone na ofiarę jagnięta i cielęta, sama zostałam teraz przystrojona, a moją rolą, podobnie jak ich, miała być potulność. Westina uczesała mi włosy grzebieniem z brązu, dzieląc je na sześć pasem, które następnie przeplotła, każde z osobna, czerwony-

mi wełnianymi wstążkami. Na głowę włożyłam wieniec z leczniczych ziół i kwiatów, które własnoręcznie zebrałam przed wschodem słońca na łąkach za miastem. Tunikę przewiązano mi w pasie wełnianą szarfą związaną w skomplikowany węzeł; Westina i stara Aula sprzeczały się zażarcie, jak właściwie powinno się go wiązać. Na to wszystko nałożono długi lekki welon, barwiony na kolor czerwono-pomarańczowy. To był ten sam ognisty welon, który miała na sobie w dniu ślubu Marika, matka mojego ojca, a wcześniej jej matka. Potem dołączyłam do trzech młodych chłopców, którzy czekali na mnie na dziedzińcu z zapalonymi pochodniami z tarniny. Płomieni nie było widać, jedynie drżenie gorąca w blasku letniego dnia. Caesus szedł przede mną, dwaj pozostali chłopcy po moich bokach, a ich matka, Lupina, szanowana mieszkanka miasta, postępowala za mną jako starościna weselna. Za nami kroczył mój ojciec ze swymi doradcami i ocalałą resztką straży, dalej honorowy poczet żołnierzy trojańskich przysłanych przez Eneasza, wreszcie każdy, kto tylko chciał wziąć udział w zaślubinach.

Szliśmy w dół Via Regia. Ludzie dołączali do orszaku wzdłuż całej drogi, a wszyscy wykrzykiwali obrzędowy okrzyk, którego znaczenia nikt już nie zna: „Talassio! Talassio!”, rzucali orzechy i sprośne żarciki. Te cięte przyśpiewki należą do rytuału weselnego, co Trojan zdawało się dziwić. Czasu było dosyć, żeby im to wytłumaczyć, ponieważ nasz orszak miał przebyć na piechotę całą drogę do Lawinium, a więc sześć mil z okładem. Weselne pochodnie trzeba było kilka razy na nowo zapalać lub wymieniać, a zgłodniaли ludzie zaczęli zjadać orzechy, włoskie i laskowe, zamiast je rozrzucać. Woziwody, prowadzący małe osiołki objuczone buklakami, cieszyli się przez całą drogę wielkim po-

wodzeniem.

Dziwnie się czułam pod moim ognistym welonem, przez który patrzyłam na świat. Ścieżka, którą tak dobrze znałam, okoliczne wzgórza, pola i lasy wyglądały jak zamglone, zabarwione luną zachodu. Czułam się oddzielona od całego świata, wyodrębniona spośród ludzi, samotna, i to taką samotnością, jakiej już nigdy więcej nie miałam doświadczyć.

Kiedy podeszliśmy w końcu pod drzwi domu na wzgórzu w naszym nowym mieście, Caesus odwrócił się, zamachnął płonąca pochodnią i z wesołym okrzykiem cisnął koziółkującą jak najwyżej w tłum, który za nami się tłoczył. Wszyscy rzucili się z krzykiem, przepychając się, nie bacząc na to, że mogą się poparzyć, żeby ją pochwycić i zabrać na szczęście.

A potem znowu uciszyli się i patrzyli, jak smaruję węgary drzwi bryłką wilczego tłuszczu, którą przyniosła ze sobą Westina. Tłuszcz był brunatny, zjełczały i okropnie cuchnął. Później Westina wręczyła mi kilka czerwonych wełnianych wstążek, a ja przywiązałam je wokół węgarów, wypowiadając słowa czci dla Janusa, Strażnika Drzwi i Bram.

Przez cały ten czas Eneasz czekał w cieniu w otworze drzwi i przyglądał mi się, wysoki, milczący, nieporuszony.

Kiedy skończyłam, znieruchomiałam i podniosłam na niego wzrok.

Wtedy zadał mi pytanie, jakie należy zadać w takiej chwili:

– Kto ty jesteś?

A ja udzieliłam mu odpowiedzi, jakiej w takiej chwili należy udzielić:

– Gdzie ty Gajusz, tam ja Gaja.

Wtedy uśmiechnął się radośnie, porwał mnie na ręce, przeniósł nad

progiem naszego domu i dopiero za nim postawił na ziemi.

I tak stałam się jego żoną, matką naszego wspólnego już ludu.

Jako żona nigdy nie zaznałam tego gniewnego rozżalenia, jakie wcześniej odczuwałam i raz nawet dałam mu wyraz w rozmowie z moim poetą w Albunai, kiedy pytałam z goryczą, po co wychowuje się dziewczynę w rodzicielskim domu, jeśli potem jako kobieta ma żyć na wygnaniu? Moje wygnanie nie wyniosło mnie zresztą daleko, wszak oddaliłam się tylko o kilka mil od rodzinnego gniazda, od ojca, od ukochanej Regii z drzewem laurowym na dziedzińcu, od lar domowych mojego dzieciństwa. Chodzi jednak o rzecz ogólniejszej natury. Mężczyźni oskarżają kobiety o to, że są niewierne, zmienne, a choć mówią tak zazdrośni o swój wiecznie zagrożony seksualny honor, jest w tym szczypta prawdy. My potrafimy odmieniać nasze życie, nasz byt. Podlegamy zmianom niezależnie od własnej woli. Tak jak księżyc się zmienia, a przecież wciąż pozostaje sobą, tak my jesteśmy dziewczynami, żonami, matkami, babkami. A mężczyźni, pomimo niepokoju, jaki ich wiecznie gna, pozostają tym, kim byli na początku. Kiedy już raz włożą męską togę, więcej się nie zmieniają, dlatego czynią cnotę z tej sztywności i opierają się wszystkiemu, co mogłoby ją podważyć, a ich uwolnić. Tymczasem ja, pozbywając się swojej dziewczęcości i biorąc na siebie zobowiązania kobiety dojrzałej, stwierdziłam, że jestem bardziej wolna, niż byłam kiedykolwiek przedtem. Jeśli miałam jakieś obowiązki względem męża, spełniałam je nader chętnie. W miarę zaś jak pogłębiało się zrozumienie między nami i rosło wzajemne zaufanie, przestałam odczuwać jakiegokolwiek ograniczenia z wyjątkiem religijnych oraz tych, jakie nakładały na mnie obowiązki wobec mego ludu. Ale z tymi zobowiązaniami znałam się od dziecka, były częścią mnie, a nie czymś zewnętrznym co by mnie więziło. Przeciwnie: uwalniały mnie od cia-

snoty jednostkowej jaźni dzięki szerszemu otwarciu duszy i umysłu.

Nie zabrałam ze sobą penatów Laurentum. Mój ojciec wyzwolił niewolnicę, matkę Maruny, by mogła przejąć ode mnie obowiązki ich opiekunki i strażniczki. Kiedy po raz pierwszy weszłam do mojego nowego domu, wniesiona tam na rękach przez Eneasza, penaty z trojańskiego pałacu jego ojca stały na ołtarzu w głębi atrium. Były teraz bóstwami naszego ogniska, bóstwami mojej rodziny, a ja byłam ich służką i strażniczką. Stara miska z cienkiego srebra, wysłużona i powgniatana, stała obok, gotowa na przyjęcie świętych pokarmów. Lampy zrobiono z polerowanej czarnej gliny. Na naszym stole jadalnym stał talerz pomalowany na czerwono i czarno, a na nim kopczyk bobu, pokarm, jaki zawsze powinien stać na stole dla bogów, którzy dzielą z nami posiłek; obok zaś solniczka – wszystko jak się godzi. Na palenisku zaś płonął jasnym, niedużym płomieniem święty ogień Westy.

Eneasza był w dniu naszego ślubu prawie dwukrotnie ode mnie starszy. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jego nagie ciało, złożone z mięśni, ścięgien, kości i blizn, pomyślałam o żyłastej piękności wilka, którego Almo i jego bracia kiedyś schwytali i przez jakiś czas trzymali w klatce, zanim go złożyli Marsowi w ofierze. Ciało Eneasza ukształtowało się w twardej szkole życia, ale on nie był wilkiem ani człowiekiem twardym. Wiedziałam, że przede mną kochał dwie kobiety i po obu rozpaczał. Choć zrazu znał mnie tylko jako punkt przymierza, jego charakter i doświadczenie nakazywały mu traktować mnie od początku jako żonę, istotę sobie najbliższą. Podejrzewam, że początkowo moja młodość przejmowała go lękiem. Bał się, że mnie zrani. Wielbił moją urodę z niedowierzającym zachwytem. Miał względy dla mojego braku

doświadczenia, natomiast mnie ono niecierpliwiło i byłam gotowa uczyć się od niego, o czym się wkrótce przekonałam. Ilekroć się kochaliśmy, przypominałam sobie, co mówił mi mój poeta: że przeznaczony mi mężczyzna urodził się z bogini, z tej, która porusza gwiazdy i morskie fale, która wiosną łączy w pary zwierzęta na polach, jest bóstwem namiętności, światłem wieczornej gwiazdy.

Nie opowiem, nie mogę opowiedzieć ze szczegółami o tych trzech latach naszego małżeństwa. Rozum nie pozwala mi się rozwodzić nad tamtymi zdarzeniami i przedsięwzięciami, które nam wydawały się tak ważne i tak bez reszty nas pochłaniały. Bo rzeczywiście były ważne dla nas obojga i dla naszego ludu. I rzeczywiście wypełniły mi życie, nie tylko wtedy, ale już na zawsze, dopełniły mnie, choć więc poznałam bolesną gorycz wdowieństwa, rzadko odczuwałam całkowitą pustkę. Uważam, że kiedy człowiek stracił jakieś wielkie szczęście, a potem nie ustaje w wysiłkach, żeby je przywołać, zyska tylko smutek. Natomiast kiedy nie usiłuje rozpamiętywać wciąż od nowa przeszłego szczęścia, odkrywa z czasem, że ono trwa w jego sercu i ciele, ciche, lecz krzepiące. Najczystsze, najpełniejsze szczęście, jakie znam, to szczęście niemowlęcia u matczynej piersi i szczęście karmiącej piersią matki. Dzięki obu tym przeżyciom dowiedziałam się, czym jest spełnienie doskonałe. Ale przecież go nie odzyskam, mówiąc o nim, tęskniąc za nim, wspominając. Dość, że je poznałam, to starczy za wszystko.

Ja wiedziałam, jak mało czasu ma przed sobą Eneasze, on tego nie wiedział. W każdym razie nie przypuszczam, żeby wiedział. Nie znam wszystkich przepowiedni, jakie mógł usłyszeć podczas swej podróży czy podczas zejścia do podziemi, między Cienie. Lecz jeśli nawet wiedział, ta wiedza go nie przytłaczała, w najmniejszym stopniu nie ograniczała śmiałości jego spojrzenia, nie tłumiała nadziei. Bez lęku spoglądał w przyszłość, gotów aktywnie kształtować nadchodzące wydarzenia. Był człowiekiem, który budował miasto, kładł podwaliny pod nowy lud, pracował ze wszystkich sił dla jego dobra, dla dobra swojej rodziny, dla własnego wreszcie. Jego tarcza wisiała w przedsionku naszego

domu ozdobiona obrazami z przyszłości: postaciami królów, wizerunkami świętyń na wzgórzach, bohaterów i wojen, jakie stoczą. Wcześniej nosił przyszłość swego ludu na ramieniu, gdy ruszał na wojnę. Teraz pragnął budować tę przyszłość w pokoju.

Dziesięć lat po oblężeniu Troi wojna dopadła go znowu, nieoczekiwana, niechciana, tu na italskim brzegu. Wolałby jej nigdy więcej nie przeżywać. Był zdecydowany zaprowadzić trwały pokój, jak uczynił Latynus. Jego pierwszym i najważniejszym celem było zaprowadzenie rządów prawa, obyczajów negocjacji i arbitrażu, wyższości cierpliwego rozumu nad bezrozumną przemocą, nie tylko wśród Trojan i tych Latynów, którzy pomagali w budowie Lawinium, ale wśród wszystkich sąsiadujących z nimi ludów.

Dość szybko pojęłam, już po roku, jak bardzo mu zależy na zakończeniu tej krótkiej italskiej wojny, jak bardzo nim ona wstrząsnęła i jak bardzo przekształciła wyobrażenie, jakie miał o sobie i o naturze swoich obowiązków. Nie tyle sama wojna: ona była nieuchronna. Odkąd mężczyźni rządzili Mars, muszą mu być posłuszni na jego warunkach. Eneasza przygnębiło jej zakończenie: sposób, w jaki zginął Turnus. Dla niego ta śmierć postawiła pod znakiem zapytania wszystko inne.

Uznał ją za morderstwo. I spojrzął na siebie jak na mordercę. Powstrzymał swój miecz, dając Turnusowi czas, żeby się poddał, bezwarunkowo i odważnie, potem jednak, depreczując nakaz oszczędzania bezbronnych i udzielania łaski pokonanym, zabił go, zaślepiony żądzą zemsty. Popęłił *nefas*, niewybaczalne zło.

Zwykliśmy ze sobą rozmawiać w letnie poranki, przed wyjściem do codziennych zajęć, ale także w ciemności, w długie jesienne wieczory,

leżąc w małżeńskim łożu. Eneasz nauczył się ze mną rozmawiać, jak chyba nigdy z nikim wcześniej nie rozmawiał, może z wyjątkiem Kreuzy, gdy był jeszcze młody, w owe mroczne lata w oblężonej Troi. Należał do ludzi, którzy są surowymi sędziami własnych uczynków, zamiarów i powinności, dlatego jego sumienie, nieustająco czynne w poszukiwaniu prawdy, znalazło we mnie pożądane lustro i słuchacza, który najczęściej milczał, ale czasem też odpowiadał. Ja zaś uczyłam się od niego umiejętności zadawania pytań, a więc głównie tego, o co w ogóle pytać warto.

– Porwała cię wściekłość – perswadowałam mu. – I nic dziwnego! Turnus najpierw cię wyzwał, a potem rozmyślnie przed tobą uciekał, zmuszał, byś go gonił, choć wiedział, że jesteś ranny. Chciał cię zmęczyć. To taktyka tchórza.

– Jeśli to była taktyka... Zresztą na wojnie dozwolone są wszelkie podstępstwa.

– Ale złamał rozejm!

– Nie on. Pozwolił mącić swojej siostrze, Camersowi i temu Tolumniusowi, który cisnął włócznią. Wierz mi, ani przez chwilę nie żałuję, że zabiłem Tolumniusa... Ale Turnus w tej sprawie milczał. I wtedy, i później. Aż do końca. Zachowywał się jak człowiek, na którego rzucano czar.

– Tak też twierdził Serestus – powiedziałam. – Ta sowa, którą ujrzał... tuż przed waszym pojedynkiem... Powiedział, że nie wie na pewno, czy widział sowę krążącą wokół głowy Turnusa, bijącą w niego skrzydłami, czy raczej coś, na co patrzył Turnus, a czego w rzeczywistości w ogóle nie było.

Poczułam, jak Eneasza lekko zadrżał. Nie odezwał się jednak.

– Boję się, że Turnus odziedziczył po przodkach coś złego – rzekłam po dłuższym milczeniu. – W linii mojej matki. Coś szalonego. Obląkanego. Coś mrocznego. To płynęło w ich krwi niczym czarny wąż, ogień bez światła. Modłę się, by dobre bóstwa, matka ziemia i moja Junona, ustrzegły przed tym dziedzictwem mnie i nasze dziecko!

Wtedy już wiedziałam, że jestem w ciąży. Mówiąc to, i ja zadrżałam i przytuliłam się do Eneasza, żeby sobie dodać odwagi. Uspokajałam mnie, gładząc po włosach.

– W tobie nie ma zła – zapewnił. – Ty jesteś tak czysta jak źródła Numikusa wysoko w górach. Czysta i jasna.

Lecz ja pomyślałam o źródłach Albunei, milczących, białych, okrytych błękitnym cuchnącym oparem.

– Turnus był młody, ambitny, w gorącej wodzie kąpany – ciągnął tymczasem mój mąż. – Ale zły?

– Był zachłanny – odpaliłam bez namysłu. – Zachłanny, egoista... Ja i ja! W świecie dostrzegał tylko to, na co miał ochotę. Zabił tego greckiego chłopca, bo spodobał mu się jego pas. Zabił okrutnie i jeszcze się tym chełpił! Właśnie tego nie mogłeś ścierpieć... widoku tego pasa na jego ramieniu.

– A ja zabiłem Laususa, etruskiego chłopca. I również okrutnie.

– Ale się tym nie chełpiłeś!

– Nie. Bolałem nad tym. I cóż stąd? Życia mu tym nie przywróciłem.

– Ależ, mój drogi, w tej bitwie nikt nikogo nie oszczędzał, nawet tych, którzy błagali o litość... sam mówiłeś. – Dopiero później uświa-

domiłam sobie, że nie Eneasza przecież mi to powiedział, tylko mój poeta. Lecz ani mój mąż, ani ja nie zwróciliśmy na to podówczas uwagi, ciągnęłam zatem, a chęć, by mu oszczędzić udręk niepokoju, uczyniła mnie bardzo wymowną: – Walczyliście na śmierć i życie, nie tylko ty i Turnus: wszyscy! Nie miało znaczenia, czy byłeś owładnięty żądzą krwi czy zimny jak morska woda: robiłeś, co musiałeś. Pallas chciał zabić Turnusa, Turnus więc zabił Pallas. Lausus chciał zabić ciebie, ty więc zabiłeś Laususa. Ty i Turnus toczyliście pojedynek na śmierć i życie. Nic innego nie mogło zakończyć tej hekatombi. Taka jest kolej rzeczy: takie jest *fas* wojny. Czyż nie? Byłeś mu po prostu posłuszny. Zrobiłeś to, coś musiał, czego żądała konieczność. Postąpiłeś więc tak, jak zawsze postępujesz.

Przez chwilę nic nie mówił, a i potem niedużo. Sądziłam, że moje argumenty do niego trafiły. Tymczasem one go poraziły.

Dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, że nieopatrznie uwolniłam go od samooskarżeń, które pozwalały mu na częściowe samousprawiedliwienie. Jeśli bowiem nie mógł traktować swej bitewnej furii jako wroga własnej pobożności, zaślepienia gniewem, które na chwilę brało górę nad jego lepszą naturą, jeśli nie mógł traktować zabójstwa Turnusa jako nieszczęsnego zakłócenia porządku rzeczy, to znaczy, że musiał uznać swoją furie za część składową własnej natury, za element naturalnego porządku rzeczy – tego porządku, który przez całe życie starał się wspierać, utrzymywać, któremu służył. Jeśli zaś wedle tego porządku zabicie Turnusa można było uznać za czyn sprawiedliwy, czy sprawiedliwy był sam ów porządek?

Śmierć Turnusa zapewniła zwycięstwo sprawie Eneasza wodza, ale

okazała się zabójczą klęską dla Eneasza człowieka.

Wymierzając śmiertelny cios, Eneasza nazwał tamten mord ofiarą. Z czego jednak i komu złożoną?

Nie zdawałam sobie sprawy, jakiego rodzaju odwagi wymagam od swojego cierpliwego bohatera. Więcej już o tym nie rozmawialiśmy. Nadal myślałam, że uwolniłam jego sumienie od niepotrzebnego poczucia winy, pocieszyłam go, wyzwoliłam z nakazu odwagi. Młode żony potrafią być niewiarygodnie głupie.

Nowe miasto wyrastało wokół naszej małej Regii tak szybko, aż czasem wydawało się to nieprawdziwe, jak przywidzenie, sen, w którym je kiedyś ujrzałam. Lecz gdy się patrzyło z progu naszych drzwi na kryte strzechą lub dachówką dachy stojących niżej chat, gdy się wciągało w nozdrza snujący się nad nimi dym z palenisk, słyszało głosy ludzi: młodej latyńskiej żony nawołującej trojańskiego męża, robotnika krzyczącego coś do swojego pomocnika, dziecka skaczącego do wtóru dziecięcej wyliczanki – widziało się, że to wszystko jest realne, prawdziwe o każdej porze dnia, do tego żywe, radosne. Lawinium wyglądało jak wszystkie inne miasta na naszym wybrzeżu, choć jego warownia stała wyżej od większości pozostałych, nad urwiskiem z wulkanicznego tufu górującym nad ciemną rzeczką Prati. Gdyby im zostawiono wolną rękę, Trojanie zbudowaliby pewnie te domy inaczej, ale cieśle byli Latynami i budowali tak, jak to robili od pokoleń. Co do mnie, nalegałam, żeby każde rosnące w obrębie murów drzewo, które da się ocalić, zostało oszczędzone. Trojanie zrazu uważali moje polecenie za dziwactwo, latem jednak musieli uznać zalety rzucanego przez ocalone drzewa cienia, a z czasem zaczęli być dumni z dębowych, laurowych i wierzbo-

wych gajów osłaniających ich siedziby. W Regii mieliśmy mniej cienia niż inni, na szczęście z domu mojego ojca przeniosłam zaszczepkę wawrzynu i już po roku drzewko nas przerosło. Poza tym posadziliśmy dziką winorośl, żeby się pięła po drewnianej kracie i ocieniała południową część dziedzińca.

W tamtym pierwszym roku wyprawiliśmy bardzo dużo ślubów. Niewiele bowiem trojańskich kobiet przyplęnęło z Sycylii w ostatnim etapie długiej podróży spod Troi. Mężczyźni na gwałt szukali żon, gdzie tylko się dało. Przed zimą nie było już prawie w Lacjum niezamężnych dziewcząt, na co się bardzo skarżyli nieżonaci lатыńscy mężczyźni. Mój Sylwiusz był pierwszym dzieckiem, które urodziło się w Lawinium, ale już przed końcem maja płakało w kołyskach w różnych częściach miasta pięcioro kolejnych maleństw mieszanej lатыńsko-trojańskiej krwi, a bóstwa, które sprawują opiekę nad porodami, były zajęte przez ten i cały następny rok.

Miejscowe rodziny z trojańskimi zięciami ściągnęły do miasta więzy pokrewieństwa, rzemieślników ściągało zapotrzebowanie na ich pracę. Wielu zamieszkiwało u nas, ponieważ spodobało im się nowe miasto i jego król. Wkrótce większa była w Lawinium liczba Latorynów niż Trojan. Mężni wojownicy, którzy przybyli tu z tak daleka z Eneaszem, żyli obecnie jak italscy gospodarze pośród italskich gospodarzy, uprawiali rolę obok miejscowych wieśniaków, ich wspaniała Troja stała się legendą, szlachetne rody, z których pochodzili, tu nic nie znaczyły, a wszystkie bitwy, przygody, morskie burze i wędrówki utonęły w domowej codzienności przy ogniskach w małych domach małego miasta na obcej ziemi.

Dla niektórych nie było to łatwe, szczególnie dla najmłodszych. Mężczyźni po trzydziestce byli przeważnie radzi, że mają już za sobą okres niewygód i włóczęgi po słonej wodzie, że wreszcie mają własne ognisko i łóżko, i żonę w pościeli. Eneasza pilnie jednak obserwował młodzieńców, kilkunasto- i dwudziestoparoletnich. Im przydzielał najcięższe zadania. Wszystko, co wiązało się z jakimś niebezpieczeństwem, im się dostawało. Poza tym prowadził z nimi musztrę i urządzał dla nich igrzyska sportowe, w których mogli rywalizować w różnych dyscyplinach i sprawnościach, podczas gdy starsi mężczyźni i dzieci przyglądali się zawodom i oklaskiwali zwycięzców. Młodzi Latynowie byli chętnie witani jako współzawodnicy, wielu też brało udział w tych igrzyskach, wykazując się wielkim duchem do walki. Zawody organizowano z okazji licznych świąt trojańskich, a Eneasza dodał do ich kalendarza wszystkie, jakie tylko mógł, święta łatyńskie, tak więc młodzi mężczyźni byli nieustannie zajęci przygotowaniami do coraz to innego sportowego wydarzenia.

Mój pasierb Askaniusz nauczył się w Afryce jeździć konno i był znakomitym jeźdźcem, toteż zwykle przewodził we wszystkich zawodach i popisach hippicznych. W innych sportach, takich jak łucznictwo, biegi, skoki, zapasy, rzut kamieniem czy wojskowe ćwiczenia z mieczem i włócznią, nie zawsze należał do najlepszych, jakby z tytułu samego tylko urodzenia, choć uważał, że we wszystkich powinien celować i z całych sił do tego dążył. Kiedy zdobywał miejsce szóste, piąte, a nawet drugie, był zły i zawstydzony, często kwestionował decyzje sędziów albo odchodził gniewny, rugając sam siebie. Jeśli to nie on zabił odyńca czy jelenia, wracał z polowania smutny i ponury. Odzie-

dziczył po ojcu powagę i poczucie obowiązku, ale już nie skromność i wytrwałość. Młody książę był, co naturalne, oczkiem w głowie trojańskich wygnańców podczas ich wędrówki, podejrzewam jednak, że musiała go psuć królowa Kartaginy, bo stale mówił o tym, jaka dobra była dla niego Dydona i jak wspaniale żyło się w Afryce. Jeśli nawet spostrzegł, jak mrocznieje twarz jego ojca, gdy o tym wspominał, nigdy nie spytał dlaczego. Wobec mnie, zaledwie o kilka lat od siebie starszej, zachowywał nieufną rezerwę. Nie mogłam mu zastąpić kochającej matki, którą wcześniej stracił. Widział we mnie raczej starszą siostrę – zresztą podobnie ja siebie postrzegałam – groźną rywalkę do ojcowskiej miłości. Był zazdrosny o swojego przyrodniego brata. Żaden ojciec nie mógłby kochać syna bardziej, niż Eneasza kochał Askaniusza, ale chłopak jeszcze nie dorósł do tej otwartości serca, która pozwalałaby mu tę miłość przyjmować zwyczajnie. Sądził, że musi ją zdobywać, udowadniać, że na nią zasługuje. Był nerwowy i nieszczęśliwy, co z kolei dręczyło Eneasza. Na szczęście uwielbiał polowanie, posyłano go zatem w góry z drużyną myśliwych tak często, jak tego pragnął. Nasze stada drobiu i bydła nie były jeszcze zbyt liczne, toteż chętnie witaliśmy zdobywcze myśliwskie. Askaniusz czuł się zapewne potrzebny, niczym bohater godzien wspaniałego ojca, gdy przybywał z zapasem mięsiva, ze skórą niedźwiedzią, z porożem wielkiego jelenia czy kłami górskiego odyńca jako trofeami.

Mój synek Sylwiusz urodził się nazajutrz po kalendach maja, trochę za wcześnie wedle naszych obliczeń. Nie był dzieckiem dużym, ale ładnym. Nawet gdy jego czerwona twarzyczka była jeszcze płaska jak mordka kocięcia o skośnych ślepkach, widziałam już uśpione w niej

rysy jego ojca, wyraźnie zarysowaną linię brwi i okazały nos. Zaczął się uśmiechać – wyraźnie uśmiechać – zanim skończył miesiąc, a nie długo potem i płakać prawdziwymi łzami. I to miał po ojcu, wesołym człowieku, który łatwo się wzruszał do łez. Mój Sylwiusz ssał pierś łapczywie, niemal nie miewał kolki, dużo spał, a kiedy się obudził, był od razu ożywiony i radosny. Nie ma sensu rozwodzić się nad małym dzieckiem, chyba że się o nim rozmawia z jego ojcem, z inną matką albo z piastunką. Niemowlęta nie należą do królestwa zwyczajnej mowy. Język ich nie wyraża, podobnie jak one nie potrafią używać języka. Sylwiusz był uroczym niemowlęciem, które dostarczało swym rodzicom nieopisaną radość, niechaj to wystarczy.

Łatyński lud nie żywił złych uczuć wobec towarzyszy Eneasza. Latynowie zorientowali się poniewczasie, że zostali wykorzystani przez Rutulów w wojnie rozpętanej raczej w interesie Turnusa niż ich własnym. Zostali upokorzeni i byli radzi co rychlej o tym zapomnieć. Króla Latynusa otaczali czcią większą niż kiedykolwiek przedtem, bo dostrzegali błogosławione skutki jego pokojowych dążeń i posłuszeństwa wobec wyroczni. Mojego ojca cieszyła ich sympatia, ale już nie było w nim radości życia. Zaczął podupadać na zdrowiu. Wojna, choć krótka, zrobiła zeń starca. Coraz częściej wzywał Eneasza do siebie do Laurentum albo sam przyjeżdżał do Lawinium, żeby się radzić zięcia w kwestiach dotyczących rządzenia, uprawy ziemi, pytać, co sadzić, kiedy zbierać, czym handlować. Postawił sprawę jasno: Eneasza jest jego synem, następnym królem Lacjum, dlatego jego doradcy muszą pozyskać względy Eneasza albo stracić względy Latynusa. Dla nas był niezwykle hojny, udostępniał naszym wieśniakom swoje królewskie ziemie, za-

opatrywał nasze pastwiska w najlepsze stada drobiu i bydła, Lawinium zatem mogło od początku rozwijać się pomyślnie i rozkwitać.

Przez kilka następnych lat nowe miasto odbierało mieszkańców staremum. Ludzie mówili między sobą: „Życie nad Prali aż kipi. Może byśmy się tam osiedlili?”. Toteż Laurentum zmieniało się powoli w gródek, jakim jest dzisiaj: mały, senny i cichy. Bramy nikt nie strzeże, ogromne drzewa ocieniają opuszczone domy, w Regii nikt nie mieszka prócz kilku starych strażników z żonami i niewolnic, które opiekują się bóstwami domowymi i przędą przy sadzawce pod wielkim wawrzynem.

Choć większość Latynów nie chowała urazy do ludzi Eneasza, chowali ją stary Tyrrus, jego syn, jedyne, który przeżył wojnę, oraz córka Sylwia. Ta trójka nigdy Trojanom nie wybaczyła. I nigdy nie wybaczy. Starzec otwarcie lżył Latynusa, nazywając go tchórzem, który sprzedał królestwo i córkę obcemu przybłędzie. „Latynowie, dlaczego nie powstajecie i nie wypędzicie uzurpatorów?” – nawoływał. – „Patrzcie, wasz król oddaje nasze stada jakimś rabusiom!”. Latynus pozwalał mu krzyczeć, zostawił go na stanowisku dozorczy królewskich stad, w żaden sposób nie karał i nie gnębił. To zdumiewało ludzi takich jak Drances, którzy twierdzili, że król naraża na niebezpieczeństwo swoją godność i władzę, pozwalając na tak harde wypowiedzi, ale Latynus ignorował Drancesa podobnie jak Tyrrusa. Ponieważ miotane przezeń wyzwiska nie wywoływały żadnej reakcji, ludzie zaczęli traktować Tyr-rusa lekceważąco, jak rozgoryczonego starca, który pomstuje z rozpaczy. Co się tyczy Drancesa, Eneasza ufał mu nie bardziej niż ja sama. Mój mąż i ojciec pozwalali mu do woli mleć językiem, licząc słusznie, że od tej gadaniny nawet kurz nie zawiruje.

Jeleń Cervulus, którego postrzelił Askaniusz, nie umarł od rany; żył jeszcze kilka lat, kulejący i łagodny. Trzymał się zawsze blisko domu, jak mi mówili ludzie z Laurentum. Zapytałam raz Sylwię przez posłańca, czy mogłabym ją odwiedzić. Nie odpowiedziała. Z tchórzostwa wolałam tam nie jeździć. Bałam się, że starzec na mnie napadnie, że obrazi mojego męża. Bałam się, że Sylwia odwróci się do mnie plecami. Późno wyszła za męża, za krewniaka, którym pomagał jej ojcu i bratu przy stadach. Nigdy więc nie opuściła swoich penatów, całe życie minęło jej w rodzinnej zagrodzie. Nigdy więcej jej nie spotkałam.

Poza Lacjum, wśród naszych sprzymierzeńców i sąsiednich królestw, wojna pozostawiła dużo zapiekłej niechęci i złej krwi. Ludy, które wysłały żołnierzy na pomoc Turnusowi, musiały potem patrzeć, jak ci powracają do domu kulejąc, a ich wodzowie i królowie nie powrócili wcale, ponieważ polegli. Sam przebieg wojny był tak zmienny – przymierze zerwane, zaledwie zostało zawarte, potem odnowione, potem znów zerwane już w trakcie zawierania – cele tak niejasne, że ludzie nie wiedzieli, kogo mają winić. Łatwo było zrzucić całą winę na ambicję Turnusa. Ale przecież Latynus pozwolił swoim ludziom, by walczyli u boku młodego króla, jakby naprawdę powstało przymierze Italów mające na celu przepędzenie obcych. A królowie i wodzowie Wolsków i Sabinów zostali wyróżnieni nie przez Italów, tylko przez Trojan, Etrusków i Greków. Wszyscy wiedzieli, że Etruskowie dążą do dominacji nad państwami południa. Grekom nigdy nie należało ufać. A kim byli owi Trojanie, którzy przyплыnęli nie wiadomo skąd i zażądali dla siebie całej Italii jako swej dziedziny?

Bo wieść o prorocztwie w końcu się rozeszła. Choć sam Eneasza nig-

dy nie wspominał o nim publicznie, czynili to niektórzy z jego ludzi: opowiadali, jak ich tutaj przywiódł, postępując za wskazaniem znaków i wróżb, żeby zawładnąć całą krainą i założyć wielkie, nieśmiertelne imperium. Askaniusz opowiadał o tym latyńskim młodzieńcom, z którymi się zaprzyjaźnił. Przyprowadzał ich do przedsionka Regii i pokazywał im tarczę Eneasza z tajemniczymi zwiastunami potężnych budowli i niekończących się wojen. „Ci wojownicy, królowie, to moi potomkowie”, wyjaśniał swoim nowym przyjaciółom. Podśluchałam go kiedyś, przechodząc przez sień. Niosłam właśnie na ramieniu małego Sylwiusza, jak Eneasza nosił niegdyś swoją tarczę.

Wiosną drugiego roku, pod koniec miesiąca Marsa, bandy Rutulów i Wolsków zeszły się sekretnie w pobliżu Ardei i – posuwając się nocą – o wczesnym świcie napadły na Lawinium. Nasze mury, już wtedy solidne, nie były jednak strzeżone na wypadek ataku. Miejską bramę, zamykaną na noc, otwierano przed świtem, żeby pasterze mogli wprowadzać i wyprowadzać stada. Pierwsze ostrzeżenie przyniosło nam kilku wiejskich chłopców, którzy wbiegli na szaniec z okrzykiem:

– Wojsko! Wojsko idzie!

Wartownicy przy bramie podnieśli alarm. W chwilach zagrożenia Eneasz poruszał się zwinnie jak kot: zanim ja zdołałam pojąć, co się dzieje, już był na nogach, już wybiegł z domu, już rozkazywał Askaniu-szowi, Achatesowi, Serestusowi i Mnesteusowi, by zwoływali ludzi pod broń.

Kiedy weszłam na dach naszego domu i spojrzałam ponad murami, zobaczyłam rzeszę zbrojnych, którzy przesuwali się po polach niczym ciemna chmura, rozmigotana blaskiem odbitym od grotów włóczni, poruszająca się szybko i niemal bezgłośnie. Struchlałam z trwogi. Znowu zbliżała się wojna, znowu nadciągał Mars, żeby wyważyć drzwi, za którymi czekały krew, śmierć, ruina i zagłada. Przycisnęłam Sylwiusza do piersi, kucnęłam, kryjąc się za gzymsem dachu, i zajęczałam jak zraniony pies. Utraciłam odwagę dziewictwa. Byłam kulącą się ze strachu przerażoną kobietą, jak wszystkie matki i żony umierające z lęku o swoje dzieci i mężów. Na szczęście była przy mnie Maruna. Jak wtedy, gdy przygotowywałyśmy się do oblężenia Laurentum, przypomniała mi o konieczności zgromadzenia zapasów, wody, drewna na opał. Pod wpływem jej słów oprzytomniałam, otrząsnęłam się z tchórzostwa. Ze-

szłyśmy na dół, odprawiłam poranne modły, a potem zajęłam się tym, czym zająć się należało.

Napastnicy nie wdarli się do miasta. Nasi mężczyźni wyszli za bramę na ich spotkanie; Eneasz i jego starzy wodzowie na czele Trojan, młodych atletów uzbrojonych w miecze i tarcze, włócznie i oszczepy, wieśniaków z motykami, gracami, widłami i sierpami. Obie gromady stanęły naprzeciwko siebie na zewnętrznym obwałowaniu ziemnych szańców, gdzie stoczono walkę zażartą, lecz krótką. Kilku młodych łuczników ostrzeliwało napastników z wieży bramnej, gdy ci poszli w rozsypkę i podali tyły. Większość naszych rzuciła się za nimi w pościg. Niektórzy go zaniechali, bo woleli schwytać sobie konia z tabunów czekających w pobliskich zagrodach. Eneasz sprowadził Trojańczyków i wszystkich młodych mężczyzn z powrotem do miasta. Czekałam przed domem, kiedy na czele swych oddziałów szedł w górę ulicą. W pewnej chwili odwrócił się do nich.

– Niezła rozgrzewka od samego rana, co? – zawołał, a jego głos wybił się ponad inne, bo tak było zawsze, nawet gdy mówił cicho. Roześmiali się w odpowiedzi i jęli wiwatować. – Uważam, że już dostali nauczkę – ciągnął. – Możemy sobie teraz pozwolić na wspaniałomyślność. Im mniej stracą ludzi, tym mniej będą skłonni do szukania pomsty i będzie można szybko zapomnieć o całej awanturze. Czy rozpoznaliście, kto im przewodził?

– Camers – odezwało się kilka łatyńskich głosów. – Młody Camers z Ardei.

– Ha, więc nieprędko pójdą znowu pod jego komendę. To byli sami Rutulowie? – Nie potrafił jeszcze rozróżniać poszczególnych ludów i

plemion jak my, miejscowi, choć gdyby nawet zidentyfikował napastników, i tak poprosiłby o tę informację, wiedział bowiem z doświadczenia, że ludzie lubią, kiedy się pyta, lubią być tymi, którzy wiedzą.

– Również Wolskowie! Była z nimi banda Wolsków – zawołali Lattynowie, dorzucając mało pochlebne opisy charakteru i anatomii tego plemienia. – Ci z końskimi kitami na czapkach! – wrzasnął któryś.

Mieszkańcy miasta byli podnieceni, uszczęśliwieni tak szybkim i łatwym zwycięstwem. Z dumą okazywano niegroźne rany. Stateczni żonaci mężczyźni i młodzi kawalerowie powrócili z pościgu z trofeami zdobytymi na nieprzyjaciółach, których zabili lub zmusili do poddania się – napierśnikami, mieczami, hełmami. Tego dnia aż do późnej nocy Lawinium tętniło gwarem, wiele przy tym wypito młodego wina. Eneasza wyrozumiale traktował przechwalających się hulaków, aż do późna goszcząc ich w Regii.

– To ich ze sobą zbratało – powiedział do mnie, gdyśmy wreszcie porzucili uczujących i skierowali się do kobiecej części domu, bym mogła się położyć. – Oba nasze ludy. Teraz wszyscy poczują się Lawińczykami. Jeśli już musiała polać się krew, oto jest dobra strona tego zajścia.

– Tylko czy to już zawsze tak będzie? – zaniepokoiłam się niezbyt mądrze. – Czy to się będzie tak wciąż powtarzało? – Potworny strach, jaki odczułam tamtego ranka, nie opuszczał mnie, siedział jak lodowata igła w moich kościach.

Spojrzał na mnie oczami, które widziały pożogę rodzinnego miasta, widziały krainę zmarłych. Przytulił mnie.

– Chyba tak – powiedział. – Ale uczynię wszystko, żeby temu za-

pobiegać, Lawinio.

Przez jakiś czas istotnie udawało mu się większość tych wojowniczych zakusów odpierać. Pogrom niedoszłych zdobywców był wyraźnym sygnałem, że Lawinium potrafi się skutecznie bronić, co Eneasza starał się wykorzystać, dążąc usilnie do umocnienia naszego przymierza z Sabinami, z Caere, z królem Ewandrem z Pallanteum oraz innymi miastami Etrurii.

Ewander, wciąż pogrążony w rozpacz po stracie Pallasa, obarczał mojego męża odpowiedzialnością za to, że nie chronił jego syna podczas bitwy, toteż niezbyt chętnie nas witał. Nie byłam w Pallanteum od czasu wizyty, którą złożyliśmy tam z ojcem, kiedy Pallas i ja byliśmy jeszcze dziećmi. Zrobiło mi się przykro, gdy zobaczyłam tę małą osadę jeszcze biedniejszą niż niegdyś. Chaty zapadały się w nadrzecznym błocie, kobiety i dzieci były chude, wynędzniałe. Rozglądałam się wokół ze zdumieniem, bo wedle słów mojego poety właśnie w tym miejscu miało powstać owo wielkie miasto naszych potomków. Pośród tych gąszczów porastających strome wzgórza miały stać lśniące pałace i ołtarze wyobrażone na tarczy. Nieprzebrane tłumy, potężni władcy mieli się przechadzać po marmurowych chodnikach, tu, między tymi krytymi strzechą chatami i opuszczoną wilczą pieczarą, przed którą błąkało się, szukając pożywienia, kilkoro wychudłych bydła.

Eneasza był tej nocy w posepnym nastroju. Bardzo przeżywał pełną bólu urazę Ewandra. Kiedy znaleźliśmy się sami w pokoju, który nam przydzielono w niskiej, ciemnej chacie króla, zagadnęłam, żeby go pocieszyć, ale też dlatego, że miałam głowę pełną tych obrazów z przyszłości:

– Powiedziałeś, że mam dar wskazywania, gdzie należy wybudować miasto. – Istotnie, często mnie chwalił za wybór miejsca pod budowę Lawinium.

– To prawda.

– Więc to jest właśnie miejsce najlepsze ze wszystkich.

Popatrzył na mnie spod oka wyczekująco.

– Widziałam je w... nazwij to snem. – Jeszcze nigdy nie zbliżyłam się tak niebezpiecznie do wyznania mu prawdy o poecie, mimo to brnęłam ostrożnie dalej: – To miasto na twojej tarczy, to wspaniałe miasto...

Kiwnął głową.

– Ono stanie właśnie tu. Dokładnie w tym miejscu... oraz wyżej, na tych wzgórzach, na Siedmiu Wzgórzach. Przypuszczam, że zostanie nazwane jednym ze świętych imion ojca rzeki. Etruskowie nazywają ją Ruma, my Roma. To będzie największe miasto na świecie. – Spojrzałam na naszego synka śpiącego smacznie w podróżnym koszyku. – Pełne małych Sylwiuszów – dodałam. – Tysiący Sylwiuszów!

Uśmiechnął się w końcu.

– Szczęśliwe miasto – powiedział. – Widziałas je?

– Przede wszystkim na twojej tarczy.

– Ty potrafisz te wizerunki odczytywać – rzekł z namysłem. – Ja tego nigdy nie umiałem.

– To tylko domysły, sny.

Stał zamyślony nad koszykiem, w którym spał nasz synek. Nagle wyciągnął rękę i pogłaskał zewnętrzną stroną palca wskazującego miękkie kosmyk włosów.

– Teraz ty będziesz nosił moją tarczę – szepnął czule.

– Byle nie w bitwie – zastrzegłam.

– Gdziekolwiek będzie musiał... Chodź, kochanie. Położymy się dziś na spoczynek w wielkim mieście.

Ewander nie był chętnym sprzymierzeńcem i niewielką mógł nam zaofiarować pomoc, ale wieść o naszej przyjaźni z Grekami z Pallanteum doszła do Greków w Arpi, znacznie większej i bogatszej kolonii na południowym wschodzie. Rządził nią człowiek, z którym Eneasza poznał się dawno temu i daleko stąd: Diomedes, jeden z greckich wodzów oblegających Troję. Niewiele było powodów do wzajemnej miłości między nimi. Natomiast o przyczynie niechęci dowiedziałam się od Achatesa; sam Eneasza opornie opowiadał o tamtej wojnie z Grekami. Otóż w ostatnim roku oblężenia Diomedes zabił w walce woźnicę rydwana Eneasza, a gdy ten stał nad ciałem, by je ochronić przed greckimi łupieżcami, Diomedes cisnął weń wielkim kamieniem, który ugodził Eneasza w biodro i powalił na kolana. Diomedes już wznosił miecz do śmiertelnego ciosu, kiedy Eneasza cisnął mu w oczy garścią ziemi i uciekł, a właściwie zniknął z prędkością wręcz nadludzką, co tylko powiększyło jego sławę wojownika niezwycięzonego. Owładnięty furją Diomedes szukał go wszędzie na polu bitwy. A gdy w końcu znalazł, utykającego, skoczył, by go zabić, na szczęście Eneasza pośpieszył na pomoc mężczyzna Hektor, pociągając za sobą do walki cały zastęp Trojan.

Achates zrelacjonował mi tamte wydarzenia w trakcie rozmowy o Grekach i ich koloniach. W zamian opowiedziałam mu, jak Diomedes odmówił udziału w przymierzu Turnusa, radząc, aby się strzegł Eneasza, nad którym sprawują opiekę bogowie. Achates pokiwał głową i

rzekł:

– Roztropny człowiek z tego Diomedesa. Musiał zmądrzeć na stare lata. Był kiedyś strasznym zabijaką. Gotowym do walki z każdym, czy to bóg, czy człowiek... Chętnie bym się z nim znowu spotkał po tylu latach.

I oto w niedługi czas po naszym powrocie z Pallanteum przybył posłaniec z Arpi z darem dziesięciu pięknych klaczy i propozycją Diomedesa zawarcia przymierza między jego ludem a Latynami, „pod berłem królów Latynusa i Eneasza”.

Latynus był całym sercem za tym przymierzem.

– Jedź – zachęcał. – Jedź i przypieczętuj traktat z tym człowiekiem. Dzięki temu weźmiemy w kleszcze Rutulów i Wolsków. Będą jak orzech w kleszczach.

– Jest takie powiedzenie – rzekł Eneasza: – „Strzeż się Greków, nawet gdy przynoszą dary”. Szczególnie konie – dodał cierpko.

– Więc konie ja zatrzymam – zaproponował mój ojciec. – A ty trzymaj mowy. – Był tego lata w pogodnym nastroju. Czuł się znacznie lepiej. Kilka razy przyjeżdżał do Lawinium żeby sprawować obrzędy przed ołtarzem swojego wnuka, jak mówił.

Eneasza nie wziął mnie do Arpi. Miał przed sobą długą drogę przez niebezpieczną krainę, nie był też pewny, czy może zaufać Diomedesowi. Martwiłam się ó niego, kiedy go nie było, chociaż nie przesadnie. Przeżywaliśmy dopiero drugie lato naszego małżeństwa. Jeszcze nie czas na prawdziwe zmartwienia.

Powrócił po dwudziestu dniach z drużyną świetnie uzbrojonych towarzyszy, wszyscy w najlepszym zdrowiu. Powiedział, że dobrze mu

się rozmawiało z Diomedesem i że w rozmowach z nim przeżył jeszcze raz całą wojnę trojańską. Przypieczętowali traktat pokoju i pomocy przed ołtarzem, na którym złożono w ofierze dziesięć knurów, dziesięć wołów i dziesięć baranów, Diomedes był bowiem bogaty.

Ostatnią noc przed powrotem do domu Eneasza spędził na górze Albanus.

– To jedno z najświętszych miejsc, jakie widziałem – powiedział. – Przypomniało mi górę Idę. Tyle że nikt tam nie mieszka.

– To miejsce święte. Ojciec odwiedzał je w czasie przesilenia zimowego, kiedy szczelina w krawędzi krateru wskazuje słońce. Kiedy jest susza albo kiedy obfite deszcze padają nie w porę, kiedy kogoś zabije piorun, ludzie chodzą do Alby, żeby się modlić i oddawać cześć bogom. Nie wiem, czemu tam nikt nie mieszka. Może ziemia jest kiepska.

– Mówią, że tam w górze stoi wioska nad jeziorem, ale to miejsce wprost wymarzone na prawdziwe miasto. Chociaż ziemia jest istotnie jakaś blada.

– To biały popiół – powiedział Askaniusz. – Dobry pod uprawę winorośli.

Wczesną jesienią Eneasza wyruszył na północ, okrętem do Caere, zabierając ze sobą najprzedniejsze dary, jakie mogliśmy ofiarować Tarchonowi i jego ludowi w zamian za pomoc w wojnie: trzy białe byki, trzy białe barany i parę źrebiąt męskiej płci o siwej sierści, która zbieleje, kiedy dorosną. Konie nosiły wspaniałe rzędy z pozlacanej skóry i nabijanego złotem brązu, prezent od mojego ojca. Nie był to szczególnie hojny dar jak na dwóch królewskich ofiarodawców, ale odpowiedni

do naszego ówczesnego położenia. Nie było sensu udawać, że możemy się równać z Etruskami pod względem bogactwa, potęgi czy sztuki życia. Wiedziały to obie strony – i oni, i my. Eneasza przyjęto w Caere bardzo gościnnie. Spędził w Etrurii ponad miesiąc, odwiedzając Falerii i Weje, wszędzie dobrze przyjmowany. Powrócił do domu wielce zadowolony z odbytej podróży.

Nie chciałam mu psuć radości, lecz kiedy znaleźliśmy się w naszym pokoju sami, tylko we dwoje, dałam upust swoim obawom.

– Nigdy więcej nie wyjeżdżaj na tak długo, Eneaszu! – wybuchnęłam. – Błagam cię! W ogóle nigdy więcej nie wyjeżdżaj! – po czym ku własnemu zaskoczeniu zalałam się łzami.

Zaczął mnie natychmiast uspokajać i pocieszać, a potem zapytał, co mnie tak niepokoi. Oczywiście nie mogłam mu powiedzieć, że mamy przed sobą tylko tę zimą, następne lato i następną zimą wspólnego życia.

Powiedziałam więc jedynie:

– Wiem, że musisz odbywać te wszystkie podróże. Ale czy nie mógłbyś odłożyć ich na później?... Kiedy Sylwiusz będzie trochę starszy?... Byle nie w tym roku. Żadnych więcej podróży w tym roku! A może nawet w dwóch następnych latach? I nie na tak długo... Nie na cały miesiąc...

Nie był w stanie zrozumieć moich obaw. Czyż mogło być inaczej? Zastanowił się, po czym obiecał mi tyle, ile zapewne mógł obiecać:

– Będę podróżował tylko wtedy, gdy to będzie niezbędnie konieczne, Lawinio.

Skinęłam głową, usiłując stłumić płacz, czerwona ze wstydu.

Wstydziałam się mojej słabości i tego, że usiłuję oszukać przeznaczenie.

– Nie mogę patrzeć, jak płaczesz – wyszeptał. Tymczasem sam miał oczy wilgotne od łez.

Była jeszcze jedna rzecz, która mi przyczyniała zmartwień podczas jego długiej nieobecności – o niej również nie wspominałam, podobnie jak o tamtej ważniejszej – mianowicie zachowanie Askaniusza. Eneasza powierzył mu przed wyjazdem władzę nad domem i wszystkimi sprawami w Lawinium. Nic w tym dziwnego. Najstarszy syn i dziedzic powinien zdobywać doświadczenie i wprawiać się w odpowiedzialności. Askaniusza, co skądinąd zrozumiałe, ta władza i obowiązki przeraziły, zachowywał się nerwowo i działał nieroztropnie. Rządził twardą ręką. Ludzie byli skłonni wiele mu wybaczać, zważywszy na jego młodość, lecz on zachowywał się wyjątkowo wręcz nietaktownie, nawet jak na chłopca w jego wieku. Był porywczy, uparty, pyszałkowaty. Dąsał się z powodu każdego niepowodzenia, pogardliwie odrzucał każdą radę, nawet rady Achatesa. A nawet szczególnie Achatesa jako zaufanego przyjaciela Eneasza. Szukał zwady, gdziekolwiek się nastęczała. Nie wiem, czy dlatego marzył o walce, żeby dowieść swej nieustraszoneści, czy może przeciwnie: bał się walki i dlatego do niej dążył. Podczas tej miesięcznej nieobecności Eneasza wzbudził ku sobie niechęć i złe uczucia niemal w każdym człowieku i każdej grupie, z którą przyszło mu się zetknąć, i narobił szkód, których naprawienie mogło zająć całe miesiące.

Choć bardzo się starałam, nie mogłam wybaczyć Askaniuszowi tego, że zburzył jednocześnie spokój władzy swego ojca i spokój jego duszy. Tak bardzo pragnęłam, by krótkie panowanie Eneasza stało mu się nagrodą za wszystkie wcześniejsze trudy, krainą prawdziwego szczęścia. Marzyłam o tym, żeby mój małżonek, syn wieczornej gwiazdy, rozbłysnął na koniec światłem pokoju. W czasie jego pobytu w

Etrurii nosiłam się nawet z zamiarem wyjawienia Askaniuszowi wszystkiego, czego się dowiedziałam od poety, mianowicie że życie Eneasza zbliża się do kresu. Z pewnością gdyby o tym wiedział, wrodzona pobożność kazałaby mu oszczędzić ojcu kłopotów i zmartwień, mógłby też hamować przez ten rok czy dwa swoją skłonność do rywalizacji. Ale Askaniusz był tak wobec mnie podejrzliwy i tak o mnie zazdrosny, że nie potrafiłam się zmusić, by mu wyjawić prawdę, którą znałam. Mógłby mnie przecież wykpić. Miał skłonność do spoglądania z wyższością na wszystko co latyńskie, w tym na nasze wróżby i święte miejsca. Słyszałam, jak kiedyś mówił, że najlepsze u Greków jest to, że umieją pokazać kobietom, gdzie ich miejsce. Choć tłumaczyłam sobie, że to tylko gadanie młodzika, choć wierzyłam, że Askaniusz, mimo pozorów brutalności i maski nadąsanego chłopca, ma dobre serce, nie potrafiłam się z nim podzielić swoją wiedzą. Nie mogłam mu zaufać, bo bałam się, że mógłby w gniewie lub z chęci popisania się użyć tej wiedzy przeciwko Eneaszowi.

I ja, i Askaniusz staraliśmy się w miarę możliwości schodzić sobie z drogi. Zorientowawszy się, że wzajemne stosunki żony i syna nie są dobre, Eneasza dokładał starań, żeby żadnego z nas nie stawiać w fałszywym położeniu wobec drugiego. Choć ludzie często myślą takt ze słabością lub dwulicowością, stanowi on nieocenioną zaletę u władcy, zarówno pana kraju, jak i domu. Wzgląd na innych budzi szacunek i ludzie odpowiadają nań tym samym, odpłacają tą samą monetą. Eneasza sprawował rządy z taktem i za to był kochany.

Tej zimy i wiosny musiał się wykazać szczególnym taktem, gdy przyszło mu naprawiać stosunki z właścicielami ziemskimi, członkami

plemion i okolicznymi ludami, których Askaniusz poobrażał – w tym z Latynusem. Duma Askaniusza z powodu własnego pochodzenia, duma z własnego ojca była naiwna jak u dziecka, choć pozował na takiego hardego buntownika. Po prostu nie był w stanie zaakceptować trzęsącego się ze starości wodza prowincji na zachodnich rubieżach świata jako równego sobie, a cóż dopiero jako swojego króla. Pod nieobecność Eneasza odprawił bez odpowiedzi posła od Latynusa i wydał rozkazy sprzeczne z jego rozkazami. Mój ojciec zrazu nie zareagował, ale rozmawiał o tym z Eneaszem po jego powrocie. Zasugerował – z taktem, którego i jemu nie brakowało – żeby przydzielić chłopcu prowincję do samodzielnego zarządzania, z dala zarówno od Laurentum, jak i od Lawinium. (Mój ojciec uparcie nazywał Askaniusza „chłopcem” i pozdrowiał go jako syna Eneasza, podczas gdy swego wnuka nazywał Sylwiuszem i pozdrowiał jako małego króla. W tej kwestii próżno by się odwoływać do jego poczucia taktu).

Eneasze niezwłocznie postąpił zgodnie z tą sugestią. Przekazał Askaniuszowi rządy nad regionem Gór Albańskich, jeziorem Albanus, wioską Alba Longa i starym miastem Velitrae. Oświadczył mu, że jego zadaniem będzie utrzymywanie pokoju z niespokojnymi sąsiadami, tak by można bezpiecznie odprawiać święte obrzędy na górze Albanus, na którą ściągali ludzie z całej południowej Italii, oraz troska o podniesienie poziomu rolnictwa i wyszkolenie drużyny lojalnych rolników-żołnierzy do służby latyńskim królom. Eneasze zapewnił mnie, że rozmawiał z synem stanowczo, ostrzegając go, że jeśli wywoła kłopoty, zamiast im zapobiegać, zostanie odwołany do Lawinium i pozbawiony komendy.

Askaniusz odjechał wraz ze swoim serdecznym druhem Atysem na czele małej armii, wszyscy na dobrych koniach, świetnie uzbrojeni, z powiewającymi kitami na hełmach, dumni i piękni. Zamieszkał w Alba Longa, skąd przysyłał ojcu pomyślne raporty. Wyglądało na to, że eksperyment się powiódł.

Po wyjeździe pasierba odetchnęłam z ulgą. Przez resztę lata, całą jesień i zimę będę miała Eneasza wyłącznie dla siebie, wolnego od troski o syna. Nadejdzie wiosna, Janus otworzy bramy i Mars wprowadzi ją jak co roku. Nie musiałam się tym martwić.

Stałym zagrożeniem dla wieśniaków gospodarujących w najdalejszych zakątkach naszego kraju byli złodzieje bydła i zbójckie bandy złożone z biedaków z Rutulii oraz z górzystej krainy na wschód od Lacjum. Ekwowie i Sabinowie, którzy mieszkali w górze Tybru i nad jego dopływem, rzeczką Allią, nękali osiedla Ewandra i zapuszczali się czasem na swych wojennych łodziach w dół Tybru, mając na oku solne złoża u ujścia rzeki, toteż Eneasza trzymał stale okręty z załogą zakotwiczone w dawnym obozie Trojan w Venticuli, żeby ich odeprzeć, gdy przyjdzie potrzeba. To jednak były zaledwie drobne kłopoty, takie, jakie mój ojciec miewał od początku swego panowania, a tymczasem Lacjum cieszyło się znowu pokojem, w jakim wzrastałam od dziecka. Eneasza mógł się poświęcić budowaniu, uprawie roli, hodowli bydła i drobiu, polowaniu, które kochał nie mniej od Askaniusza, i cyklicznym obrzędom, które kochał nie mniej ode mnie.

My, których zwą królami, jesteśmy tymi, którzy w imieniu ludu przemawiają do bóstw ziemi i nieba, z kolei te bóstwa za naszym pośrednictwem objawiają swoją wolę ludowi. Jesteśmy pośrednikami.

Głównym obowiązkiem królów jest odprawianie modłów i obrzędów przeblagalnych zgodnie z rytuałem, dzięki czemu mogą rozumieć i oznajmiać swym poddanym wolę sił od nich potężniejszych. To król wskazuje wieśniakowi, kiedy trzeba orać, kiedy sadzić, kiedy zbierać, kiedy wyganiać bydło na górskie pastwiska, a kiedy sprowadzać je w doliny, ponieważ nauczył się tego w służbie przed ołtarzami ziemi i nieba. Podobnie matka wskazuje swoim domownikom, kiedy wstać, za co się brać, co przygotować i uwarzyć na posiłek, kiedy siadać do stołu, bo nauczyła się tego w służbie przed ołtarzami larów i penatów. Gdyż tak samo utrzymuje się pokój w królestwie jak ład we własnym domu. Nam obojgu – i mnie, i Eneaszowi – była wpojona od dziecka odpowiedzialność w tej mierze i obojgu nam była droga.

Mój mąż i ojciec zgodnie dzielili między siebie królewskie obowiązki; młodszy mężczyzna zawsze zdawał się na zdanie starszego, choć był gotów zdjąć ten ciężar z jego barków, gdyby starszy poczuł się zmęczony. Nie wszystkie nasze latyńskie zwyczaje były bliskie Trojańczykom, ale Eneasz przyjął je tak szczerze, jakby się wśród nich urodził, i przestrzegał ich z ochotą. Pamiętam, jak tamtej wiosny, tamtej radosnej wiosny prowadził procesję w święto Ambarvaliów.

Każdy wieśniak na swoim poletku odprawiał ten sam obrzęd, prowadząc domowników przez kolejne etapy ceremonii. Latynus wyjdzie na swoją ziemię pod murami Laurentum, Eneasz wyprowadzi procesję z Lawinium na królewskie pola. W dni poprzedzające święto mieliśmy w domu huk roboty. Należało poczynić niezbędne przygotowania, wyprać białe szaty, jakie każdy będzie nosił (ponieważ muszą być prane w wodzie bieżącej, trzeba się było sporo nabiegać do rzeki), zebrać lecz-

nicze zioła, ozdobne zioła i upleść z nich wieńce dla ludzi i zwierząt. Każdy kto miał wziąć udział w ceremonii, winien w noc poprzedzającą święto powstrzymać się od małżeńskiego obcowania, aby uczestniczyć w uroczystościach w stanie czystości.

W Ambarvaliach zawsze najbardziej lubiłam ciszę. Nikt się nie odzywał. Ludzie szli w milczeniu, niemi jak zwierzęta. Nie był to co prawda nakazany wymóg, ale ponieważ każde wypowiedziane w tym czasie słowo miało niezwykłą moc, a słowo nieostrożnie wyrzeczone mogłoby ściągnąć klęskę na zbiory i chudobę, było prościej i bezpieczniej w ogóle nic nie mówić. Tylko król i jego pomocnicy przy obrzędzie przemawiali „językiem szczęścia”, szeptem niemal niesłyszalnym powtarzając litanie, którą podpowiadał im – po kilka słów na raz – głosem cichym i bezbarwnym stary Feroxs. Staruszek uprawiał w okolicy swój splachetek ziemi na długo przedtem nim my wznieśliśmy tu Lawinium. Znał wszystkie wymagane litanie i od sześćdziesięciu lat prowadził obchód pól. Był prawdziwym mistrzem tej ceremonii.

Eneasz postępował za nim, prowadząc białe jagnię ozdobione wieńcem z wplecionymi weń liśćmi drzew owocowych i dzikich oliwek. Reszta naszej gromady szła za nimi i tak trzy razy obeszlśmy pole, od kamienia granicznego po kamień graniczny, najpierw twarzą do Janusa, potem plecami do niego, podobnie jak on zwracał się ku nam to jednym, to drugim obliczem. Kroczyliśmy w takiej ciszy, że można było słyszeć szelest naszych białych szat, szuranie bosych stóp po ormej ziemi, nasze oddechy i śpiew ptaków wychwalających wiosnę po dębowych gajach.

Potem Eneasz podprowadził jagnię do starego kamiennego ołtarza

nakrytego świeżą darnią, aby je złożyć w ofierze. Wiele mówi o człowieku sposób, w jaki dokonuje on ofiary. Eneasz dotykał długonogie jagnię płci męskiej spokojnie i delikatnie, ale cios jego noża był szybki i pewny. Jagnię osunęło się miękko na kolana, a potem przewróciło na bok, jakby układało się do snu, martwe, zanim zdążyło się przestraszyć.

Podczas składania ofiary stary Feroxs modlił się głośno, mówiąc bóstwom tego miejsca, że podobnie jak my naszym darem z życia wzmacniamy ich numen, ich moc, tak też prosimy je, żeby przydawały nam dobytku i strzegły nasze pola uprawne od szkody. A potem wraz z innymi starcami zaśpiewał, głośno i chrapliwie, Pieśń Arwałów:

Lary, wspomóżcie nas!

Od wszelkiej szkody

zachowaj nas, Marsie!

Najedź się do syta, srogi Marsie,

najedź się do syta, Marsie, wskocz na graniczny kamień,

najedź się do syta, Marsie, wskocz na graniczny kamień,

najedź się do syta, Marsie, stój na granicznym kamieniu,

proś orędowników, niech wstawią się za nami!

Wspomóż nas, Marsie!

A teraz tańcz, tańcz, tańcz!

Zatoczyliśmy więc ciche koło wokół pól, aby je zabezpieczyć, odprawiliśmy modły do surowych mocy miejsca i pory roku, a potem zaczęła się uczta, tańce, śpiewanie hymnów i pieśni miłosnych.

Eneasz wyznał mi, że nigdy nie słyszał niczego podobnego do pieśni, którą śpiewał Feroxs z innymi starcami, nie znał też takiego Marsa,

jakiego my wyznajemy. Mars jego ludu sprowadzał jedynie wojnę i zamęt, nie był opiekunem stad bydła i drobiu ani tym bóstwem, które strzeże nieuchwytnej granicy między tym co dzikie a tym co oswojone. Wypytywał starców o tego boga i o pieśń, którą śpiewali, i głęboko – wiem o tym – wziął sobie do serca wszystko, co mu powiedzieli.

Mój mąż nie słyszał tej pieśni w dalekiej Troi, ale mój poeta poznał ją w odległej Mantui, za górami, w mrokach czasów, które dopiero miały nadejść, setki lat później, kiedy ja po raz pierwszy jej słuchałam. Tamtej nocy w Albunei, gdyśmy rozmawiali o naszych gospodarstwach domowych i obyczajach, zapytałam poetę, czy jego lud świętował Ambarvalia, na co uśmiechnął się tylko i zaśpiewał – na melodię, która już w moich czasach wydawała się prastara:

Enos Lases iuvate!

Lary, wspomóżcie nas!

Czas Marsa to pora wieśniaka i żołnierza: wiosna i lato. W październiku chowa się włócznie i tarcze saliów. Wojna się kończy, gdy zwozi się zbiory. Tego roku Latynus wyprawił październikowy obrzęd konia, jedyną ceremonię – poza pogrzebem króla – kiedy składamy w ofierze konia. Ludzie ściągnęli na tę uroczystość z całego Lacjum, wdzięczni za pokój w królestwie i obfitość plonów. To była ostatnia wielka ceremonia odprawiona w Laurentum.

Pojechaliśmy tam na kilka dni. Eneasza asystował memu ojcu przy odprawianiu obrzędu. Ja już nie miałam tego prawa, gdyż od zamążpójścia nie byłam córką jego rodziny, ale matką własnej. Jednakże mały Sylwiusz, jako następca Latynusa, mógł przenieść po obiedzie talerz z poświęcanym jadem od stołu do paleniska i rzucić garść pokarmu w ogień Westy. Matka Maruny towarzyszyła mu, żeby przypadkiem nie wylądował w płomieniach cały talerz z jadem.

– Tylko bób, Sylwiuszu – podpowiedziała szeptem, a on powtórzył, z uroczystą powagą:

– Tilko pup.

Powinien był wyrzec formułę: „Bogowie są łaskawi”, ale w tym już myśmy go wyręczyli.

To była dobra jesień, dostatnia i ciepła. Zimowe deszcze, choć padały długo, nie były ulewne. W nawale codziennych zajęć i obowiązków, nieustannej radości i ciągłego niepokoju, jakich dostarczała opieka nad Sylwiuszem, niesłabnącego szczęścia i przyjemności z towarzystwa i miłości Eneasza, straciłam rachubę czasu. Wszystkie dni tamtej jesieni i zimy zlały mi się w jeden długi dzień i jedną długą, błogosławioną noc. Co jakiś czas wszakże budziłam się bez powodu w głębokiej, zi-

mowej ciemności. Moje ciało i dusza były zimne jak lód na brzegach rzeki, bo przypominałam sobie: to już trzecia zima.

Potem leżałam całkiem rozbudzona i długo łamałam sobie głowę nad zagadką, której nie potrafiłam rozwiązać. Poeta zapowiedział mi, że Eneasz będzie panował przez trzy lata i trzy zimy. Czy lato, kiedy braliśmy ślub, liczy się już do tych trzech? Pomyślałam, że skoro tamto lato w połowie już upłynęło, zanim zaczął panować w Lawinium, rachunek trzech lat i trzech zim powinien się zacząć dopiero od zimy tamtego roku, lato więc, które nadchodziło, będzie jego trzecim latem... trzecim i ostatnim. Ale przynajmniej miał czas do lata... do końca lata... to znaczy, że nie umrze tej wiosny!

Dlaczego jednak w ogóle ma umierać? Może poeta wcale nie to miał na myśli? Przecież nie powiedział, że umrze, tylko że jego panowanie potrwa jedynie trzy lata. Może odda królewską władzę, przekaże ją Askaniuszowi, lecz nie odejdzie z tego świata. Będziemy żyli długo i szczęśliwie. Wszak sobie na to zasłużył! Czemuż wcześniej o tym nie pomyślałam?

Tak mnie zachwyciła i podnieciła ta myśl, że już do rana nie zmrużyłam oka. A kiedy i on się obudził, omal nie krzyknęłam: „Oddaj królestwo synowi, Eneaszu!”.

Na szczęście ugryzłam się w język. Mimo to po kilku dniach zapytałam, siląc się na ton obojętny, czy nigdy nie pomyślał o tym, żeby oddać władzę i zacząć żyć jak normalny człowiek.

Obrzucił mnie bystrym spojrzeniem, a jego czarne oczy zabłysły.

– Tego wyboru mi nie przedstawiono – mruknął. – Jestem zięciem Priama, synem Anchizesa.

– Lecz teraz znalazłeś się w miejscu, gdzie twoi ojcowie są chyba mniej ważni niż twoi synowie.

– Gdybym uznał słuszność tego zdania – rzekł po namyśle – jakie bym sobie wystawił świadectwo? Zostałem tu posłany, żebym został królem. Po to, by mi oznajmić, jak powinienem postąpić, Hektor powstał z grobu, zmartwychwstała Kreuza. Miałem poprowadzić mój lud do krainy na zachodzie i objąć tam rządy. Ożenić się, spłodzić syna... Więc nie doradzaj mi, abym nie spełnił ciężącego na mnie obowiązku, żono. – Zaczął tę przemowę z powagą, zakończył jednak z rozbawieniem w głosie.

– Nikt ci tego nigdy nie zarzuci! Ale ty już przecież swój obowiązek wypełniłeś!... Wypełniłeś proroctwo... wypełniłeś swoje przeznaczenie... choć było surowe. Żeglowałeś po morzach, przeżyłeś sztormy, rozbicie okrętów, straciłeś przyjaciół, a gdy w końcu dotarłeś tutaj, przyszło ci toczyć wojnę... Objąłeś panowanie, założyłeś dynastię. Czy nigdy nie pomyślałeś: dokonałem już wszystkiego, teraz się usunę... odpocznę, przybiłem do portu?

Przez chwilę przyglądał mi się jasnym, ciepłym, rozumnym spojrzeniem. Zastanawiał się widać, dlaczego to wszystko mówię, i nie znajdował odpowiedzi.

– Sylwiusz jest jeszcze zbyt młody, żeby rządzić – rzekł w końcu.

Roześmiałam się. Byłam okropnie spięta.

– Naturalnie, on tak! Lecz Askaniusz...

– Chcesz, żeby w Lawinium panował Askaniusz? – W pierwszej chwili był tak zaskoczony, że aż się nasrożył, potem wyraz jego twarzy zmienił się, złagodniał. Wydało mu się, że wreszcie zrozumiał, dlacze-

go pragnę, aby ustąpił. – Lawinio, droga żono, nie musisz się tak o mnie bać. Mniej jest niebezpieczne bycie królem niż zwykłym żołnierzem. A zresztą dzień naszej śmierci nie od nas zależy. Nie ma miejsc zupełnie bezpiecznych. Sama o tym wiesz.

– Tak, wiem.

Podszedł, żeby mnie objąć, a ja się doń przytuliłam.

– Naprawdę zrezygnowałabyś z roli królowej – zapytał – żeby mi oszczędzić kłopotów związanych ze sprawowaniem władzy? – Prawdę mówiąc, nie pomyślałam o tej stronie mojego zamysłu. – Zresztą kto miałby zająć twoje miejsce? – ciągnął. – Musielibyśmy najpierw ożenić Askaniusza. – Teraz już się ze mną droczył. Wiedział, że perspektywa przekazania mojego ludu i moich penatów obcej kobiecie byłaby dla mnie trudna do zniesienia. Byłam przygnębiona i zawstydzona, bo czułam, że dałam się przyłapać na kłamstwie, na głupim podstępie. Zanie mówiłam i zaczerwieniłam się, jak to ja: od razu od stóp do głów. Dostrzegł to i wyczuł. Musnął mnie pocałunkiem, a potem zaczął całować z rosnącą namiętnością. Rozmawialiśmy na małym dziedzińcu naszego domu, na którym nie było nikogo prócz nas. – Chodź, chodź! – wyszeptał, a ja, wciąż sploniona, pośpieszyłam za nim do sypialni, gdzie nasza rozmowa zmieniła charakter.

Jednakże od tamtego dnia już nigdy nie udało mi się zapomnieć przepowiedni mojego poety. Zawsze miałam nosić ją w pamięci, wplecioną w moje myśli, pod powierzchnią myśli, niczym czarny strumień płynący pod ziemią. Wciąż szukałam jakiegoś wyjaśnienia, które by pozwalało inaczej te słowa rozumieć, tak, by nie oznaczały, że Eneas musi umrzeć po trzech latach i zimach panowania w Lacjum, a jedynie

to, że po tym czasie skończy się jego władza. Może podbije którąś z sąsiednich krain, zostanie królem Wolsków lub Herników? Może zabierze mnie i Sylwiusza z powrotem do ojczystego kraju, odbuduje piękne miasto Ilium, o którym mi opowiadali Achates i Serestus, z jego murami, wieżami i wysoką warownią, i zasiądzie na tronie jako król Troi? Może nie umrze, a jedynie ciężko zachoruje i tak bardzo osłabnie w chorobie, że Askaniusz będzie musiał przybyć i zdjąć z jego barków ciężar władzy, obwołując się królem, a tymczasem Eneasz będzie nadal żył ze mną w Lawinium i cieszył się synem? Żywy, nie umarły. Moja wyobraźnia biegła od jednej do drugiej z tych możliwości niczym zajęc, który klucząc czmycha przed sforą psów, podczas gdy trzy stare kobiety, trzy Parki, przędły odmierzoną nić naszego losu.

Zima była łagodna, ale długa. Styczeń deszczowy i błotnisty. W Laurentum zdarzyło się coś, co poczytano za wróżebny znak: oto skrzydła Bramy Wojny – które niegdyś otworzyła moja matka, a które ja, z pomocą Maruny i kilku męskich mieszkańców miasta, zamknęłam przed trzema laty – same się otworzyły. Ludzie przyszli rano w dzień kalend lutowych do ołtarza Janusa i zastali bramę szeroko otwartą. Sworznie w żelaznych skoblach, podtrzymujących wielką zaworę, przerdzewiały, skoble ustąpiły i belka opadała. Zawiasy również przerdzewiały i wykrzywiły się, toteż bramy nie można było zamknąć. Latynusa bardzo ten znak zaniepokoił. Nie chciał weń w żaden sposób ingerować, na przykład naprawiać zawiasy i skoble, dopóki się nie wyjaśni znaczenie tego zdarzenia. Nikt nie wiedział, dlaczego te części bramy wykonano z żelaza – owego nieszczęsnego metalu – nigdy w świętych miejscach nie stosowanego. Ojciec kazał swoim kowalom zrobić nowe skoble, sworznie i zawiasy z brązu, ale na razie ani Bramy Wojny nie naprawiał, ani jej nie zamykał.

Niepokojące wieści napływały ze wschodu i południa Gór Albańskich. Mieszkający wzdłuż granicy wieśniacy donosili o zasadzkach, pożarach stodół, kradzieżach bydła i napaściach dokonywanych przez obie strony, Latynów i Rutulów. A młody Camers z Ardei, który poprowadził ów nieudany atak na Lawinium przed dwoma laty, przysłał posłańca ze skargą, że nad jego miastem wisi ciągle zagrożenie, że jego zagrody i pastwiska są nieustannie najeżdżane przez ludzi z Alba Longa.

Mogłam obserwować, jak Eneasza walczy z własną goryczą, zawodem i gniewem. Przypominał jeźdźca ujeżdżającego potężnego konia,

który szarpie cugle, wierzga, skacze i kopie, miota się na wszystkie strony, aż wreszcie nieruchomieje, poskromiony, spieniony, rozedrgany, lecz już uległy.

Serce we mnie zamarło, jakby strach zacisnął je w żelaznej pięści. Bo oto wypełnił się czas przepowiedni, rozwiały się wszystkie moje daremne rojenia o ucieczce przed przeznaczeniem i stanęłam twarzą w twarz wobec nagiej prawdy, że nie ma ucieczki. Kiedy mój mąż powiedział: „Muszę jechać do Ardei”, nie protestowałam i nie okazywałam nadmiernego lęku. Odjechał zbrojno, z silną eskortą. Nie podejmował ryzyka, kiedy nie musiał; podejmował tylko ryzyko konieczne. Pocałowałam go na pożegnanie i podniosłam do góry Sylwiusza, żeby jego też ucałował. Uśmiechnęłam się i poprosiłam, by prędko wracał.

– Niedługo mnie znowu zobaczysz – zapewnił. – Wrócę z Askaniu-
szem.

Achates i Serestus, moi najlepsi przyjaciele z grona Eneaszowych druhów, odjechali razem z nim. Zostałam sama z moimi kobietami. Miałam w nich jednak ogromne oparcie. Pomagały mi utrzymywać porządek w domu i w mieście. Żona Serestusa, Illivia, właśnie urodziła dziecko, mogłyśmy więc częściowo zapomnieć o zmartwieniach podczas zabaw z malcem. Mój ojciec codziennie przysyłał posłańca, przez którego pytał o nowiny i czy nie potrzebujemy pomocy lub rady. Sam nie przyjeżdżał, bo przez całą zimę męczył go kaszel, a pogoda była pod psem: wciąż padał deszcz i drogi tonęły w błocie. Ja go również nie odwiedzałam, byłam bowiem potrzebna w moim mieście, w Lawinium.

Tak minęło dziewięć długich, posępnych dni i nocy.

Wieczorem nazajutrz po idach lutowych wynurzyła się z deszczo-

wego mroku i zbliżała do miejskiej bramy grupa przemoczonych jeźdźców na zmokniętych koniach. Strażnicy zaczęli wołać:

– Król! Król jedzie!

I rzeczywiście, do miasta wjechał Eneasza z mieczem u boku i swoją wielką tarczą na ramieniu. Za nim jechał Askaniusz, bez broni, a dalej żołnierze Eneasza, wszyscy zbrojnie.

Moja radość i ulga, że widzę małżonka, mogę go przytulić, była wręcz nieopisana. Nic więcej się nie liczyło. Tamtej nocy poczułam, że kiedy się poznało takie spełnienie, jest się już – w jakiejś części swojej istoty – na zawsze zabezpieczonym przed najgłębszą rozpaczą, przed rozpadem duszy. Radość była moją tarczą.

Nie wiem, czy tak jest naprawdę, lecz temu nie zaprzeczę. Nawet później, nawet w tej chwili.

Zacząła się gorąca krzątanina, przygotowywanie kąpieli i posiłku dla utrudzonych podróżnych. Eneasza zdążył mi tylko powiedzieć, że zawarł miesięczny rozejm z Camersem, Askaniusza zaś przywiózł po to, żeby „porozmawiać o tym, w czym pobłądził”. Serestusa i Mnesteusa zostawił w Alba Longa, aby mieli pieczę nad miastem i pilnowali niespokojnych granic.

Askaniusz rzeczywiście narobił kłopotów, uznawszy za ziemię latyńską zimowe pastwiska wykorzystywane dotychczas przez Rutulów, osadziwszy osadników w rzecznej dolinie, którą Rutulowie uważali za swoje letnie łąki, wreszcie posyłając żołnierzy, żeby nekali każdego Rutula, który przekroczył granicę. A ponieważ ta granica była w wielu miejscach dość nieokreślona i tradycyjnie dziurawa, takimi krokami po prostu musiał narobić sobie wrogów. Camers próbował chronić rutul-

szych wieśniaków, posyłając wojska, co doprowadziło do kilku krwawych potyczek, a potem do gróźb ze strony Askaniusza, który zapowiadał, że zrówna z ziemią Ardeę, na co Camers odpowiedział groźbą zaboru Velitrae i obrócenia w perzynę Alba Longa.

Achates opowiedział mi o spotkaniu z Camersem. Chwalił rozjemcze talenty Eneasza, które – jak to określił – polegały głównie na powściągliwym milczeniu. Camers był skłonny do zgody, lecz nie wypadało mu o nią prosić. Nieudany atak sprzed lat wciąż go dręczył; czuł się poniżony, mimo to był gotów do pojednania. Askaniusz tak się jednak przechwalał i takie miotał groźby, że jego przeciwnik nie mógł tego ścierpieć. Eneasza wysłuchał cierpliwie długiej listy skarg, ani nie usprawiedliwiał przewin syna, ani nie przeproszał za nie, i dopiero potem zaproponował rozejm. Achates opowiadał, że wykazał taką cierpliwość i stanowczość, iż Camers, niewiele starszy od Askaniusza, pod koniec rozmawiał z nim jak z ojcem, choć przecież mówił z człowiekiem, który w bitwie pod Laurentum zabił jego prawdziwego ojca.

Tak więc rozejm został zawarty – i to zawarty w dobrej wierze – choć i Achates, i Eneasza byli zdania, że Camers będzie miał kłopoty z wzięciem w karby nieokrzesanych wieśniaków nad swoją granicą. Tymczasem niecierpiącym zwłoki zadaniem Eneasza było wzięcie w karby własnego syna.

Choć Askaniusz wrócił do domu w jawnej niełasce, tamtej nocy w ogóle się o tym nie mówiło. Został ciepło przyjęty na zaimprovizowanej uczcie, jaką wydaliśmy na cześć tych, co szczęśliwie powrócili. Nie okazywał ani zawstydzenia, ani hardości, choć poza tym zachowywał się w sposób dla siebie typowy. Został doskonale wychowany, co mu

się przydawało w podobnych sytuacjach. Musiał sobie zadawać pytanie, co Eneasza zamierza w końcu uczynić lub powiedzieć. Mnie to również zastanawiało. Ale wieczór upływał w miłej atmosferze, a potem ojciec i syn objęli się i uścisnęli, jak zwykle czynili przed rozejściem się na nocny spoczynek.

Tak więc pytanie pozostało bez odpowiedzi. Eneasza zrobił, co zapowiedział: pozbawił Askaniusza komendy i sprowadził go z powrotem do Lawinium. I to wszystko. W ogóle tego nie komentował. Nie należał do ludzi, którzy strzegą język po próżnicy. Po prostu działał. Odzywał się dopiero wtedy, gdy już bezwzględnie musiał.

Askaniusz przez jakiś czas chodził poirytowany, zły, nadąsany, kilka razy usiłował nawet sprowokować spięcie. Eneasza lekcewał jego podchody. Najbliższy określenia roli, jaką przeznaczył Askaniuszowi, był w pewnej rozmowie, mającej za temat cnotę, którą odbyli z kilkoma przerwami. Mówię o męskiej cnotie, pojętej w pierwotnym znaczeniu czci. O cnotie męskości jako takiej, o męstwie. Askaniusz mianowicie wyraził pewnego dnia pogląd, młodzieńczo pyszałkowaty, że jedyny prawdziwy dowód męskości można złożyć w walce: prawdziwa cnota byłaby umiejętnością walki, bitewnej odwagi, woli zwycięstwa i tylko zwycięstwa.

- Tylko zwycięstwa? – upewnił się Eneasza.
- A jaki pożytek ze sprawności i odwagi, jeśli leżysz martwy?
- Więc Hektorowi nie przyznałbyś cnoty męstwa?
- Oczywiście, że tak. Wygrał wszystkie walki prócz ostatniej.
- Jak my wszyscy – zauważył Eneasza.

To stwierdzenie przekraczało chyba aktualne możliwości pojmo-

wania Askaniusza, toteż temat upadł. Jednakże Eneasz niebawem do niego wrócił któregoś dnia podczas obiadu.

– Czyli mężczyzna tylko na wojnie może dowieść własnej męskości – rzekł w zamyśleniu.

– Określonego rodzaju męskości – sprecyzował Askaniusz. – Bo i mądrość z pewnością jest cnotą, podobnie jak męstwo w bitwie, nieprawdaż?

– Choć taką, która nie ogranicza się chyba do mężczyzn – wtrąciłam.

Muszę tu wyjaśnić, że Trojanie nie mieli zwyczaju dopuszczać do rozmów kobiet, podobnie jak wszyscy Grecy, jakich w życiu spotkałam. To w naszych, Latynów, obyczajach leżało wspólne zasiadanie obu płci przy stole i prowadzenie rozmów jak równy z równym, co jak sądzę, przejęliśmy prawdopodobnie od Etrusków. Jako królowa mogłam sobie w tym względzie na więcej pozwolić. Niektórym co bardziej nieokrzesanym Trojańczykom trzeba było dać lekcję grzeczności i dobrych manier przy stole, której im udzielaliśmy oboje z Eneaszem. Inni, jak Achates i Serestus, przyswoili ją sobie bez większego trudu, podobnie jak inne nasze obyczajowe odmienności. Kiedy zapraszałam ich do Regii, przychodzili z żonami, które zasiadały z nami przy stole naoczesnym miejscu, a ja zapraszałam często same kobiety, gdy ich mężowie dokądś wyjechali.

– Istotnie. Kobiety mogą zdobyć mądrość – oświadczył Askaniusz z tą swoją irytującą, wręcz rozczulającą pompatycznością. – Lecz nie prawdziwą cnotę.

– A czym właściwie jest pobożność? – zapytał Eneasz.

Po jego pytaniu zapadła pełna zadumy cisza.

– Posłuszeństwem wobec mocy ziemi i nieba? – odezwałam się w końcu, nadając mojemu stwierdzeniu intonację pytającą, jak to często robimy my kobiety.

– Wysiłkiem, by wypełniać swoje przeznaczenie – zaproponował Achates.

– Słusznym postępowaniem – powiedziała Illivia, żona Seresusa, spokojna, energiczna kobieta z Tuskulum, która została jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

– A co jest słuszne w bitwie, na wojnie? – pytał dalej Eneasz.

– Sprawność, odwaga, siła – bez namysłu odpowiedział mu Askaniusz. – Na wojnie cnotą jest męstwo. Walka do zwycięstwa!

– Więc zwycięstwo obdarza słusnością?

– Tak – odrzekł Askaniusz, a kilku mężczyzn energicznie mu przytaknęło. Lecz żaden ze starszych Trojan. Nie mówiąc już o kobietach.

– Jakoś nie potrafię tego zrozumieć – powiedział spokojnie Eneasz. – Sądziłem, że człowiek powinien robić to, co uznaje za swoją powinność. A jeżeli jedno różni się od drugiego? Wtedy osiągnięcie zwycięstwa oznacza porażkę. Utrzymywanie porządku powoduje nieporządek, ruinę i śmierć. Cnota i pobożność niszczą jedno drugie. Nie potrafię tego zrozumieć.

Ale na to Askaniusz już nie znalazł odpowiedzi.

Wątpię, by ktoś z zebranych wiedział, co Eneasz miał na myśli, kiedy mówił, że posłuszeństwo wobec własnego przeznaczenia może oznaczać nieposłuszeństwo wobec własnego sumienia. Tylko ja wiedziałam, jak bardzo mu ciąży śmierć Turnusa. Achates sądził – wiem to

od niego – że Eneasz myślał o zwycięstwie Greków pod Troją, w wojnie, która choć prowadzona w słusznej sprawie, przyniosła niemal taką samą zglubę Grekom jak Trojanom. Może i tak.

Jakkolwiek z tym było, mój mąż nie na długo dał spocząć Askaniuszowej definicji męstwa jako odwagi w walce. Już nazajutrz wrócił do przerwanej rozmowy. Nie mieliśmy tego wieczoru gości i tylko we trójkę zebraliśmy się po pracowitym dniu wokół paleniska, ja z kądzielą, Eneasz z małą oselką i moim nożykiem rytualnym, który się stępił. Przeciągał nim lekko i cierpliwie w poprzek kamienia.

– Jeśli ktoś uważa, że tylko na wojnie może dowieść swej cnoty – zwrócił się w pewnej chwili do Askaniusza – deklaruje tym samym, że czas poświęcony wszystkiemu innemu uważa za zmarnowany. Uprawie ziemi, jeśli jest rolnikiem... rządzeniu krajem, jeżeli jest władcą... oddawaniu czci, obrzędowi religijnym... bo to wszystko stoi niżej od dzielności na polu bitwy.

– Tak, właśnie tak! – zapalił się Askaniusz zadowolony, że wreszcie przekonał ojca.

– Otóż ja nie powierzyłbym takiemu człowiekowi ziemi do uprawy, rządów ani służby bóstwom, które mają nad nami władzę – zakończył Eneasz – ponieważ cokolwiek by robił taki człowiek, zawsze szukałby jedynie sposobności do wywołania wojny.

Askaniusz dopiero teraz zmiarkował, że wpadł w pułapkę, i zaczął się niepewnie wycofywać.

– Niekoniecznie... – zaczął.

– Koniecznie – przerwał mu stanowczo Eneasz. – Spędziłem życie wśród takich chwatów, synu. I dowiodłem im swojej cnoty.

– To prawda, ojcze! Byłeś najlepszy, najlepszy ze wszystkich! – W oczach Askaniusza błysnęły łzy i głos mu zadrżał.

– Z wyjątkiem Hektora – powiedział Eneasze. – A po drugiej stronie Achillesa, wielkiego bohatera, i Diomedesa, którzy obaj mnie pokonali. Prawdopodobnie przegrałbym też z Odyseuszem, olbrzymim Ajaksem, a może i z Agamemnonem. Myślę, że mógłbym zwyciężyć Menelaosa. I co, gdybym zwyciężył? Czy stałbym się dzięki temu lepszym człowiekiem? Czy moja cnota byłaby doskonalsza, niż jest teraz? Czy jestem tym, kim jestem, bo zabijałem ludzi? Czy jestem Eneaszem, ponieważ zabiłem Turnusa?

Wychylił się do przodu. W jego oczach płonął ogień, a choć nie podniósł głosu, przemawiał z niezwykłym napięciem. Askaniusz skulił się i prawie przestał oddychać.

– Jeśli masz panować po mnie w Lacjum, a potem przekazać władzę swojemu bratu Sylwiuszowi, chcę mieć pewność, że nauczysz się rządzić, a nie tylko wywoływać wojny, że nauczysz się prosić moce ziemi i nieba o przewodnictwo dla siebie i twojego ludu, że nauczysz się odnajdywać swoją męską cnotę na polu szerszym niż tylko pole bitwy. Przynieś mi, że nauczysz się tego wszystkiego, Askaniuszu.

– Przrzekam, ojcze – zapewnił młodzieniec przez łzy.

– Wiele w życiu zależało ode mnie – powiedział Eneasze łagodniejszym już tonem. – Wiele będzie zależało też od ciebie. Na koniec postąpiłem źle. Ty źle zaczęłaś, ale liczę na to, że na koniec będziesz postępował dobrze. Więc daj mi na to rękę, mój synu.

Askaniusz wyciągnął rękę, a Eneasze przyciągnął go i objął. Uściśnęli się mocno.

Siedziałam nad swoją kąpielą zwrócona twarzą do ognia. I nie mogłam płakać.

Po kilku dniach, tuż przed kalendami marcowymi, Eneasz odesłał Askaniusza z powrotem w rejon Gór Albańskich. Nie powiedział mu więcej ani słowa o konieczności przestrzegania rozejmu z Camersem. Wszystko już przecież zostało powiedziane. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję na odmianę syna. Jednakże w te pierwsze marcowe dni, kiedy saliowie wywijali na ulicach świętymi włóczniami i śpiewali „*Mars, Mavors, macte esto!*”, sprawiał wrażenie nieco przygaszonego. Tymczasem Serestus i Mnesteus wrócili z Alba Longa, donosząc, że panuje tam spokój, a Askaniusz wydaje się zdecydowany, by ten stan zachować.

Po mokrej zimie nastąpiła ciepła wiosna. Kwitnienie i owocowanie zaczęło się wcześniej niż zwykle. Orzechowe drzewa po lasach wyglądały pięknie w tym przyspieszonym okwieceniu. Jęczmień i proso wystrzeliły wysoko dorodnymi kłosami i jeszcze nigdy nie widziałam na łąkach i zboczach wzgórz tak gęstej i miękkiej trawy. Nasze stada zwierząt i drobiu wspaniale się rozmnożyły. Mojego męża szczególnie cieszył przychówek źrebiąt w stajniach. Z wyjątkowo pięknej klaczy, którą pokrył ogierem podarowanym mu przez Latynusa, doczekał się jasno-kasztanowego źrebaka, z którego był bardzo dumny.

– Będzie wierzchowcem Sylwiusza – mówił.

I z całkowitą powagą przedstawił naszemu dziecku dziecko koni. Dał Sylwiuszowi poprowadzić klacz, żeby zobaczył, jak źrebak za nią truchta, a potem podsadził go na jej grzbiet, żeby się przejechał. Sylwiusz zdrętwiał ze strachu i zachwyty; jedną rączką wczepił się w grzywę, drugą chwycił rękę ojca i tak paradowali wokół dziedzińca przed stajnią, a mój synek wydawał stłumione okrzyki przypominające

gruchanie gołąbka. I potem co rano pytał nieśmiało ojca: „Ejsić?”. I Eneasza szedł z nim do stajni, by sobie pojeździł.

Nasz lud, moi Latynowie z Lawinium, nazywał Eneasza ojcem. „Czy ten płot będzie dobry, ojciec Eneaszu?”, „Ojciec, jęczmień już zwieziony!”. Tak samo zwracali się do Latynusa. Ja również, choć tak młoda, byłam dla nich matką Lawinią, ponieważ my używamy tych słów nie tylko w odniesieniu do rodziców, ale i do tych, którzy są za nas odpowiedzialni. Często żołnierz nazywa ojcem swego wodza – zresztą słusznie, jeśli ów należycie dba o podwładnych. Jednakże rodacy Eneasza nazywali go „ojcem” w sposób wyjątkowo serdeczny, z czułością, wręcz zabobnie. Spoczywający na nim obowiązek przewodzenia własnemu ludowi uczynił zeń przywódcę. Po śmierci ojca musiał samodzielnie podejmować wszelkie decyzje, brać na siebie całą odpowiedzialność i te serdeczne więzy miały dla niego wartość nieocenioną. Starał się na nie zasłużyć. Z taką samą powagą i radością traktował też swoje prawdziwe ojcostwo. Z rozkoszą patrzyłam, jak przechadza się z Sylwiuszem, drobi kroki, żeby je zrównać z kroczkami malca, nieustannie bacząc, by nie urazić dziecięcej godności synka.

Wiem, że bardzo szanował swojego ojca, Anchizesa. Natomiast nigdy nie mówił o matce; nie potrafię nawet powiedzieć, czy ją znał. Z wielką ostrożnością zapytałam go kiedyś o jego wczesne dzieciństwo.

– Niewiele pamiętam – odparł. – Przebywałem wśród samych kobiet, w lesie, na górze. W grupie kobiet żyjących w lesie.

– Były dla ciebie dobre?

– Dobre i niefrasobliwe. Pozwalały mi biegać, dokąd tylko chciałem... Gdy się przewróciłem, któraś doskakiwała ze śmiechem i podno-

siła mnie. Żyłem samopas jak mały niedźwiadek.

– I potem przyszedł po ciebie twój ojciec?

Kiwnął głową.

– Kulawy mężczyzna w zbroi. Bałem się go. Pamiętam, że próbowałem schować się w zaroślach. Ale te kobiety знаły wszystkie moje kryjówki. Więc i tym razem podniosły mnie z ziemi i oddały mu.

– I od tej pory zamieszkałeś z ojcem?

– I nauczyłem się pracy na roli, dobrych manier i całej reszty.

– Kiedy przenieśliście się do Troi?

– Priam nas czasami zapraszał. Choć nigdy za nami nie przepadał.

– Przecież oddał ci córkę – zdziwiłam się.

– Właściwie mi jej nie oddał – odrzekł, nie chciał jednak mówić o Kreuzie, a ja nie należałam. Po chwili dodał: – Lasy to dobre miejsce na wychowanie dziecka. Niewiele się tam można nauczyć o ludziach, za to można nauczyć się milczenia. I cierpliwości. Oraz tego, że w głuszy nie ma się właściwie czego bać... Znacznie mniej tam czyha niebezpieczeństw niż na wsi czy w mieście.

Pomyślałam o Albunei, tym groźnym miejscu, gdzie jednak nigdy nie zaznałam lęku. Omal nie poprosiłam, by tam ze mną poszedł. Choć to niedaleko, nie byłam tam od dnia naszego ślubu. Wciąż się wybierałam, ale zdawało mi się, że jeszcze nie pora. Odkryłam, że nie mogę sobie wyobrazić, bym mogła tam stanąć u boku Eneasza. Więc w końcu nic mu nie powiedziałam.

Koniec marca był tak pogodny, że wybraliśmy się nad morze, kilka mil piechotą. Chciałam, żeby Sylwiusz wreszcie zobaczył ocean. Eneasza prawie całą drogę niósł go na ramieniu. Szliśmy większą grupą,

niemal procesją, gęsiego wijącą się wśród wydm. Oprócz nas wybrało się na ten spacer jeszcze kilka rodzin, do tego niewolnicy z prowiantem i paru młodych żołnierzy w charakterze straży. Ledwo zeszedliśmy na brzeg, wszyscy się rozbiegli po jasnożółtym piasku, wolni i niewolnicy, dzieci i dorośli. Brodzili w wodzie, zbierali muszle, cieszyli się słońcem. Ja i Eneasze oddaliliśmy się od pozostałych, pozostawiając Sylwiusza pod opieką zakochanych w nim kobiet i Maruny, która miała dbać o to, żeby go zanadto nie rozpieszczęły. Poszliśmy daleko wzdłuż brzegu. W ostatnim czasie rzadko miałam okazję do spacerów, toteż rozkoszowałam się przyjemnością stąpania bosą po piasku, rozchlapywania spływających do morza strumyków, bez trudu dotrzymując kroku mojemu mężowi, który szedł równym, niespiesznym tempem. Na prawo od nas morze podnosiło swój wieczny, obojętny lament. Spoglądając ponad niskimi grzywaczami przyboju na falistą, połyskliwą powierzchnię zacierającą się w mgiełce horyzontu, wykrzyknęłam w pewnej chwili:

– Z jakże daleka przybyłeś! Przez to morze... przez tyle innych mórz... Tyle mil i lat!

– To prawda, długą odbyłem podróż, by dotrzeć do domu – przyznał.

– Eneaszu – szepnęłam, choć do ostatniej chwili nie byłam pewna tego, co zaraz powiem – jestem brzemienna.

Przez jakiś czas szedł w milczeniu, tylko uśmiech rozlewał się z wolna na jego twarzy. Potem zatrzymał się, ujął mnie za rękę i mocno przytulił.

– Dziewczynka? – zapytał, jakbym mogła to wiedzieć, a ja po-

twierdziłam bez namysłu:

– Tak.

– Dajesz mi wszystko, czego tylko pragnę – powiedział i omal mnie udusił, całując po twarzy i szyi. – Moja śniada kochana żono, moja ty dziewczyno, królowo, mój ty italski skarbie! – Leżało tam na brzegu kilka głazów, które stoczyły się z lądu i mogły nas skryć przed wzrokiem każdego, kto by nadchodził brzegiem, w ich też stronę zgodnie oboje pobiegliśmy. I kochaliśmy się pod tą osłoną, dość nerwowo i początkowo wśród chichotów, bo piasek dostawał się tam, gdzie nie był pożądanym, ale potem z rosnącą namiętnością, aż u jej szczytu poczułam się zespolona z całym morzem, z jego przypyływami i głębiami. Kiedyśmy oprzytomnieli i wrócili do rzeczywistości, Eneasza wyciągnął się obok mnie na piasku, a był taki piękny, że wprost oczu od niego nie mogłam oderwać. Delikatnie muskałam palcami jego pierś i twarz, a on leżał w półśnie na słońcu i uśmiechał się.

Potem wstaliśmy i weszliśmy do wody aż po pas, trzymając się za ręce, póki nie przeniknął nas ziąb, a fale nie zaczęły usuwać nam gruntu spod nóg.

– Idźmy dalej, dalej! – nalegałam, choć bardzo się bałam.

W pewnej chwili Eneasza chwycił mnie w pól i prawie poniósł z powrotem na brzeg. Dołączyliśmy do reszty grupy. Sylwiusz spał smacznie pod daszkiem, jaki kobiety zrobiły dla niego z chust. W jego łukowatych brewkach tkwiły ziarenka piasku, a na twarzyczce, rozjaśnionej blaskiem przefiltrowanym przez białe płótna, malował się wyraz prawdziwej powagi. Położyłam się obok niego i wyszeptalam jego imię, to, jakim nazywałam go w sekrecie:

– Eneasz Sylwiuszu, Eneasz Sylwiuszu...

To już prawie koniec opowieści o naszym szczęściu.

Na początku kwietnia Eneasz pojechał na jedną noc do Alba Longa, skąd wrócił z wiadomością, że wszystko tam zastał w najlepszym porządku. Pod koniec kwietnia z kilkudniową wizytą przyjechał do nas mój ojciec. Zaczął się maj. Nadeszła trzecia rocznica dnia, gdy siedząc samotnie o świcie u ujścia Tybru, ujrzałam flotyllę ciemnych okrętów, które z otwartego morza wpłynęły jeden za drugim w ujście rzeki.

Tego rocznicowego dnia Eneasz wraz z Achatesem, z naszym głównym dozorcą stad i jeszcze kilkoma młodzieńcami wyruszył na poszukiwanie stadka bydła, które uciekło z pastwiska na wschód od miasta, przeszło bród na Numikusie i prawdopodobnie powędrowało w stronę Troi. To były nasze najlepsze krowy i jałówki, nie chcieliśmy więc, żeby się rozproszyły lub poginęły. Mężczyźni odszukali stado i pognali je z powrotem ku rzece. Nie wiedzieli, że nasze bydło uprowadziła banda Rutulów, a może je tylko śledziła, by ukraść gdzieś dalej. Rabusie, uzbrojeni w kije i włócznie, napadli na drużynę Eneasza, gdy przekraczała bród na Numikusie. Kilku towarzyszy mojego męża miało broń. Napastnicy przewyższali ich liczbą, ale nasi walczyli żąrcie i dwóch łotrów błyskawicznie położyli trupem. Rutulowie dali za wygraną i uciekli – wszyscy z wyjątkiem młodzieńca, którego powalił Eneasz, przyłożywszy mu miecz do gardła. Chłopak zaczął błagać:

– Nie zabijaj mnie, nie zabijaj!

Eneasz zawahał się, odłożył miecz i powiedział:

– Idź.

Tamten poderwał się i pomknął biegiem. Nagle zatrzymał się, pod-

niósł porzuconą przez któregoś z kompanów włócznię, odwrócił się i cisnął z rozmachem. Włócznia trafiła Eneasza w plecy z taką siłą, że ostrze wyszło przez pierś. Ugodzony upadł na kolana, a potem twarzą w płytką wodę brodu. Nie skonał od razu, ale nie żył już, kiedy go wnosili do Lawinium i na dziedziniec Regii, gdzie właśnie robiłam przegląd tkanin, które utkałyśmy tej zimy i bieliliśmy na trawie za murami. Wybrałam ładną sztukę na togę dla Eneasza. Nieprzywykły do noszenia takiego okrycia, często się skarżył, że to strój niewygodny. Właśnie składałam lekkie, miękkie śnieżnobiałe płótno, kiedy usłyszałam, jak krzyczą jego imię, a zaraz potem moje.

Idź, idź. W naszej mowie wyraża to pojedynczy dźwięk: i.

To ostatnie wypowiedziane przez Eneasa słowo. Dlatego uważam je za słowo do mnie skierowane, do mnie powiedziane. To ja mam iść, iść dalej. Tylko dokąd?

Nie wiem. Słyszę, jak to mówi, i idę. Przed siebie, dalej. Drogą. Drogą, którą idę. Kiedy przystaję, słyszę jego głos, który mówi: Idź.

Przez całą noc w całym Lawmium wykrzykiwano głośno jego imię, przywoływano ojca, lamentowano po ulicach.

Achates, Serestus, Mnesteus zebrali o świcie wszystkich Trojan i ruszyli do Ardei, przeczesując po drodze cały kraj. Nie znaleźli złodziei bydła, ale Camers z Ardei wiedział, kim byli i gdzie ich szukać. Dołączył do nich i pojechali tam razem. Dopadli łotrów i wszystkich zabili. Okazali się synami wieśniaków z północnej Rutulii, a przewodziło im kilku Etrusków, którzy przybyli z Mezencjuszem do Ardei, okrutnych, nie uznających żadnego pana rzezimieszków żyjących na wygnaniu.

Pchnęłam posłańca na naszym najlepszym koniu, wierzchowcu Eneasza, do Askaniusza do Alba Longa. Przyjechał nazajutrz do Lawinium, a pod wieczór tego samego dnia wrócili Trojanie. Nasz dom, dotychczas pełen lamentujących kobiet, był teraz pełen posępnych mężczyzn pod bronią.

Nie pozwoliłam, żeby włożyli na Eneasza zbroję. Ten cały rynsztunek z brązu i złota wraz z wielką tarczą ze scenami posępnej przyszłości powinien odziedziczyć Askaniusz, a po nim Sylwiusz. Obmyłam ciało mojego męża, po śmierci dostojne i tragiczne, poznaczone licznymi bliznami, i okryłam je togą naszego ludu, tą piękną białą togą, którą dla niego wybrałam.

Kiedy żniwo śmierci jest obfite, jak w czasie zarazy lub na wojnie, palimy ciała na stosach, jednakże wedle starszego zwyczaju grzebiemy zmarłych w ziemi. Poleciłam, żeby grób Eneasza wykopano przy drodze powyżej brodu na Numikusie. Tam go ponieśliśmy, z pochodniami, które płonęły i dymiły na deszczu i wietrze majowego poranka. Latynus wypowiedział rytualne słowa. Mężczyźni ułożyli na grobie wielki ko-

piec z rzecznych kamieni. Kiedy już wszystko zostało spełnione, stanęłam przy tym grobowcu i trzy razy zawołałam głośno imię mego męża.

– Eneasz! Eneasz! Eneasz! – a zebrani mi zawtórowali.

Potem wróciliśmy w milczeniu do miasta, niosąc zgaszone pochodnie główniami ku ziemi.

Dziewiątego dnia od śmierci Eneusza Latynus złożył królewską ofiarę, zabijając u kamiennego grobu pięknego ogiera, którego kiedyś ofiarował Eneaszowi. Konia pochowano obok grobowca jego pana.

Tego samego dnia mój ojciec ogłosił Askaniusza królem Lacjum, który ma dzielić z nim władzę jak przedtem Eneasz. Musiał całym swym autorytetem wesprzeć przekazanie władzy, ja zaś zażądałam, by cały nasz lud uznał w Askaniuszu króla, ponieważ wcale się do tego nie palono. Od początku wszystkich do siebie zraził. To on postrzelił jelenia Sylwii. Nigdy o tym nie zapomnieli. Był arogancki, kłótlivy, wyniosły, toteż wydawał się im bardziej obcy niż jego ojciec. Moi poddani w Lawinium pragnęli, żeby rządził nimi Latynus, natomiast ja powinienam siedzieć w Regii i wychowywać Sylwiusza, ich drogie dzieciątko, ich księcia, przyszłego króla. Stali więc posepni, z zapłakanymi twarzami, kiedy Latynus ogłaszał królem Askaniusza.

W dniach żałoby mój pasierb po raz pierwszy poprosił mnie o wsparcie. Odkrył, że mogę mu go udzielić, i przyszedł się do mnie wypłakać. W czasie ceremonii wyglądał i zachowywał się jak ktoś, kim w istocie był: młody chłopiec pogrążony w smutku, zrozpaczony, zagubiony, przerażony odpowiedzialnością, jaka na niego spadła. Przyjmując tytuł królewski i składając śluby ludowi i ziemi, mówił głosem drżącym, ledwo słyszalnym. W pewnej chwili musiałam mu wręcz

szepnąć: „Podnieś głowę, królu Latynów!”. I posłuchał mnie.

Nie wiem, skąd wzięłam siły do przetrwania następnych miesięcy. Przypuszczam, że jestem stworzona z tego samego materiału co mój lud: z dębu. Dęby się nie gną, choć czasem się łamią. Poza tym wiedziałam z góry, jaka nasze małżeństwo czeka przyszłość. Od dawna obcowałam ze śmiercią Eneasza – odkąd po raz pierwszy ujrzałam jego twarz, ciemną na tle jaśniejącego o świcie nieba, gdy stojąc na wyniosłej rufie okrętu, spoglądał w górę rzeki i modlił się z nadzieją. Trzy lata – zapowiedział mój poeta. I spełniło się co do dnia. Trzy stare kobiety, które przędą i przecinają nić żywota, wymierzyły ją dokładnie, co do cala, niczego nie dodały. Żadnego małego podarku z przędzy letnich dni.

W pierwszym roku po śmierci Eneasza moim oparciem byli głównie trojańscy wodzowie, jego starzy towarzysze, szczególnie Achates. Choć moja kochana Maruna, pozostałe domownicy i tak oddane przyjaciółki jak Illivia okazywały mi bezgraniczną czułość, współczucie i pomoc, wolałam przebywać z przyjaciółmi Eneasza, bo wśród nich czułam się bliżej niego. Pociechę przynosiło mi brzmienie męskich głosów, sposób, w jaki się poruszali, o czym rozmawiali, nawet ich trojańska wymowa. Będąc wśród nich, ulegałam złudzeniu, że mój ukochany aż tak bardzo się ode mnie nie oddalił.

Achates kochał Eneasza – muszę to uczciwie przyznać, choć buntuje się przeciwko temu moje serce – równie mocno jak ja, tylko o wiele dłużej. Jestem pewna, że tamtego lata nosił się z zamiarem samobójstwa. Siebie oskarżał o to, co zdarzyło się u brodu: powinien był nalegać, żeby włożyli pancerze, powinien był trzymać się bliżej przyjaciela podczas walki, nie powinien był pozwolić, żeby Eneasza puścił tego młokosa, powinien był pójść za nim i mieć na niego baczenie, powinien był zauważyć leżącą na ziemi włócznię – oskarżał się dosłownie o wszystko.

Kiedy przynieśli do domu ciało Eneasza, to on opowiedział mi pierwszy, co się zdarzyło u brodu. Teraz odkryłam, że pozwalając mu wciąż do tego wracać, pomagam mu wyrzucić z siebie choć część tamtego wstydu i gniewu, a także – jakkolwiek to się może wydać dziwne – sama pragnę tego słuchać wciąż od nowa, pragnę, żeby mi o tym jak najczęściej opowiadał, tak długo, aż będę umiała wyobrazić sobie wszystko tak dokładnie, jakbym była wtedy na miejscu Achatesa, klęcząca przy Eneaszu, własnoręcznie wyrywała zabójcze ostrze z jego

pleców, trzymała go w ramionach i patrzyła, jak krew z jego rany zabarwia płytką wodę strumienia przeciekającą między kamieniami.

– Jeszcze żył. Trzymał mnie za rękę, ale nie sądzę, by mnie widział – opowiadał Achates. – Patrzył w niebo. Kiedy go podnieśliśmy, żeby położyć na noszach, zamknął oczy. Już się nie odzywał, ale jeszcze żył.

Tak długo, jak długo Achates mi to opowiadał, mój mąż jeszcze żył.

Askaniusz, przygnieciony, niemal zmiądzony nowymi obowiązками, był początkowo zazdrosny o moje zbliżenie z trojańskimi wozdami: to byli jego, nie moi ludzie, potrzebował ich rady, mieli być na jego rozkazy, a nie wałęsać się po Regii z kobietami. Nakazał Achatesowi, żeby pojechał do Alba Longa i objął rządy nad miastem. Achates bez szemrania zastosował się do polecenia, ale mnie perspektywa jego wyjazdu przeraziła. Poszłam w sekrecie do pasierba i poprosiłam, żeby zamiast niego posłał Mnesteusa lub Serestusa, którzy po pierwsze lepiej znali Albę, a po wtóre opuściliby Lawinium bez żalu.

– Niech Achates tutaj zostanie, przynajmniej do przyszłego roku – tłumaczyłam. – Codziennie chodzi na grób Eneasza. Pozwólmy mu najpierw ukoić smutek. Z pewnością wolałby teraz nie wyjeżdżać.

– Chcesz go zatrzymać przy sobie? – zapytał sucho Askaniusz.

Zauważyłam, że niektórzy mężczyźni wykazujący pociąg do mężczyzn, nie do kobiet, sądzą, że wszystkie kobiety w sposób nienasycony pożądamy przedstawicieli ich płci. Nie wiem, czy to odbicie ich własnych żądz bądź obaw czy zwykłej zazdrości, lecz tu w znacznej mierze leży przyczyna nasilonej pogardy i nieporozumień. Askaniusz miał skłonność do takiego właśnie oceniania kobiet, nadto jego gorące pra-

gnienie, by zachować pamięć o ojcu w stanie nieskazitelnej czystości, kazało mu podejrzewać mnie o nieczne zamiary względem wszystkich mężczyzn. Miałam już tego świadomość. To obrażało mój honor i skłaniało mnie do pewnej wzajemnej pogardy dla Askaniusza, ale ani gniew, ani pogarda nie pomogłyby mojej sprawie. Toteż powiedziałam:

– Najchętniej zatrzymałabym przy sobie wszystkich przyjaciół Eneasza i ciebie, jego starszego syna. Co się jednak tyczy Achatesa, to boję się, by z rozpaczy nie odebrał sobie życia. Dlatego proszę cię, pozwól mu zostać tu ze sobą, przynajmniej przez zimę, a do Alby pošlij kogoś innego.

– Najchętniej sam bym pojechał – wyznał.

Zaczął się przechadzać po pokoju. Nie był zbyt podobny do ojca, ale niekiedy poruszał się zupełnie jak Eneasze.

– Myślałem, że to będzie zaszczyt dla Achatesa – powiedział. – Najważniejszym miastem Lacjum będzie wkrótce Alba Longa, nie Lavinium. Góruje pod każdym względem... jest wyżej położone, ma lepsze ziemie... no i leży pośrodku terenów, nad którymi obejmiemy władzę, kiedy zdobędę wreszcie realną kontrolę nad Rutulią. Myślałem, że Achates poczyta to sobie za zaszczyt. Ale jeśli jest tak załamany, jak twierdzisz, pošlę tam Mnesteusa lub Atysa. Nie musisz więc klękać, matko. – Miałam już bowiem zamiar przybrać tę zwyczajową pozę błagalnika i podjąć go pod kolana. Wiem, że nie miałby nic przeciwko temu. Zdawałam sobie sprawę, że nie jest młodzieńcem twardego serca, przeciwnie, łagodnym z natury i bardzo chwiejnym, lecz sztywnym w kwestiach hierarchii, ceremonii, wszystkiego, co podbudowywało jego wątłe poczucie własnej wartości.

Niełatwo mu o to było tu, w Lawinium, gdzie wszyscy nieustannie rozpaczali po Eneasz, czcili starego Latynusa, mnie kochali jako córkę jednego króla i wdowę po drugim, a do niego żywili urazę. Starając się dorównać autorytetowi Eneasza, chłopak był oschły w obejściu i często arbitralny w sądach. To był trudny dla niego rok, chociaż zbiory udały się doskonale i w całym Lacjum panował spokój mimo sporadycznych najazdów i naruszeń granic, które jak się obawialiśmy, mogły się nasilić po zabiciu króla przez bandę wyrzutków.

Zima była ponura, z uporczywymi zimnymi deszczami i śniegiem na wzgórzach, a nawet na polach niżej położonych. Tej zimy nauczyłam się nareszcie dobrze tkać, bo gdy nie miałam czym zająć rąk i głowy, mogłam tylko chować się w swoim pokoju i płakać. Po raz pierwszy chwycił mnie lęk, że mogłam odziedziczyć po matce jej chorobę: obłąkanie. W nocy odwiedzałam mroczne zakamarki mojego umysłu. Schodziłam w podziemia między cienie i nie potrafiłam znaleźć drogi powrotnej na powierzchnię. W ciemnościach swojego pokoju słyszałam płaczące pod moimi stopami niemowlęta. Bałam się zrobić krok, by nie nadepnąć jakiegoś maleństwa.

W mojej opowieści nie zachowywałam kolejności zdarzeń. Wciąż trudno mi o tym mówić. W miesiąc po śmierci Eneasza straciłam dziecko, dziewczynkę. Tylko moje kobiety wiedziały, że byłam brzemienna i że poroniłam. Tylko one i Eneas. W ciemności nadrannej godziny wyszliśmy z Maruną z miasta i pogrzebałyśmy biedny zaczątek życia, które się nie narodziło, głęboko pod wielkimi kamieniami na grobie mojego męża.

Askaniusz coraz częściej jeździł do Alba Longa, a drugiego lata po śmierci Eneasza, w niedługi czas po uroczystościach Parentaliów ku czci ojca, które odprawił z całym przepisany rytuałem, na dobre się tam przeniósł. Nasze granice zaczynały płonąć, dlatego chciał sprawować rządy z Alby, która była lepiej ufortyfikowana. Zabrał ze sobą trojańskie penaty, Sylwiusza i mnie. Mnesteusa i Serestusa pozostawił w Lawinium, powierzając im władzę nad miastem. Również Achates wolał zostać w dawnej stolicy, podobnie jak większość starszych Trojańczyków. Za Askaniuszem poszli jego poplecznicy i najbliżsi przyjaciele spośród młodych Trojańczyków, tacy jak Atys, od dziecka ukochany, oraz grupa młodych Latynów, którzy stanowili jego gwardię i dowodzili wojskiem. Wielu z tych mężczyzn pozostawało wciąż w stanie bezżennym; ci, którzy mieli żony, przenosili się z całymi rodzinami i dobytkiem do Alby. Mnie pozwolono zabrać ze sobą dwadzieścia kobiet jako moją świętę. Ponieważ Askaniusz nie był żonaty, dostałyśmy dla siebie całą część kobiecą Regii, znacznie większy i piękniejszy dom niż ów skromny, który Eneasza zbudował w Lawinium. Pałac Askaniusza był naprawdę imponujący, a miejsce, na którym stał, dosłownie zapierało dech w piersiach. Człowiek czuł się tam tak, jakby mieszkał w niebie. Z murów i dachów warowni patrzyło się z wysoka na wielkie jezioro i na piętrzącą się za nim wschodnią ścianę krateru. Dalej za górą rosły młode winnice, których bujność Askaniusz trafnie kiedyś przepowiedział. Wspaniale też rozrastało się samo miasto, rozłożone poniżej warowni, tętniące życiem, rozbudowujące się, wypełnione gwarną krzątaniem zbrojnych mężczyzn.

Ja czułam się tam jednak jak obnażona. Za dużo było tych potęż-

nych popielatych zboczy, za dużo nieba, nie było za to prawie śladu cienia. Wody jeziora nie poruszały się, nie przemawiały jak wody, które dotąd znałam; leżały ciche, niebieskie, nieprzeniknione. Czułam się tam samotna. Bezużyteczna.

Oczywiście prowadziłam dom mojego pasierba, przyjmowałam niewolnice i przyuczałam je do prac domowych, gotowania i szycia, poza tym miałam pieczę, jak i wcześniej, nad obrzędami i obchodami świąt. Brałabym też udział w naradach i posiłkach w męskim gronie, jak robiłam w domu ojca, a potem męża, ale nie byłabym tam chętnie widziana. To zresztą nie był mój świat. W Albie rządził Mars. Rozmawiano wyłącznie o wojnie, nawet w zimie, kiedy nie toczono żadnych walk.

To nie znaczy, że Askaniusz nieustannie rwał się do broni, po prostu wydawało się niepodobieństwem unikanie walki, wciąż bowiem dawano nam do niej powody wzdłuż naszych południowych i wschodnich granic. Askaniusz odpowiadał natychmiastowym kontratakiem na każde zagrożenie czy wyzwanie; zwycięstwo wieńczył zemstą, przegraną – ponownym atakiem, im prędzej, tym lepiej. Okresy rozejmów należały do rzadkości, o pokoju można było tylko marzyć. Do zerwania przymierza sprowokował nawet starego Ewandra. Myślę, że okazałby się dość szalony, by toczyć spory z Etruskami, gdyby nie powstrzymał go mój ojciec. Latynus starał się utrzymywać przyjazne stosunki z Caere i Wejami. Uprzedził Askaniusza, że jeśli narazi je na szwank, będzie musiał dowieść swojego prawa do współrzędzenia zachodnim Lacjum. Był zły na Askaniusza również dlatego, że zabrał do Alby mnie i wnu-
ka.

Odwiedził nas tylko raz. To była dla niego trudna wyprawa był już bowiem starym człowiekiem, okulałym od dawnych ran. Większość swych wartościowych przedmiotów oddał już wcześniej mnie i Eneaszowi. Przybył pod koniec grudnia, bez żadnych splendorów, z kilkuosobową resztką gwardii, bo tylko taka mu została. Sztywno przyjął powitalne honory, jakie mu świadczył Askaniusz. Prawie się nie odzywał przy stole podczas uczyty, do której zasiadł w gronie młodych mężczyzn, jak mi donieśli słudzy. Gdy tylko mógł, przychodził i siadał z nami na dziedzińcu albo przy ogniu w tkalni, rozmawiał ze mną, przyglądał się wnukowi.

Ulubioną zabawką Sylwiusza były w tym czasie dwa duże żołędzie, ich miseczki oraz dziwny supel z drewna, który gdzieś znalazł, przypominający konia. W wielkim skupieniu bawił się tymi zabawkami przy palenisku, szeptem opowiadając sobie jakieś historie. Co pewien czas dolatywały nas ich strzępki: „No już, pij. Nie. Ten gruby powiedział, żeby nie... Patrz, czy to dom?”.

– Ładny z niego chłopiec, Lawinio – stwierdził mój ojciec.

– Wiem – odparłam ze śmiechem, reagując na miłą sercu oczywistość.

Przyjemnie było się śmiać. Tak mało miałam powodów do śmiechu w tym domu.

– Dobrze go wychowaj. – To było stwierdzenie, nie rozkaz, ale w głosie mojego ojca zabrzmiał ton polecenia czy przestrogi.

– Mam nadzieję wychować go tak, jak by to zrobił Eneasz.

Latynus przytaknął z zapalem.

– Słusznie – rzekł. – Nie opuszczaj go.

– Nie opuszczę, ojczy.

– Twój mąż był wielkim wojownikiem, mimo to pragnął pokoju.

Choć często sama o tym myślałam, poczułam, jak wilgotniejszą mi oczy. Stłumiłam szloch i zamilkłam.

– Askaniusz mógłby bez trudu panować w pokoju – ciągnął Latynus. – Ale brakuje mu wytrwałości, żeby pokonać wojnę. Nie pozwól, żeby to on wychowywał twojego syna.

Jakżeby mogła przeszkodzić Askaniuszowi w przejęciu wychowania Sylwiusza, gdyby tego zapragnął? Nie miałam takiej władzy.

– Wiesz, że wolałabym zostać w Lawinium – wyszeptalam w końcu, starając się, by w moim głosie nie zadrgała rozpacz.

– Wiem, córko. Jedyne co mogłem, to nie wtrącać się.

Potaknęłam na znak, że się z nim zgadzam.

– Lecz jeśli poczujesz kiedyś, że nie ma innego wyjścia, jeśli uznasz to za najlepsze rozwiązanie... zabieraj swoje bóstwa, zabieraj syna i wracaj! Uczynisz tak?

– Uczynię.

Myślałam, że radzi mi, bym wróciła do niego, tymczasem on zakończył:

– Tarchon z Caere przyjmie cię z otwartymi rękami i będzie traktował z szacunkiem.

– Och... możesz być pewien, że się nie doczeka! – zawołałam, wpatrując się w Latynusa ze zdumieniem i przerażeniem.

– Nie wiem, co jeszcze może się wydarzyć. Jeśli on przyswoi sobie kilka lekcji z tematu wojny i spokornieje, jeszcze wszystko może być dobrze. – Mówiąc: „on”, miał na myśli Askaniusza. – Usiłowałam mu

zeszłej nocy wytłumaczyć, żeby zostawił w spokoju Ewandra. Starzec dogorywa. Po jego śmierci wkroczą do Pallanteum Etruskowie i zajmą Siedem Wzgórz. Pokojowo. Nie ma powodu, by tego nie uczynili. Chyba że stanie im na przeszkodzie jego zapalczywość. Och jako młody człowiek często bywałem głupcem, lecz nigdy aż takim, żeby zadzierać z Etrurią! To nasi najlepsi sprzymierzeńcy, lepszych nie znajdziemy. Co mam zrobić, żeby on to dostrzegł?

– Nie dostrzeże, ojczu.

– Och, patrzcie, patrzcie – doleciał nas cichy szept Sylwiusza – podają mu złotą misę!

Latynus spojrział na wnuka z półuśmiechem, oczy jednak miały smutne.

– Cierpliwość! – westchnął. – Potrzebuję jej nie mniej niż on.

Wtedy po raz ostatni widziałam mego ojca. Przeziębił się, spacerując w deszczu po swoich polach, przeziębienie rzuciło się na płuca i umarł po kilku dniach, nazajutrz po idach styczniowych. Zarządziłam, żeby mi dano konie do Laurentum i kilku ludzi jako eskortę dla mnie, Maruny i Sykany. Askaniusz był zajęty poskramianiem Marsów w pobliżu Tiburu, o niczym więc nie wiedział. Nie wzięłam ze sobą Sylwiusza, bo kaszlał od kilku dni i dostał gorączki, a było zimno i padał lodowaty deszcz. Wielki wawrzyn stał w zimowym mroku nad fontanną na dziedzińcu Regii. Brama Wojny była wciąż otwarta, odkąd zacięła się na tych nieszczęsnych zardzewiałych zawiasach. Wydawało się, że Laurentum składa się z samych starców. Nie widziało się tam prawie młodych twarzy, nie słyszało młodych głosów. Pozostałam w rodzinnym gnieździe jedynie tak długo, by pochować ojca przy drodze do

miasta. Nie mogłam zostać na całych dziewięć dni żałoby. Musiałam wracać do mojego syna i miasta mojego wygnania.

Askaniusz był teraz jedynym królem Lacjum. Nie wszyscy lacyńscy wieśniacy byli z tego powodu szczęśliwi, ale nie protestowali i nie buntowali się. Zagrożenie dla naszych granic nie ustawało, a oni woleli mieć jednego wodza na czas wojny. Bo też wojna miała być naszym losem na najbliższe lata. Wolskowie i Hernikowie, ośmieleni nadzieją, że śmierć Latynusa osłabiła królestwo, nieustannie nękali nasze przygraniczne zagrody i miasta. Niebawem i Camers z Ardei, który przybył do Eneasza jako do sprzymierzeńca i niemalże ojca, poczuł się srodze dotknięty butą Askaniusza, dlatego odtąd pozwalał swoim Rutulom dokonywać wypadów i najazdów na tereny Lacjum, odnowił też przyzmię z Wolskami. W dodatku, choć to nie przyczyniało się na razie do nasilenia walk, Etruskowie z wielkiego śródlądowego miasta Weje zaczęli zachęcać wieśniaków do osiedlania się z całymi rodzinami na Siedmiu Wzgórzach nad Tybrem, tym sposobem je kolonizując. Nie zajęły istniejącej tam małej osady greckiej, ale po prostu rozsiedli się wokół, budując chaty na obu brzegach rzeki, na Janikulum i dalej, na wzgórzach, które nazwali Palatynem. Wycinali lasy wzdłuż rzeki i wypasali swe dorodne bydło po dolinach. Wielu młodszych Greków z Palanteum przeniosło się do Arpi, miasta Diomedesa, inni zaczęli się osiedlać w Alba Longa. Lacjum od dawna zgłaszało roszczenia do rejonu Siedmiu Wzgórz i całego południowego brzegu ojca rzeki, aż po Nomentum. Askaniusz był wściekły z powodu tego cichego zaboru, jednakże posłuchał przestróg Latynusa i nie próbował zaczepiać Etrurii. Wejańscy koloniści oferowali nam doskonałą cenę za sól z naszych salin u ujścia rzeki i nie zdradzali zamiarów dalszej ekspansji na nasze ziemie. Nowemu osiedlu nadali tę samą nazwę co rzece: Ruma.

Tarcza Eneasza wisiała w przedsionku pałacu w Albie. Askaniusz nie brał jej ze sobą, wyruszając na wojnę, podobnie jak nagolenników, złoconego pancerza, hełmu z przyciętą czerwoną kitą i długiego brązowego miecza. Usłyszałam któregoś razu, jak mówi, że te chłopskie najazdy, te potyczki z pomniejszych barbarzyńskimi królikami nie zasługują na tak szlachetną broń, że powinny być rozstrzygane innym orężem: gracami i motykami. Podejrzewam, że zbroja po Eneaszu była po prostu dla niego za ciężka.

Zobaczyłam raz, jak Sylwiusz stoi pod tarczą i uważnie się jej przygląda. Miał wtedy sześć albo siedem lat. Zapytałam go:

– Co tam widzisz, Sylwiuszu?

Przez chwilę nie odpowiadał, a potem odezwał się głosem tak cichym, jakby dobiegał z daleka:

– Przyglądam się tym wszystkim ludziom w tym wielkim kolistym miejscu.

Stałam obok niego i spojrzałam w górę. Zobaczyłam wilczycę, płonące okręty, mężczyznę z kometą nad głową, mordujących się wzajemnie żołnierzy, ludzi, którzy torturują innych ludzi. Zobaczyłam rzecz wspaniałą: wielkie łuki z białego kamienia, które zbiegały z gór przez doliny do miasta ze świątyniami na wzgórzach. Do Rzymu.

Bałam się tej tarczy, ale mój syn się jej nie bał. Miał we krwi tę potęgę, która ją stworzyła i w niej trwała. Wyciągnął rękę do złotego pancerza i jął gładzić jego wypukłości i ozdoby.

– Któregoś dnia ty go włożysz – powiedziałam.

Skiął głową.

– Gdy już będę umiał.

Sylwiusz był bardzo silny jak na dziecko w jego wieku. Nie był zawadiaką i brutalniejsi chłopcy często brali jego spokój za potulność lub strachliwość. Lecz jeśli podjęli jakieś działanie na tym przypuszczeniu oparte, szybko odkrywali swą pomyłkę. Słowne zaczepki ignorował, ale fizyczną napaść czy tylko jej groźbę odpierał niezwłocznie: uderzony, oddawał w dwójnasób. Był bardzo sprawny. Uwielbiał wszystkie dyscypliny i zabawy sportowe. Jeździł konno i polował, gdy tylko miał okazję. Był pilnym uczniem sędziwego mistrza fechtunku, niegdyś nauczyciela Askaniusza, który uczył go ponadto rzucać włócznią, strzelać z łuku oraz innych żołnierskich rzemiosł. Wobec swoich rówieśników i starszych mężczyzn zachowywał powagę i milczącą rezerwę. Otwierał się tylko przy mnie, wśród moich niewiast i małych dzieci w kobiecej części domu. Sylwiusz, jakiego znałyśmy na naszym dziedzińcu, był wesoły, czuły, figlarny, łasy na łakocie, cierpliwy dla maluchów, niecierpliwy wobec wymogów rytuału, uwielbiający żarty, głupie zagadki i nonsensowne rymy. Wszyscy go lubili. Nawet Askaniusz, choć trochę wbrew sobie.

W pierwszych latach swego panowania, ledwo samemu wyrósłszy z wieku szczenięcego, Askaniusz żył w blasku ojcowskiej sławy, starając się niestrudzenie zajaśnieć własnym blaskiem, ale stale tamtym ojcowskim przyćmiewany. Zanadto czcił pamięć Eneasza, by żywić doń o to urazę, był jednak zazdrosny i podejrzliwy wobec wszelkiej innej władzy czy popularności, szczególnie mojej. Pragnął przewyższyć swego ojca, pragnął zapłonąć jak słońce, a oto ja – księżyc – bez wysiłku świeciłam słonecznym blaskiem odbitym i nie musiałam się starać o miłość mego ludu, ponieważ byłam jego częścią i wdową po uwielbia-

nym Eneaszu. Choć żyłam skromnie, niczym więźniarka w domu pasierba, Askaniusz widział we mnie stałe zagrożenie dla własnej godności, uważał, że podkopuję jego autorytet. Nasz lud był coraz bardziej zgnębiony ciągłymi wojnami, które narażały młodych mężczyzn na niebezpieczeństwo, a gospodarowanie pozostawiały w rękach starców – czyż mogło to kogokolwiek uszczęśliwić? Tymczasem Askaniusz mnie obarczał odpowiedzialnością za ich protesty i opór. To ja zatruwałam jego doradców, knułam z kobietami, buntowałam przeciwko niemu Latynów. Daremnie żyłam jak westalka, nie królowa, zajmując się wyłącznie domem i opieką nad ołtarzami: zawsze ja byłam winna.

Wiodłam smutne życie, nie tyle gorzkie, ile szare, szare jak kurz, życie, w którym nie było żadne ożywcze źródło prócz mego pięknego, bystrego, troskliwego syna. Który rósł, rozkwitał i przynajmniej to napępniało moje serce radością i nadzieją.

A potem nadszedł taki marzec, gdy my Latynowie uderzyliśmy w końcu na Wolsków i Rutulów, zepchnęliśmy ich aż na wybrzeże, zdobyliśmy Ardeę i Antium i zmusiliśmy, żeby nas błagali o rozejm na naszych warunkach i poddali się pod naszą władzę. Nasi mężczyźni powrócili z tej wyprawy na kwietniową orkę i zostali w domach przez całe lato. Zbiory były obfite. Podniesiony na duchu tym zwycięstwem Askaniusz złagodniał i jał okazywać życzliwość, która była jego prawdziwą naturą. Kilka razy zaprosił mnie na ucztę w wielkiej sali pałacu i traktował z uroczystymi honorami. Parokrotnie rozmawiał nawet ze mną nieoficjalnie i choć miał się przy tym bardzo na baczności, zaczął okazywać prześliski zaufania. To wtedy opowiedział mi pewną dziwną historię związaną z przepowiednią, o której dotąd nie słyszałam. Powtór-

rzę ją jego słowami.

To było wtedy, kiedy Turnus zbierał wojska, żeby przepędzić Trojan. Eneasz szykował się do wyprawy w górę rzeki, gdzie miał szukać pomocy u Ewandra. Rankiem tamtego dnia – opowiadał Askaniusz – ujrzeli obaj z ojcem leżącą na brzegu rzeki wielką, białą dziką maciorę z trzydziestoma białymi przyssanymi do niej prosiętami. Eneasz niezwłocznie zarządził ofiarę i ogłosił przy ołtarzu wróżbę: jego nowe królestwo zostanie założone na miejscu zwanym Alba – czyli Biała – a jego następca będzie tam władał przez trzydzieści lat.

Ani mój mąż, ani mój poeta nie powiedzieli mi o tej przepowiedni. Wiedziałam tylko tyle, że Eneasz miał zbudować w Italii nowe miasto i nazwać je imieniem żony. Nie wspomniałam o tym Askaniuszowi, ponieważ wydawał się bardzo przywiązany do wróżby z maciorą, która tłumaczyła jego przenosiny do Alby. Podziałała ona dziwnie na moją wyobraźnię. Niejeden raz śniły mi się później białe prosięta biegnące bez końca rządkiem, jedno za drugim, choć wszystkie miały poderżnięte gardła i z tych ran sączyła się ciemna gęsta krew, a obok dyszał i tarzał się w trawie olbrzymi biały stwór wykrwawiony do cna, a jednak wciąż żywy, nie mogący skonać.

Następny rok upłynął nam w pokoju, lecz potem Sabinowie do spółki z Ekwami zaczęli najeżdżać nasze miasta i zagrody na północnym wschodzie, paląc, rabując i uprowadzając mieszkańców do niewoli. Zapuszczali się w głąb naszej ziemi aż po Tibur i Fidenae. Przez dwa lata toczyliśmy z nimi walki. Askaniusz zadał im ostateczną klęskę pod koniec roku w zażartej bitwie na wzgórzach nad Anio. Walczyli tam u jego boku wszyscy starzy Trojanie: Achates, Mnesteus, Serestus, a więc

ci, którzy za młodu walczyli pod murami Troi. To była ich ostatnia bitwa. Żołnierze powrócili do domów w zimowe słoty, wynędzniali, wychudzeni jak stare wilki, ale zwycięscy.

Tryumfujący Askaniusz okazał się znowu przyjazny i łaskawy. Zaprosił Trojan z Lawinium, żeby przybyli do Alba Longa po honory i zaszczycy, i zadbał o to, by jego młodszy wodzowie traktowali seniorów z szacunkiem. Choć ta obronna wojna nie przyniosła wielkich korzyści, cały zdobyty łup podzielił między żołnierzy, którzy walczyli za Lacjum. Posłał też hojne dary do Gabii i Praeneste w podzięce za pomoc obu miasteczek.

Po powrocie z krótkiej wyprawy do Ardei, mniej więcej w porze przesilenia zimowego, wezwał mnie do siebie i rzekł:

– Matko, wiem, że nigdy nie miałaś serca do Alba Longa.

– Moje serce jest tam, gdzie mój syn – odrzekłam.

– I przy grobie twojego męża, jak przypuszczam. – Powiedział to ciepło, a ja przytaknęłam. – Zarządzałaś moim domem mądrze i z taktem, toteż wielu będzie po tobie wzdychało, jeżeli odjedziesz. Ale oto oświadczam ci, że jeśli chcesz wyjechać, jedź. Poprosiłem o rękę Saliki, siostry Camersa. Przybędzie tu w kwietniu jako moja narzeczona. Jeśli zechcesz pozostać, by ją wprowadzić w gospodarstwo i nauczyć sztuki prowadzenia domu, w której celujesz, będziemy ci szczerze wdzięczni. Ale jeśli uważasz, że nie będzie zbyt roztropnie umieszczać dwie królowe pod jednym dachem, lub po prostu pragniesz powrócić do Lawinium, które jest bezsprzecznie twoim domem, zbudowanym dla ciebie przez mojego ojca, pragnę, byś swobodnie dokonała takiego wyboru, jakiemu z serca sprzyjasz.

Ta niezgrabna pompatyczność podścielona dobrymi intencjami bardzo do Askaniusza pasowała. Rozważałam sobie jego słowa i już mi zaczynał świtać promyczek nadziei, ogrzewając całą moją duszę, kiedy Askaniusz dokończył:

– Oczywiście Sylwiusz zostanie przy mnie. Musi się wszak ćwiczyć. Pora, żebym stał się dla niego lepszym bratem... ostatecznie zastępuję mu ojca.

– Wykluczone – powiedziałam.

Wlepił we mnie oczy.

– Skoro sprowadzasz tu żonę, godzi się, bym wyjechała. To ona powinna tu rządzić. Chętnie i z radością wrócę do Lawinium. Lecz nie sama, nie bez Sylwiusza.

Był zaskoczony i zły. Naprawdę uważał swoją propozycję za całkiem rozsądną i wspaniałomyślną.

– Chłopiec ma już jedenaście lat, czyż nie?

– Właśnie tyle.

– Zatem pora, żeby przeszedł pod opiekę mężczyzn.

– Nie zostawię mojego syna. Opiekę nad nim powierzył mi Eneasz.

– Nie możesz być dla niego i matką, i ojcem.

– Mogę. I jestem. Nawet mnie o to nie proś, Askaniuszu. Nie oddzielisz mnie od Sylwiusza. Jestem ci wdzięczna za twoją braterską troskę. Nie obawiaj się, w Lawinium odbierze wychowanie, jakie przystoi mężczyźnie. Zadbają o to towarzysze twojego ojca i twój latyński wodzowie. Chyba wiesz, że go nie rozpieszczę. Czy jest mało zręczny jak na swój wiek? A może leniwy, tchórzliwy? Czy pod jakimkolwiek względem nie jest godzien ojca?

Przyjrzał mi się uważnie. Byłam teraz tą wilczycą z tarczy. Dostrzegł moje kły.

– To niestosowne – powiedział po chwili.

– Że nie chcę porzucić syna?

– Zostanie przecież ze mną. Zaledwie kilka mil od Lawinium.

– Gdzie on, tam i ja.

Odwrócił się zaskoczony i powtórzył:

– To w najwyższym stopniu niestosowne.

Przypuszczam, że rzadko mu się sprzeciwiano, odkąd został królem Lacjum. Zapomniał, że wciąż jestem królową.

Stałam przed nim i milczałam. W końcu rzekł:

– Wróćmy do tej rozmowy. – Odwrócił się jeszcze od progu i rzucił tonem wręcz kłótlwym: – Zastanów się nad swoim położeniem. Nie w każdej sprawie zdołasz postawić na swoim.

Nie potrafił się pogodzić ze sprzeciwem. Nie miał w sobie dostatecznej siły, nie mógł sobie pozwolić na tolerowanie opozycji. Potrafił być wspaiałomyślny tylko wtedy, kiedy był górą. Domyśliłam się od razu, że w tej sprawie okaże się nieustępliwy. Swoją postawą potwierdziłam jego podejrzenia. Teraz już wiedział, że jego wcześniejsze wobec mnie domysły były uzasadnione, że słusznie mnie podejrzewał przez te wszystkie lata, kiedy wypełniałam posłusznie jego polecenia, usługiwałam w jego domu, potakiwałam i trzymałam język za zębami. Byłam kobietą, nigdy zatem nie należało mi ufać, nie należało mnie słuchać. Trzeba mnie było zignorować i pokonać.

Kiedy tego wieczora wróciłam do moich pokoi w kobiecej części domu, czułam się tak, jakby myśli miały za chwilę rozsadzić mi głowę,

jakby moja czaszka była na nie za mało pojemna, choć myśleć mogłam tylko o jednym. Askaniusz od niemal dziesięciu lat kierował moim życiem. Wypełniałam jego wolę, nie swoją, i on do tego przywykł, jakbym była niewolnicą. I teraz chciał mi odebrać – bez złej woli, ale też bez sensu czy potrzeby – treść i cel mojego życia. Nie był właściwym wychowawcą dla mojego syna, dla syna Eneasza. Stwierdził to mój ojciec, a ja się z nim zgadzałam.

– Czy coś się stało? – zapytała mnie Maruna, kiedy wyszłyśmy razem za potrzebą.

– Król odsyła mnie do Lawinium.

Rozjaśniła się.

– Ale chce zatrzymać Sylwiusza.

Spochmurniała.

– Bez niego nie wyjadę – zapewniłam. Po chwili, podchodząc do misy, by się umyć, dodałam: – Ale i tutaj nie zostanę. Wystarczy tego dobrego!

Podeszła i stanęła obok mnie, a ja zawołałam do służki:

– Maju, przynieś nam tu świeżej wody, dziecko! – Dziesięcioletnia Maja weszła z dzbanem i poląła zimną wodą nasze dłonie, a jej mała siostrzyczka przybiegła z ręcznikami. Były wnuczkami Sykany, dziewczynkami wątpliwej urody, za to bardzo bystrymi. – Wy obie wróćcie z nami do Lawinium – powiedziałam do nich, na co zrobiły wielkie oczy, nie rozumiejąc, co mam na myśli. – Pojadę – powtórzyłam Marunie, wycierając ręce. To, że powiedziałam to głośno, pomogło mi się uspokoić. – Z Sylwiuszem. Maruno, czy ja jestem podobna do mojej matki?

Jak zwykle zastanawiała się chwilę przed odpowiedzią.

– Pod wieloma względami – zaryzykowała w końcu.

– Pytam, bo wiem, dlaczego oszalała. Wiem, że mogę popaść w obłąd podobnie jak ona. Powiedz mi, kiedy spostrzeżesz u mnie oznaki szaleństwa. Obiecuj, że mi to powiesz.

– Obiecuję.

– Gdyż mam również naturę mego ojca. Myślę, że jeśli będę wiedziała, że popadam w obłąd, zdołam go powstrzymać. Lecz nie wtedy, gdy stracę Sylwiusza.

Kiwnęła głową.

Naprawdę rozumiałam, jak funkcjonował w napadach szału umysł mojej matki: nieustanny wir pomysłów, planów, projektów, potworna irytacja na wszystko, co odwracało uwagę od dręczącej ją obsesji, a także na każdego, kto tego nie rozumiał, dziwne uczucie zamknięcia w pułapce. Pamiętałam te dwoje bladozłocistych ślepi, które świeciły jakby własnym blaskiem. Byłam wilczycą w pieczarze, znieruchomiałą na sztywnych łapach, cichą, sprężoną w ciemności.

Przygotowania do ślubu Askaniusza i Saliki toczyły się jednocześnie z moimi przygotowaniami do opuszczenia królewskiego pałacu. Ja i moje kobiety zostawiłyśmy wszystko gotowe na przyjęcie nowej królowej: spizarnie pełne ziarna, skrzynie na pościel i ubrania pełne czystych, równo poskładanych, delikatnych tkanin, miękkich futer i welen. Przygotowałyśmy poświęconą mąkę, odkurzyłyśmy ołtarze, zamiotłyśmy podłogi. W spizarniach nie było ani jednego mola, ani jednej myszy, a na podłogach leżały świeże śnieżnobiałe dywaniki z owczego runa. Miałam swoją godność. Poza tym chciałam, żeby Salika poczuła się w Regii jak w domu, który serdecznie ją wita. Była młodziutka, miała dopiero osiemnaście lat, a choć Askaniusz na pewno nie będzie jej źle traktował, nie sądziłam, by miał być dobrym mężem. Kobiety go nie pociągały, nie lubił ich towarzystwa. Żenił się, bo ludzie zaczęli się zastanawiać, dlaczego król nie bierze sobie żony, a także dlatego, że chciał się doczekać potomka, by dowieść swej męskości, a może i zdobyć punkty w skrywanej rywalizacji z Sylwiuszem.

Oczywiście od razu powiedziałam mojemu synowi, że wyjeżdżamy. Wspólnie to omówiliśmy, był bowiem dzieckiem rozsądnym i inteligentnym, a dzieci mają swój rozum. Przewidywałam, że może zechce zostać w Albie, bojąc się kłótni z Askaniuszem, ale też dlatego, że uważał za swój obowiązek posłuszeństwo wobec króla i starszego brata. Okazało się, że się myliłam. Oświadczył mi:

– Niech Askaniusz panuje tutaj, a nam pozwoli panować w Lawinium. Jestem dziedzicem nie tylko Latynusa, ale i Eneasza. Chcę mieszkać na zachodzie i pobierać nauki od przyjaciół ojca. Askaniusz tak naprawdę wcale mnie tu nie chce. – Po chwili zaś dodał z wes-

technieniem żalu: – Ale wiesz, Atys mówi, że konie są tu bez porównania lepsze niż w Lawinium.

– Twój ojciec wybrał dla ciebie żrebaka, którego spłodził jego ogier. Przypuszczam, że dotychczas stoi w królewskich stajniach.

Rozjaśnił się.

– Więc dopuszczasz myśl, że w Lacjum znów będzie dwóch królów? – zapytałam.

– Skoro tak trzeba – powiedział z taką powagą, jakby miał lat czterdzieści, a potem dodał: – Nie chcę zostawać tu bez ciebie!

– A ja cię tu samego nie zostawię. Więc sprawa załatwiona.

– On, jego maciora i trzydzieści prosiąt! – mruknął Sylwiusz.

– Kiedy wrócimy do Lawinium, zaprowadzę cię do lasu Albunei – obiecałam i na samą o tym myśl fala radości zalała mi serce. – I może w nocy odezwie się tam do ciebie z ciemności dębowego gaju twój pradziadek Faunus, jak kiedyś przemówił do twojego dziadka Latynusa.

– Opowiedz mi o Pikusie – poprosił, opowiedziałam mu zatem, zresztą nie po raz pierwszy, o dziadku zmienionym w dzięcioła. Uwielbiał słuchać historii o swoim kraju i jego mieszkańcach, podobnie jak lubił słuchać opowieści starych Trojan o wojnie z Grekami.

Ponieważ byliśmy tak zadowoleni z naszych decyzji i planów, uwierzyłam, że również Askaniusz uzna je za roztropne. Lecz kiedy poszłam go prosić o formalną zgodę na opuszczenie Lawinium wraz z synem, wpadł w gniew i wcale nie próbował tego ukryć.

– Ty możesz jechać – wycedził – ale Sylwiusz zostaje tutaj. Uprzedziłem cię przecież o tym miesiąc temu.

Pozostało mi tylko błaganie.

– Synu mojego męża, królu Lacjum! – zawołałam, padając na kolana i podejmując go pod nogi. – Ja, córka, żona i matka królów proszę cię, żebyś w tej sprawie przychylił się do mojej woli. Eneasz pozostawił mi Sylwiusza, bym go wychowała, i będę posłuszna jego świętej prośbie. Nic nie stracisz, jeśli pozwolisz swemu bratu jechać ze mną. Zyskasz natomiast naszą miłość i wdzięczność. Panuj tu i panuj nad nami, ze swoją małżonką i waszymi dziećmi, które się mają narodzić... i niechaj bóstwa, które mają pieczę nad łonami kobiet, będą wam przychylnie! Niech Sylwiusz zamieszka w domu swego ojca pośród jego starych towarzyszy broni i wśród nich dorasta do wieku męskiego. Potem będzie gozdzien przybyć tu do ciebie, aby ci służyć, jeśli los tak zechce i na to pozwoli.

Trudno jest stać prosto, kiedy ktoś obejmuje cię pod kolana i wygłasza błagalną przemowę, mówiąc do ciebie z dołu. Taki uchwyt wytrąca z równowagi i sprawia, że sytuacja słuchającego staje się szalenie dwuznaczna, niemal tak, jakby dopuszczał się seksu oralnego. Być może niektórzy odczuwają satysfakcję, gdy klęczy przed nimi suplikant – ja nigdy tego nie cierpiałam i miałam nadzieję, że Askaniusz odczuje podobną do mojej niechęć. Skończywszy swą orację, opuściłam głowę tak nisko, aż czołem dotknęłam jego stóp. Mógł się poruszyć tylko w jeden sposób: odtrącając mnie kopnięciem. Spróbował poruszyć nogami, ale nie kopnął mnie. Cała scena miała miejsce w sali królewskiej rady, toteż przysłuchiwało się nam i przyglądało kilkunastu spośród przyjaciół i doradców Askaniusza.

Nie powinnam była rzucać mu wyzwania w obecności innych. Gdybym zaskoczyła go na osobności, może udałoby mi się go przeko-

nać. Tymczasem teraz musiałby zmienić swój rozkaz, ustąpić kobiecie. Nie mógł sobie pozwolić na okazanie podobnej słabości.

– Chłopiec zostanie tutaj – oświadczył i zaczął się tak wiercić, że musiałam puścić jego nogi.

Jeszcze przez jakiś czas pozostałam na klęczkach, milcząc. Zapadła głęboka, krępująca cisza. Młodzi dworacy Askaniusza nie byli mi szczególnie przychylni, większości Sylwiusz wcale nie obchodził, ale byli to głównie Latynowie, a nasz lud ma szacunek dla więzi łączących rodziców i dzieci, podobnie jak nawyk czci dla matek rodu. Dlatego byli wstrząśnięci, widząc mnie na klęczkach, a jeszcze bardziej ich poruszyło, kiedy usłyszeli, jak mój pasierb odrzuca stanowczo i szorstko moją prośbę.

Po jakimś czasie wstałam i zebrałam fałdy mojej białej palli. Patrząc pasierbowi prosto w oczy, nakryłam jej połą głowę, jak podczas religijnych obrzędów, i powiedziałam:

– Nasze zamiary w tej sprawie są rozbieżne, królu. – Potem odwróciłam się i wyszłam z sali obrad. Gdy znalazłam się w korytarzu, usłyszałam dobiegający stamtąd gwar męskich głosów, a później głos Askaniusza, wysoki, wzbudzony, usiłujący przekrzyknąć szmer niezadowolenia.

Pokonałam go moralnie, ale to w niczym nie zmieniało sytuacji. Nadal sprawował władzę. Musiałam się spod niej uwolnić. Nie było czasu na dalsze roztrząsania czy przygotowania.

Posłałam Sitę, żeby przyprowadziła z placu ćwiczeń Sylwiusza, potem wspólnie z Maruną i Sykaną zebrałyśmy nasze kobiety – szesnaście spośród dwudziestu, które tu z nami przybyły przed dziewięcioma laty,

dzieci kilkorga z nich, tutaj urodzone, oraz kilka innych dziewcząt, które do mnie przyłgnęły – i powiedziałyśmy im, żeby wyszły z miasta najszybciej, jak to możliwe, rozdzieliły się na kilkuosobowe grupki i pośpieszyły wzgórzami do Lawinium, unikając ciekawskich spojrzeń. Nakazałam, by wyprowadzono dwa lekkie wozy i po parze mułów do zaprzęgu. Załadowałyśmy na te wozy trochę ubrań i przedmiotów szczególnie nam drogich. Na jednym wozie posadziłam Rosalbę z niemowlęciem na rękę i starą Westinę, która była już bardzo słaba, a jej umysł z wolna pogrążał się w mroku. Ja, Sylwiusz i Maruna pojechaliśmy drugim wozem. Sylwiusz stał obok woźnicy i zachęcał go, żeby ponaglił muły do szybszego truchtu. W godzinę po moim posłuchaniu u Askaniusza byliśmy już za miastem, zdążając stromą białą drogą w dół.

Krótki lutowy dzień chylił się ku zachodowi, kiedy wjeżdżaliśmy do Lawinium. Otoczone murami miasteczko z warownią wysoko nad rzeką sprawiało wrażenie wymarłego i poszarzałego w poziomym, dogasającym na zachodzie świetle. Wąska rzeka odbijała niebo jak odłamek szkła.

Niektóre z dziewcząt, biegnąc na przełaj przez pola, jak to niegdyś robiłyśmy z Sylwią, zjawiły się tam przed nami. Zbudziły kilkoro niewolników, którzy opiekowali się Regią, otworzyły na oścież drzwi, rozpały ogień na palenisku Westy, w kuchni i w pokojach królewskich. Opustoszały dom był jednak wyziębiony, zakurzony i zawilgocony. Cała czysta pościel, wszystkie miękkie futra i wyroby z owczego runa zostały w Albie, podobnie jak świeża strawa. Pszenicy i jęczmienia znalazłyśmy w spiżarniach niewiele, a i to było stęchłe. Nie dla wszystkich moich współtowarzyszek starczyło miejsca w pałacu, toteż

kilka kobiet musiało prosić o gościnę swe rodziny w mieście. Jednakże gdy wieść o naszym przybyciu rozeszła się wśród mieszkańców, zgotowali nam naprawdę serdeczne przyjęcie, naprzynosili jadła i napojów oraz wszelkich dóbr służących wygodzie.

– Mała królowo – zwracali się do mnie, jak zwykli robić, kiedy byłam dzieckiem. – Mała królowo, czy już na zawsze do nas wróciłaś? Zostaniesz już z nami, w swoim mieście? A tylko spójrzcie na naszego małego króla, na Eneasza Sylwiusza! Ależ on wyrósł!

Kiedy przybiegł Achates, żeby mnie powitać, mogłam go przyjąć już przy bujnym ogniu, pucharem ciepłego wina zagęszczonego mąką i miodem.

Ze wszystkich starych towarzyszy Eneasza właśnie za Achatesem tęskniłam najbardziej. Był mi z nich najmiłszy, prawie jak brat. Często przyjeżdżał do mnie z wizytą do Alba Longa, a ja zawsze radośnie go witałam i chętnie korzystałam z jego mądrych uwag. Choć był niezachwianie lojalny wobec Askaniusza, czułam, że w skrytości serca mnie raczej sprzyja. Więc odebrałam jako cios, kiedy powiedział:

– Jednakże Sylwiusz nie może tu zostać wbrew woli króla.

– Król – zaczęłam – król... – Urwałam. Po chwili zapytałam: – A kim ja jestem, Achatesie?

Spojrzał na mnie zmieszany.

– Jestem żoną waszego króla – odpowiedziałam za niego.

– Wdową – uściślił po dłuższym wahaniu.

Był naprawdę niezłomnym człowiekiem.

– I matką waszego króla – dodałam.

– Mojego przyszłego króla.

– Jesteś winien ochronę swemu przyszłemu królowi.

– Askaniusz nie zamierza mu wyrządzić krzywdy, Lawinio.

– To prawda, ale Sylwiusza i tak nie czekałoby tam nic dobrego. Znalazłby się w obcym środowisku. Nie tam jego królewska stolica, lecz tutaj. Askaniusz będzie zajęty swoją narzeczoną, ona nim. Nikt się tam nie będzie troszczył o mojego syna. Niektórzy z tamtejszych dworaków to intryganci niechętni Sylwiuszowi. Nie wydam mojego baranka na pastwę obcych ludzi!

Moje porównanie sprawiło, że Achates wyprostował swą piękną posiwiałą głowę.

– Powiedz lepiej, że nie chcesz, by twój wilczek wychowywał się na gumnie – powiedział. Spozregłam, że zaraz pożałował swoich słów, tak obraźliwych wobec Askaniusza. Zmarszczył czoło. – Starszy brat jest najwłaściwszym opiekunem dla chłopca – stwierdził stanowczo. – Wiem, że trudno ci będzie rozstać się z synem...

– Bądź dla mnie sprawiedliwy, Achatesie! Kiedy nadejdzie czas, bym się z nim rozstała, pozwolę mu odejść! Lecz ten czas jeszcze nie nadszedł. Sylwiusz jest młody. Powinien przebywać wśród prawdziwych przyjaciół i nauczycieli... takich jak ty. Jego ojciec i dziadek powierzyli go mojej opiece i nie zrzeknę się jej dla nikogo.

Sądziłam, że go przekonam, ale się myliłam.

Również inni starzy towarzysze Eneasza, kiedy z nimi o tym w następnych dniach rozmawiałam, nie aprobowali mojego zamiaru zatrzymania Sylwiusza z dala od dworu brata. Myślę, że wszyscy w duchu zgadzali się ze mną, jednakże nie mogli się do tego przyznać. Jakże to? Wola królowej wdowy miałyby wziąć górę nad wolą panującego króla?

Askaniusz nie traktował ich zbyt dobrze, kazał im się starzeć z dala od centrum władzy, lekceważył ich, wyjąwszy całkiem formalne uznanie dla ich zasług, ale byli towarzyszami Eneasza, a on był jego synem, jego słowo zatem było dla nich prawem. Gdyby Sylwiusz był starszy, jego by słuchali, bo i on był synem Eneasza i kochali go szczerze. Uważali jednak, że dorośli mężczyźni nie mogą podlegać jedenastoletniemu chłopcu.

Czekaliśmy więc na wieści z Alba Longa. Codziennie z obawą wypatrywałam z korony murów, czy nie zobaczę drużyny konnych zjeżdżającej drogą ze wzgórza, żołnierzy z rozkazem zabrania ze sobą mego syna albo samego Askaniusza przybywającego, by odegrać rolę gromowładnego i gniewnego boga ojca.

Tymczasem w Ardei i Albie trwały uroczystości weselne, a myślę, że Askaniusz uznałby za poniżające, gdyby witając narzeczoną, miał się użerać z macochą. Po prostu nas zignorował. I aż do końca marca mieszkaliśmy sobie w spokoju w Lawinium. Nie potrafię wprost wyrazić, jak często płakałam z radości, a jednocześnie smutku, że znowu się tam znalazłam, w swoim domu, w którym mieszkałam z moim ukochanym mężem.

Przewiozłam tam również zbroję, tarczę i miecz Eneasza; Sykana pomogła mi i Sylwiuszowi zdjąć te ciężary ze ściany i przenieść na wóz. Teraz wisiały znowu w swoim domu, na swoim miejscu.

I tak czekaliśmy trwożnie na wieści od Askaniusza.

Któregoś wczesnego przedpołudnia, kiedy siedziałam przy krośnie, zabierając się do nowej pracy, wbiegła Ursyna, jedna z moich dziewcząt.

– Królowo, drogą od Alby zmierza do nas drużyna konnych – oznajmiła. – Są teraz o jakąś milę stąd. Prowadzą konia bez jeźdźca.

Dla Sylwiusza.

Przygotowałam sobie wcześniej dziesiątki planów działania na wypadek, gdyby Askaniusz przysłał po Sylwiusza, ale wszystkie rozsypały się w pył pod kopytami tych rzeczywistych koni. Pozostawało mi tylko jedno do zrobienia, właśnie to, co już raz zrobiłam: uciekać. Uciec i ukryć się.

– Przyślij mi tu zaraz Sylwiusza – poleciłam Ursynie, krewniaczce Maruny, dziewczynie lat mniej więcej piętnastu, śniadej i dzikiej jak lwica. Pomknęła strzałą. Wbiegłam do mojego pokoju i zawiązałam kilka rzeczy w starą palle, a gdy do pokoju wpadł zdyszany Sylwiusz, oświadczyłam mu, że uciekamy do lasu, żeby się ukryć przed wysłannikami Askaniusza.

– Sprowadzę konie – powiedział.

– Nie trzeba, nie odejdziemy daleko. A konie trudno ukryć. Idź po płaszcz i jakieś dobre buty. Spotkamy się w kuchni.

Przygotowałam drugi węzełek z kociołkiem do gotowania i czymś do jedzenia. Nadszedł Sylwiusz i ruszyliśmy w drogę. Maruna czekała na nas na dworze.

– Mam nadzieję, że nie spotka was żadna kara! – powiedziałam, mając na myśli moje niewolnice i resztę domowników. – Tak powiedz wysłannikom króla: królowa wraz z synem udała się do wielkiej wyroczni przy źródłach w pobliżu Tiburu, żeby prosić wyrocznię o radę. To ich zajmie na jakiś czas.

– A ty...

– Ty wiesz, gdzie mnie szukać, Maruno. Chatka drwała.

Skinęła głową. Bardzo się o nas martwiła, podobnie jak ja o nią, lecz nie mogłam się wahać. Oboje z Sylwiuszem poszliśmy ulicą, wymknęliśmy się przez tylną bramę miasta i ruszyliśmy przez pola, za najdalsze opłotki gminy, a potem, idąc wzdłuż strumienia Prati, zagłębił się w lasy u podnóża wzgórz na północnym zachodzie, korzystając z osłony dębów okrytych młodym listowiem. Po jakimś czasie dotarliśmy do starej, wijącej się u stóp wzgórz ścieżki z Laurentum do Albunei.

Sylwiusz zmarszczył nos. Miał węch myśliwskiego psa.

– Zgniłe jaja? – podsunęłam mu. Wcześniej w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy; szliśmy w milczeniu, jak to uciekinierzy.

Przytaknął.

– To siarczane źródła.

– Właśnie tam idziemy?

– W pobliże.

Dotarliśmy do chatki drwała, gdzie Maruna spędzała noce, kiedy ja rozmawiałam z poetą w świętym gaju. Drzewa znacznie od tamtego czasu podrosły i zgęstniały nad wysoką kolistą chatynką, prawie całkiem ją zakrywając, tak że z trudem ją odnalazłam. Polankę i dawny ogródek warzywny zarosły jeżyny i bujne chwasty. Zapytałam głośno, czy ktoś jest w środku. Nikt nie odpowiedział. Podeszłam do drzwi i przekonałam się, że domek stoi pusty. Drwał i jego żona musieli się stąd wyprowadzić, może nawet na tamten świat.

Popychany młodzieńczą ciekawością Sylwiusz spenetrował zaraz wewnątrz chaty i jej otoczenie.

– To dobra kryjówka – ocenił.

Położył swoje zawiniątko na progu. Już w drodze zauważyłam, że jest nieporęczne; teraz z głośnym brzękiem stuknęło o próg.

– Co ty tam masz? – zaciekałam się.

Spojrzał na mnie z ukosa i rozwiązał węzełek. Przyniósł ze sobą swój mały łuk, strzały, nóż myśliwski i mieczyk, którego używał na lekcjach fechtunku.

– To na wilki – oświadczył.

– No cóż, syneczku – uśmiechnęłam się – obawiam się, że to my teraz jesteśmy wilkami.

Rozważył to sobie i ta myśl wyraźnie mu się spodobała. Pokiwał głową.

– Chodź, usiądź tu na chwilkę – poprosiłam, przysiadłszy na progu i odsuwając na bok zawiniątko z rynsztunkiem myśliwskim.

Przez mroczne otoczenie rosnących wokół sosen i dębów przedarł się promień słońca, od czego zaraz zrobiło się jaśniej. Sylwiusz usiadł obok mnie. Spojrzałam na jego chude, opalone chłopięce nogi w za ciężkich butach. Oparł głowę na moim ramieniu.

– Oni nas nie zabiją, prawda, matko? – zapytał, lecz nie ze strachu, raczej dla dodania sobie otuchy.

– Nie. Chcą nas tylko rozdzielić. Czuję w głębi serca, że postąpiłabym źle, pozwalając ci odejść. A nie mam innego sposobu, by powstrzymać Askaniusza, który chce cię zabrać do Alby, jak tylko taki. Musimy cię ukryć.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym rzekł:

– Mógłbym zamieszkać w zagrodzie gdzieś daleko na wsi i udawać

parobka.

– Mógłbyś. Tylko że w ten sposób naraziłbyś na niebezpieczeństwo rodzinę jakiegoś bogu ducha winnego wieśniaka.

Kiwnął głową zawstydzony, że sam o tym nie pomyślał.

Mnie także ogarnął wstyd. Wstyd, że wciągam go w swoje kręctwa.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Skłamałam, mówiąc, że wybieramy się do wyroczni w pobliżu Tiburu. Ale rzeczywiście chcę zasięgnąć rady wyroczni. Naszej, mojego ojca, wyroczni moich przodków, tutaj, w Albunei. Może ona nam wskaże, co dalej robić. Nie wiem, czy zechce się odezwać do kobiety, może jednak przemówi do ciebie. Do wnuka Latynusa, Faunusa, Pikusa, Saturna... – Pogłaskałam go po kościstym delikatnym barku, wciąż spotniałym po szybkim marszu. – Do syna Eneasza. – Pocałowałam go.

I on mnie cmoknął w policzek.

– Nie opuszczę cię – zapewnił. – Nigdy.

– „Nigdy” i „zawsze” to nie są słowa ze słownika śmiertelników, synku. Ale nie rozstaniemy się, dopóki nie uznam za właściwe, byśmy się rozstali.

– W takim razie to nigdy nie nastąpi – stwierdził.

Gdzieś w ciemności wśród drzew słodko zaśpiewał ptak. Przeciągly tryl wezbrany cudownym, nieświadomym szczęściem wiosny.

– Czy tu się zatrzymamy?

– Przynajmniej na dzisiejszą noc.

– Świetnie. Przyniosłaś zarzewie, prawda?

Wskazałam gliniane naczynko, które napełniłam żarem z ogniska

Westy w Regii i przyniosłam w wiklinowym nosidełku.

– Połóż żar na palenisku i zmów modlitwy – poleciłam.

Tymczasem sama zamiotłam izbę, a potem wspólnie roznieciliśmy ogień.

– Twój ojciec wychowywał się w lasach na wielkiej górze Ida, wiedziałeś o tym? – zapytałam.

Wiedział, oczywiście, ale chciał jeszcze raz posłuchać tej historii. Słuchał w skupieniu, gdy powtarzałam mu po raz kolejny to, czego się dowiedziałam o dzieciństwie Eneasza z jego oszczędnych opowieści. Potem mój syn wziął łuk i strzały i wyszedł, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie gdzieś w pobliżu nieostrożnych zajęcy lub przepiórek. Ja zaś dalej sprzątałam chatę i przygotowałam nam posłania z sośniny, którą oberwałam z młodych sosenek. W chacie prawie nie było śmieci, jeśli nie liczyć drobniutkich pozostałości po pająkach, leśnych myszach i kilku żdźbeł opadłych ze strzechy. Biedni ludzie niewiele po sobie zostawiają śladów. Na półce stała pęknięta miska z wypalanej gliny. Nie wyrzucono jej, mogła się zawsze przydać. Włożyłam do niej garść soli, która przyniosłam z domu, i postawiłam na półce, która miała nam służyć za stół.

Sylwiusz niczego nie upolował, ale wybrał miejsca, gdzie zamierzał zastawić z rana sidła na przepiórki, poza tym przyniósł cztery raki, które złapał w strumieniu. Doprawiliśmy więc naszą kaszę jaglaną rakami. Żałowałam tylko, że nie mogłam przynieść z domu wody, ponieważ woda we wszystkich strumieniach w pobliżu siarkowych źródeł smakuje okropnie.

Spaliśmy zawinięci w płaszcze. Spałam długo i smacznie. W Albu-

nei, nawet poza obrębem gaju, jak teraz, zawsze uwalniałam się od lęku. To znaczy czułam lęk, lecz zupełnie inny od tego obezwładniającego strachu, że mogłabym stracić Sylwiusza, inny od wiecznych życiowych trwóg i obaw – lęk, który zwiemy nabożnym i aprobujemy, podobny do tego, jaki odczuwamy, patrząc w pogodną noc w niebo usiane gwiazdami wiecznego uniwersum. Lęk, który sięga głęboko. A jego częścią jest modlitwa, milczenie i sen.

Sylwiusz cały następny dzień spędził poza domem, buszując w lasach powyżej źródeł. Nie martwiłam się o niego, był rozsądnym chłopcem. Odyńce i niedźwiedzie nie podchodziły tak blisko pól uprawnych, a wrody nam sąsiedzi nie docierali do środkowego Lacjum. Późnym popołudniem na skraju polanki zjawiała się Ursyna, zwinna i cicha jak dziki kot.

– Przysłała mnie ciotka Maruna – poinformowała szeptem. Przyniosła dzban ze świeżą wodą, woreczek suszonego bobu oraz pudełko suszonych fig i rodzynek. – Tita dołożyła to dla Sylwiusza, bo wie, jak on lubi słodkie.

– Co robią przyjezdni z Ardei? – zapytałam.

– Pytali o ciebie. Ciotka powiedziała, że posłała do Albunei koło Tiburu. Uwierzyli. Wczoraj wrócili do Alby. Ciotka kazała ci powtórzyć, że przykazali czcigodnemu Achatesowi i Mnesteusowi, żeby przyprawdzili Sylwiusza do Alby, jak tylko wrócisz do Lawinium.

Ucałowałam ją i poprosiłam, żeby nazajutrz przyniosła mi trochę wina na ofiarę. Odeszła równie cicho, jak przysłała.

Usiadłam w wiosennym słońcu na spróchniałym drewnianym progu i pogrzeżyłam się w rozmyślaniach.

Jeśli wrócę do Lawinium, wierny Achates spełni rozkaz Askaniusza.

Mogłam sama zaprowadzić Sylwiusza do Alba Longa i zostać tam z nim jako nieproszony, niechciany, niechętny gość na dworze Askaniusza, próbując osłaniać mego syna przed zaniebdaniem, zawiścią i krzywdą.

Mogłam też zrobić to, co przed laty doradzał mi ojciec: pojechać do Caere w Etrurii i poprosić króla Tarchona, żeby wziął nas pod swoją opiekę i pomógł mi wychować Sylwiusza jak królewskiego syna.

Ta myśl była mi prawdziwie wstrętna, zmusiłam się jednak, aby i ją rozważyć.

Nadal łamałam sobie nad tym głowę, kiedy usłyszałam ciche ćwierkanie wróbla, umówiony znak. Zaraz też zjawił się Sylwiusz. Był brudny, zmęczony, cały podrapany jakimiś kolcami, ale dumny z siebie, bo złapał w sidła dużego zająca. Umył się, a ja odarłam ze skóry i oczyściłam zdobycz. Zrobiliśmy rożen z zielonej wierzby, upiekliśmy mięso na małym ogniu w chacie i zjedliśmy obiad prawdziwie królewski.

– Jutro wieczorem pościmy – zapowiedziałam Sylwiuszowi. – Spędzimy noc w świętym gaju.

– Czy będę mógł obejrzeć jaskinię i cuchnące stawy?

– Oczywiście.

– Co się tam składa w ofierze?

– Jagnięta.

– Mógłbym podkraść jagnię z królewskich stad niedaleko Lawinium... Upewniłbym się, że nikt mnie nie widzi...

– Wykluczone. Żadnemu z nas nie wolno się zbliżać do miasta.

Złożymy jutro w ofierze, co będziemy mogli. Pradziadowie to zrozumieją. Już nieraz tam bywałam z pustymi rękami.

Następnego dnia, kiedy czerwone słońce zanurzyło się w nadmorskich mgłach na zachodzie, wspięliśmy się wąską ścieżką do gaju Albunei, do świętego okręgu. Sprawiał wrażenie równie opuszczonego i zaniedbanego jak chatka drwała. Wyrocznia przemawiała jedynie do krewnych z linii mego ojca, a tych już niewielu zostało – kilku sędziwych krewniaków wciąż mieszkających w Laurentum, ja, no i Sylwiusz. Nikt tu nie składał ofiary od co najmniej roku. Leżące na ziemi resztki owczego runa zmieniły się w czarne strzepy. Nacięliśmy darni na ołtarz, Sylwiusz ulał z butelki wino na ofiarę, podczas gdy ja modliłam się do przodków i bóstw tego miejsca. Było już zbyt ciemno na wycieczkę do siarczanych stawków. Przynieśliśmy ze sobą płaszcze. Sylwiusz rozłożył swój dokładnie w tym miejscu, na którym sypiał mój ojciec podczas naszych wspólnych wizyt w Albunei. Ja zajęłam moje stałe miejsce w pobliżu ołtarza, rozmównicę moją i poety. Długo siedzieliśmy w ciemności, milcząc. Gwiazdy przeświecały białymi kagankami przez czarne listowie drzew. Obejrzawszy się w pewnej chwili, stwierdziłam, że Sylwiusz już się położył. Zawinięty w płaszcz wyglądał jak baranek śpiący w blasku gwiazd. Ja nadal siedziałam, nasłuchując. Nocne stworzenia wydawały oderwane dźwięki, coś szeleściło i chrobotowało w leśnym poszyciu, to bliżej, to dalej. Gdzieś na prawo ode mnie, wysoko na wzgórzu, zahukała sowa, co zabrzmiało jak przeciągłe, rozedrgane „i-i-i”. Nie czułam żadnej natarczywej obecności duchów tego miejsca. Panowała zupełna cisza i nastrój świętości.

Po długim czasie, kiedy konstelacje na niebie widocznie się prze-

mieściły, odezwałam się do mego poety, lecz nie na głos, w duchu: „Drogi poeto, sprawdziło się wszystko, co mi zapowiedziałeś. Postępowałam jak należało aż do śmierci Eneasza. Od tamtej pory pozwalam, by kierowali mną inni. Niestety, często błędę. Nie mogę zaufać Askaniuszowi: nie zdaje sobie sprawy z własnej wrogości wobec Sylwiusza. Chciałabym, żebyś tu ze mną był, wskazywał mi drogę. Chciałabym, żebyś dla mnie śpiewał”.

Nie odezwał się żaden głos. Cisza jeszcze się pogłębiła. W końcu westchnęłam i położyłam się, zmorzona snem. Senność sprawiła, że ziemia wydała mi się miękka, a płaszcz ciepły. Przez moją głowę przepływały słowa i obrazy. Słowa były takie: „Mów do mnie!”. Potem zawróciły i zdawały się przekształcać, odpływając: „Wypowiadam twoje istnienie”. Przez chwilę widziałam bardzo wyraźnie tarczę Eneasza, łeb wilczycy obrócony do jej lśniącego boku. Czułam, że leżę na sklepieniu podobnym do skorupy żółwia, uczynionym z ziemi i kamienia, nakrywającym kopulasto wielką, ciemną jamę. Pode mną rozciągały się bezkresne cieniste lasy. Wśród mrocznych drzew ujrzałam mego syna. Stał w przyćmionym blasku słońca na brzegu jakiejś rzeki, szerszej niż Tyber, tak szerokiej i mglistej, że nie mogłam dostrzec przeciwnego brzegu. Sylwiusz był mężczyzną dziewiętnasto-, dwudziestoletnim. Wspierał się na wielkiej włóczni Eneasza i wyglądał tak, jak musiał za młodu wyglądać jego ojciec. Na nieskończonym trawiastym brzegu stały nieprzeliczone ludzkie rzesze. Trawa miała barwę szarą, nie zieloną, jakby spowitą cieniem. Jakiś głos, tuż przy moim uchu, głos starca, zaszeptał cicho: – „... to twój najmłodszy syn, którego twoja małżonka Lawinia wychowa w lesie, król i ojciec królów”. A potem poczułam obecność

mego męża, jego fizyczną, cielesną obecność, przy mnie, we mnie, jakbym była nim, tak wyraźnie, aż się obudziłam i stwierdziłam, że siedzę na ziemi oszołomiona, w ciemności, samotna. Nikogo przy mnie nie było. Tylko Sylwiusz spał po drugiej stronie polanki. Na bledącym niebie dogasały gwiazdy.

Sylwiuszowi nic się nie przyśniło. To ja miałam sen i usłyszałam głos, ale nie mój dziad do mnie przemówił.

O świcie wstaliśmy i poszliśmy w stronę źródła. Podczas gdy Sylwiusz zwiedzał jaskinię, ja usiadłam na dużym głazie i przyglądałam się, jak wschodzące słońce prześwieśla snujące się nisko opary, które stale wiszą nad tą bladą wodą. Odór siarki był nieco słabszy w rześkim powietrzu poranka. Umyliśmy się w płytkich stawkach, jakie strumień tworzy nieco poniżej, z dala od martwej, błotnistej ziemi u wylotu jaskini. Woda była ciepła i miękka w dotyku. Nadawałaby się zapewne doskonale do leczenia reumatyzmu lub zastarzałych bolesnych ran.

Potem wróciliśmy do świętego kręgu, a nie mając niczego więcej do ofiarowania w podzięcie, ułożyliśmy na ołtarzu stertę słodkich ziół, gałązek wawrzynu szlachetnego i tych niewielu kwiatów, jakie zdołaliśmy zebrać na leśnych polankach. Gdyśmy tego dokonali i wypowiedzieli słowa podzięki, przed odejściem ze świętego miejsca opowiedziałam Sylwiuszowi swój sen.

– Widziałam w nim ciebie jako dorosłego mężczyznę. Lecz razem wyglądało to tak, jakbyś się jeszcze nie narodził... jakbyś tam stał i dopiero czekał na przyjście na świat. Tymczasem jakiś starzec szeptał mi coś do ucha. Tyle że nie mówił do mnie. Opowiadał o tobie twojemu ojcu, Eneaszowi. Powiedział: „To twój najmłodszy syn, którego twoja małżonka Lawinia wychowa w lesie, król i ojciec królów”. Na tym sen się urwał.

Zastanawialiśmy się nad jego znaczeniem w drodze powrotnej do chaty drwała.

– Ten sen znaczy, że powinniśmy zostać tutaj, w lasach, prawda,

matko? – odezwał się w końcu Sylwiusz.

Tak i ja sobie pomyślałam, mimo to w pierwszym odruchu chciałam zaprzeczyć, powiedzieć: nie, to nie może być tak oczywiste, takie proste. Nie powiedziałam jednak nic, póki nie stanęliśmy na polanie. Dopiero wtedy przyznałam:

– Chyba masz rację. Ale jakże to? Przecież nie możemy ukrywać się w głuszy jak jakieś wyrzutki, żebracy... Zdani na to, co nam podesłę Maruna.

– Mogę polować, stawiać sidła, matko.

– Oczywiście, możesz. Zresztą będziesz musiał, jeśli chcesz mieć dzisiaj mięso na kolację. Lecz na dłuższą metę... Ludzie nas wytropią, toć wszyscy nas tu znają! Nie możemy tak po prostu rozpuścić się w borach.

– Moglibyśmy, gdybyśmy odeszli gdzieś dalej. Wyżej na wzgórze.

– Na jak długo, synku? Owszem, latem, ostatecznie jesienią mogliśmy jakoś przeżyć, ale już nie zimą. Samotnemu człowiekowi trudno przetrwać z dala od innych, nawet gdy ma cały dach nad głową i pełną spiżarnię. Ty i ja jesteśmy na to zbyt delikatni... Nie będę jednak przyjmowała rozkazów od Askaniusza! Gdybym posłuchała go w tym jednym, gdybym mu ciebie oddała, to tak, jakbym wyrzekła się twojej królewskiej władzy. On musi uznać naszą suwerenność w Lawinium. Tylko dokąd moglibyśmy pójść...?

– Ale co z tego, że ludzie nas wytropią? Odkryją, gdzie mieszkamy? Czy ktoś nas zmusi, żebyśmy przenieśli się do Alby? Jeśli oświadczymy, że mamy mieszkać w lasach... jeśli powiemy, że tak nakazała nam wyrocznia?

– Sama nie wiem...

– Przekonajmy się zatem – powiedział.

To przyjemne uczucie, kiedy twoje dziecko mówi to, co sama chciałaś powiedzieć.

– Prosięta kazały mu osiąść w Albie – rozumowałam – chyba więc nie może sprzeciwiać się własnemu dziadkowi, który nakazał nam zamieszkać w lesie?

Przypomniałam sobie, z jakim pośpiechem mój ojciec ogłosił wszem wobec, co mu Faunus oznajmił w Albunei, mianowicie, że muszę poślubić cudzoziemca. Im więcej ludzi się o tym dowiedziało, tym ta przepowiednia stawała się mocniejsza. Wszyscy, nie tylko król, usłyszeli głos wyroczni.

– Uważam, że powinnam jeszcze dziś wrócić do Lawinium – powiedziałam do Sylwiusza. – Ty zostaniesz tutaj. Upoluj dla nas zająca lub przepiórkę, jeśli dopisze ci szczęście. Gdyby zjawił się tu ktoś inny zamiast mnie, uciekaj. Wrócę przed wieczorem.

I poszłam do mojego miasta, najpierw przekradając się podnóżami wzgórz, a dalej przez pola. Szłam całą drogę pogrążona w myślach. Jeszcze przed południem dotarłam na miejsce. Z ulgą dowiedziałam się, że Askaniusz nie przysyłał dotąd po Sylwiusza. Byłam zaskoczona i wzruszona gorącym przyjęciem, jakie mi zgotowano. Ludzie pchali się do mnie z pozdrowieniami, czule mnie dotykali, wypytywali troskliwie. Zanim podeszłam ulicą do Regii, otaczał mnie już spory tłum.

Oto moja szansa, pomyślałam. Zatrzymałam się przed drzwiami domu i odwróciłam przodem do gromady, a plecami do tłoczących się domowników, którzy przybiegli, żeby mnie powitać.

– Ludu mojego miasta! – zawołałam. Uciszyli się, by mnie wysłuchać, a ja zaczęłam mówić, ledwo wiedząc, co powiem w następnym słowie. – Tej nocy w gaju Albunei ułożyłam się do snu pod ołtarzem, wyrocznią moich przodków. I przemówił do mnie we śnie głos króla Anchizesa, ojca naszego króla Eneasza, i obwieścił mi, że jego wnuk Sylwiusz ma zamieszkać ze mną w lasach Lacjum. Posłuszna tej przepowiedni ani nie odeślę Sylwiusza do Alby, ani nie zatrzymam go tutaj, w Lawinium. Zamieszkamy oboje w lesie, dopóki znaki i wróżby nie powiedzą nam, co czynić dalej. Głos z mojego snu nazwał Sylwiusza królem i ojcem królów. Radujcie się więc tą nowiną, jak ja się nią raduję! – Na te słowa zaczęli głośno wiwatować, co mnie bardzo podniosło na duchu. Zakończyłam: – Ale dopóki Sylwiusz nie dorośnie do wieku stosownego do sprawowania rządów, będzie władał nami Askaniusz. Moje miasto nadal pozostanie pod władzą jego i przyjaciół jego ojca.

– Ale dokąd pójdziesz, na jakim pustkowiu osiądziesz, mała królowo? – zapytał z tłumu jakiś starczy głos.

– Niedaleko, mój przyjacielu – odpowiedziałam. – Moje serce pozostanie w Lawinium, wśród was! – Na to znowu odpowiedzieli radosnymi okrzykami.

Weszłam więc do domu w tumultie ożywionej wrzawy, z bijącym mocno sercem. Tam czekał już na mnie Achatos. Ośmielona zapalem poddanych powiedziałam, uprzedzając spodziewane zastrzeżenia:

– Przyjacielu, wiem, że Askaniusz nakazał ci sprowadzić Sylwiusza do Alby. Jako twoja królowa nakazuję ci, byś mego syna pozostawił przy mnie, aby wypełniło się proroctwo.

Przyjął moje słowa do wiadomości uroczystym skinieniem głowy,

zapytawszy jedynie:

– Widziałaś czcigodnego Anchizesa? – z niedowierzaniem, ale i smutkiem, proszącym tonem, bo bardzo chciał mi uwierzyć.

– Nie, ale słyszałam głos, który przemawiał jakby do Eneasza. Uznałam, że to głos jego ojca, ponieważ w Albuniei odzywają się ojcowie.

Zawahał się, po czym zapytał:

– Widziałaś jego? – Tym nim był oczywiście Eneasza.

Achates zadał to pytanie z taką miłością i tęsknotą, aż łzy napłynęły mi do oczu. Mogłam tylko pokręcić przecząco głową, opanowawszy się zaś, zapewniłam:

– Ale był tam ze mną, Achatesie. Przez krótką chwilę.

Świadomie mówiłam nieprawdę. Eneasza, jako mężczyzna z krwi i kości, nie zjawił się przy mnie, nie odezwał się też do mnie Anchizes. Tym, który przemówił, był poeta. To były jego słowa, słowa stwórcy, przepowiadacza, prawdomówcy: tylko tyle i aż tyle. Czy ja sama wszakże nie byłam tylko tym – i aż tym?

Tego jednak nie mogłam wyjawić żadnej istocie żywej i nigdy nie wyjawiałam, aż do teraz.

Nie omyliłam się, licząc na respekt Askaniusza dla wróżb i odpowiedni, respekt odziedziczony po ojcu, który u syna przybrał natężenie wręcz zabobonne. Ściśle przestrzegał wszelkich rytuałów, pragnął być uważany za równie pobożnego jak Eneasze. Pobożność oznaczała dla niego posłuszeństwo wobec sił wyższych, bezpieczną prawość. Nigdy by nie uwierzył, że Eneasze uważał zwycięstwo nad Turnusem za swoją porażkę. Nie rozumiał, że w pobożności ojca kryła się jego tragedia.

Może zresztą źle go oceniam. Może z wiekiem poznał niektóre ze skrupułów, jakie dręczyły sumienie Eneasza. Ostatecznie nigdy nie znałam zbyt dobrze mojego pasierba.

Tak czy inaczej kiedy Achates i Serestus powiadomili go o mojej decyzji, podjął ich gościnnie, nie zganiał za to, że posłuchali raczej mnie niż jego, i odesłał bez żadnej konkretnej dla mnie wiadomości. Myślę, że poczuł się zniewolony przez sojusz sił, jakie przeciwko niemu wytoczyłam – świętą wyrocznię Italów, która przemawia boskim głosem jego trojańskiego dziadka. Milczeniem wyraził więc zgodę.

I tak zaczęło się nasze „wygnanie” – zresztą niezbyt srogie, jeśli porównać je z tym, jakie stało się udziałem starych Trojan, wiecznie tęskniących za swoim zrujnowanym miastem – nasze „życie w lesie”, które okazało się całkiem przyjemne. Wezwałam kilku stolarzy, żeby naprawili chatkę drwala i strzecharzy, żeby wymienili wygryziony przez szczury, przegniły od deszczu dach. Prawie na nowo zbudowali cały domek dodali drugi pokój i wymurowali prawdziwe palenisko; jednocześnie całymi gromadami przybywali ochotnicy, wycinali jeżyny na polance, przekopywali ziemię, założyli warzywnik, w którym posa-

dzili wszystkie zioła i warzywa, jakie tylko rosną w Lacjum, posadzili nawet mały orzechowiec i dojrzały już krzew sycylijskiego kaparu cier-nistego. Chcieli ogrodzić cały teren, lecz temu się sprzeciwiłam.

– Ależ wilki, królowo – straszył mnie stary Gyrnos – niedźwie-dzie!...

– W Albunei nie ma niedźwiedzi – odpowiedziałam – a jeśli przyj-dzie tu wilk, powitam go jak brata.

Zanieśli moje słowa do Lawinium i odtąd zaczęto mnie nazywać Wilczą Matką.

Ścieżka od miasta do chaty drwała zmieniła się wkrótce w ucze-szczany trakt, musiałam więc ograniczyć liczbę ochotniczych robotników i gości jedynie do kilku i tylko w wyznaczone dni, w przeciwnym bo-wiem razie w ogóle nie zaznalibyśmy z Sylwiuszem spokoju. A gdy pod koniec lata wszystkie prace zostały ukończone i zostaliśmy sami, naprawdę odetchnęliśmy z ulgą. Sylwiusza po całych dniach nie było w domu. Spędzał czas w lesie albo na ćwiczeniach, przyjaciele Eneasza zabrali się bowiem z zapałem za jego edukację, ułożywszy dlań wy-czerpujący rozkład codziennych zajęć, na które składały się ćwiczenia wojskowe, lekcje fechtunku, muzyki, recytacji oraz jazdy konnej. Kiedy już sprzątnęłam chatkę i wypieliliłam ogród, niewiele miałam do roboty, a ponieważ przywykłam do prowadzenia dużego domu, początkowo nudziłam się i czułam samotna. I bezużyteczna, jak oszustka. Pałace w Laurentum, w Lawinium, w Albie, którymi zarządzałam z takim nakła-dem pracy i nieustannej troski, doskonale funkcjonowały beze mnie. Maruna z pomocą Sykany, swojej prawej ręki, prowadziła dom w La-winium i sprawowała obrzędy, jak ją przed laty nauczyłam, nie mogłam

więc jej prosić, żeby mi dotrzymywała towarzystwa w lesie.

Jednakże po jakimś czasie polubiłam swoją samotność. Przestałam wyglądać z utęsknieniem każdego gościa, nasłuchiwać głosów, które by zburzyły ciszę pośród drzew przetykaną nieodmiennie brzęczeniem owadów, śpiewem ptaków, szelestem liści na wietrze. Zajmowałam się ogrodem, przędłam, tktałam na dużym krośnie, ustawionym w drugim pokoju, i cieszyłam się ciszą, póki wieczorem nie wracał Sylwiusz, a wtedy siadaliśmy do wspólnego posiłku, trochę rozmawialiśmy, niegłośno, przed snem.

I tak płynęły lata.

Zdarzyło się kilka incydentów granicznych, ale wydawało się, że Askaniusz wyzbył się swej nieszczęsnej skłonności do wszczynania wojen. Jego ślub odbył się z wielką pompą, rutulska żona prowadziła dom po królewsku; mówiono, że są szczęśliwym małżeństwem. Nie mieli jednak dziecka. Po kilku latach Askaniusz wezwał do siebie akuszerki i wieszczków. Akuszerki orzekły, że Salika cieszy się doskonałym zdrowiem i nie ma żadnego powodu, by nie mogła począć. Natomiast wróżbici zapowiedzieli zgodnie, że Salika umrze bezpotomnie. Nie podali żadnej przyczyny ani sposobów kuracji, a ich przepowiednie były wieloznaczne i wyrażone mętnym językiem, ponieważ jeśli wina leżała po stronie Askaniusza, woleli tego nie ogłaszać.

Te oraz inne plotki przynosiła mi Illivia, ale też inne odwiedzające mnie niewiasty i moi latyńscy i trojańscy doradcy, którzy władali Lavinium i północno-zachodnim Lacjum w moim i Askaniusza imieniu. Achaty i Sylwiusz zadbali o to, by owi namiestnicy odwiedzali mnie w chatce, gdyby chcieli zasięgnąć mojej rady w ważniejszych sprawach,

dzięki czemu orientowałam się dość dobrze w wydarzeniach w kraju i wokół jego granic, choć rad udzielałam niechętnie, a zagranicznych gości nie przyjmowałam wcale. Jeśli przybył do Lacjum jakiś ważny podróżny, król lub kupiec, podejmowany był w Albie. Oznajmiano mu, że królowa Lawinia mieszka z synem w lesie, posłuszna nakazom wyroczni, dlatego widzieć się z nią nie można. Musiałam odprawić nawet Tarchona z Caere, gdy zjechał do Lawinium, choć bardzo pragnęłam go zobaczyć. Pozwoliłam tylko Sylwiuszowi, aby raz go odwiedził, ale sobie samej tego odmówiłam, by moje wygnanie nie wyglądało na przesadną już kpinę. Mogłam wszak zaufać Achatesowi i Mnesteusowi, że podejmą gościa tak, jak się godzi podejmować wielkiego etruskiego władcę, prawdziwego przyjaciela mojego małżonka i syna. Tarchon nie pojechał do Alba Longa, czym dał wyrażnie do zrozumienia, że jeśli Askaniuszowi zależy na jego przyjaźni, musi sobie na nią zasłużyć.

Na nieszczęście Askaniusz postanowił wystawić tę przyjaźń na trudną próbę, prowokując wejeńskich Etrusków z Rumy. Tamtejsza kolonia stale się powiększała. Latynowie z Fidenae, Tiburu i okolic jeziora Regillus patrolowali zewnętrzne granice swoich posiadłości, bo zaczęły się – co nieuchronne – kradzieże bydła, uprowadzanie owiec, kłótnie przy słupach granicznych. Mars był jak zwykle nader skory do tańca na granicach. Askaniusz miał słuszne prawo do obrony własności swych poddanych, podobnie jak kiedyś Latynus, gdy po raz pierwszy osiedlili się tam Grecy Ewandra. Ale Latynus miał złą opinię o Siedmiu Wzgórzach jako miejscu pod budowę miasta, uważając łożysko rzeki za niezdrowe, a wzgórze za nieodpowiednie pod orkę czy pastwiska, nie zazdrościł więc Ewandrowi tego terenu. Askaniusz przeciwnie.

Dotychczas żył z Etruskami w zgodzie tylko dzięki temu, że ich ignorował, uważał za perfidnych, nieobliczalnych arogantów. Mawiał, że traktaty z Etruskami są z gruntu daremne, bo i tak ich nie dotrzymują – chociaż ten jedyny, jaki z nimi zawarł, gdy udzielili mu pomocy w wojnie nad Anio, został przez nich dotrzymany. Ponieważ uważał się za lepszego od wszystkich Italów jako Trojanin, syn boskiego Eneasza zesłanego przez Los, by władał Italią, kiepsko się czuł, widząc, że nie dorównuje Etruskom ani pod względem bogactwa, ani liczebności poddanych, uzbrojenia czy sztuki życia. Upředzenia, jakie wobec nich żywił, powodowały, że ich nie rozróżniał. Tymczasem oba miasta, Caere i Weje, były odwiecznymi rywalami. Tarchon niechętnym okiem patrzył na gwałtowny rozwój innego miasta-państwa na południe od Tybru. Przybył do Lawinium, by nas wysondować w sprawie osiedla Ruma, gotów wspólnie z nami wyrzucić presję na Weje, by dalej nie rozwijały tej osady. Achates i Serestus rozumieli to i radzili Askaniu-szowi, żeby ugłaskał Tarchona. Nie posłuchał ich.

W marcu, niedługo po tańcach saliów, postanowił udzielić Wejom lekcji. Posłał niewielką armię nad sporną granicę między Rumą a jeziorem Regillus i wyparł Etrusków – głównie pasterzy – prawie na Siedem Wzgórz. Gdy ci zbliżyli się jednak do osiedla, napotkali idące im na pomoc posiłki, zawrócili więc i podjęli walkę. Po obu stronach padli zabici. Żołnierze Askaniusza uznali własne straty za dostateczne usprawiedliwienie dla grabieży stad, jakie im wpadły w ręce. Ale pod koniec drugiego dnia musieli się wycofać aż nad jezioro Regillus i całą zdobycz porzucić. Rumianie pozbiali swoje stada i wystawili zbrojne straże wzdłuż całej niespokojnej granicy.

Sam Askaniusz nie wyruszył ze swą armią, jakby manifestując pogardę dla wroga. Postawił na jej czele Atysa, przyjaciela od najmwcześniejszych lat. Znałam Atysa jako przystojnego, serdecznego, raczej dziecinnego mężczyznę, który był bardzo miły dla Sylwiusza, kiedy mieszkaliśmy w Albie, uczył go między innymi konnej jazdy. Gdy wycofywał się teraz na czele swej armii, w pewnej chwili zdjął hełm, gdyż wiosenne słońce mocno przypiekało. Kamień rzucony przez etruskiego pasterza trafił go w głowę i strącił z konia. Atys już nie odzyskał przytomności. Towarzysze przynieśli jego ciało i ciała pięciu innych poległych żołnierzy do Alby.

Askaniusz wpadł w rozpacz. Padł z płaczem na zwłoki Atysa, nie potrafił opanować szlochu. Kiedy żona próbowała go pocieszyć i wyprowadzić, obrzucił ją okrutnymi, wściekłymi obelgami, krzycząc, że łądaczyła się z połową jego armii i dlatego jest bezpłodna. Nie można go było oderwać od zwłok przyjaciela, dopóki nie wyczerpał go własny płacz, szloch nie przeszedł w drgawki, a potem rodzaj omdlenia, z którego nie można go było ocucić. A wszystko to działo się na wielkim dziedzińcu w Regii, na oczach licznych świadków. W ciągu kilku godzin wieść o tym dotarła do Lawinium. Powtórzył mi ją Sylwiusz, gdy wieczorem wrócił do domu po odbyciu ćwiczeń.

Wszyscy byli wstrząśnięci, zdumieni, wystraszeni tak nadmiernym pokazem rozpoczy. Atys był za młodu kochankiem Askaniusza, ale od tego czasu minęły już lata. Jeśli był mu tak drogi, dlaczego posłał go na tę wyprawę? Ostatecznie miał innych doświadczonych wodzów, którzy lepiej znali te tereny, jak choćby Rutilusa z Gabii, który się tam wychował. Wśród licznych plotek i domysłów, jakie nazajutrz przyniosła

mi nie tylko Sykana, powtarzała się uporczywie jedna: otóż miano pod-
słuchać nie tak dawno temu, jak Askaniusz kłócił się z Atysem, krzy-
cząc, że się zań wstydzi. Przyjaciele Atysa zastanawiali się, czy nie
został posłany na tę niebezpieczną misję, na czele niedostatecznych sił,
za karę, wręcz po to, żeby się go pozbyć. Wielu mówiło też, że Aska-
nusz i Atys nigdy nie przestali być kochankami, że zeszli się nawet w
przeddzień ślubu Askaniusza, a potem już stale spotykali. Gdy zaś krą-
żyły te smutne i zawstydzające plotki, Askaniusz leżał pogrążony w
rozpaczy w swoim pokoju i z nikim się nie widywał.

Jego żonę Salikę odprawiono spod jego drzwi. Upokorzona do gra-
nic możliwości, wraz z gromadką swoich dworek powróciła do rodzin-
nego domu w Ardei.

Wyglądało na to, że przeznaczono mi żyć wśród ludzi, którzy za-
tracają się w cierpieniu ponad miarę, popadają od tego w obłęd. A mnie,
choć umierałam z żalu, skazano na trwanie przy zdrowych zmysłach.
Nie sprawił tego poeta. Wiem, że obdarzył mnie tylko wstydliwymi
rumieńcami i nie wyposażył w zgoła żaden charakter. Wiem, że twier-
dził, iż szalałam z rozpaczy i rwałam z głowy złociste loki po śmierci
mojej matki. Po prostu nie wykazał się spostrzegawczością: byłam wte-
dy milcząca, nie uroniłam ani jednej łzy, dbając jedynie o to, by obmyć
jak się godzi jej biedne, zanieczyszczone zwłoki. A włosy miałam od
urodzenia ciemne. Prawdę mówiąc, nie dał mi nic prócz imienia, które
ja sama wypełniłam treścią. Ale czy bez niego miałabym choć imię?
Nigdy go o nic nie winiłam. Nawet poeta nie wszystko potrafi zrozu-
mieć.

To jednak dziwne, że nie dał mi głosu. Nigdy z nim nie rozmawia-

łam aż do tamtego spotkania w nocy przy ołtarzu w dębowym gaju. Ciekawa jestem, skąd pochodzi mój głos – głos, który woła na wietrze na wzgórzach Albunei, głos, który nie mając języka w ustach, przemawia w nie swoim języku?

Cóż, na te pytania nie potrafię odpowiedzieć. Zdradzę wam jeszcze jedno pytanie, na które nie znam odpowiedzi, dotyczące zdarzenia, w które niewielu tylko gotowych jest uwierzyć. Wy także nie uwierzycie, wiem o tym, choć to prawda.

Pozostawiając ołtarz w królewskim domu w Albie przed ucieczką do Lawinium, nawet nie tknęłam trojańskich penatów.

Nie wydałam rozkazów żadnej kobiecie, żadnemu też mężczyźnie ani dziecku, by je wykradli pod osłoną nocy. Ponieważ był to akt o wyraźnych konsekwencjach politycznych, niepodobna uniknąć podejrzeń, a nawet jawnych przypuszczeń, że został zaplanowany i przeprowadzony przeze mnie lub kogoś, kto pragnął osłabienia władzy Askaniusza. Nie przypuszczam, aby tak było. Myślę, że bogowie sami uznali, że już pora wracać do domu.

Oto o świcie pewnego dnia przybiegła do mojej chatki w Albunei Maruna i zaczęła mnie błagać, zadyszana z biegu, żebym wracała z nią natychmiast do Lawinium. Od pięciu lat nie przekroczyłam bramy mego miasta ani progu domu, ale wiedziałam, że Maruna nie nalegałaby na to bez ważnej przyczyny. Pobiegłyśmy więc razem przez kwietniowe pola, przebiegłyśmy pod bramą, wbiegłyśmy do pałacu, a potem do pomieszczenia, w którym płonął wieczny ogień Westy i w którym od śmierci mego ojca stały penaty Lacjum. Stały tam i nadal, lecz zyskały towarzystwo – wykonane z gliny i kości słoniowej bóstwa domu An-

chizesa, które Eneasza przez lądy i morza przywiózł ze sobą spod Troi.

Aż jęknęłam na ten widok i nogi ugięły się pode mną. Onemiała ze zdumienia, wstrząśnięta, nie wierzyłam własnym oczom.

Jednakże mój przestach nie był zbyt głęboki. Nie przeraziłam się aż do głębi duszy, bo uważałam przecież za rzecz słuszną, by nasi bogowie znaleźli się właśnie tu, w naszym domu.

Spostrzegłszy, że nie jestem aż tak zaskoczona, jak pewnie powinienam, niektórzy uznali moje zdumienie i późniejsze pytania za nieszczerze. W istocie nie zadałam zbyt wielu pytań. Uważałabym za bezbożne wypytywanie śmiertelników w sprawie, która była najwyraźniej dziełem sił nadprzyrodzonych.

Oczywiście kilka spośród moich kobiet byłoby zapewne zdolnych wykraść penaty z Alby i przenieść je do Lawinium. Gdy się jednak nad tym głębiej zastanowiłam, nie potrafiłam sobie wyobrazić, by któraś naprawdę się na to porwała. Wszystkie wyglądały na całkowicie zaskoczone, zalęknione, wręcz przerażone widokiem posążków stojących na ołtarzu, a były to uczciwe i szczerze kobiety. Nie mogłam ich przesłuchiwać. Bo i cóż bym zrobiła, gdyby się rzeczywiście okazało, że to sprawka którejś z nich? Ukaralabym, pochwalila? Lepiej nie dociekać tego, co niewytłumaczalne. Co do służby męskiej, pozostawiłam ją Achatesowi, Serestusowi i Mnesteusowi, którzy sami – byłam tego pewna – nie byliby zdolni do zaplanowania podobnie świętokradczego czynu, jakkolwiek miłe były dla nas jego konsekwencje. Oni również nie znaleźli podejrzanych ani nawet śladów, jak się mogło dokonać – i kiedy – to niezwykle zdarzenie. Pierwszą osobą, która zobaczyła posążki trojańskich bóstw, była sama Maruna, kiedy przyszła na poranne

modły.

Tego dnia postanowiłam zostać w mieście wśród swojego ludu. Posłałam po Sylwiusza i zarządziłam potrójną ofiarę: z jagnięcia, cielęcia i prosięcia. Ofiarnym obrzędem przewodniczył Sylwiusz, przybrawszy sobie za pomocników sędziwych Trojan. Krwią i pieczonym mięsem pocziwych czworonogów dziękowaliśmy i błogosławiliśmy lary i penaty Troi i Lacjum, prosząc je o wstawiennictwo. Maruna, zwyczajem Etrusków, odczytała wróżby z wnętrzości zwierząt i przepowiedziała wielką i wieczną sławę domowi Eneasza.

Potem wróciłam do mej leśnej chatki, tylko Sylwiusz został na noc w Regii, by pełnić straż przy bóstwach swoich przodków i prosić je o błogosławieństwo.

Kiedy w Albie odkryto nieobecność starych penatów, powstało tam oczywiście wielkie zamieszanie i ogromna trwoga. Przerażone kobiety poturbowały niemal na śmierć małego camillusa, dziewięcioletniego chłopca, który pierwszy wszczął alarm, jego oskarżywszy o nieszczęście, które odkrył. Królowa Salika byłaby je zapewne uspokoiła, gdyby nadal mieszkała w Albie.

Niewiasty z trwogą i drzeniem zaniósły wstrząsającą nowinę królowi Askaniuszowi. Wtedy to po raz pierwszy od śmierci Atysa opuścił swe pokoje. Przeszedł przez wielki dziedziniec, stanął przed paleniskiem Westy i zapatrzył się w ogień. Na ołtarzu stały jedynie penaty wioski Alba Longa, nieliczne i skromne jak figurki bóstw w domach biedaków. Święty ogień Westy płonął jak zawsze jasnym żywym płomieniem.

Askaniusz rzucił weń szczyptę ofiarnej mąki. Następnie podniósł

ręce jak do modlitwy, lecz nic nie powiedział, a po jego twarzy pociekły łzy. Potem odwrócił się i w milczeniu, cicho płacząc, wrócił do swego mieszkania.

Mój pasierb nie podjął żadnych kroków, by odkryć sprawcę przenosin penatów do Lawinium. Dla niego, podobnie jak dla mnie, był to widomy przejaw woli sił potężniejszych od nas. Znak, który z pokorą akceptowaliśmy. Podczas jednak gdy dla mnie oznaczał radosny cud, zapowiedź boskiej przychylności dla młodszego syna Eneasza – dla jego syna pierwородnego był ciosem wręcz zabójczym.

Nie wiem, czy małżeństwo Askaniusza naprawdę było taką nieszczęsną parodią, jak wszyscy obecnie twierdzili. Cała kobieca część domu huczała od plotek. Salika miała być od początku nieszczęśliwa, cierpiała z powodu niechęci męża, choć ukrywała swe upokorzenie nawet przed najbliższymi przyjaciółkami (oczywiście z wyjątkiem tej, która o tym opowiadała). Jeśli to prawda, to znaczy, że i Askaniusz przez te wszystkie lata nosił na co dzień maskę, której nigdy nie uchylił. Osobiście uważam za bardziej prawdopodobne, że ich małżeństwo psuło się stopniowo; zawiniła tu zapewne seksualna niechęć, jaką Askaniusz odczuwał wobec kobiet, toteż spróbował wrócić do nieskomplikowanych rozkoszy swej pierwszej miłości. Wierny Atys był pod ręką, gotów zaspokoić te czułe potrzeby. Biedni oni, wszyscy troje.

Jednakże najokrutniej obszedł się los z Askaniuszem. W jednej chwili stracił kochanka i przegrał bitwę, potem stracił żonę, teraz ojcowskie bóstwa. Wyglądało na to, że nieszczęśliwie dokonał wyboru swej stolicy. Wszystko co budował, żeby umocnić swój wizerunek jako godnego następcy Eneasza, kruszyło mu się w rękach niczym rzeczny muł, odłamujący się miękko od brzegu i unoszony z prądem.

Bardzo długo nie mógł się pozbierać, tak długo, że jego dowódcy wojskowi, nie mogąc się odeń doczekać rozkazów, z desperacji przy-

jeźdzali do Lawinium, by prosić o radę starych Trojan i młodego króla.

Tak bowiem całkiem już otwarcie nazywano Sylwiusza. W maju miał skończyć siedemnaście lat. Mieszkał w lesie, posłuszny przepowiedni. Odsługiwał swój termin wygnania. Powrót bóstw jego przodków należało uznać za wymowny znak. Młody król i bogowie wrócili do domu tego samego dnia.

Mieszkańcy Lawinium i całego zachodniego Lacjum zgotowali Sylwiuszowi radosne, serdeczne przyjęcie, składając dary nadmierne i o które ich nie proszono. Wkrótce zaczęli też przybywać mieszkańcy Gabii, Praeneste, Tiburu, Nomentum, żeby go zobaczyć i pozdrowić, ale też ofiarować białe jagniątka, piękne żrebaki, wreszcie swoją gotowość do służby wojskowej. W kraju narastało przekonanie, że mijają czasy mroczne; ludziom zaświtała nadzieja. Zdają sobie sprawę, że żadna ludzka nadzieja nie bywa nigdy do końca spełniona, lecz ten przyływ optymizmu i zaufania stał się sam przez się gwarantem spełnienia obietnic: Latynowie poczuli się znowu narodem, podnieśli wyżej głowę. Tylko głupiec mógłby zmarnować tak dobry początek. Nie będąc głupcem, Sylwiusz był bardzo ostrożny, często wręcz nie dowierzał własnej pomyślności i w znacznym stopniu polegał na radzie ludzi, do których nabrał zaufania. Ale miał dopiero siedemnaście lat, toteż chwycił każdą okazję, przyjmował każdy podarek, cieszył się własną popularnością, odpowiadał miłością na miłość i żeglował z pomyślnym wiatrem, dopóki wiał, jak młody, szczęśliwy jastrząb.

Kiedy z Alby przybyli dowódcy wojsk, zwołał radę i mnie na nią zaprosił.

Wyraziłam mu w cztery oczy swoje wątpliwości. Po pięciu latach

odosobnienia w lesie tak odwykłam od towarzystwa ludzi, że perspektywa uczestnictwa w większym zgromadzeniu napawała mnie lękiem.

- To już nie dla mnie – poskarżyłam się.
- Zasiadałaś przecież w radzie swojego, a potem mojego ojca.
- Niezupełnie. Owszem, czasem siedziałam gdzieś z tyłu, lecz tylko słuchałam.

- Ale jesteś królową.
- Matką króla.
- Królowa to królowa – przesądził po królewsku.

Sylwiusz był bardzo podobny do Eneasza, choć miał też coś z Latorynusa i ze mnie, jakiś italski rys: w postawie, w sposobie odwracania głowy. Umiał wypełniać sobą przestrzeń. Będzie przystojny jako mężczyzna dwudziestopięcioletni, skończenie piękny jako pięćdziesięciolatek. Rozpraszały mnie te matczyne myśli. Wpatrywałam się w syna jak krowa w swoje cielę z bezmyślnym, bezgranicznym zachwytem.

– Ty jesteś tu królową, matko, nic na to nie poradzisz, w każdym razie dopóki się nie ożenię. Dopiero wtedy będziesz mogła się wycofać, jeśli nadal będziesz tego chciała. A ja nie planuję prędkiego ożenku. Jeśli nie uważasz się za królową, w takim razie jesteś moją poddaną, rozkazuję ci zatem, żebyś wzięła udział w naradzie.

- Nie bądź dziecinny, Sylwiuszu – ofuknęłam go.

Ale oczywiście to on wygrał tę batalię: wzięłam udział w jego radzie. Usiadłam z tyłu i nie odezwałam się ani słowem. Nie było sensu szokować wodzów Askaniusza. I bez tego mieli pod dostatkiem zmarłych.

Otrzymali informacje, że od czasu naszej nieszczęsnej granicznej

wycieczki Weje posyłają żołnierzy do Romy. Wyglądało to tak, jakby Etruskowie bądź planowali wypad na nasze terytorium, bądź generalny atak na Gabii lub Collatię. Wodzowie z Alba Longa wysłali w tamten rejon wszystkich ludzi jakich zdołali skrzyknąć pod broń, lecz to była długa granica z rzadka przez nas obsadzona. Nasi żołnierze otrzymali surowe rozkazy, by nie atakować, tylko się bronić.

– Nie wiemy jednak, co ich tam czeka – powiedział Marsjusz, młodzieńki wódz. Oni wszyscy byli młodzi. Askaniusz nie przepadał za towarzystwem starszych mężczyzn.

– Z łatwością mogliśmy podwoić liczebność armii – powiedział Mnesteus. – Naszemu ludowi nie brakuje walecznego ducha.

– Moglibyśmy porozumieć się z Tarchonem z Caere – zasugerował Sylwiusz.

Albańczycy mieszała się i zmarszczyli czoła.

– Z Etruskim? – zdziwił się Marsjusz.

– Tarchon odwiedził nas niedawno. Wyglądało na to, że zamyśla o przymierzu, które miałyby na celu powstrzymanie Romy.

– Nie mieliśmy wtedy uprawnień, by to z nim omówić – wtrącił Serrestus.

Zapadło milczenie.

– Pamiętajcie, jak się spodziewam, że to Tarchon z Caere pomógł wam, czy raczej waszym ojcom, osadzić mojego ojca na tronie Lacjum – przypomniał im Sylwiusz. Powiedział to spokojnie, bez wyrzutów czy przygany.

Spostrzegłam, że Achates zerknął na niego z leciutkim uśmiechem. Usłyszał głos swego króla. Wszyscy go usłyszeliśmy.

Wysłaliśmy posłów do Caere, a także rekrutów i ochotników dla wzmocnienia wojsk albańskich otaczających Siedem Wzgórz. W kwietniu armia Tarchona ruszyła na wschód od Caere, przecinając drogę z Wejów nad Tyber. Doszło do kilku potyczek na terenie Etrurii, lecz do żadnej w Lacjum. Kolonia w Rumie wycofała z granic wszystkie swoje wojska; jej żołnierze przestali zagrażać naszym zagrodom i miastom, poświęcając się orce i żniwom. Sylwiusz wygrał swoją pierwszą wojnę, nawet jej nie rozpoczynając.

Pod koniec lata przyjechał do chatki drwała na swoim pięknym kasztanie i powiedział:

– Matko, uważam, że powinnaś wrócić do swojego miasta.

Sama już o tym myślałam, więc tylko kiwnęłam głową na zgodę.

Cóż to była za przyjemność, móc zamieszkać znowu w pałacu w Lawinium, czyścić palenisko Westy, przygotowywać mąkę z solą dla bogów moich i bogów Eneasza, opiekować się wielką spiżarnią i gwarowym domem, mieć wokół siebie dzieci i kobiety, z którymi można rozmawiać, a w tle głębokie brzmienie męskich głosy dolatujących z dziedzińca stajni.

W tym nowym życiu – które było całym moim życiem, zanim przenieśliśmy się do lasu – lata płynęły szybko. Sylwiusz często jeździł do Alby, w przyjaznej atmosferze spotykał się z bratem, dzieląc z nim trudy panowania, choć teraz to Askaniusz zajmował drugie miejsce, ustąpiwszy pierwszego młodszemu królowi. Kilka razy sam nawet zjechał do Lawinium na uroczystości i narady, ociążały, przygarbiony męczyzna o smutnym spojrzeniu, wiecznie czymś zatroskany. Jego żona nadal mieszkała w Ardei w domu swojego brata Camersa. Syl-

wiusz, który często przekraczał Tyber, pielęgnując przyjaźń z Etrurią, poślubił pochodzącą z Caere czcigodną Ramtę Matunaj, kobietę piękną i szlachetną. Wyprawiliśmy im huczne wesele w Lawinium.

Zaczęły się rodzić dzieci: dziewczynka, chłopiec, potem znowu chłopiec i znowu dziewczynka. I zostałam królową babką, prezydującą na gwarnym dziedzińcu, pośrodku którego rósł wawrzyn przeze mnie posadzony, gdy zamieszkaliśmy tu z Eneaszem, obecnie przerastający już mury.

Po trzydziestu latach panowania w Albie Askaniusz złożył koronę. Sylwiusz, zwany przez swój lud Eneaszem Sylwiuszem, władał odtąd Lacjum w pojedynkę.

Po jakimś czasie przeniósł się do Alby, uznawszy, że istotnie jest lepszym niż Lawinium miejscem na stolicę. Błagał mnie, żebym tam pojechała z nim, Ramtą i dziećmi, ale nie chciałam opuszczać ponownie swojego miasta, w każdym razie nie w tamtym kierunku. Nie próbował przenosić larów i penatów, bo one, podobnie jak ja, okazały swawolę pozostania tam, gdzie je umieścił Eneasz.

Żyłam więc dalej jako stara królowa w starej Regii, za progiem, przez który przeniósł mnie mój mąż w dniu naszego ślubu. W końcu umarły Sykana i Tita, ale Maruna stale ze mną była. Od czasu do czasu chodziłyśmy – lub jeździłyśmy wózkiem zaprzęgniętym w osła – do sennego Laurentum naszego dzieciństwa i spędzałyśmy tam popołudnie przy fontannie pod starym wawrzynem. Jednego razu wybrałyśmy się do ujścia ojca rzeki i napełniłyśmy wózek szarą, brudną świętą solą. Często chodziłyśmy z Lawinium nad Numikus i przyglądałyśmy się płynącej wodzie, a w drodze powrotnej zatrzymywałyśmy się na krótko

przy wielkim kamiennym grobowcu, pod którym Eneasz spoczywał uroczyście obok swojej nienarodzonej córki, cień pośród cieni. Od czasu do czasu chodziłyśmy do Albunei, Maruna nocowała w chatce drwala, a ja szłam sama w głąb lasu, niosąc ze sobą zarzewie na ołtarz, ofiarę z owoców lub ziarna i wina oraz skórę owieczki o ciemnym runie, na której układałam się do snu w świętym miejscu. Nie słyszałam żadnych głosów w ciemności wśród drzew. Nie miałam żadnych wizji. Spałam.

Potem Maruna zachorowała na serce. Była coraz słabsza, już nie mogła się podnieść, żeby zamieść palenisko. Któregoś ranka usłyszałam zawodzenie kobiet.

Sylwiusz przyjechał dziewiątego dnia jej uroczystości pogrzebowych. Nikt się nie dziwił, że król przyjechał na pogrzeb niewolnicy. Znowu zaczął mnie prosić, żebym przeniosła się do Alby i zamieszkała przy nim, a ja odmówiłam.

– Zostanę tu z Eneaszem – powiedziałam.

Miał lzy w oczach, lecz nie nalegał. Tak jak przypuszczałam, doszedłszy pięćdziesiątki stał się pięknym mężczyzną – prosty, krzepki, o ciemnych oczach i szpakowatych włosach.

„Jesteś już starszy niż on” – pomyślałam, ale nie podzieliłam się z nim swoim spostrzeżeniem.

Musiał się spieszyć z wyjazdem. Mieliśmy kłopoty z Wolskami, zresztą jak nie z nimi, to z Sabinami lub Ekwami. Wciąż toczyliśmy jakieś wojny nad granicami, a często i w głębi kraju. Dopóki istnieje królestwo, zawsze znajdzie się jakiś Turnus, który będzie się prosił o śmierć.

Po odejściu Maruny przez jakiś czas nie chodziłam do Albunei. Nie

mogłabym tam pójść z kim innym niż ona, a ponieważ okulałam, bałam się chodzić sama po polach i lasach. W końcu, zmęczona własnym tchórzostwem, posłałam po Ursynę, siostrzenicę Maruny, której podarowałam gospodarstwo nad rzeczką Prati. Odprowadziła mnie do chaty drwala, wróciła do swojej zagrody, żeby oporządzić chudobę, a z rana po mnie przyszła. Wciąż była jak dzika kotka; pokonanie czterech, pięciu mil było dla niej fraszką. Mogłam więc znowu odwiedzać mój las, gdy tylko miałam ochotę.

Któregoś razu wybrałam się tam zimą, spędziłam mroźną noc na owczej skórze i choć prawie wcale nie padało, obudziłam się o świcie zeszywniała i z gorączką. Nazajutrz zostałam w chatce drwala, ale lekarze z Lawinium nalegali na przeniesienie mnie do miasta, żeby mogli swobodniej mnie dręczyć. Nie przysięgnę, czy to się zdarzyło tylko raz czy może więcej razy. Kiedy to mówię, czuję, jak słabnie mi głos, podobnie jak słabło serce Maruny, aż w końcu nawet u nasady szyi nie można było domacać się pulsu. Ja też nie wyczuwam już prawie drgań głosu w moim gardle.

Nie umrę jednak. Nie mogę. Nigdy nie zejdem między cienie pod Albunę, żeby zobaczyć Eneasza w lśniącej zbroi z brązu górującego nad innymi rycerzami. Nie porozmawiam z Kreuzą z Troi, na co kiedyś liczyłam, ani z Dydoną z Kartaginy, dumną i milczącą, w której piersi wciąż ziele wielka rana po mieczu. One żyły i umarły jak inne kobiety, a poeta wyśpiewał ich życie do końca. Tylko mnie nie wyśpiewał dostatecznie pełnego życia, bym mogła też umrzeć. Podarował mi jedynie nieśmiertelność.

Nie muszę już wzywać Ursyny, żeby mi towarzyszyła w wypra-

wach do świętego gaju. Już od dawna nie muszę. Trzeba się przemienić, ażeby trwać wiecznie. Z Lawinium do Albunei mogę się teraz przenosić na własnych skrzydłach. Spędzam tam coraz więcej czasu, polując między drzewami o zmierzchu, w świetle gwiazd. Moim oczom wystarczy tylko odrobina światła, by dostrzegły zdobycz: dla mnie noce w Albunei są jasne, rozświetlone rozproszonym blaskiem. A kiedy wstaje słońce i oślepia całe niebo, szukam mrocznej kryjówki w dziupli dębu. To jest teraz mój pałac. Nic nie szkodzi, że po Regii w Lawinium zostały tylko gliniane cegły pod powierzchnią ziemi. W mojej ciemnej sypialni przesypiam dni, w pobliżu stawów z cuchnącą, mętną, niegdyś świętą wodą. Kiedy zachodzi słońce, budzę się i nasłuchuję. Słuch mam doskonały. Usłyszę oddech myszy w warstwie suchych dębowych liści. Przez szmer wody w jaskini słyszę gwar i hałas wielkiego miasta, które obsiadło wszystkie Siedem Wzgórz, brzegi ojca rzeki i prastare miedze gminne na wiele mil wokół. Słyszę niekończący się ryk motorów wojny na wszystkich drogach świata. Niekiedy krzyczę, lecz nie ludzkim głosem. Mój krzyk jest miękki i drżący. „I, i” – krzyczę. – „Idź, idź”.

Tylko czasem moja dusza budzi się znowu w postaci kobiety i gdy wtedy nastawię ucha, słyszę ciszę. A w niej jego głos.

POSŁOWIE

Miejsce akcji, fabułę i postaci tej powieści zapożyczyłam z sześciu ostatnich ksiąg *Eneidy*, epickiego poematu Wergiliusza.

Od stuleci każdy w Europie i obu Amerykach, kto odebrał choćby podstawowe wykształcenie, zna historię o Eneaszu. Jego wędrówka spod Troi, romans z afrykańską królową Dydoną, zejście do Podziemi należały do powszechnie znanych toposów kulturowych, stanowiąc źródło inspiracji dla poetów, malarzy, kompozytorów oper. Łacina – ten martwy, jak mówią, język – była od czasów średniowiecza niezwykle żywa, płodna i wpływowa dzięki literaturze, jaką w niej stworzono. Dzisiaj to już przeszłość. W ostatnim stuleciu nauczanie i nauka łaciny zeszły na margines wąskiej akademickiej specjalizacji. Wraz z prawdziwą śmiercią ojczystego języka głos Wergilego zamilknie więc w końcu na zawsze. Co byłoby szkodą niepowetowaną, bo to jeden z największych poetów w dziejach świata.

Jego poezja jest ze swej natury tak muzyczna, jej piękno tak nierozdzielnie związane z barwą i porządkiem słów, że pozostaje w istocie nieprzetłumaczalna. W angielszczyźnie nie zdołali oddać jej magii nawet John Dryden, nawet Edward FitzGerald. Tłumaczowi trudno się jednak wyrzec pragnienia identyfikacji z przekładanym tekstem. To właśnie pragnienie skłoniło mnie, by wyjąć z tej epopei pewne sceny, sugestie, zapowiedzi i zbudować z nich powieść, czyli dokonać przekładu na inną formę, przekładu częściowego, marginalnego, ale – przynajmniej w intencji – wiernego. Moja Lawinia jest przede wszyst-

kim podziękowaniem dla poety, darem miłości.

Było już kilka prób „ukończenia” *Eneidy*, uzasadnianych argumentami, że sam Wergiliusz uważał swoje dzieło za nieukończone (wiedząc, że umiera, polecił je spalić), oraz tym, że urywa się znienacka na scenie, która zdaje się podawać w wątpliwość słynną pobożność Eneasza, a nawet jego bohaterskie zwycięstwo. Co do mnie uważam, że poemat kończy się tym, czym Wergiliusz chciał go zakończyć. Moja opowieść nie jest pod żadnym pozorem próbą zmiany lub dopełnienia dziejów Eneasza. Jest tylko refleksyjną interpretacją, jaką mi podsunęła jedna z drugoplanowych postaci eposu – rozwinięciem napomknienia.

Wojnę trojańską stoczono prawdopodobnie w XII stuleciu p. n. e. Rzym został założony najpewniej w VIII wieku p. n. e. , choć przez całe stulecia od tej daty niemal się nie pojawia na kartach historii. Podanie, jakoby zięć Priama, Eneasze Trojańczyk, miał cokolwiek wspólnego z założeniem Wiecznego Miasta, jest czystą legendą, w znacznej mierze wymyśloną przez samego Wergiliusza.

Mimo to Wergiliusz, o czym wiedział Dante, jest przewodnikiem ze wszech miar godnym zaufania. Pod jego więc przewodnictwem zapuściłam się w legendarną Epokę Brązu. Nigdy mnie nie zawiódł.

Choć czasem zaskakiwał. W przeciwieństwie do mnie dobrze znał Lacjum (rejon na południowy wschód od Rzymu), a przecież jego geograficzna wiedza sprawia nieraz wrażenie mylnej lub celowo nieprecyzyjnej. Lawinium to dzisiaj Pratica di Mare (to się zgadza), początkowo wydawało się jednak czystą stratą czasu usiłowanie dokładnego umiejscowienia Laurentum czy lasu Albunei, który przecież nie mógł mieć nic wspólnego z siarkowymi źródłami w pobliżu Tiburu (obecnie Tivoli), miasta, które Horacy i inni pisarze zwali Albunę, a rzeczka Numikus, lub Numicius, była równie nieokreślona co do swego położenia, jak i swej nazwy. Jako powieściopisarka chciałam jednak dokładnie wiedzieć, ile mil pokonywał piechur idący z Laurentum do ujścia Tybru, czy jak długo jechało się wozem zaprzężonym w muła z Lawinium do Alba Longa. Mój zajmujący się geomancją przyjaciel, George Hersh, znalazł po długich poszukiwaniach w starożytnych zasobach Internetu współczesną mapę, jakiej potrzebowałam dla oznaczenia miejsc i określenia odległości: Lazio, część Grande Carte Stradale d'Italia. Na tej mapie o dużej skali można w pobliżu Croce di Solferato

znaleźć Albunę Wergiliusza w odpowiedniej odległości od Laurentum. Jest też ona: Rio Torto, rzeczka, która kiedyś musiała nosić nazwę Numikus... Odnalezienie tych legendarnych miejsc na mapie drogowej Touring Club Italiano bardzo mnie wzruszyło. I na stronach mapy, i na kartach mitu są równie realne.

Później przeżyłam kolejną podobną radość, odkrywając książkę *Vergil's Latium* Berthy Tilly. Autorka przewędrowała cały ten region w roku 1930, wyposażona w przenikliwy umysł, bystre oko i mały aparat Kodaka. Bertha Tilly sprawiła mi ogromną przyjemność, poprawiając niektóre i potwierdzając większość moich odręcznych mapek. Fotografowała chaty pasterzy zbudowane tak, jak je budowano od dwóch tysięcy siedmiuset lat. Pokazała, jak zmieniła się linia brzegowa wokół ujścia Tybru i gdzie musieli wylądować Trojanie, gdy o świcie płynęli w górę rzeki, zanurzając się w ciemny las rozbrzmiewający śpiewem ptaków i trzepotem skrzydeł.

Moim celem było postępowanie za Wergiliuszem, a nie poprawianie go czy krytykowanie. To sama Lawinia wykazywała od czasu do czasu, że poeta się mylił – na przykład w kwestii koloru jej włosów. Jako powieściopisarka, do tego płodna, pozwoliłam sobie na rozbudowanie, interpretację i wypełnienie niektórych wątków jego oszczędnej, wspaniałej narracji. Choć niejedno też pominęłam. Dla historycznego prawdopodobieństwa świadomie zubożyłam owe pałace, tiary, ofiarnicze hekatombry i cały augustiański przepych, w jaki poeta ubrał opisywany przez siebie świat. Homeryccy kłótlivi bogowie, którzy podpowiadają, objaśniają i wtrącają się w ludzkie czyny i uczucia, nie sprawdziliby się w powieści, dlatego nie włączyłam do mego utworu ani greckich, ani rzymskich bóstw, choć stanowią nieodłączną część poematu.

Uwolniona od literackiej maszyny panteonu, podpierając się autorytetami badaczy religii, pozwoliłam moim bohaterom sprawować święte obrzędy domowe, jakie praktykowali Rzymianie, lud głęboko religijny. Rytuały te miały już w czasach Wergiliusza wielusetletnią tradycję, przetrwały też na wsiach przez cały okres Republiki i Cesarstwa, dopóki nie wytrzebił ich napływ licznych bóstw importowanych i nietolerancja chrześcijan. Nadanie słowu „poganin” znaczenia: „wyznawca wielu bóstw” jest dziełem chrześcijaństwa; pierwotnie poganami byli po prostu ludzie zamieszkujący pagus, rzymską gminę wiejską, czyli wieśniacy. To oni, mieszkańcy wsi, pozostali najdłużej wierni tamtej odwiecznej, lokalnej, głęboko zakorzenionej religii. Pieśń śpiewana w mojej powieści w święto Ambarvaliów to prawdopodobnie najstarszy znany wiersz łaciński, choć został zapisany dopiero w roku 218 n. e.,

kiedy był już tylko wykopaliskiem z zamierzchłej przeszłości, prawdopodobnie równie niezrozumiałym dla ówczesnych śpiewaków jak jest dzisiaj dla nas.

*Enos Lases iuvate
neve luae rue Marmar sins incurrere in pleores
satur furere Mars limen sali sta berber
semunis alternei advocapit conctos
enos Marmor iuvato
triumpe triumphe triumphe triumphe triumphe...*

Kim byli ludzie zamieszkujący w VIII wieku p. n. e. wzgórza i niziny Lacjum – Latynowie, przodkowie Rzymian? Coraz więcej o nich wiemy, a jednak cieszę się, że moja opowieść jest osadzona w półmitologicznym, prehistorycznym krajobrazie Wergiliusza, opisanym przez poetę, a nie przez wciąż niepewnych swego, choć wytrwałych archeologów. Co do historyków, ów wczesny okres pozostaje niemal całkowicie niedostępny ich rzemiosłu. Zaskakująco późno, bo dopiero w II wieku p. n. e., pojawiają się historycznie wiarygodne wiadomości o Latynach czy samym Rzymie. Rzymskiego historyka Liwiusza (mniej więcej współczesnego Wergiliuszowi) doskonale się czyta, ale nawet on, spisując swoje dzieje, musiał się opierać niemal wyłącznie na legendach, mitach, domysłach, przekazach tradycji, sprzecznych doniesieniach, kalendarzach świąt, imionach konsulów – fragmentach łami-główki. My, ludzie współcześni, dysponujemy jeszcze wątlejszym niż Liwiusz materiałem, choć nasza archeologia jest niewątpliwie bardziej

wiarygodna.

Sam Rzym był prawdopodobnie osadą Latynów, niemal na pewno opanowaną przejściowo przez Etrusków, którzy odcisnęli na nim swe wyraźne piętno. Niestety, prawie nikt nie ma pewności, kim byli Etruskowie, choć pozostawili po sobie, gdziekolwiek się osiedlili, istne skarby sztuki i architektury i potrafimy już odczytać niemałą – choć wciąż niecałą – część ich piśmienniczej spuścizny. Mieszkali głównie na północ od Tybru, w dwunastu sprzymierzonych ze sobą miastach-państwach, które pod względem kulturalnym i ekonomicznym prawdopodobnie znacznie górowały nad Latynami.

Latynowie i ludy z nimi sąsiadujące, takie jak Sabinowie, Ekwoowie, Hernikowie, Wolskowie, wszystkie mówiące spokrewnionymi ze sobą językami indoeuropejskimi, przywędrowały z północy; proces tej migracji rozpoczął się ponad tysiąc lat przed naszą erą.

Wolnej przestrzeni znaleźli w Italii pod dostatkiem. W owych czasach przeważającą część półwyspu porastały lasy. Gdzie zjawia się Człowiek, tam giną Drzewa – lub parafrazując Tacyta: czynimy pustynię i nadajemy jej miano postępu. Przed rokiem 800 p. n. e, posługujące się łaciną ludy przeniosły się do Lacjum, wycinając lasy pod pastwiska i pola uprawne. Niewykluczone, że ludzie ci żyli – jak w mojej powieści – jako osiadli rolnicy, wieśniacy (poganie), skupieni w plemionach bądź podlegający władzy wodzów i królów. Prawdopodobnie wcale nie żyło im się tak dostatnio i nie byli tak cywilizowani, jak ich przedstawiłam. Jedno jest pewne: byli rolnikami-żołnierzami i nieustannie między sobą wojowali. Latynowie postępowali tak przez wieki, z rosnącym powodzeniem, aż podbili całą zachodnią Europę, a na dodatek sporą

część Afryki i Azji.

Wzorem Wergiliusza nazywam osady Epoki Brązu „miastami”, zresztą ich mieszkańcy tak je prawdopodobnie postrzegali, choć my uznalibyśmy je raczej za opasane murami lub palisadą zbiorowiska chat skupionych wokół warowni. Ówczesni ludzie wychodzili w pole, żeby wypasać owce, kozy i bydło, siał i uprawiać jęczmień, pszenicę płaskorurkę, warzywa, owoce i drzewa orzechowe. Prawdopodobnie nie znali jeszcze bawełny ani lnu. Kobiety greplowały, przędły i tkwały z wełny togi i palle, w jakie się odziewały (okrycia podobne do sari). Niewykluczone, że znali tylko dziką winorośl i niejadalne dzikie oliwki, a nie było ich stać na kupowanie wina czy oliwy z oliwek od Etrusków, którzy zapewne już wtedy wytwarzali te specjały. Ja jednak nie potrafiłam sobie wyobrazić Italów bez wina i oliwy z oliwek. Jeśli to stanowi jakieś usprawiedliwienie, nie mógł ich też sobie wyobrazić bez tych przydatków Wergiliusz.

Staralam się odtworzyć prawdopodobny krajobraz Lacjum z tamtej epoki: nieprzebyte las dębowo-sosnowy, pocięty stromymi jarami, którymi strumienie spływały na bagniste łąki i moczary wśród nadbrzeżnych wydm. Osiedla powstawały głównie na skalnych wychodniach potężnego wulkanicznego łańcucha Gór Albańskich. Miasteczka wraz z otaczającymi je pastwiskami i polami gminnymi zajmowały jedynie drobny wycinek tego dzikiego pustkowia. Osadę od osady dzieliły wielkie odległości. Dużo wody upłynie w Tybrze, zanim się do siebie zbliżą i staną się Rzymem. Ludzie żyli wtedy w nieoswojonym świecie, wśród bezludnych pustkowi.

Wergiliusz ukazuje przesadne wyrafinowanie tamtego świata, ja z

kolei łagodzę jego prymitywizm: oboje, jak sędzę, czynimy tak dlatego, że chcielibyśmy widzieć w ówczesnych ludziach przyszłych Rzymian – przynajmniej Rzymian w procesie narodzin.

Odkąd po raz pierwszy o nim przeczytałam, Rzym zawsze mnie fascynował, choć nie to zdeprawowane, opływające w dostatki Imperium z telewizyjnych sag, ale wczesny Rzym: mroczna prosta Republika, forum nie z marmuru, lecz z drewna i cegły, surowi ludzie z mocnym poczuciem obowiązku, ładu i sprawiedliwości: wieśniacy, którzy połowę życia spędzali pod bronią, kobiety, które pod nieobecność mężczyzn prowadziły gospodarstwa, wielopokoleniowe rodziny, które czciły ogień na palenisku, żywność w spiżarni, miejscowe źródła i lokalne bóstwa. Kobiet nie traktowano tam jak rzeczy i choćby z tego powodu moja wyobraźnia czuje się swojsko w domach starożytnych Rzymian, a nie bardzo już u siebie w domostwach starożytnych Greków. Rzymianie mieli niewolników, bo któż ich wtedy nie miał, ale domowi niewolnicy, członkowie rodziny, zasiadali do stołu razem z państwem. Ci ludzie byli szorstcy, brutalni i ogromnie się od nas różnili, trudno jednak odczuwać ich jako zasadniczo obcych, skoro tak wielka część naszego kulturowego dziedzictwa pochodzi wprost od nich, połowa naszego języka, większość pojęć prawa – a też zapewne niektóre proste, a wyższe wartości, takie jak lojalność, skromność, odpowiedzialność, nieodłączne od Wergiliuszowej idei bohatera.

PODZIĘKOWANIE

Wyrazy wdzięczności niechaj przyjmą W. Warde Fowler, autor *The Religious Experience of the Roman People*, i H. J. Rose, autor *Ancient Roman Religion*, których dzieła, przebogate i wnikliwe, są przykładem najszlachetniej pojętej uczoneści. Nieocenionymi przewodnikami byli też dla mnie Bertha Tilly, autorka *Vergil's Latium*, i Alexander G. McKay, autor *Vergil's Italy*. Profesor Karen Carr z wydziału historii Uniwersytetu Stanowego w Portland usunęła pewne błędy z powyższego *Posłowia*, nie odpowiada też za te, które ewentualnie pozostały. Mój brat, Karl Kroeber, zachęcał mnie do odczytania *Eneidy* jako tragedii, do czego się zapewne jak najsluszniej nie zechce przyznać. Na moje podziękowania zasłużyli także Andrea Schulz i Michael Kandel, moi wydawcy, oraz jak zwykle pracownicy wydawnictwa Harcourt, którzy na różnych polach współpracowali ze mną dla dobra niniejszej książki.

Ursula K. Le Guin
2008